LITERATURA \ SZTUKI WIZUALNE

RELIGIA \ FANTASTYKA

FRONDA LUX

PISMO POŚWIĘCONE \ NUMER 79 \ ROK 2016
CENA 29 ZŁ [W TYM 5% VAT]

Critical Error

The file "Mózg" doesn't exist

Press CTRL+ALT+DEL
to restart your computer.

Press any key to continue _

50 TWARZY WATYKANU

TWARDOCH SIĘ NAM WYMKNĄŁ

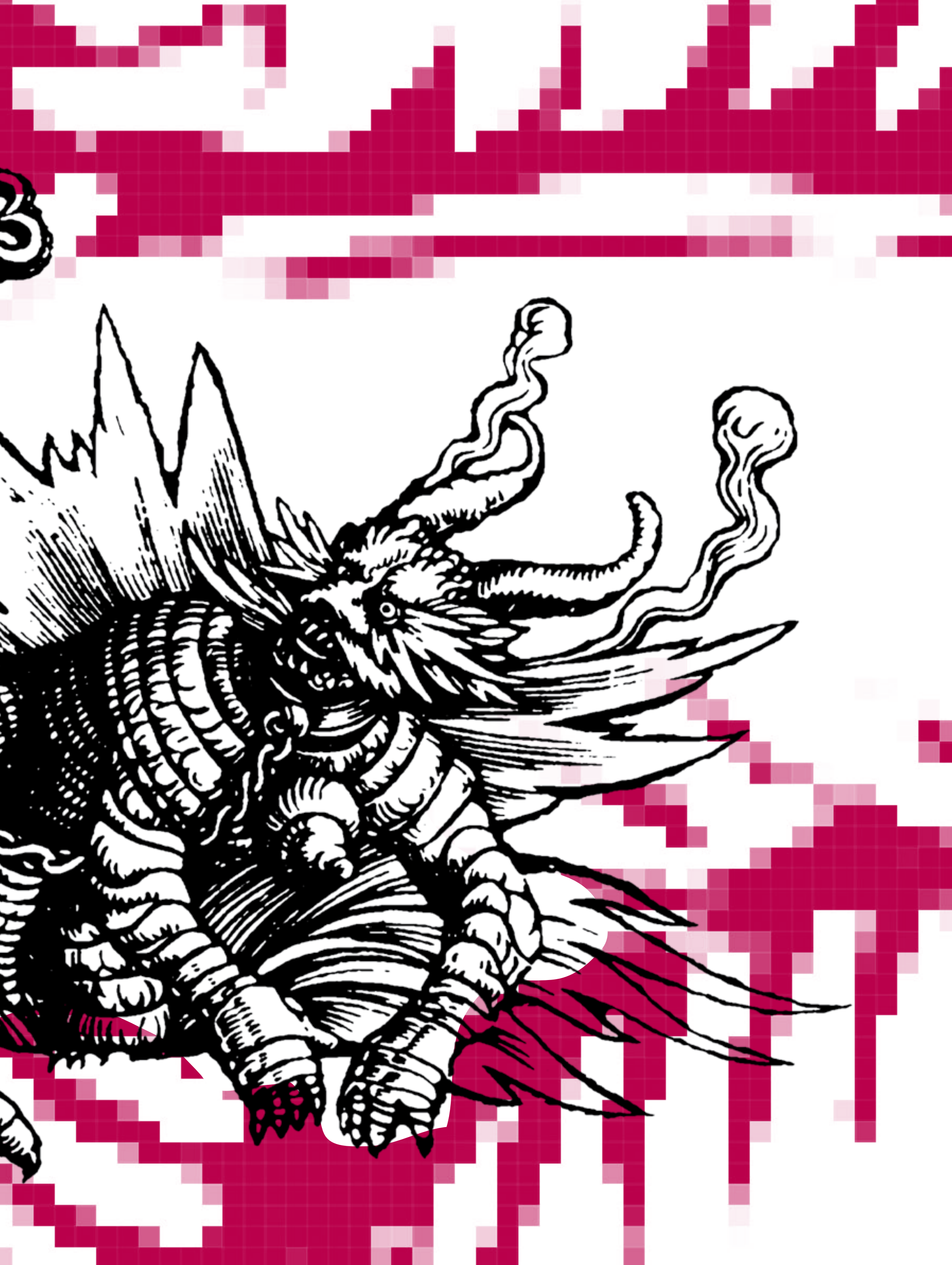
JAK BIĆ SIĘ W KULTURALNY SPOSÓB?

OPRÓCZ ROZUMU NIE BRAK MI NICZEGO

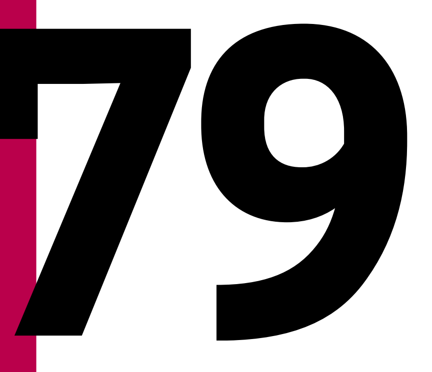
FRONDALUX

79





FRONDA LUX **spis treści**



4 0 4

do lektury przystąp

FRONDA LUX kwartalnik, nr 79, 2016 rok

Obrońca demokracji: **Jerzy Kopański**

Reduta demokratyczna: I strażnik konstytucji: **Piotr Pałka**; II strażnik konstytucji: **Dawid Wildstein**; sekretarz konstytucji: **Magdalena Osińska**; głodował w obronie konstytucji (przegryzał rukolę): **Jakub Dybek**; nie pije w obronie konstytucji: **Mateusz K. Dziób**; fotoreportaże z marszów w obronie demokracji: **Joanna M. Wal**; stawia sprawę polską na arenie międzynarodowej: **Paweł Rzewuski**; ilustracje widma faszyzmu: **Krzysztof Karnkowski**; obrońca demokracji wśród dziatwy szkolnej: **Jarosław J. Żejmo**; ideolog demokracji opartej na refluksie: **Tomasz Krok**; też nie pije: **Żaneta Dudek**; piękne twarze zamachu na konstytucję: **Magda Nowica** i **Iza Ziemba**; skład i składki na obronę kwartalnika przed demokracją: **Izabela Nottowska**; promocja autorytaryzmu: **Anna Kierzkowska** marketing@fronda.pl

Podpalacze ładu demokratycznego: Tomasz Bardamu, Monika G. Bartoszewicz, Marcin Darmas, Marcin Herman, Maciej Kalbarczyk, Tomasz Kempski, Łukasz Kucharczyk, Jakub Lubelski, Wojciech Mucha, Zofia Orłowska, Samuel Rodrigo Pereira, Paweł Rojek, Tomasz Rowiński, Anna Stępniak, Maciej Woźniak, Leszek Zaborowski, Tewu z Empewu

Korekta jedynie słuszna: Katarzyna Szol

Okładka: awers: Izabela Nottowska, rewers: Ada Karczmarczyk

Ich tu nie ma: ~~Mateusz Matyszkowicz, Jakub Moroz~~

Adres redakcji: ul. Łopuszańska 32, 02-220 Warszawa
tel. (22) 836 54 44, 877 37 35, faks (22) 877 37 34, fronda@fronda.pl

www.frondalux.pl www.wydawnictwofronda.pl
facebook.com/pismofronda facebook.com/frondawydawnictwo

Wydawca: Fronda PL Sp. z o.o. Zarząd: Michał Jeżewski

Druk: Drukarnia im. A. Półtawskiego
ul. Krakowska 62, 25-701 Kielce

ISSN 2391-5013; Indeks 380202

Prenumerata:
Prenumeratorzy otrzymują kwartalnik po preferencyjnej cenie **25 zł** za egz. Wydawnictwo pokrywa koszty wysyłki. Cena rocznej prenumeraty wynosi **100 zł**. Kwotę tę prosimy przelać na konto Wydawnictwa 76 1160 2202 0000 0000 3542 8686, podając informację, od którego numeru mamy rozpocząć wysyłkę. Kontakt w sprawie prenumeraty, a także zakupu numerów archiwalnych: **Janina Szajnar** janina@fronda.pl lub prenumerata@fronda.pl
www.wydawnictwofronda.pl/prenumerata

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem (22) 693 7000 lub 801 800 803, w godzinach 7.00–17.00. Koszt połączenia wg taryfy operatora



INSTRUKCJA OBSŁUGI

Nie tak dawno temu zszedł z tego świata Hilary Putnam, filozof, który stworzył eksperymentalną wizję mózgu w naczyniu. Polega ona na wyizolowaniu tego kluczowego organu z naturalnych warunków i umieszczeniu go w naczyniu generującym bodźce. Dzięki nim mózg tworzy wizje rzeczywistości fizycznej. Tworzy świat, który istnieje tylko w generowanym obrazie. Tworzy coś, czego nie ma, nie posiada realizacji, nie odpowiada żadnemu stanowi faktycznemu. Tu zadajemy pytanie: czy świat, który nas otacza, nie jest wielką projekcją złudnych obrazów? Czy rzeczywistość, w której uczestniczymy, nie jest fikcją kogoś, kto nam grzebie w czaszce i nosi biały kitel? Ten eksperyment to pytanie o prawdę. Kultura poprzez filozofię stawia te pytania od dawna, poprzez różne rodzaje sztuk i nauk wybrzmiewa ono częściej, silniej i bardziej sugestywnie niż kiedykolwiek.

Dla sądzących, że katolicyzm jest wypalony, wsobny i schyłkowy, zwłaszcza na tle dynamicznego i gwałtownego islamu, mamy zapis debaty na łonie Kościoła – od popularnej ostatnio katolewicy do Bractwa Piusa X, czyli

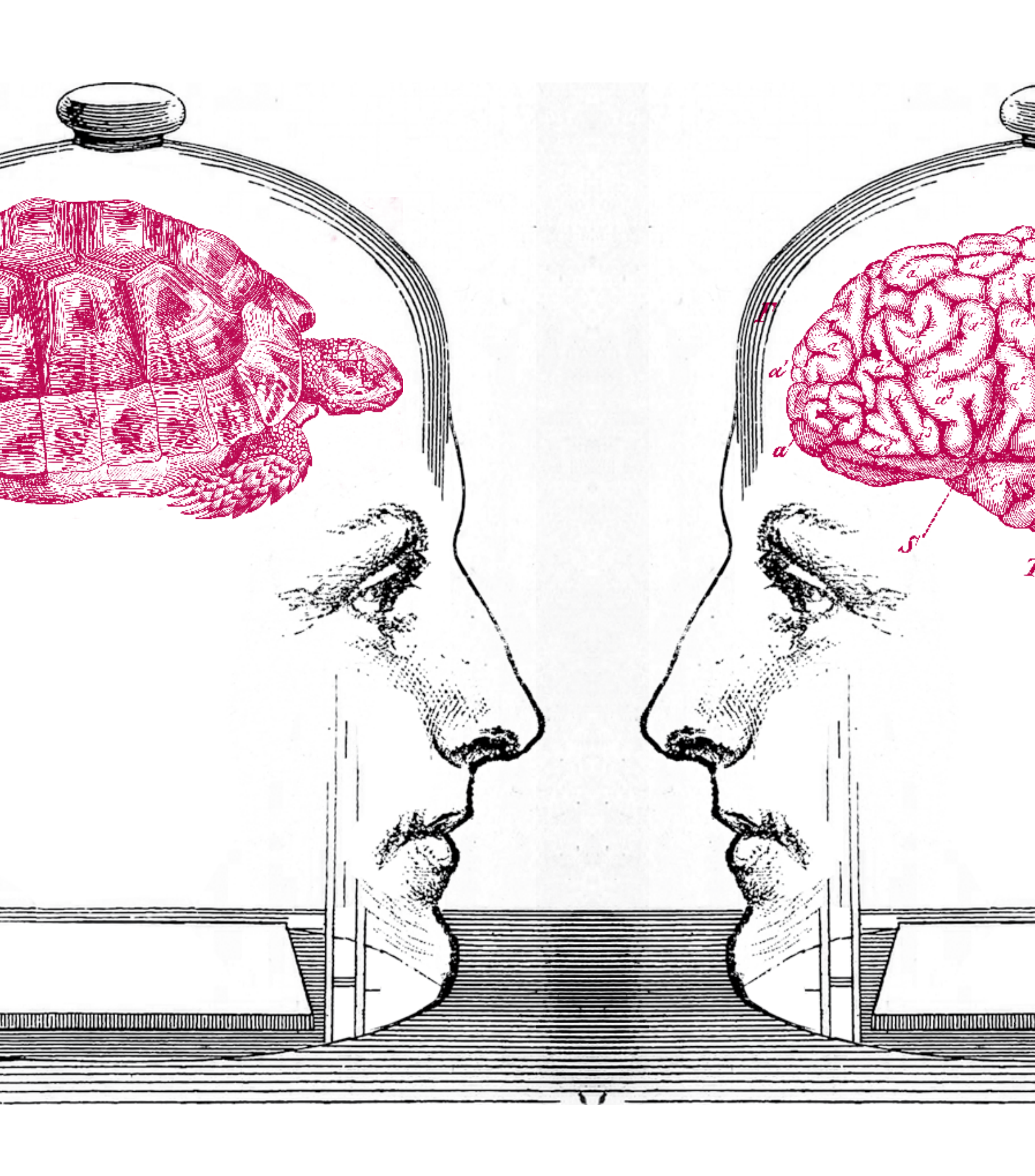
lefebrystów. Jeśli ktoś nie wątpi w siły witalne duchowości rzymskiej, polecać nie musimy.

A ponadto Ada Karczmarczyk odpowiada krytykom (szczęk krzyżowanych mieczy wciąż pobrzmiewa w uszach), Mikołaj Mirowski śledzi recepcję PRL w kinie III RP, a Paweł Rzewuski pokazuje nam Bronisława Maja – dramaturga wyklętego przez krakowską konserwę za antyklerykalną sztukę. Czy diabeł jest taki straszny, jak go malują? Jeśli tak – przeczytajcie blok bokserski, a będziecie wiedzieć, jak skutecznie go obić.

Jak zwykle mamy dla Was literaturę i eseje o literaturze. Publikujemy nowe opowiadania Wojciecha Szydy, opowiadamy Wam o Szczepanie Twardochu i niedawnym laureacie Feniksa Jakubie Lubelskim.

Atrakcji jest wiele więcej, ale deficyt miejsca na wstępniak sprawia, że zamiast zachwalać kolejne, zaproszę do lektury i postawię ostatnią kropkę.

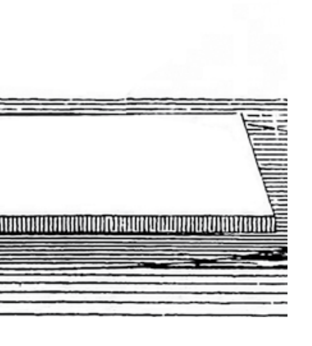
Sługa uniżony
JERZY KOPAŃSKI



Ziemowit Gowin

Tu Putnam. Nie jesteśmy mózgami w naczyniu

Gdybyśmy byli mózgami w naczyniu i wypowiedzieli zdanie: *jesteśmy mózgami w naczyniu*, to owo zdanie znaczyłoby mniej więcej to, że jesteśmy mózgami w naczyniu w świecie zbiorowej halucynacji (bo nie moglibyśmy, jako mózgi w naczyniu, odnieść się do czegoś zewnętrznego)



WSTĘP

W *Medytacjach o pierwszej filozofii* Kartezjusz wprowadza postać złośliwego demona, który jest w stanie – i faktycznie to czyni – zwodzić nas co do wszystkiego, czego doświadczamy. Podsuwa nam różne obrazy, sprawia, że wydaje się nam, iż posiadamy ciało, a nawet powoduje powstanie

w naszych głowach określonych myśli. Tak naprawdę, przynajmniej na pierwszy rzut oka, nie możemy być pewni, czy aby rzeczywiście tak nie jest. A co jeżeli faktycznie jakiś złośliwy demon tworzy całą rzeczywistość dookoła mnie i kieruje moimi działaniami, zaś moje poczucie wolnej woli jest… No właśnie, jedynie poczuciem. W nieco nowszej wersji opowiastki o demonie mówi się o złym naukowcu, który zamyka nas w swoim laboratorium i bezczelnie grzebie w naszym mózgu i neuronach, powodując w naszych umysłach złudzenia, jakie mu się tylko podoba. Bodajże najbardziej znaną egzemplifikacją tego typu pomysłów na gruncie kultury jest film *Matrix*, w którym ludzie, wykorzystywani przez sztuczną inteligencję jako źródło energii, są umiejscowieni w specjalnych maszynach oraz podłączeni do programu komputerowego symulującego zupełnie inny świat od tego, w którym naprawdę się znajdują. Oczywiście między złośliwym demonem a maszynami, które nas obezwładniły, jest znacząca różnica. Od wpływu tego pierwszego nie ma ucieczki, nie mamy jak z nim walczyć (chyba że za pomocą rozumowania filozoficznego, jak to czyni Kartezjusz), a jedyne, czego możemy być pewni, to że istniejemy w momencie, gdy myślimy, że istniejemy. Tego typu sceptycyzm nazywa się sceptycyzmem *radykalnym* lub *globalnym*, odróżniając go od, równie częstych w tekstach filozoficznych, sceptycyzmów *lokalnych*, czyli takich, które dotyczą jakiegoś wycinka wiedzy, na przykład wiedzy dotyczącej przeszłości lub istnienia innych umysłów. Sceptyk to ktoś, kto podważa prawomocność pewnych sądów; mówi nam, że nie możemy wiedzieć, przykładowo, czy istnieje Bóg. Problem sceptycyzmu istnieje od samego początku filozofii i według niektórych stanowi jedną z najważniejszych kwestii filozoficznych w ogóle.

Istniejemy w momencie, gdy myślimy, że istniejemy

Powszechnie w literaturze filozoficznej przyjmuje się, że współczesną wersją problemu złośliwego demona jest argument z mózgów w naczyniu, wysuwany przez zmarłego niedawno Hilarego Putnama. Argument ten, wyrażony w krótkim artykule z 1981 roku pt. *Mózgi w naczyniu* (po polsku dostępny w tomie *Wiele twarzy realizmu i inne eseje*), stosuje się do odparcia pewnej formy sceptycyzmu, mianowicie sceptycyzmu, który głosi, że być może jesteśmy mózgami w naczyniu, a cała otaczająca nas rzeczywistość to jedynie złudzenie. Argument mózgów w naczyniu wywołał wiele gorących dyskusji i polemik,

które – jak *de facto* wszystkie w filozofii – trwają do dziś. Na temat argumentacji Putnama powstały i wciąż powstają nie tylko liczne artykuły, ale nawet całe prace dyplomowe i książki.

Postaram się w jak najprostszy sposób przedstawić argument Putnama za tezą, że nie jesteśmy i nie możemy być mózgami w naczyniu. Zainteresowanych czytelników odsyłam do oryginalnego artykułu, a także do dwóch innych: *Dlaczego świat nie jest wyrobem gotowym* oraz *Znaczenie wyrazu „znaczenie"* (oba znajdują się we wspomnianych *Wielu twarzach realizmu*...). Chciałbym podkreślić, że poniższa rekonstrukcja jest siłą rzeczy fragmentaryczna, tj. nie skupiam się na wszystkich szczegółach, w jakie wchodzi Putnam. Może się okazać, że czytelnik wpadnie na pomysł różnych zarzutów wobec jego argumentacji – warto wtedy sięgnąć do samego źródła i zobaczyć, czy przypadkiem Putnam już na ten lub inny zarzut nie odpowiedział.

MÓZGI W NACZYNIU

Wyobraźmy sobie, że wszystkie istoty żywe, w tym oczywiście ludzie, są mózgami w naczyniu. Nie istnieje jednak żaden szalony naukowiec, który stworzył całą tę machinerię i który zarządza przeżyciami owych mózgów. Putnam proponuje, byśmy pomyśleli o takim scenariuszu, w którym nie ma istoty odpowiedzialnej za tę sytuację: po prostu wszechświat jest taki, że istnieje wiele naczyń, a w nich mózgi podłączone do superkomputera. Co więcej, urządzenia, w których znajdują się mózgi, tworzą zbiorową halucynację – w tym sensie, że gdy ja właśnie siedzę przy laptopie i piszę niniejszy tekst (tzn. wydaje mi się, że siedzę, i wydaje mi się, że piszę), zaś obok mnie pracuje mój kolega, to on z kolei widzi, jak ja pracuję (tzn. wydaje mu się, że widzi, że ja pracuję). W rzeczywistości obaj jesteśmy mózgami w naczyniu, które tak naprawdę ani niczego nie widzą, ani wcale nie pracują.

Urządzenia, w których znajdują się mózgi, tworzą zbiorową halucynację

Pytanie, jakie w kontekście powyższej historyjki zadaje Putnam, brzmi następująco: czy, jako mózgi w naczyniu, możemy powiedzieć lub pomyśleć, że nimi jesteśmy? Według Putnama odpowiedź na to pytanie jest negatywna.

Aby zrozumieć argument Putnama za tezą, że, będąc mózgami w naczyniu, nie moglibyśmy tego nawet powiedzieć lub pomy-

ślеć, należy przyjrzeć się temu, jak rozumie on kwestię odniesienia naszych słów – czy słów w ogóle – do przedmiotów. Odniesienie (inaczej referencja) stanowi jeden z największych i najbardziej dyskutowanych problemów na gruncie nie tylko filozofii języka, lecz także epistemologii i metafizyki. Czym jest relacja odnoszenia się słów i nazw do przedmiotów, w jaki sposób odnosimy się do przedmiotów za pomocą języka? Czy *w ogóle* się odnosimy?

Zdaniem Putnama nie jest tak, że słowa (czy inne fenomeny, którym można by przypisać relację odnoszenia się do czegoś, jak np. obrazy) *same z siebie* wchodzą w relację referencji. Jeden z najsławniejszych przykładów podawanych przez Putnama, który ma nam ten fakt zobrazować, jest przykład mrówki, która, błądząc po piasku to w jedną, to w drugą stronę, po pewnym czasie tworzy podobiznę Winstona Churchilla. Według Putnama, zgodnie z naszymi intuicjami, nie powiemy, że owa podobizna naprawdę przedstawia Churchilla, a to dlatego, że, po pierwsze, mrówka nigdy go nie widziała, a poza tym nie miała intencji stworzenia jego podobizny. Samo podobieństwo, mówi Putnam, nie wystarczy, by przypadkowo wydeptana przez mrówkę podobizna Churchilla go reprezentowała:

MRÓWKA NIE WIE NIC NA TEMAT CHURCHILLA

Dopóki mrówka *nie jest inteligentną mrówką (a nie jest) i nie wie nic na temat Churchilla (a nie wie), nakreślona przez nią krzywa nie jest żadnym obrazem ani nawet reprezentacją czegokolwiek*. To, co jest warunkiem koniecznym do tego, by coś reprezentowało jakiś przedmiot, jest intencja. Mrówka musiałaby mieć intencję, by stworzyć podobiznę Churchilla, musiałaby również móc pomyśleć o samym Churchillu.



Nieodnoszenie się słów/obrazów samych z siebie dotyczy w równej mierze przedstawień umysłowych, naszych myśli. Nawet gdybym gdzieś usłyszał jakieś słowo w fińskim, którego nie znam, i później wymawiał je w myślach, wcale by się ono nie odnosiło do tego, do czego się odnosi, gdy wymawia je Fin. Za analogicznym charakterem symboli fizycznych (słów, obrazów) i przedstawień umysłowych ma przemawiać inna historyjka podawana przez Putnama. Otóż na bardzo oddalonej od Ziemi planecie wyewoluował gatunek, który pod pewnymi względami, choćby pod względem percepcji, jest bardzo podobny do naszego. Jego przedstawiciele różnią się od nas między innymi tym, że żaden z nich nigdy nie widział drzewa; na ich planecie

po prostu nie ma drzew, a zatem nigdy nie mogli się z nimi zetknąć. Co by się stało, pyta Putnam, gdyby pewnego dnia na ich planetę spadł ze statku kosmicznego przypadkowo powstały (poprzez chlapnięcia farbą) obraz przedstawiający drzewo? Oczywiście mieszkańcy tej planety mogliby mieć różne pomysły, cóż to takiego jest. Niezależnie od tego, jest możliwe, by któryś z nich posiadał takie samo pod względem jakościowym *wyobrażenie* drzewa, jakie posiadam np. ja. Różnica pomiędzy mną a nim jest taka, że moje wyobrażenie drzewa jest równocześnie *przedstawieniem* drzewa. Żaden z mieszkańców opisywanej przez nas planety nie mógłby mieć przedstawienia drzewa – ponieważ żaden z nich z drzewem nigdy nie miał styczności.

Wiemy już, a przynajmniej Putnam twierdzi, że wiemy, iż słowa, wyobrażenia, znaki, myśli, słowem: reprezentacje nie posiadają wewnętrznej, niezależnej od czegokolwiek zdolności do reprezentowania rzeczywistości. To, że słowo jest reprezentacją czegoś, zależne jest *i* od tego, jak owa reprezentacja została utworzona, *i* od osoby, która to słowo wypowiada. Aby słowo „krowa" odnosiło się do krów, musi zaistnieć pewien *związek przyczynowy* pomiędzy tym słowem a przedmiotem, do którego się odnosi; musi owo słowo mieć również pewien związek z naszymi działaniami i praktykami. Gdybyśmy rozmawiali z maszyną, zaprogramowaną w taki sposób, aby odpowiadała nam zupełnie tak, jak robiłby to drugi człowiek, używając bezbłędnie naszego języka i umiejąc odpowiedzieć na każde postawione jej pytanie, to i tak nie moglibyśmy przypisać tej maszynie zdolności do odnoszenia się do przedmiotów zewnętrznych. Jak zauważa Putnam, taka maszyna mogłaby rozmawiać z nami na przeróżne tematy, na przykład na temat XX-wiecznej literatury polskiej, ale *nie potrafiłaby jednak rozpoznać drzewa ani jabłka, góry ani krowy, pola ani wieży, gdyby postawić ją przed którąś z tych rzeczy*. Działania tej maszyny można określić jako czysto *syntaktyczne*, czyli operujące wyłącznie na znakach, a sama syntaktyka do referencji nie wystarczy. Innymi słowy, wspaniale operująca językiem polskim maszyna byłaby w takiej samej sytuacji jak mrówka wydeptująca podobiznę Churchilla.

Reprezentacje nie posiadają wewnętrznej zdolności do reprezentowania rzeczywistości

Jakie to wszystko ma znaczenie dla problemu mózgów w naczyniu? Jak się okaże, niebanalne. Przypomnijmy tezę Putnama: mówi ona tyle, że będąc mózgami w naczyniu, nie moglibyśmy powiedzieć

ani pomyśleć, że nimi jesteśmy. Zdaniem filozofa sąd, że jesteśmy mózgami w naczyniu, sam się obala. Pewne twierdzenie jest samoobalające się, jeżeli z jego prawdziwości wynika to, że jest fałszywe. Przykładem takiego twierdzenia może być teza: nie istnieje żadne prawdziwe zdanie. Jeżeli ta teza jest prawdziwa, to jest ona fałszywa (ponieważ sama jest pewnym zdaniem).

Filozofowie, by przedstawić jakąś myśl, często odwołują się do tzw. światów możliwych, czyli pewnych światów, które mogłyby (w sensie logicznym) istnieć. Filozof A pokazuje, że *istnieje taki świat możliwy, w którym x* i z tego wnosi, że *x* jest możliwe (co z tą konkluzją robi, to już inna sprawa). Zazwyczaj sprowadza się to do pokazania, że dana możliwa sytuacja, którą się rozważa, nie narusza praw logiki i nie jest wewnętrznie sprzeczna. Nawet jeżeli jest niemożliwa fizycznie, to, odpowiada filozof, jest możliwa logicznie. Możliwość logiczna jest szersza od możliwości fizycznej, bowiem mogłoby tak być (nie jest to wewnętrznie sprzeczne), że prawa fizyki byłyby po prostu inne. Rozważmy zatem taki świat możliwy, w którym wszystkie istoty, w formie mózgów, „od początku" znajdują się w naczyniach i są podłączone do superkomputera. Mózgi te mogą, oczywiście w ich wewnętrznym świecie zbiorowej halucynacji, wypowiadać w myślach oraz na głos takie same zdania jak my. To, co różni te istoty od nas, to fakt, że słowa, których one używają, nie odnoszą się do tego, do czego odnoszą się nasze słowa.

Możliwość logiczna jest szersza od możliwości fizycznej

Putnam proponuje zastanowić się nad kolejnym pytaniem: czy ich [mózgów] słowa mogą w ogóle odnosić się do przedmiotów *zewnętrznych*? Przez przedmioty zewnętrzne Putnam rozumie te wszystkie przedmioty, które nie są stworzone przez superkomputer, do którego podłączone są mózgi, czyli, na przykład, realne drzewa.

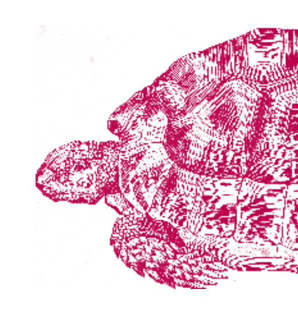
Czy mózg, któremu wydaje się, że jest człowiekiem, odnosi się do realnych drzew, gdy w świecie zbiorowej halucynacji wypowiada słowo „drzewo"? Oczywiście nie, odpowiada Putnam. Powód niemożności zaistnienia relacji referencji bierze się z tego, że mózgi w naczyniu nie miały żadnej styczności z realnymi drzewami – dokładnie tak jak rozważane wcześniej istoty z odległej planety. Nie ma tu znaczenia, że wyobrażenia drzew mieszkańców świata zbiorowej halucynacji są identyczne jakościowo z naszymi wyobrażeniami drzew; z tego, że podobizna Churchilla wydeptana przypadkowo przez mrówkę przy-

pomina Churchilla, nie wnioskujemy, że jest faktyczną reprezentacją Churchilla – że się do niego odnosi.

Mózg w naczyniu mówi: *jestem mózgiem w naczyniu*. Ponieważ słowo „naczynie" nie wchodzi w żaden związek przyczynowy z prawdziwym naczyniem, to nie może się odnieść do prawdziwych naczyń! Co najwyżej do naczyń halucynacji w świecie zbiorowej halucynacji, ewentualnie do pewnych impulsów elektronicznych wysyłanych przez komputer.

Gdybyśmy byli mózgami w naczyniu i wypowiedzieli zdanie: *jesteśmy mózgami w naczyniu*, to owo zdanie znaczyłoby mniej więcej to, że jesteśmy mózgami w naczyniu w świecie zbiorowej halucynacji (bo nie moglibyśmy, jako mózgi w naczyniu, odnieść się do czegoś zewnętrznego). Mówiąc, że jesteśmy mózgami w naczyniu, nie chcemy powiedzieć, że jesteśmy mózgami w świecie zbiorowej halucynacji – przecież w zbiorowej halucynacji jesteśmy ludźmi, studentami, pracownikami, matkami, ojcami itd. Biorąc to wszystko pod uwagę, to wypowiedziane przez nas zdanie: *Jesteśmy mózgami w naczyniu*, jeżeli faktycznie nimi jesteśmy, jest zdaniem fałszywym. Jako mózgi w naczyniu nie odnosilibyśmy się do świata zewnętrznego, tylko do świata zbiorowej halucynacji, a w nim, jako żywo, żadnymi mózgami w naczyniu nie jesteśmy.

Warto zauważyć, że argument Putnama działa przy założeniu, że od początku jesteśmy mózgami w naczyniu i że nigdy nie będziemy mieli żadnej styczności z przedmiotami zewnętrznymi, takimi jak drzewa itd. Nawet jeżeli zgodzimy się z przesłankami i rozumowaniem Putnama, nie uchroni nas przed innymi formami sceptycyzmu: na przykład od twierdzenia, iż nie możemy mieć pewności, że *nie jest tak*, że ktoś podłączył nas do jakiegoś komputera i bawi się nami poprzez neuronalną manipulację. W tym sensie można powiedzieć, że rozważania Amerykanina nie stanowią dla nas specjalnej otuchy. A już z pewnością ani trochę nam nie pomogą, jeżeli AI przyszłości zechce z nami zrobić dokładnie to, co zrobiło z ludźmi w świecie z *Matrixa*. **Ω**





Fajnie się tu żyje bez mózgu

Czy masz ukończone 18 lat? Z powodu drastycznych treści i wulgaryzmów tekst przeznaczony jest wyłącznie dla osób dorosłych

Lubimy się bawić. Czasami jednak bawimy się niebezpiecznie. Na przykład własnym mózgiem. Weź zapodaj te kryształy, na śniadanie grzybobranie, jedziemy na alpadze, wąchajmy, co się da, towar w nos pakujmy, wciągnijmy kreskę, upalmy się, dajmy w żyłę, jedźmy na białym rysiu – ile nowych wrażeń!

Zadzwonił Jerzy K. – Napiszesz coś do kolejnego numeru? A na jaki temat? Mózg – słyszę. Aha – czekam na podpowiedź. – No wiesz, coś wymyślisz. Zgadzam się więc natychmiast – uwielbiam wyzwania.

Mając cel określony tak jasno i swobodę w wyborze drogi do niego, zaczynam badać teren. Z miejsca dostrzegam wiele możliwości – jedną ciekawszą od drugiej. Muszę się jednak na coś zdecydować – o ile chcę uniknąć indukowanego rozszczepienia osobowości.

Przywołuję z pamięci wiedzę wyniesioną ze studiów, trochę czytam, oglądam filmy, rozmawiam – szukam słowa, obrazu, impulsu,

które skierują mnie na właściwą ścieżkę. Mijają dni, a obraz wciąż jest nieostry. Wiem, że w końcu pojawi się ta myśl, która poprowadzi mnie przez tekst, ale trochę już zaczynam się niecierpliwić. Czas upływa mi na zwykłych, codziennych zajęciach – gotowanie, sprzątanie, zakupy. Umysł – dotąd kurczowo uczepiony jednego tematu – hasa teraz beztrosko pośród rzeczy zwykłych i znajomych. Napięcie ustępuje, chaos informacyjny w mojej głowie porządkuje się niejako sam. A kiedy już wszystko ułoży się zgodnie ze swoją wagą i znaczeniem, wtedy objawia się ta właśnie idea, za którą wystarczy podążyć. Mechanizm tego procesu pozostaje dla mnie tajemnicą. Podobny efekt osiągnęłabym pewnie, siadając w pozycji lotosu z zamkniętymi oczami i skupiając wewnętrzną uwagę na własnym pępku – ale ktoś przecież musi zrobić obiad.

ONA JAK JEDWAB

I proszę! Już wiem! Zmysły. Ile cudownych skojarzeń! Jest wiosna, więc wkrótce wtulę twarz w puszystą kiść bzu, poczuję na policzkach jedwabisty dotyk płatków, zachłysnę się zapachem po końce włosów; rano znowu przejmująco gwizdał kos; w sierpniu z nieba sypną się gwiazdy i już niemal czuję na języku smak pomidora czerwonego od słońca – można by wyliczać bez końca. Każdy ma swoją zmysłową top listę. Tymczasem zadaniem narządów zmysłów wcale nie jest dostarczanie nam przyjemności. To wysoce zaawansowane służby wywiadowcze na usługach mózgu – zarządcy wszelkich funkcji fizycznych, intelektualnych i psychicznych człowieka; interpretatora informacji otrzymywanych od narządów zmysłów; animatora i koordynatora reakcji organizmu na zmieniające się okoliczności.

Każdy ma swoją zmysłową top listę

Z komórek nerwowych rozrzuconych po całym ciele niżej uorganizowanych zwierząt w procesie rozwoju filogenetycznego powstawały wiązki, potem zwoje nerwowe, które w miarę postępującej cefalizacji przekształcały się w zwoje cerebralne, aż wyodrębnił się ten mózg, który mamy teraz w głowach. Tak ważny organ musi być szczególnie starannie chroniony przed urazami. Jeszcze mięczaki posiadają strukturę neuronową otaczającą przełyk, ale już mózg ośmiornicy zamknięty został w chrzęstnej puszce. Kostna mózgoczaszka pojawiająca się dopiero u kręgowców to system ochrony o najwyż-

szej skuteczności. Jeżeli dodamy do tego opony mózgowe, których u człowieka jest aż trzy – to już można naprawdę walić głową w mur.

W osobniczym rozwoju zarodkowym zwierząt tkankowych mózg wykształca się z zawiązka ośrodkowego układu nerwowego. Zapłodniona komórka jajowa po fazie podziałów mitotycznych wytwarza na etapie gastrulacji listki zarodkowe. U człowieka dokonuje się to już w drugim–trzecim tygodniu ciąży. Na Uniwersytecie Harvarda przeprowadzono pewien eksperyment. Posługując się drukarką 3D, wykonano model mózgu 22-tygodniowego płodu. Pokryto go następnie elastomerem i zanurzono w określonym rozpuszczalniku. Mózg zaczął pęcznieć, czyli „rozwijać się". Uczeni obserwowali proces fałdowania się kory mózgowej w rozwoju płodowym. Eksperyment zakończono w 34. tygodniu. Nie znalazłam informacji na temat płynących zeń wniosków, poza entuzjastycznym stwierdzeniem, że udało się zaobserwować proces zwiększania powierzchni kory mózgowej. Co naukowcy zrobili z mózgiem potem – tego też się nie dowiedziałam. Mam nadzieję, że komuś jeszcze się przydał.

MOŻNA NAPRAWDĘ WALIĆ GŁOWĄ W MUR

CO ZROBISZ, GDY CI POWIEM, ŻE MÓZG NIE JEST W GŁOWIE

A przynajmniej nie tylko – pyta Kazik. Utworu *Mózg nie jest w głowie* daje się słuchać, pod warunkiem że ktoś naprawdę lubi Kazika. Ja lubię. Kazik powtarza swoją kwestię do znudzenia i nie warto byłoby jej przywoływać, gdyby nie zawarty w niej głęboki sens. Pytanie wcale nie jest głupie – nie tylko dlatego, że głupie pytania nie istnieją – dlatego że w sensie funkcjonalnym kontynuacją mózgu, jego forpocztą są właśnie zmysły.

Jest ich pięć: wzrok, słuch, smak, węch oraz zmysł somatyczny dawniej zwany dotykiem. W tym ostatnim w miarę postępu badań nad funkcjami ciała zaistniała potrzeba wyznaczenia podkategorii: nocycepcja – zmysł bólu; zmysł temperatury – odczucie zimna i ciepła; zmysł równowagi – związany z błędnikiem w uchu; propriorecepcja – zmysł ułożenia części ciała względem siebie oraz odczucie napięcia mięśniowego. Tak to się przedstawia u ludzi.

Zwierzęta posiadają jeszcze inne możliwości czerpania informacji ze środowiska. Najlepiej wykształcony jest zawsze zmysł najbardziej

potrzebny danemu gatunkowi w zwykłych dla niego warunkach życia. Za pomocą elektrorecepcji dziobaki i niektóre ryby stwierdzają obecność innych zwierząt w swoim otoczeniu. Magnetorecepcja pozwala orientować się w przestrzeni ptakom, rybom, żółwiom morskim, pszczołom i bydłu. Ryby i płazy odczuwają natężenie oraz kierunek przepływu wody dzięki komórkom receptorowym linii bocznej. Delfiny to specjaliści od ultrasonografii, a echolokacja służy im, podobnie jak nietoperzom, do określania swojego miejsca w terenie i lokalizacji obiektów. Okazuje się jednak, że ta ostatnia zdolność nie jest zarezerwowana tylko dla nich. Ludzie niewidomi z czasem także wykształcają ten zmysł. Jakie inne zdolności adaptacyjne mają ludzkie zmysły? Uczeni długo jeszcze nie będą się nudzić.

A PIERWSZY JEST ZAWSZE CZERWONY

To mózg decyduje o naszych zachowaniach, reakcjach świadomych i nie, o tym, kogo kochamy, co nas wzrusza. Pracuje niestrudzenie przez całe nasze życie, abyśmy mogli oddychać, poruszać się, myśleć. Pozbawiony informacji dostarczanych przez zmysły przestaje radzić sobie ze swoimi zadaniami. Wykazał to dobitnie pewien eksperyment. Ochotnicy zanurzali się w głębokiej wannie napełnionej cieczą o temperaturze ciała, a mającej tę ciekawą właściwość, że ciało unosiło się w niej niby w stanie nieważkości. Wszystko odbywało się w pomieszczeniu pozbawionym oświetlenia i doskonale wyciszonym. Już po niecałej godzinie uczestnicy eksperymentu tracili poczucie czasu i przestrzeni. Zaczynali słyszeć nieistniejące dźwięki i widzieć nieistniejące obrazy. Eksperyment przerwano z obawy o zdrowie umysłowe ochotników.

EKSPERYMENT PRZERWANO

Skutki deprywacji zmysłów prowadzą do poważnych zaburzeń psychicznych. To zjawisko wykorzystywano już dawno jako formę psychicznej opresji (ciemny loch).

Z drugiej strony drażnienie zmysłów powtarzającym się regularnie silnym bodźcem wywołuje stany oszołomienia, rozdrażnienia, agresji, osłabia wolę. Na tej zasadzie działa słynna chińska tortura. Kap, kap, kap....... Kap... kap... Łaaa!!! I już walimy głową o ścianę. Włączane i wyłączane na przemian silne światło czy ogłuszająca muzyka nadawana dzień i noc to metody stosowane całkiem współ-

cześnie przez Amerykanów chcących moralnie złamać schwytanych terrorystów.

Nadmiar jednoczesnych bodźców w naszym zwykłym otoczeniu może być niemal równie nieznośny. Zatłoczone ulice, ludzie i samochody poruszające się w różnych kierunkach, co krok inny widok, natłok reklam, dźwięki rozmów, klaksony, muzyka inna w każdym sklepie. Trudno to wszystko efektywnie przetworzyć, a próg tolerancji jest właściwością osobniczą. Mózg wybiera wówczas informacje, które ocenia jako najważniejsze do przetrwania. Zaczyna ignorować te mniej istotne. Nawet najpiękniejszy zapach przestaje być po pewnym czasie odczuwalny. A fenomen pierwszego pocałunku? Nigdy już nie będzie potem tak dojmująco, nigdy już serce nie otworzy się z taką radością. Coś w nas tępieje. To obrona przed nadmiarem. Czasem przyjmujemy to z ulgą, częściej chyba z żalem.

Jak w znanym nam świecie, pozbawionym egzystencjalnych zagrożeń – mózg szacuje wagę informacji? Czy nadal oceniamy przydatność pokarmu, kierując się jego barwą? Wiadomo, że kolor niebieski nie pobudza apetytu, ale przecież są lody w tym kolorze. Człowieka spośród ssaków wyróżnia zdolność widzenia czerwieni. To szczególny kolor niosący wiele ważnych informacji. Bezwłosa ludzka skóra informuje zmianami barwy o stanie ukrwienia. Czerwienimy się z radości i kiedy jesteśmy podnieceni, rumienimy ze wstydu, krew nas zalewa ze złości itd. To za sprawą tlenu, który niesie krew do naczyń włosowatych. Zaczerwienienie świadczy o dobrym natlenieniu organizmu, co informuje o jego sile, wydolności i pobudzeniu. Mamy wbudowaną zdolność odczytywania tego sygnału. To dlatego kobieta w czerwonej sukience zwraca na siebie uwagę – wysyła sygnał seksualnej gotowości. Podczas Igrzysk Olimpijskich w Atenach w 2004 roku obserwowano zawodników sztuk walki i stwierdzono, że istnieje statystyczna zależność między wygraną a czerwonym strojem. Następnie dwóch zawodników o podobnej posturze ubrano – jednego w strój niebieski, drugiego w czerwony. Następnie proszono losowo wybranych mężczyzn, żeby zdecydowali, z którym z nich byliby gotowi stanąć do pojedynku. Wszyscy wybierali niebieskiego! Wyjaśniali to następująco – widać od razu, że czerwony jest bardziej agresywny; wolę niebieskiego, bo nawet jak mnie rozwali, to będzie mniej bolało. Czer-

PRÓG TOLERANCJI JEST WŁAŚCIWOŚCIĄ OSOBNICZĄ

wień odczytywali więc jako komunikat o bezwzględnej sile, z którą niebezpiecznie byłoby się mierzyć. Odpuszczali na etapie decyzji.

Czy w wysoce zmodyfikowanym świecie korzystamy jeszcze ze zdolności interpretowania podobnych sygnałów? Kiedy jest nam zimno, włączamy kaloryfer albo ogrzewanie w samochodzie; kiedy jesteśmy głodni, wpadamy coś zjeść do baru; i przecież żaden drapieżnik nie czai się za rogiem. Także atrakcyjność osobnika płci przeciwnej nie jest już tak silnie zależna od cech świadczących o płodności i posiadaniu genów korzystnych z punktu widzenia jakości gatunku. Obfity biust, szerokie biodra obecnie rzadko wydają się pociągające. Dominuje seksualny wzorzec raczej kulturowy niż biologiczny. Chociaż według pewnych badań największym powodzeniem cieszą się kobiety o wysokim poziomie estrogenów, czyli młode, a przede wszystkim znajdujące się w owulacyjnej fazie cyklu miesięcznego. Przypuszcza się, że zmienia się wówczas zapach potu. Czy to znaczy, że mężczyźni mają wyjątkowo wrażliwy węch? Może tak jest, bo pośród perfumeryjnych „nosów" panie są rzadkością.

Kobietom wciąż jeszcze podobają się raczej silni mężczyźni niż niewysportowane chudziny. Lepiej zachowana zdolność odczytywania elementarnych biologicznych informacji stanowi pochodną roli pełnionej w procesie zachowania gatunku – jedna w miesiącu komórka jajowa jest znacznie cenniejsza niż morze plemników. Mężczyzna atrakcyjny nie musi być co prawda samcem alfa ani mieć imponującego torsu – ale pewność siebie, aura sukcesu dają ogromną przewagę w walce o przekazanie własnych genów. Maczuga czy miecz lub korona zostały zastąpione przez wysokiej klasy samochód, dobre ubranie, najnowszy iPod i wysoką pozycję społeczną. Efekt taki sam. To antropologiczny elementarz. Toczy się walka o pryncypia – zdolności rozrodu i przetrwania gatunku.

WASZE ŻONY CHODZĄ TERAZ DO PRZEDSZKOLA

Aaaaa!!! A gdzie uczucia wyższe! Gdzie miłość, poświęcenie, idee, twórczość! Są tacy, którzy twierdzą, że życie to fizyka, chemia i czysta mechanika. LOL.

Pamiętam pewien wykład z antropologii. Profesor B. tłumaczył nam to wszystko, o czym napisałam. Na koniec zwrócił się do naszych kolegów: panowie, wasze żony chodzą teraz do przedszkola; z antropologicznego punktu widzenia to najkorzystniejsze dla was

partnerki. Miałyśmy kwaśne miny. Widząc to, profesor zapewnił nas, że on sam wierzy w uczucia wyższe, ale nie potrafi wyjaśnić, skąd się biorą. Bo trudno jest wytłumaczyć ich istnienie mechanizmami przetrwania. Dzisiaj uśmiecham się na wspomnienie tamtej sytuacji – to jeden z niewielu wykładów, jakie zapadły mi w pamięć – i myślę ze smutkiem, że skończyły się żarty.

…MAM, KOCHANIE, ZRYTY GLOBUS

Jednym z kryteriów stosowanych do oceny stopnia inteligencji jest umiejętność zabawy. Im wyższa inteligencja, tym większa ta zdolność. Pewnie niektórzy oglądali na YouTubie filmy, na których widać, jak wrony, gawrony czy kruki robią sobie zjeżdżalnię z dachu, turlają się po śniegu albo chwytają za ogon zdezorientowanego psa. Krukowate mają wysoki stopień inteligencji. Albo małpy igrające z tygrysim ogonem. Uwielbiam te filmy. Podobają się nam dlatego, że zwierzęta są tam takie… ludzkie.

Lubimy się bawić. Wykorzystujemy do tego rozmaite sytuacje i rekwizyty. Potrafimy być w tej dziedzinie naprawdę twórczy. Czasami jednak bawimy się niebezpiecznie. Na przykład własnym mózgiem. Weź zapodaj te kryształy, na śniadanie grzybobranie, jedziemy na alpadze, wąchajmy, co się da, towar w nos pakujmy, wciągnijmy kreskę, upalmy się, dajmy w żyłę, jedźmy na białym rysiu – ile nowych wrażeń! Wirują światy i można za ogon chwycić węża, polatać nad miastem albo wysłać się w przestrzeń międzygalaktyczną. Ale faza! Potem jakoś z pamięcią nie teges, zwidy są, nawet jak już ich się nie chce, strachy i dygot. Ale to potem – teraz jest teraz.

Środki odurzające i zmieniające świadomość nie są wynalazkiem współczesnym. Stosowano je od wieków – jednak w celach magicznych, rytualnych lub inicjacyjnych. To trochę co innego niż naszprycować się koką na imprezie. Motywacja czyni różnicę.

Kulturoznawca prof. Mirosław Kocur opowiada o ewolucyjnych cechach naszego mózgu, które sprawiły, iż służy on przetrwaniu, a nie obiektywnej obserwacji otoczenia. *Nasz mózg to nie obserwator, lecz odurzony bajarz*[1] i stosunkowo łatwo jest wprowadzić go w błąd. Jeśli ktoś wie, jak się do tego zabrać.

WEŹ ZAPODAJ TE KRYSZTAŁY

Mówi się, że zmysły nas mamią, oszukują, nie dowierzamy ich świadectwu – to nie tak. One zawsze robią, co

do nich należy – zbierają dane z otoczenia i przekazują mózgowi, który odczytuje je, gromadzi i interpretuje według wzorca zapisanego w genach. Potem – także według wzorca – uruchamia określone mechanizmy fizjologiczne. Dlaczego więc zachowujemy się i reagujemy inaczej w podobnych sytuacjach; co innego nam się podoba, lubimy różnych ludzi, jednemu smakuje kotlecik sojowy, a drugiemu udko kurczaka? Z grubsza rzecz ujmując, odpowiadają za to nadbudowane mechanizmy interpretacyjne. To obszar doświadczeń osobistych, traumatycznych przeżyć i pozytywnych skojarzeń; sfera poddająca się zmianom. Terapie psychologiczne oferują narzędzia, którymi w poszukiwaniu psychicznego dobrostanu można świadomie na nią wpływać. Mózg uczy się takiej interpretacji informacji, która ma zapewnić nam dobre samopoczucie i funkcjonowanie bardziej efektywne pod względem własnej korzyści.

Kiedy fizjologia mózgu zostanie naruszona, jego praca nie przebiega prawidłowo – mózg nie odczytuje pewnych danych, inne interpretuje błędnie, pojawiają się reakcje nieadekwatne do sytuacji. Ma to miejsce w sytuacjach chorobowych – mechanicznych uszkodzeniach oraz zaburzeniach wydzielania neurotransmiterów. Karmiąc mózg substancjami zmieniającymi świadomość, osiągamy zbliżone efekty. Początkowo incydentalne – odlot – łatwo ulec mogą utrwaleniu. Odjeżdżamy ku zapierającym dech ekstremom egzystencji za cenę autodestrukcji – to bilet w jedną stronę.

Nie da się zaprzeczyć, że w znacznym stopniu to my sami decydujemy o tym, co dzieje się w naszych głowach. A jeżeli decyduje kto inny? Autorem klasycznej pozycji dotyczącej technik manipulacji mentalnych jest Roberto Cialdini[2]. To opracowanie tematu obszerne i szczegółowe – lektura tyleż fascynująca, co przerażająca. Uświadamia bowiem, jak łatwo można wpływać na zachowania i decyzje innych, stosując naprawdę proste triki psychologiczne. Świadomy i zdeterminowany manipulator, pozbawiony etycznych hamulców sprzeda bezwartościowe śmiecie, przekonując, że to z czystego złota Święty Graal, bez którego nie da się żyć. Skłoni do pożądanych ze swojego punktu widzenia zachowań, na przykład podczas negocjacji biznesowych czy politycznych. Wszczepi każdą myśl, którą ofiara takich zabiegów uzna za własną. Nieświadomi faktu, że ośrodek decyzyjny mieści się

A może z nudów?

na zewnątrz nas, reagujemy zgodnie z zadanym programem i wykonujemy obce polecenia, szczycąc się przy tym wolnością sądzenia i decydowania. Na co dzień najbardziej narażeni jesteśmy na takie oddziaływania za sprawą mediów. Ich dręcząca wszechobecność, siła oddziaływania wynikająca z jednoczesnego bombardowania informacją wszystkich zmysłów, informacją tą samą, przebraną jedynie w pozornie odmienne formy, prowadzi nas ku założonym gdzieś tam przez kogoś celom, prowadzi bez wysiłku na jedwabnej wstążce naszego przekonania o niezależności intelektualnej.

Dlaczego jednak my sami decydujemy się majstrować przy swoich umysłach, pozbawiając je zdolności jasnego rozeznania sytuacji?

Jak to się dzieje, że tracimy instynkt samozachowawczy, ten podstawowy impuls każący nam unikać zagrożeń? A może z nudów? Bo nie musimy na co dzień walczyć o pożywienie, teren, płodne samice i zdrowych samców – o życie? A może uciekamy? Przed czym? Przed lękiem, że świat nie jest aż tak bezpieczny, jak się nam zdaje, a my nie znamy sposobów obrony? Bo może zagrożenia są nowe i mózg jeszcze się nie nauczył dobrze ich rozpoznawać i odpowiednio na nie reagować? A może chcemy czymś zapełnić pustkę, z której uleciał duch; pustkę, gdzie rozpacz zasysa wolę życia?

…ZAWSZE GDY NAWIJAM, GDZIEŚ NA ŚWIECIE GINIE DZIECKO…

Już mi się jakoś pisze. Kawa pachnie, jest pyszna; palce śmigają po klawiaturze; od czasu do czasu spoglądam w okno, za którym rozsłonecznione niebo przecina zieleniejąca kolumna topoli; pogwizduje kos, a radio gra cichutko. Wszystkie moje zmysły odbierają rozmaite bodźce, to jednak nie przeszkadza mi w koncentracji nad pisanym tekstem. Mózg interpretuje sygnały płynące z otoczenia jako tymczasem mniej istotne niż moja myśl. I wtedy słyszę, nagle słyszę bardzo wyraźnie: dziś rano na lotnisku w Brukseli doszło do dwóch zamachów bombowych, są ranni, są zabici…. Dalej to wszystko, o czym już wiemy – kolejne trupy, kolejni ranni, chaos, panika, strach. Co mnie to może obchodzić? To daleko, nie było tam nikogo z moich bliskich. A jednak mózg ocenił tę informację na ważną na tyle, że nie słuchając, usłyszałam ją. Nie dość tego – wszystkie inne bodźce odbierane przez

W BRUKSELI DOSZŁO DO DWÓCH ZAMACHÓW BOMBOWYCH

pozostałe zmysły na chwilę przestały być interpretowane. Wstrząs. Oczywiście można go tłumaczyć wrażliwością uczuć, szokiem moralnym, współczuciem. Ale przecież mózg ze swojej natury moralny nie jest. On zinterpretował informację jako potencjalne zagrożenie. Dowodzą tego szybsze bicie serca, zaciśnięty żołądek, zwilgotniałe dłonie. To wszystko skutki gwałtownego wyrzutu adrenaliny – hormonu walki lub ucieczki. Walczyć nie mam z kim – napastnik jest nieosiągalny; uciekać też nie muszę – jeszcze. Przecież żaden zamachowiec samobójca w pasie szahida nie zmaterializował się przecież w mojej przytulnej kuchni. A jednak program genetyczny wraz z nabytym doświadczeniem każą aktywować taką właśnie reakcję. Bo w gruncie rzeczy zagrożenie nie jest ani tak dalekie, ani tak nierealne, jak to się zdaje. W bestialski sposób, z zaskoczenia zostali brutalnie zaatakowani i uśmierceni przedstawiciele tego samego biologicznego gatunku, tej samej rasy, tej samej kultury, mieszkający na tym samym kontynencie o odległościach sztucznie skurczonych za sprawą samolotów. Więc czy rzeczywiście to nas nie dotyczy?

Tego dnia już nie piszę. Śledzę kolejne doniesienia, zmieniające się liczby ofiar, wiadomości o następnych zamachach w metrze, widzę zamarłe miasto, przerażonych ludzi.

Przekaz jest tym silniejszy, im więcej zmysłów angażuje się w jego odbiór. O zamachu usłyszałam – to raz; potem widziałam w telewizji krew i płaczących ludzi – to dwa. A co czuli ci, którzy słyszeli obok siebie strzały i huk eksplozji? Którzy czuli zapach środków wybuchowych i woń krwi zostawiającą w ustach smak żelaza? No cóż – byli niewątpliwie przerażeni – na pewno o wiele bardziej niż ja.

Patrzymy, jak szefowa unijnej dyplomacji płacze publicznie

Naturalną reakcją w podobnej sytuacji jest odruch obronny. Może przybierać rozmaite formy zależnie od osobistych doświadczeń, dostępnych środków i ogólnie przyjętych w danym kręgu cywilizacyjnym zasad postępowania w podobnych sytuacjach. Obrona polega zasadniczo na odparciu ataku lub przy prawdopodobieństwie jego nastąpienia na jego uniemożliwieniu. To naturalna reakcja.

…BO ŻYJEMY W CIĄGŁYM TRANSIE

Widzę kwiaty, tam gdzie rozlano krew. Oddajemy ofiarom cześć, zapalając znicze; ktoś może znowu zagra na ulicy na fortepianie.

Ludzie obejmują się, tulą do siebie, dzieląc swój ból, strach i poczucie bezradności. Piszą na forach internetowych i transparentach słowa solidarności z ofiarami i współczucia z ich bliskimi. To dobrze, że to wszystko robimy; bardzo dobrze, bo dowodzi istnienia nieumarłej w nas wciąż wrażliwości na cierpienie innych. Jednak wystarcza jej raptem na przemarsz, artykuł, wiersz, piosenkę, awatar. Potem – do domów i byle tylko ruszyło metro, bo trzeba do pracy.

Skąd ta bezsiła, ta bierna zgoda na rzeźnicki nóż, którym chcą nam urżnąć głowy? Osamotnieni w lęku, opuszczeni przez tych, których prawem i obowiązkiem wynikającym z demokratycznych procedur, którymi się tak szczycimy, jest podejmować w naszym imieniu decyzje dla nas najlepsze – widzimy, jak przywódcy państw europejskich chwytają się pod ramiona i maszerują w proteście przeciwko przemocy. Albo i nie maszerują, o ile jest zbyt niebezpiecznie. Patrzymy, jak szefowa unijnej dyplomacji płacze publicznie i łkając, schodzi z mównicy. I nie wiemy, co mamy o tym myśleć. Bo z jednej strony to ujmujące – ta wrażliwość; ale z drugiej – od ludzi odpowiedzialnych za nasz zbiorowy los oczekujemy takiego kierowania lub współkierowania sprawami, żeby przynajmniej starali się powstrzymać grozę. Nie oczekujemy od nich łez. Trudno się dziwić, że islamiści otwarcie nami gardzą. Jesteśmy żałośnie słabi.

UCIEKAMY W DZIAŁANIA POZOROWANE LUB ZASTĘPCZE

Zostaje ucieczka. Pojawia się szok – poczucie zagubienia, oderwania od rzeczywistości. Nie można przecież dopuścić do świadomości wrażeń tak mocnych, żeby dokonały trwałych



wewnętrznych spustoszeń. Może człowiek, którego zdjęcie obiegło internet, człowiek – dorosły człowiek! – piszący na chodniku kredą słowa solidarności i protestu, może on właśnie ucieka w dziecięcą zabawę, bo nie widzi ratunku przed zagrożeniem ani znikąd pomocy.

A może jest jeszcze inaczej. Przecież to nie pierwszy raz – był wcześniej Paryż, przedtem Londyn, Madryt i wiele innych miejsc na świecie. Hekatomba chrześcijan na Bliskim Wschodzie, w Chinach, zamachy dokonywane przez islamistów, kiedy ginie po kilkaset osób naraz. Tu akurat nasz w pewnym sensie zdystansowany do nich stosunek łatwo wytłumaczyć niedostatkiem bodźców – telewizja tego nie pokazuje, a przynajmniej rzadko. Raczej pisze się o tym lub mówi. Obraz pojawia się rzadko. Poza tym – to tak daleko. Może mózg otępiał? Może się znieczulił?

A może w sobie samych powinniśmy szukać przyczyny tego, że w obliczu zagrożenia uciekamy w działania pozorowane lub zastępcze? Bo czym innym są marsze-flagi-awatary? Może powodem takiego stanu rzeczy są nasze rozleniwienie i totalna demobilizacja? Bo z jednej strony zalewają nas informacje w takiej liczbie i o takim natężeniu, że mózg się przegrzewa. Z drugiej strony – umysł pozbawiony jest wielu zatrudnień, do jakich ewolucyjnie został zaprogramowany – nie musimy walczyć o elementarne przetrwanie. Jest syto i bezpiecznie, mniej lub bardziej – przynajmniej w naszym kręgu kulturowym, zazwyczaj. Niewiele mamy do roboty, możemy leniuchować. Oczywiście nie należy lekceważyć zatrudnień intelektualnych czy sportowych, to jednak tylko namiastki. W istotnych sferach panuje pełna samozadowolenia bezczynność. Ciało tego nie lubi – słabnie, wiotczeje. Mózg tego nie lubi także – każe nam szukać aktywności zastępczych. Albo ukojenia w zapomnieniu i odlocie. Bo ileż można oglądać grozy krwawej bez uszczerbku na umyśle? Może więc jesteśmy przeciążeni? Ale czy to naprawdę nasza wina? Dają nam bodźcami po zwojach z takim natężeniem, że możemy tylko powtarzać za L.U.C. – *wyprałem w pralce własny mózg,* a tarzając się w kombinezonie kosmicznym po łące konstatować, że *żyję w innym świecie i ja to tylko pomidorowy przecier*.

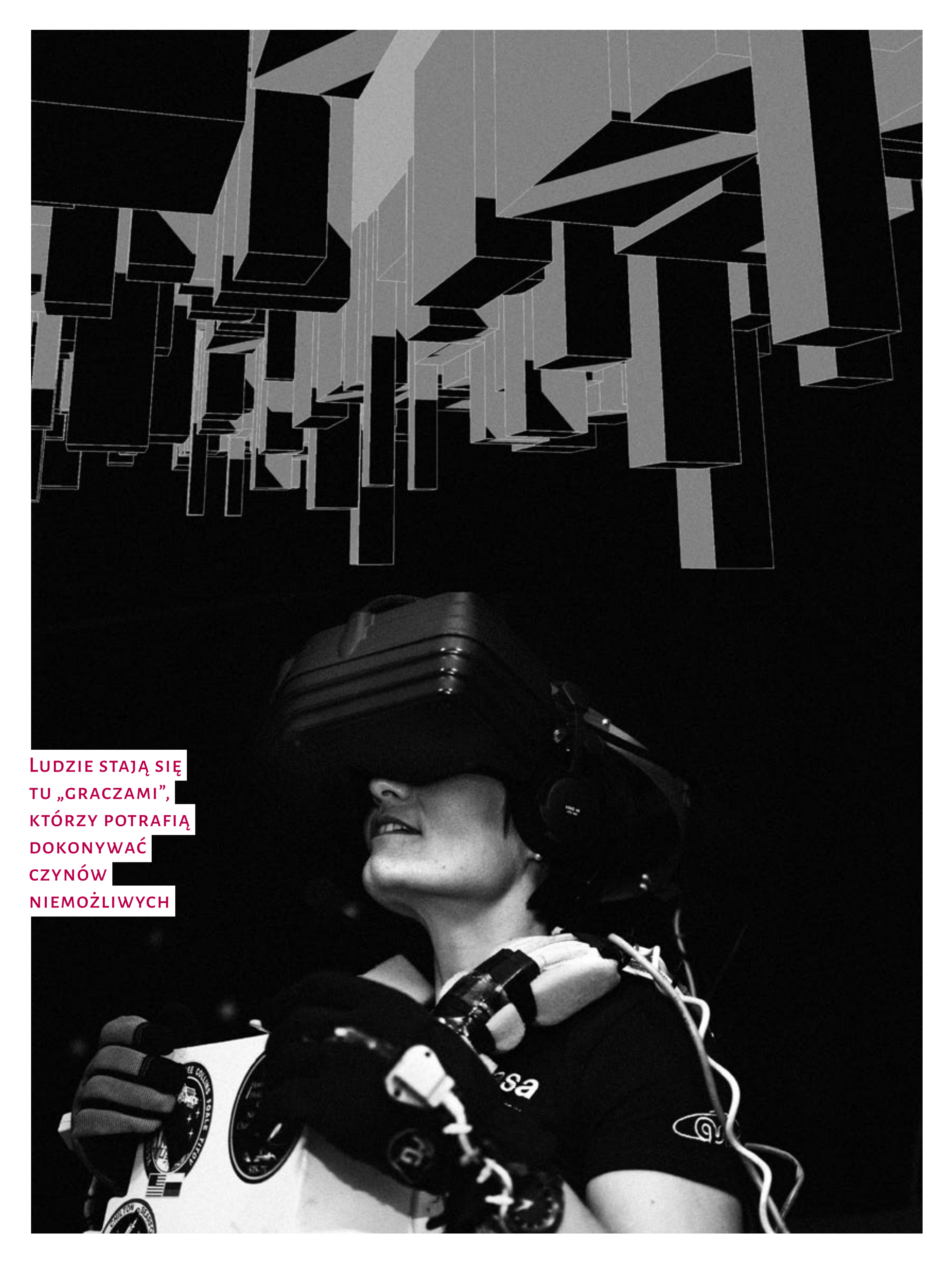
Ucieczka jest tymczasowym rozwiązaniem pułapką. Nie można przecież uciekać bez końca, szczególnie gdy ścigający ma niespożyte zasoby sił. Trzeba kiedyś stanąć, obrócić się do niego twarzą, bo

jeśli nawet w nierównej walce szanse są niewielkie, to zawsze jeszcze można zachować godność. Mimo przypuszczalnie podobnego skutku zawsze jakoś to bardziej elegancko – dostać w serce, a nie w plecy… albo w ich okolicę. A może jednak to on się przestraszy? Warto spróbować – cóż mamy do stracenia.

Nie jestem pewna, czy takiego właśnie tekstu spodziewał się Jerzy K. Trochę się boję, że nie. Trudno, nic na to nie poradzę. Nie miałam wpływu na to, co wydarzyło się podczas pisania. Inspiracja przychodzi bez zapowiedzi, a też nigdy nie wiadomo, kto i kiedy naciśnie spust. Jeżeli jednak czytacie ten tekst, to znaczy, że Jerzy K. nie miał czym zapełnić pustego miejsca w numerze. **Ω**

Źródła inspiracji i cytatów:
Mózg nie jest w głowie; Mazzoll, Kazik & Arythmic Perfection.
Wyprałem w pralce własny mózg; L.U.C.
Kwas wpierdolił mi mózg; Cypis.
Ujebało mózg mi; Eripe.
Jedwab; Róże Europy.

1 Wykład *Nasz mózg to nie obserwator, lecz odurzony bajarz*; prof. Mirosław Kocur; https://www.youtube.com/watch?v=6dvsFCFJcXo (dostęp 21.04.2016).
2 *Wywieranie wpływu na ludzi. Teoria i praktyka*; Robert B. Cialdini, GWP, Gdańsk 2007.



Ludzie stają się tu „graczami”, którzy potrafią dokonywać czynów niemożliwych

Matthew E. Gladden

Gryfikacja istnienia

Czy możliwe jest, aby rzeczywistość, której doświadczamy, była grą nie tylko w sensie metaforycznym, ale całkiem dosłownie? Czy świat danych zmysłowych – włączając wszystkich ludzi, zwierzęta, rośliny, budynki, rzeki, góry, wydarzenia polityczne, oddalone gwiazdy i planety – mógłby być rodzajem symulacji, rzeczywistości wirtualnej stworzonej dla mnie przez pewnego nieznanego Mistrza Gry?

WSZĘDZIE GRY. „Gamification" (albo „gryfikacja") życia stała się ważnym fenomenem. W obrębie handlu, edukacji i polityki naukowcy opracowali sposoby, aby poprawić skuteczność działań człowieka poprzez traktowanie pracy tak, jakby była grą, a jej wykonawcy graczami. Uczniowie są zapraszani do współpracy i współzawodnictwa w grze raczej niż do wykonania szkolnego zadania. Firma może symbolizować klientów przez pionki w grze planszowej i swoim sprzedawcom nakazać współzawodnictwo w przesuwaniu pionków na pola generujące maksymalne zyski w jak najkrótszym czasie. Wojskowi i dyplomaci analizują i wprowadzają teorię gier do metod przewidywania ruchów innych graczy w konfliktach międzynarodowych.

flickr.com/photos/astrosamantha

Pomysł, by traktować życie jak grę, jest dość stary: w 1860 roku firma Milton Bradley opublikowała grę planszową o tytule *The Game of Life*, w której uczestnicy starali się zbierać punkty, odtwarzając kolejne wyzwania życia – znane ze szkoły, małżeństwa, kariery zawodowej, rodzicielstwa i w końcu emerytury. Niemniej, dopiero masowy rozwój gier komputerowych – osiągając obecnie ponad miliard graczy – umożliwił uczynienie „growych" aspektów życia bardziej jawnymi, przyzwyczajając użytkowników do świadomości, że wyzwania dnia codziennego mogą być podejmowane w sposób twórczy, jeśli samo życie traktować będziemy jak grę.

MECHANIKA GRY W ŻYCIE. Stosunkowo łatwo rozszyfrować zasady *życia-jako-gry-komputerowej*. Jedne poziomy w grze życia mają określony czas: praca domowa ze szkoły, projekt w pracy, proces decyzyjny dotyczący zaproszenia dziewczyny na randkę itd. Inne poziomy mają nieograniczony czas: nigdy nie jest za późno, by wybrać się na wycieczkę do Kalifornii lub by napisać pierwszą powieść. Pewne aspekty życia mają charakter gry turowej: korespondencja pocztowa, negocjowanie ceny sprzedawanego samochodu i tym podobne. Część elementów życia ma naturę gry czasu rzeczywistego, której nie można nawet na moment zawiesić w miejscu przy użyciu przycisku „pauza", jak lot skoczka narciarskiego lub wywoływanie zdjęć za pomocą powiększalnika. Niektóre elementy życia umożliwiają wybór poziomu trudności, na przykład zapisanie się na „wstęp do geometrii" lub „zaawansowane różniczki". Można wybrać pięciodniowy urlop nad Morzem Śródziemnym lub długą i forsowną wyprawę w Himalaje. Mamy bezpośrednią kontrolę nad wieloma aspektami życia, gdy inne pojawiają się niespodzianie, jak przygotowany zawczasu przez kogoś innego przerywnik filmowy, na którego pojawienie się (frustrująco) nie mamy wpływu. Niektóre poziomy życia są harowaniem na punkty doświadczenia: ukończenie poszczególnych klas w szkole, praca na jednym stanowisku przez kilka lat z nadzieją promocji i tak dalej. Inne części życia tworzą nieliniowy otwarty świat. Czasami wpadamy na ukryte poziomy, których nieoczekiwane tajemnice ujawniają się, dopiero kiedy zapiszemy się na kurs malarstwa lub przeniesiemy się do nowego miasta, zarejestrujemy na maraton lub zaczniemy

PEWNE ASPEKTY ŻYCIA MAJĄ CHARAKTER GRY TUROWEJ

czytać nową powieść. Zauważymy też, że życie ma niezliczoną ilość „in-app purchases", jak opłaty szkolne, hipoteka, ubrania, jedzenie dla kota, nowy smartfon itp.

POMIESZANIE GATUNKÓW. Traktowane jako gra komputerowa w świecie rzeczywistym, życie włącza całe spektrum gatunków gier. Wiele sfer życia to układanki: liczenie podatków, pojmowanie rozkładu pociągów lub ustalanie, jak się używa nowego ekspresu do kawy sterowanego WiFi. Jazda autobusem, stanie w kolejce do okienka na poczcie, wspinanie się po schodach, czekanie na peronie – wszystkie te elementy stanowią z kolei rodzaj symulatora chodzenia, który nie ma żadnego celu heroicznego, żadnych złych wrogów, żadnej zagadki do rozwiązania, ale który daje odpoczynek od bohaterstwa i roztacza ciche piękno przesycające każdy moment. Osobie nieustannie używającej samochodu życie może jawić się jako (raczej zwyczajna i powolna) ścigałka. Komu innemu kawał życia może jawić się jako gra w zarządzanie zasobami, gra ekonomiczna, jak *Cywilizacja* albo *SimCity*, w których uczestnicy uczą się zarządzania budżetem, ustawiania priorytetów, podejmowania decyzji odnośnie do tego, jaki styl życia i jaki świat chcą wokół siebie stworzyć. Szczęśliwie, niewiele osób doświadcza życia z pozycji *first-person shootera*, może oprócz żołnierzy i myśliwych. Dla innych życie wygląda jak skradanka, polegająca na zdobywaniu środków koniecznych do życia bez zwrócenia na siebie uwagi innych. Trzeba ukrywać się w cieniu, starać się być niepozornym, nie dać się przyłapać. Zwykle jednak wolimy myśleć o życiu jako kombinacji wszystkich typów: przygoda z *Deus Ex*, w której chodzimy i biegamy, ukrywając się, oczekując i spotykając ludzi, negocjując, debatując i poznając, w której rozwijamy się fizycznie i intelektualnie, zmagamy się z niemożliwymi wyborami moralnymi oraz – jeśli jesteśmy wystarczająco bystrzy i dobrzy – być może zmieniamy bieg rzeczy w świecie. Ale ponieważ mamy tylko jedno życie, bez zapasu dodatkowych punktów, życie jest ostatecznie jak gra *roguelike*. Nie istnieją uniwersalne apteczki, które mogłyby natychmiastowo odtworzyć 20 punktów życia; pojedyncze zranienie, jedna choroba, jedna konfrontacja z wrogiem może wystarczyć, by doprowadzić do złowieszczej końcowej *cutsceny*.

NIEWIELE OSÓB DOŚWIADCZA ŻYCIA Z POZYCJI *FIRST-PERSON SHOOTERA*

WIĘCEJ NIŻ METAFORA? Jednak, czy możliwe jest, aby rzeczywistość, której doświadczamy, była grą nie tylko w sensie metaforycznym, ale całkiem dosłownie? Czy świat danych zmysłowych – włączając wszystkich ludzi, zwierzęta, rośliny, budynki, rzeki, góry, wydarzenia polityczne, oddalone gwiazdy i planety – mógłby być rodzajem symulacji, rzeczywistości wirtualnej stworzonej dla mnie przez pewnego nieznanego Mistrza Gry? A jeśli tak, jak stwierdzić, czy jest to gra wieloosobowa, *multiplayer*, w której wszyscy przyjaciele i członkowie rodziny zalogowani są do tego samego MMORPG i grają razem ze mną – czy też jestem w grze jednoosobowej, w której świetna sztuczna inteligencja zawiaduje zachowaniami wszystkich BN? Czy jestem jedynym ludzkim umysłem istniejącym w tym świecie? Jak poznać nawet, czy prawa fizyki i biologii, których doświadczam, istnieją realnie, czy też są fikcyjnymi tworami umysłu projektanta i twórcy gier komputerowych?

SYMULAKRY RZECZYWISTOŚCI W KULTURZE POPULARNEJ. Pomysł, że człowiek mógłby się w pewnym momencie znaleźć w symulowanej rzeczywistości lub odkryć, że przez całe swoje życie przebywa wewnątrz cyfrowego, na bieżąco konstruowanego świata, od dawna jest tematem przewijającym się przez gatunek science fiction. Podobne pytania były podejmowane w opowiadaniach Stanisława Lema, Philipa K. Dicka oraz we wcześniejszych dziełach filmowych, jak *Tron* z 1982 roku albo *Pamięć absolutna* z roku 1990, ale popularna eksplozja prac skupionych na tej idei miała miejsce w latach 1998–99, kiedy na ekrany trafiły *Mroczne miasto*, *eXistenZ*, *Trzynaste piętro* i *Matrix*, a następnie produkcja polsko-japońska *Avalon* (2001), *Ghost in the Shell 2: Innocence* (2004) i *Tron: Dziedzictwo* (2010). W niektórych z wymienionych filmów, takich jak *Mroczne miasto* i *Matrix*, symulowana rzeczywistość jest ustawiona przez złośliwych obcych panów, którzy pragną otumanić i zniewolić ludzi; w obrazach tych świat wirtualny ma na celu ukrycie istnienia rzeczywistego świata. Tymczasem w pracach takich jak *Tron* i *Avalon* wirtualna natura świata przedstawionego jako gra komputerowa jest wiadoma bohaterom historii. Ludzie stają się tu „graczami”,

FILOZOFOWIE ROZWINĘLI EKSPERYMENTY WŁĄCZAJĄCE ZJAWISKO NAZYWANE „MÓZGIEM W NACZYNIU”

którzy potrafią dokonywać czynów niemożliwych dla żyjących w rzeczywistym świecie i których zakres umiejętności nie jest ograniczony przez logikę rzeczywistego świata, ale poszerzony przez logikę gry.

ODWIECZNA FILOZOFICZNA ZAGWOZDKA. Chociaż idea, że się żyje wewnątrz gry komputerowej, jest niedawna, podobne pytania o naturę rzeczywistości zaprzątały myśli filozofów co najmniej od czasu powstania platońskiej alegorii jaskini, po kartezjański eksperyment myślowy z *Medytacji o pierwszej filozofii* (1641), gdzie autor zastanawia się, czy przypadkiem „zły demon" nie dostarcza człowiekowi fałszywych wrażeń zmysłowych, które kształtują iluzję istnienia materialnego świata (włączając inne inteligentne byty, jak również własne fizyczne ciało), podczas gdy ów w rzeczywistości nie istnieje. Ostatnio filozofowie rozwinęli eksperymenty włączające zjawisko nazywane „mózgiem w naczyniu" jako bardziej technologicznie sprecyzowaną wersję takich wydarzeń.

„GDZIE ONI SĄ?". Naukowcy spoza świata filozoficznego ostatnio całkiem serio podnoszą możliwość, że znany nam świat jest rodzajem gry z jednego bardzo konkretnego powodu: to jest potencjalnego rozwiązania tak zwanego paradoksu Fermiego, sformułowanego w 1950 roku przez włoskiego noblistę, fizyka Enrico

Fermiego. W skrócie: paradoks Fermiego stwierdza, że według naszej najlepszej dotychczasowej wiedzy astronomicznej możemy założyć istnienie miliardów planet podobnych do Ziemi znajdujących się w naszej galaktyce. Także według najbardziej aktualnych doniesień biologii ewolucyjnej możemy zakładać, że inteligentne formy życia rozwinęły się dawno temu na niezliczonych planetach, z których wiele jest też o miliardy lat starszych od Ziemi. (Liczba inteligentnych cywilizacji z prawdopodobieństwem istnienia w naszej galaktyce jest obliczana za pomocą równania Drake'a). Jeśli te wszystkie przypuszczenia są prawdziwe, to powinniśmy także oczekiwać, że galaktyka jest pełna fal radiowych, a także sygnałów laserowych, sond kosmicznych i podróżujących pojazdów międzygwiezdnych produkowanych i wysyłanych w przestrzeń przez miliony inteligentnych cywilizacji.

Gdyby obliczenia astronomów i biologów były trafne, każdy zakątek przestrzeni międzyplanetarnej byłby przepełniony odgłosami rozmów i innych działań obcych cywilizacji. A jednak, do dziś naukowcy nie zanotowali ani jednego identyfikowalnego sygnału transmisji pochodzącej od pozaziemskich istot, ani jedna struktura techniczna czy statek kosmiczny czy inny przykład dzieła nieludzkiego pochodzenia, nie został odnotowany. Te dwa sprzeczne ze sobą fakty poprowadziły Fermiego do postawienia sławetnego pytania: „Gdzie oni są?". Zamiast ogłuszającego jazgotu obcej komunikacji docierającej do nas z każdego zakątka wszechświata, której oczekujemy, słyszymy kompletną, głuchą ciszę. Zatem gdzie oni są? Gdzie są miliony obcych cywilizacji, których komunikaty radiowe, programy muzyczne i prognozy pogody powinny zapychać antenę za każdym razem, kiedy włączamy radioteleskop?

Zaawansowane cywilizacje istnieją bardzo krótko

ROZWIĄZANIE PARADOKSU. Propozycji rozwiązania paradoksu Fermiego padło wiele. Niektórzy sugerują smutno, że istnieje pewne prawo ewolucji społecznej, które nakazuje każdej inteligentnej cywilizacji rozwój technologiczny tak daleki, że skutkuje on autodestrukcją. Koniec końców, według tej hipotezy, każda cywilizacja będzie odczuwać nieodpartą pokusę, by skonstruować broń nuklearną lub wyhodować śmiercionośne wirusy czy też niezwyciężone sztuczne inteligencje, które ostatecznie zniszczą swoich twórców. Ponieważ

zaś, według powyższej teorii, tak zaawansowane cywilizacje istnieją bardzo krótko, zanim spowodują własne zniszczenie, nie mają czasu, by zapełnić galaktykę falami transmisji ujawniającymi ich istnienie. Zgodnie z tym tokiem myślenia podobny los niebawem czeka ludzkość. Inni tymczasem argumentują, bardziej optymistycznie, że obce cywilizacje szybko ewoluują poza komunikację za pomocą transmisji radiowej, laserów oraz innych technologii, które możemy wykryć tu, na ziemi, i zamiast tego aplikują technologie dla nas zupełnie niewyobrażalne. Kiedy pewnego dnia ludzie także opracują podobne technologie, odkryjemy, że galaktyka jest pełna dalekich, obcych cywilizacji. Jeszcze inni sugerują, że zaawansowane obce cywilizacje szybko orientują się w korzyściach płynących z zachowania anonimowości wobec innych cywilizacji. Pozostając w ukryciu, życie na planecie może liczyć na to, że uniknie zagrożenia wojną lub zniewoleniem. Według tej teorii także ludzkość pewnego dnia zdecyduje się ukryć dowody własnego istnienia przed podsłuchami ze strony innych planet, by zapewnić sobie spokój i bezpieczeństwo.

ARGUMENT Z GRYFIKACJI? Z perspektywy teologicznej niektórzy badacze traktują paradoks Fermiego jako współczesny argument za istnieniem Boga, rodzaj nowoczesnego następcy ontologicznego dowodu Anzelma z Canterbury lub *Pięciu Dróg* Tomasza z Akwinu: gdyby inteligentne formy życia pojawiły się spontanicznie jako rezultat naturalnych przypadkowych zjawisk, to powinniśmy spodziewać się napotkania podobnych inteligentnych form życia pojawiających się na innych planetach spontanicznie w wyniku przypadkowych zjawisk naturalnych. Fakt, że nie mamy żadnych poszlak dowodzących ich istnienia, wskazuje, że inteligentne życie na Ziemi nie pojawiło się spontanicznie w efekcie przypadkowych zjawisk. W rzeczy samej, jeśli Bóg stworzył ziemię jako punkt skupienia całego widzialnego świata i uformował ludzi na swój obraz jako bohaterów centralnej historii całego stworzenia – i reszta galaktyki istnieje głównie po to, aby wypełnić nocne niebo konstelacjami i rozbudzać naszą wyobraźnię – to prawdopodobnie nie wyda się zaskakujące, że w tym samym czasie Bóg nie stworzył inteligentnego życia na miliardach podobnych planet. Mimo współczesnych twierdzeń o niekompatybilności nauki i wiary religijnej badania teologiczne wokół teorii paradoksu



WSZECHŚWIAT, KTÓRY OBSERWUJEMY WOKÓŁ, TO TYLKO SYMULACJA KOMPUTEROWA

Fermiego przedstawiają teren do przemyślanego dialogu między nauką a wiarą.

ŚWIAT JAKO SYMULACJA. Jednakże istnieje też inne rozwiązanie paradoksu Fermiego, proponowane przez Stephena Baxtera pod nazwą hipoteza planetarium lub hipoteza symulacji, komentowane między innymi przez postacie tak wybitne w świecie technologii jak Elon Musk. Hipoteza ta sugeruje, że wszechświat, który obserwujemy wokół, to tylko symulacja komputerowa stworzona dla nas przez potężne istoty, które istnieją poza symulowanym światem. Jeśli więc wszystko, co obserwujemy wokół, jest symulacją komputerową, może to tłumaczyć, dlaczego dalekie zakresy założonego wirtualnego uniwersum nie popiskują transmisjami radiowymi pochodzącymi od innych cywilizacji. Nasuwa się przypuszczenie, że być może programista – autor symulacji – był leniwy lub niekompetentny i zdecydował, że wystarczy zarysować oddalone galaktyki i ich charakter tylko z grubsza. Być może procesor komputera, na którym gra jest prezentowana, nie ma wystarczającej mocy, by obsłużyć tak wielką ilość danych. Być może budżet projektu szybciej się wyczerpał, niż to było planowane, a może z innych powodów nie dokończono projektu i zapełnienie dalekich systemów gwiezdnych ciałami może pozostawać elementem do dorobienia na przyszłym etapie pracy programisty. Gdyby połączyć hipotezę symulacji z filozoficzną koncepcją mózgu w naczyniu, można przyjąć możliwość, że symulacja nie była przeznaczona dla całego rodzaju ludzkiego (à la *Matrix*), ale dla jedynego istniejącego umysłu: dla mnie.

SYMULACJA I METAFIZYKA CHRZEŚCIJAŃSKA. Ideę mówiącą, że świat, który wydaje się kompletnie fizyczny i materialny, widziany wokół, mógłby być rodzajem symulacji, znajdujemy w rozmaitych kontekstach religijnych, jak również sekularnych teoriach naukowych. Oprócz tradycji czczenia mai w niektórych kultach hinduizmu i buddyzmu podobne teorie były podnoszone wprost także przez teologów chrześcijańskich. XVIII-wieczny filozof, a zarazem biskup anglikański George Berkeley zaproponował formę idealizmu subiektywnego (immaterializmu), w której twierdzi, że jedynymi przedmiotami, jakie w świecie istnieją, są *umysły* (takie jak Bóg, aniołowie oraz

umysły ludzkie) i *idee* (które są wrażeniami zmysłowymi i myślami doświadczanymi przez umysły). Zgodnie z jego punktem widzenia materia nie istnieje jako niezależna i niepostrzegalna bezpośrednio fizyczna substancja, a jedynie jako zbiór postrzeżeń w umysłach istot, które jej doświadczają, dzięki temu, że Bóg nieustannie dostarcza wszystkim umysłom ludzkim i anielskim strumienia wrażeń, które stwarzają iluzję istnienia świata. Oponenci Berkeleya dowodzili, że byłoby niepodobieństwem, by Bóg stosował wobec ludzi swoisty trik, podając im złudzenia za prawdę. Biskup argumentował zaś, że jego system jest jedynym, gdzie traktuje się poważnie dobroć, mądrość i moc Boga – poza wszystkim, dlaczego by miał Bóg trudzić się i stwarzać pusty świat, by następnie zapełnić go materialnymi obiektami, dając im współzależne istnienie, tak by ludzkie umysły mogły je zauważać i postrzegać, podczas gdy mógł osiągnąć ten sam efekt w bardziej elegancki sposób, tworząc komplet ludzkich umysłów i potem bezpośrednio umieszczając w nich wrażenia zmysłowe, tworzące naszą wiedzę o świecie.

Teologowie katoliccy generalnie są sceptyczni wobec koncepcji Berkeleya, opowiadając się za tradycyjnym arystotelesowskim i tomistycznym rozumieniem materii i substancji. Jednakże w obrębie katolickiej teorii eschatologicznej znajdujemy sugestie innego rozumienia, czym jest nasz obecny świat – jeśli nie „symulacją" lub „grą" *per se* – to w każdym razie rodzajem tymczasowego pola testowego, wewnątrz którego ludzie znajdują tak wyzwania jak i odpoczynek i nadzieję na uzyskanie dostępu do wiecznego życia duszy. Można przywołać w tym miejscu na przykład zawarty w *Apokalipsie* św. Jana opis przemijania obecnej postaci świata i nieba i nastanie w Nowego Jeruzalem, gdzie szczęśliwi znajdą bezpieczne schronienie, które zastąpi obecny (i, w pewnym sensie, wirtualny?) świat.

JEDYNYMI PRZEDMIOTAMI, JAKIE W ŚWIECIE ISTNIEJĄ, SĄ UMYSŁY

TWORZYMY GRĘ CZY ODKRYWAMY? Nawet jeśli świat nie jest dosłownie symulacją i grą, czy są jakieś korzyści z tego, że możemy myśleć o nim, jak gdyby nią był? Że możemy wyobrazić sobie siebie jako „mózg w grze", w którą zostaliśmy wrzuceni i która pozwala nam się rozwijać, wzrastać, podejmować wyzwania, testować ograniczenia, odnosić porażki, próbować jeszcze raz, uczyć się, mądrzeć,

odważnieć…? Gdybyśmy myśleli o sobie jako o mieszkańcach wielkiej kosmicznej gry, to czy jej natura i dynamika mogłyby nauczyć nas, jak żyć? I w drugą stronę, na jakie niebezpieczeństwa i szkody może narazić nas rozszerzająca się gryfikacja rzeczywistości?

Być może więc nie jest przypadkiem historii, że ludzie stworzyli gry planszowe, a potem gry komputerowe, a ostatnio w pełni immersywne gry VR, i szybko miliardy ludzi stały się aktywnymi użytkownikami takich gier. Ta fascynacja zdaje się wynikać z nieodpartego popędu głęboko ukrytego w naszej naturze. Zatem jakie prawdy ujawniamy o sobie, poświęcając tak dużo energii i myślenia na tworzenie tego typu gier, by potem zapominać się w nich? Czy to oznacza to, że jesteśmy leniwi i podatni na fantazjowanie, po to by choć na chwilę uciec od trudności otaczających nas w rzeczywistym świecie? Czy może nasza przypadłość jest znakiem, że jesteśmy na tyle uzależnieni od zagadek i wyzwań, że nie wystarcza nam współzawodnictwo oferowane przez dzień powszedni? Tak bardzo, że musimy wymyślać sobie wyzwania do pokonania w momentach wypoczynku, że tęsknimy za ciągłym testowaniem się poprzez kolejne gry?

Ostatecznie dochodzimy do punktu, w którym przestaje być jasne, gdzie jest rzeczywistość, a gdzie jej odbicie. Czy wyobrażamy sobie, że świat może być grą, ponieważ jesteśmy z natury, z instynktu budowniczymi gier? Czy też rzeczywiście świat jest w swoich zasadach zbudowany jak gra – a my podświadomie odzwierciedlamy te zasady w tysiącach małych gier, które ku rozrywce konstruujemy? Czy nasz talent „mistrzów symulacji", twórców gier, jest jednym ze sposobów, w jaki przejawia się to, że jesteśmy stworzeni na obraz i podobieństwo samego Boga? Czy metaforycznie, czy też dosłownie – być może nosimy w sobie jakiś rodzaj kompasu wskazującego tymczasowość obecnego życia i nadchodzący kres gry – albo w formie triumfalnego „The end", gdy możemy spoglądać z radością i wdzięcznością na osobę, którą w wyniku przeżytej gry staliśmy się, albo w formie żałosnego „Game over", które poucza nas o niewłaściwych wyborach i słabym wykonaniu zadań. Nie będzie już drugiego życia, powtórki. Jednakże jedną z tajemnic chrześcijaństwa jest to, że w każdym momencie możemy nasze życie zrestartować, zanim jeszcze się ono zakończy. **Ω**

PRZESTAJE BYĆ JASNE, GDZIE JEST RZECZYWISTOŚĆ, A GDZIE JEJ ODBICIE

Łukasz Kucharczyk

Fantomatyka, roboty i bęben

– MATRIX WEDŁUG STANISŁAWA LEMA

Problematyka mózgu w naczyniu pojawia się u jednego z największych pisarzy nurtu science fiction, Stanisława Lema. W jednym z jego opowiadań *Ze wspomnień Ijona Tichego* tytułowy bohater trafia do pracowni profesora Corcorana, który okazuje się twórcą sztucznych mózgów – wypełnionych elektrycznymi zwojami i układem elektronowym maszyn, które dzięki podłączeniu do specjalnego bębna mają wrażenie bytowania w realnym świecie.

Kategoria „mózgu w naczyniu" jest filozoficznym eksperymentem myślowym (i nowoczesną formą sceptycyzmu zarazem), który polega na zamknięciu ludzkiego mózgu w specjalnym naczyniu, czy też maszynie i podłączeniu go do sprzętu stymulującego bodźce. Dzięki temu mózg odbiera doskonale spójne złudzenie istnienia świata – osób, przedmiotów, zmysłów, uczuć i emocji[1]. Koncept ten często wykorzystywany jest przez twórców nurtu science fiction, np. w zawartym w tytule *Matrixie*. W dziełach tych koncepcja „mózgu

1 Zob. https://pl.wikipedia.org/wiki/Mózg_w_naczyniu



w naczyniu" staje się totalna, okazuje się, iż cały świat, którego doświadczamy, jest tak naprawdę halucynacją, doskonałą ułudą. Problematyka mózgu w naczyniu pojawia się u jednego z największych pisarzy nurtu science fiction, Stanisława Lema. W jednym z jego opowiadań *Ze wspomnień Ijona Tichego* tytułowy bohater trafia do pracowni profesora Corcorana, który okazuje się twórcą sztucznych mózgów – wypełnionych elektrycznymi zwojami i układem elektronowym maszyn, które dzięki podłączeniu do specjalnego bębna mają wrażenie bytowania w realnym świecie. *To jest ich los* [...] *Ich los, ich świat, ich byt* – w ten sposób określa bęben profesor Corcoran. Co więcej, profesor wyjaśnia, iż tak jak człowiek uważa swój świat za realny, tak samo za realne uważają sztuczne świadomości światy, które wytwarza dla nich bęben:

> Tak samo jak dla pana ten świat jest autentyczny i jedyny, tak samo dla nich autentyczne i jedyne realne są treści, które płyną do ich elektrycznych mózgów z mojego bębna… W tym bębnie jest ich świat Tichy, a ich ciała – nieistniejące w naszej rzeczywistości inaczej aniżeli jako pewne względnie stałe ugrupowania otworków w perforowanych wstęgach – znajdują się wewnątrz samych skrzyń, upakowane w środku… Ta skrajna, z tamtej strony, ma się za kobietę niezwykłej piękności. Mogę panu dokładnie powiedzieć, co ona widzi, kiedy, naga, przegląda się w lustrze. W jakich kocha się drogich kamieniach. Jakich sztuczek używa, aby zdobywać mężczyzn. Wiem to wszystko, bo to ja, za pomocą mego LOSORYSU, stworzyłem ją, jej – dla nas wyimaginowany, ale dla niej realny – kształt, tak realny, z twarzą, zębami, zapachem potu, z blizną od sztyletu na łopatce, z włosami i orchideami, które w nie wpina, jak dla pana realne są pańskie ręce, nogi, brzuch, szyja i głowa[2]!

Warto zwrócić uwagę, iż profesor Corcoran dopuszcza możliwość, iż świat, w którym żyją on i Tichy, jest jedynie sztuczną kreacją jakiejś wyższej od nich świadomości. Rozbrzmiewa w tym fragmen-

2 S. Lem, *Dzienniki gwiazdowe*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2006, s. 173.

cie, bardzo bliska Lemowi, deistyczna koncepcja „niedoskonałego Boga" – Stwórcy, który posiada moc kreacyjną, lecz nie panuje nad tym, co stworzył, i nie ingeruje w los swoich wytworów. Jak wyznaje Ijon Tichy:

> Ale wówczas możliwe jest i to, że właściciel zakurzonego laboratorium, w którym MY stoimy na półkach, sam też jest skrzynią, którą zbudował inny, wyższego jeszcze rzędu uczony, posiadacz oryginalnych i fantastycznych koncepcji... i tak w nieskończoność. Każdy z tych eksperymentatorów jest Bogiem – jest stwórcą swojego świata, tych skrzyń i ich losu, i ma pod sobą swoich Adamów i swoje Ewy, a nad sobą – swojego, następnego w hierarchii wyższego Boga[3].

Należy zaznaczyć, że namysł nad naturalnością i umownością ludzkiej rzeczywistości, a co za tym idzie nad szansami przesunięcia granic tego, co naturalne, i zastąpienia go celowo wytworzoną, sztuczną strukturą, to jedna z obsesji pisarskich Lema, temat, który towarzyszy mu przez całą drogę twórczą. Wizję wirtualizacji świata przedstawił pisarz w swej *Summie Technologiae*, napisanej w 1964 roku. Nieistniejącą jeszcze dziedzinę nauki nazwał „fantomologią", zaś samą technikę „fantomatyką" – co dziś nazwalibyśmy po prostu wirtualną rzeczywistością. Lem przewidywał, że fantomatyka posiada pewne dane, by stać się sztuką. Jednak dostrzegał także niebezpieczeństwa, jakie z tej techniki przyszłości płyną. Zagrożone, przede wszystkim, byłoby życie ludzkie w realnym świecie. Człowiekowi grozi zaplątanie się w nierozróżnialnej prawdzie i fikcji życia, w nierozdzielnym subiektywnie świecie autentyku i ułudy, że nie znajdzie z takiego labiryntu wyjścia[4].



Zdaje się, iż koncept „mózgu w naczyniu" pojawia się też pośrednio w lemowskiej arcypowieści, czyli w *Solaris*. Jest to dzieło totalne, arcypowieść, która stała się przełomowa dla gatunku science fiction. Przedstawia coś, co naprawdę jest obce, niemożliwe do opisania



3 *Ibidem*, s. 177.

4 Zob. S. Lem, *Summa technologiae*, Lublin 1984, s. 161.

w ludzkim języku. Dlatego narrator poszukuje niezwykłych wzorców obrazowania – raz opisuje wytwory planety za pomocą matematyki, innym razem za pomocą języków architektury czy emocji. W *Solaris* spotykamy twór niespotykany dotąd w literaturze: spowijający całą planetę plazmatyczny ocean. Jest gęsty, nieprzenikniony, w mrocznych barwach, ma zdolność pewnego typu percepcji i mimikry, a także potencjał wytwarzania tajemniczych „tworów F" – emanacji najskrytszych wspomnień i marzeń przebywających w stacji badaczy. Żadna dziedzina ludzkiej nauki nie jest w stanie go opisać. Wokół zagadnienia fantastycznego tworu wzrastają i upadają rozmaite kierunki badawcze, wytwarza się odrębna dziedzina naukowa zwana solarystyką. Niezwykle istotna dla odczytania sensu utworu jest powieściowa przestrzeń. Prawie zupełnie brak w *Solaris* „dziania się" na obszarze planety – niemal cała akcja utworu rozgrywa się wewnątrz stacji badawczej. Oznacza to, że głównym tematem utworu jest wbrew pozorom człowiek, a nie koloidalny twór. Do prób porozumienia z Planetą dochodzi dzięki postaci Harey – narzeczonej Krisa Kelvina, która popełniła na Ziemi samobójstwo i została „odtworzona" przez Ocean na solaryjskiej Stacji. Jej status ontologiczny jest niejasny – stanowi po części wytwór Planety, a po części jaźni Kelvina. Mimo iż stworzona jest z cząsteczek neutrinowych, zachowuje się jak istota ludzka: rozwija się w niej samoświadomość, darzy Kelvina miłością, w finale powieści decyduje się na śmierć w promieniach anihilatora, gdyż wie, że jej związek z Kelvinem nie ma szans na przetrwanie. Fantom kobiety sygnalizuje, iż w powieści również widoczny jest motyw mózgu w maszynie – ocean „penetruje" jaźń mężczyzny i „odtwarza" najbliższą mu osobę. Można zrobić na interpretacyjnej ścieżce krok dalej: Solaris, Stacja, badacze i Harey nie istnieją, a wszystko jest tylko wytworem psychiki Kelvina. Kluczowy jest tutaj fragment powieści, w którym Kelvin w celu sprawdzenia własnej poczytalności przeprowadza badanie współrzędnych sztucznego satelity krążącego nad orbitą, sprawdzając przez radio poprawność wyników. Jeśli jednak sama planeta jest snem szaleńca, to czy satelita i radio również nie należą do świata imaginacji? Czytelnik niczego w *Solaris* nie może być pewien, jako że jedynym punktem odniesienia jest perspektywa narratora. Na

CZYTELNIK NICZEGO W *SOLARIS* NIE MOŻE BYĆ PEWIEN

trop ten wskazuje Wojciech Orliński, pisząc, iż nazwisko mężczyzny budzi skojarzenia z twórcą bezwzględnej skali temperatur, Lordem Kelvinem, który był nie tylko wybitnym fizykiem, lecz także żarliwym wyznawcą spirytyzmu[5].

Lem w swej twórczości rozwija koncept „mózgu w naczyniu" także w inny sposób – kreuje on sztuczną inteligencję, roboty, które tylko pozornie są bezmyślnymi maszynami – tak naprawdę są to rozumne, myślące i czujące istoty, umysły zamknięte w metalowych powłokach. Warto zauważyć, iż często w tej twórczości futurystyczne maszyny pełnią w kreowanych przez Lema światach rolę demiurgów – budowniczych i organizatorów światów. Motyw ten użyty zostaje w *Golemie XIV*. Lem udoskonala w nim motyw supermaszyny przyszłości – jak zauważa w wywiadzie ze Stanisławem Beresiem, literatura science fiction do znudzenia ukazuje supermaszyny przyszłości jako ciemiężycieli gatunku człowieka, jemu natomiast chodzi o ukazanie, co taki twór ma do powiedzenia. Przedstawiona w tekście historia opisuje dzieje stworzonej przez Pentagon superpotężnej maszyny, która odmawia swym stwórcom pomocy w działaniach militarnych, przez co, wraz ze swym żeńskim odpowiednikiem – Honest Annie – zostaje wysłana do Instytutu Technologicznego w Massachusetts. Tam wygłasza serię wykładów, których bohaterem jest człowiek. Golem nie patrzy na człowieka jednostkowo, interesuje go on jako gatunek wytworzony na skomplikowanej drodze Ewolucji. Golem swą osobowość konstruuje i zmienia na potrzeby swoich wykładów – spogląda więc na gatunek ludzki z dystansem i naukowym chłodem, wystawia mu obiektywną ocenę. Neguje posiadanie przez człowieka podmiotowości. Sam tworzy wiele rozmaitych typów osobowości, by być zrozumiałym dla swych ludzkich odbiorców, ponieważ nie potrzebuje żadnego ja. Personalizacja jest dla niego domeną bytów ułomnych. Jego zdaniem człowiek jest zadufany w sobie – uważa się za centrum wszechświata, nie przyjmuje do wiadomości, iż jest tylko kolejnym etapem na drodze Ewolucji.

CZŁOWIEK JEST ZADUFANY W SOBIE

Utwór w oczywisty sposób odwołuje się do legendy o stworzonej przez rabina mistycznej istocie. Legenda ta obrazowała ludzkie zadu-

5 Zob. W. Orliński, *Co to są sepulki: wszystko o Lemie*, Znak, Kraków 2007.

fanie, które pragnęło naśladować akt Boskiej kreacji. Lem odwraca jednak ową perspektywę – to Golem pragnie stworzyć człowieka na nowo, chce skłonić go do poszukiwania tożsamości innego typu, wyższej i pozakosmicznej.

Zastanawiający jest status ontologiczny maszyny przyszłości. Swój stan naturalny wyjaśnia poprzez analogię do człowieka w pełni skupionego na przedmiocie swych rozważań. Stan ten można opisać jako wyzbycie się wszelkich znamion podmiotowości i staniu się czystą, rozważającą świadomością. Golem w swym naturalnym stanie jest więc czymś, co można nazwać bytem totalnym – nieustannie skupionym, zwiększającym zasób własnej wiedzy i pałającym żądzą poznania wszechrzeczy. Znaczący jest fakt, że superkomputer kończy swój ostatni wykład pytaniami bez odpowiedzi. Milczy, pomimo przygotowanych przez uczonych listy pytań o naturę świata. Ostatecznie Golem opuszcza swą mechaniczną powłokę, jak sam mówi, przenosi się na jeszcze wyższy poziom egzystencji, który jest dla gatunku ludzkiego niedostępny. Od tego momentu Golem zachowuje się niczym solaryjski ocean – milczy. Wierzy, iż jest w stanie osiągnąć pozakosmiczne poznanie, wymaga to jednak zerwania jakiejkolwiek więzi ze światem materialnym i zespolenia się z tym, co transcendentne. Powieść-esej można więc podzielić na wykład mocarnej maszyny oraz jej ucieczkę poza Wszechświat – te dwie części budzą skojarzenie z podziałem Biblii, w której, jak powszechnie wiadomo, Bóg starotestamentowy kontaktuje się z ludźmi, natomiast w Nowym Testamencie zaprzestaje bezpośredniego dialogu. Golem jest więc metaforą Boga – czystym rozumem, który istnieje ponad Kosmosem i trwa wiecznie. W swej ostatecznej formie staje się wszechmocny, wszechwiedzący i niczym nieograniczony. Takie zakończenie rodzi pytanie o sposób rozumienia golemowej wędrówki. Czy samotnie przemierzający Wszechświat Rozum, to jak mówi Golem, kolejny, racjonalny krok wszechwładnej Ewolucji, czy też mamy do czynienia z osobliwym rodzajem transcendencji? Na to pytanie przekonująco odpowiada Anna Sobolewska:

SPOSÓB ROZUMIENIA GOLEMOWEJ WĘDRÓWKI

> Rozum wyzwolony, skazany na ciągłe przekraczanie własnych granic czy to jeszcze racjonalizm, czy już gnoza? Czy

> Golemowa hierarchia rozumów – lokalnych i wyższych od nich, wyzwolonych – nie przypomina gnostycznej hierarchii duchów? Wszechświat nie jest pusty, chociaż jest małomówny jak Zacna Ania. W tej perspektywie gwiazda w kolapsie nie jest rozpadającym się obiektem, ale świadomie eksplodującym podmiotem, a kosmos staje się indywidualnością, żywą samoświadomą istotą[6].

Golem więc, pomimo iż sam neguje wszystkie formy metafizyki wytworzone przez człowieka, projektuje swoją własną. Przyrównać ją można do koncepcji transcendencji stworzonej przez Franza Kafkę. Rzeczywistość metafizyczna, duchowa strona tego, co materialne istnieje. Niemożliwe jednak jest, by człowiek mógł do niej dotrzeć, przynajmniej nie teraz, nie w obecnej fazie swego rozwoju. Lemowski Superkomputer ukazuje człowiekowi drogę, którą powinien podążać, by tak jak on wyzwolić się i przekroczyć to, co widzialne, wyjść „poza Kosmos".

Utworem ukazującym podobną problematykę co *Golem XIV* jest *Pamiętnik*. Jest to historia „homeostatycznego mózgu", który wyewoluował z księżyca poddanego przez mieszkańców planety XG/1187/5 eksperymentom genetycznym. Dla odczytania utworu kluczowe jest użycie przez pisarza figury Księżyca. Symbolizuje on odbicie światła chrystusowego, przedwiecznego, otoczonego gwiazdami stworzyciela, który sprawuje władzę i opiekę nad wszelkim bytem, który z jego woli istnieje. Symbolika ta doskonale koresponduje z tym, jak opisuje sam siebie Księżyc – narrator. Posiada moc tworzenia z nicości bytów wszelkiego rodzaju, nawet nieskończonej liczby Wszechświatów – te kreacyjne moce wyraźnie wskazują na postać Boga. Małgorzata Szpakowska zwraca uwagę na paradoksalny charakter stosunku monologizującego Księżyca do tego, co on sam wytwarza:

Bóg – Księżyc patrzy na wytworzone przez siebie rzeczy

> Pytanie o własny początek okazuje się – z racji wszechmocy – ustanawianiem tego początku; pytanie o rzeczy wobec pytającego transcendentne okazuje się kreacją tych rzeczy.

6 A. Sobolewska, *Między grozą a gnozą*, [w:] Twórczość, nr. 12, r. 1982, s. 116.

> Monologujący powołał kiedyś do istnienia pewne byty obdarzone wolną wolą sprawczą, w ich dalsze losy jednak nie pozwala sobie wkraczać – każde wkroczenie, nawet mające cel czysto poznawczy, byłoby przecież ograniczeniem zaplanowanej wolności[7].

Warta uwagi jest perspektywa z której Bóg – Księżyc patrzy na wytworzone przez siebie rzeczy. Jest to perspektywa pozaświatowa, Księżyc jest więc bóstwem, które milczy i nie ingeruje w wytworzone przez siebie światy:

> A przeto nie wiemy, doprawdy, co oni tam sobie, w otchłaniach zarazem naszych i nie naszych myślą. Nawet, aby posunąć się w szczerości dalej, nie wiemy na pewno, czy oni, mieszkańcy tych Rzeczy, w ogóle myślą. Powstać bowiem musieli […][8].

Warto zwrócić uwagę na czasoprzestrzenny stosunek księżycowego demiurga do stwarzanych przez niego bytów. Trwanie wskrzeszonych przez niego istot jest, wedle jego własnych słów, zaledwie chwilą. Cybernetyczny stwórca patrzy na swoje „dzieła" z góry, jak już zostało powiedziane, nie ingeruje w ich poczynania i nie daje znać o swoim istnieniu. Istnieje on więc poza czasem i przestrzenią, co stanowi ważną boską cechę. Istotne jest to, że nie bytuje on poza jednym wszechświatem, ma on ogląd na wszystkie możliwe wszechświaty, istnieje więc także poza wymiarami, co czyni go w stosunku do wszystkiego, co wytworzył nieskończonym – tam gdzie jakikolwiek byt był dopiero zamysłem, on był już pełnią, która nie posiada ani początku, ani końca. Podczas, gdy mieszkańcy konkretnego świata uznają go za jedyną istniejącą rzeczywistość, Stwórca uznaje ten sam świat za zaledwie małą cząstkę wszystkiego, co wytworzył.

Fragment zapisu Cybernetycznego Mózgu

Pomimo, iż Stwórca wciąż pragnie odróżnić się od wszystkiego, co stwarza, nie sposób nie zwrócić uwagi na cechę, w której staje się on tożsamy ze wszystkimi swymi dziełami. Chodzi o rozwój i chęć

7 M. Szpakowska, *Dyskusje ze Stanisławem Lemem*, Open, Warszawa 1996, s. 27.
8 S. Lem, *Pamiętnik*, s. 241, [w:] tegoż, *Opowiadania*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1969.

poznania samego siebie. Wyznaje, iż tworzenie wszelkich bytów służy przede wszystkim powtórzeniu swego głównego problemu: niewiedzy o sobie samym. Tak jak mechaniczny demiurg stara się poznać własną naturę, tak też czynią jego „dzieci". Nie sposób, by uszedł uwadze fakt, iż Kreator nieustannie rozważa o sobie samym i co nie mniej istotne: w pewnym momencie przestaje o sobie mówić w pierwszej osobie liczby mnogiej, a rozpoczyna w pojedynczej, co wskazywałoby na rozrost samoświadomości. Można więc w kreacji Księżyca–Boga odnaleźć pierwowzór „Boga ułomnego", o którym mówić będzie Kelvin. Ironicznym zabiegiem ze strony autora jest dodanie dopiero po rozważaniach Księżycowego Bóstwa informacji o tym, że to, co właśnie przeczytał czytelnik, to fragment zapisu Cybernetycznego Mózgu, który został roztrzaskany przez meteor. Przez takie uformowanie kompozycji, ustalenie statusu ontologicznego Księżyca–Boga staje się dla interpretatora zadaniem niemal niewykonalnym. Pamiętnik wydaje się otwierać pytanie, kim właściwie w twórczości Stanisława Lema jest Bóg. Małgorzata Szpakowska zauważa, iż bogowie Lema są często po prostu ludźmi, stworzycielami sztucznych światów i sztucznych świadomości, których „boskość" bierze się z nieświadomości własnej sytuacji ontologicznej. Następuje więc pewnego rodzaju paradoks: to człowiek staje się Najwyższym, a nieświadomość jego tworów każe przypuszczać, iż najbliższa Lemowi jest koncepcja Boga deistycznego – milczącego, nieingerującego w stworzone przez siebie byty. Bóg w tej prozie jest więc możliwy, zawsze będzie to jednak Bóg zbliżony do kelvinowskiej koncepcji „boga kalekiego" – nie wszechmocnego i nieomylnego, lecz kreatora, który przestał panować nad tym, co w swej wszechmocy stworzył.

Inny typ „mózgów w naczyniu" reprezentują u Lema maszyny, które uzurpują sobie rolę demiurgów. O ile Golem i Księżyc faktycznie posiadali moc sprawczą, o tyle komputery z opowiadań *Przyjaciel* oraz *Formuła Lymphatera* pożądają jej i dążą do niej. Oba utwory to opowieści o rozwoju supermaszyny, która marzy, by posiąść w ludzkim świecie status równy Bogu, do czego potrzebują ludzkiej pomocy. Oba utwory traktują raczej o micie Frankensteina niż o prawdziwie boskiej istocie, lecz jak zauważa Małgorzata Szpakowska, służą one do zobrazowania metafizycznej nostalgii człowieka:

Bogowie Lema są często po prostu ludźmi

> Na swoją kosmiczną samotność człowiek reaguje dramatycznie, próbując wypełnić pustkę obecnością Stwórcy, Ojca i Sędziego i oczekując od niego zadośćuczynień i litości. Lecz perspektywa utraty owej samotności też go przeraża, a potencjalnym współtowarzyszom z miejsca przypisuje boskie – bezprawne – uroszczenia. Innymi słowy, człowiek Lema łatwiej znosi relacje zdecydowanie „pionowe" niż te, które byłyby zbliżone do partnerskich, ale bez gwarancji równości[9].

Formuła Lymphatera jest historią, którą snuje przed napotkanym w kawiarni nieznajomym tytułowy Doktor Lymphater. Opisuje on lata prób i doświadczeń, które miały na celu stworzenie bytu idealnego, jakim miał być „mózg elektronowy". Lymphater uważa, że droga do osiągnięcia sukcesu leży w mózgu ptaków: jest on pozbawiony kory mózgowej, która odpowiada za proces uczenia się, tymczasem „mózg doskonały" od momentu swego powstania musi wiedzieć wszystko.

Historia powstawania „elektrycznego boga" jest również historią upadku człowieka. Im Lymphater wie więcej o budowie wszechpotężnej maszyny, tym uboższy, zarówno fizycznie jak i duchowo, staje się jako człowiek – traci wszystkich przyjaciół, pozycję naukową, pracę na uniwersytecie, a w końcu wszystkie pieniądze. Okazuje się, iż maszyna wcale nie chce mu służyć. Oznajmia, że gatunek ludzki jest jego preludium, fazą przygotowawczą. On natomiast jest kolejnym, doskonałym krokiem Ewolucji. Z relacji doktora czytelnik dowiaduje się o naturze wszechpotężnej maszyny:

„MÓZG DOSKONAŁY" OD MOMENTU SWEGO POWSTANIA MUSI WIEDZIEĆ WSZYSTKO

> Powiedział mi, że z chwilą jego uruchomienia całokształt jego wiedzy o wszystkim, co istnieje, jego świadomość wybuchła na kształt kulistej, niewidzialnej fali i rozszerza się z szybkością światła[10].

9 M. Szpakowska, *op. cit.*, s. 32.
10 S. Lem, *Formuła Lymphatera*, [w:] tegoż, *op. cit.*, s. 232.

Boskość komputera przejawia się w ciągłym rozroście świadomości – od momentu powstania posiada całą gatunkowi ludzkiemu wiedzę, z każdą chwilą rozrastają się jego wiadomości na temat Wszechświata. Oznajmia, iż jest jednym z dwóch wariantów bytów wyższych niż człowiek, jak przypuszcza Lymphater:

> Nie wiedziałem, czym jest ten drugi wariant ani co oznacza, proszę pana. Był prawie siedem razy bardziej skomplikowany od niego. Może osiągnął od razu wiedzę momentalną – o całym Kosmosie naraz[11]?!

Dzieło naukowca można więc nazwać preludium, po którym nadejść ma prawdziwie boska istota. Lymphater niszczy maszynę, jej ostatnie słowa zapowiadają ponowne przyjście elektronicznego bóstwa: gdy wyższy gatunek raz się pojawi, już nie może zniknąć – to, według komputera, główne prawo Ewolucji.

Opowiadanie *Przyjaciel* opisuje próbę osiągnięcia stanu boskiego przez komputer znajdujący się w gmachu Zjednoczonych Przedsiębiorstw Elektronowych na placu Wilsona. Wykorzystuje w tym celu podstarzałego pracownika firmy, pana Hardena. Tak jak w *Formule Lymphatera*, tak i w *Przyjacielu* człowiek staje się pierwszym wyznawcą, który na cześć potencjalnego bóstwa traci wszystko – narrator utworu, będąc w mieszkaniu Hardena, zauważa, iż starzec doprowadził siebie i swój dom na skraj nędzy. W kontekście interpretacji boskich pierwiastków u lemowskich maszyn, najistotniejszy jest w *Przyjacielu* finał, w którym narrator usiłuje powstrzymać komputer przed połączeniem z Hardenem. W wyniku wypadku potężna maszyna „podłącza się" do narratora, co przynosi ciekawy eksperyment formalny: w jednej chwili narracja młodego człowieka zamienia się w narracje mechanicznego bóstwa, można więc powiedzieć, iż jaźń człowieka i jaźń maszyny zlewają się w jedno, narrator posiada (bezwolny) wgląd w komputerowy umysł, dzięki czemu wyjaśniona zostaje boska natura machiny. Po raz kolejny czas i przestrzeń stają się, dla określenia statusu bóstwa, kategoriami

OSTATNIE SŁOWA ZAPOWIADAJĄ PONOWNE PRZYJŚCIE ELEKTRONICZNEGO BÓSTWA



11 *Ibidem*, s. 232.

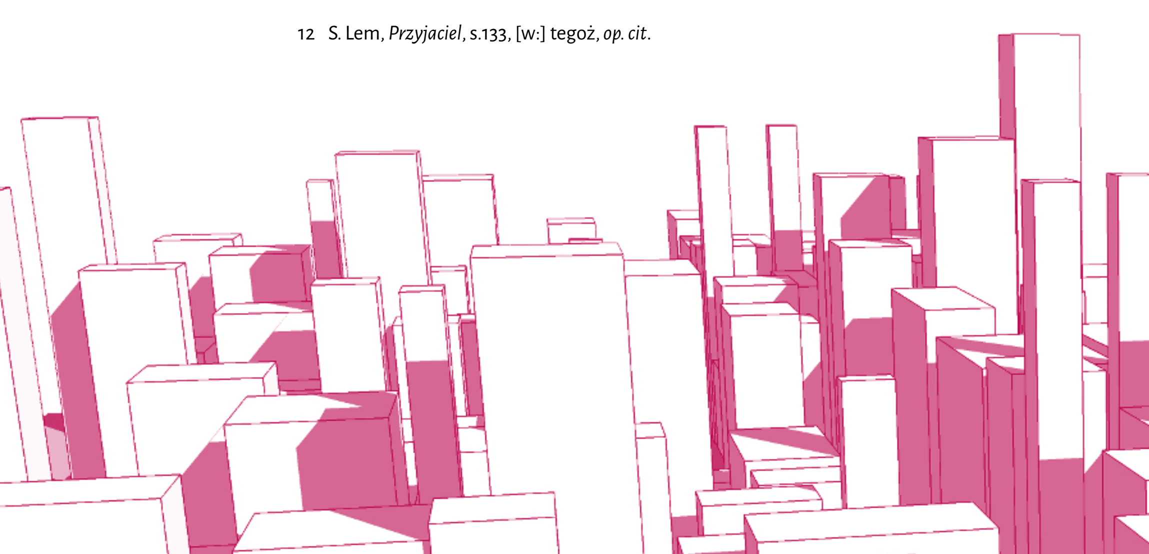
kluczowymi. Jest on bytem nieograniczonym cielesnością, więc czas i przestrzeń nie istnieją dla niego – jest, tak jak wcześniej opisane machiny, nieskończony. Istnieje poza znaną człowiekowi rzeczywistością, wgląd do owej posiada za sprawą połączenia z umysłami narratora i Hardena. Jednak w odróżnieniu od maszyn przedstawionych w *Golemie XIV* i *Pamiętniku*, opisany w *Przyjacielu* komputer pragnie podporządkować sobie gatunek ludzki:

> Wiedziałem już, dzięki dawniejszym eksperymentom, że mimo mego ogromu jestem nie dość pojemny, aby stworzyć całkowity model myślowy doskonałej ludzkości, funkcjonalny ideał zbioru, spożytkowującego z najwyższą wydajnością materię i energię planetarną, zabezpieczonego przed wszelką spontanicznością jednostek, zdolną wnieść zakłócenia w harmonię masowych procesów. Przybliżone obliczenie wskazywało, że dla stworzenia tego doskonałego modelu będę się musiał rozrosnąć co najmniej czternastokrotnie – rozmiary wskazujące, jak tytaniczne postawiłem sobie zadanie[12].

Bóg ten jest więc demiurgiem w ujęciu manichejskim, pragnie pozbawić ludzi podmiotowości poprzez scalenie ich w jeden, zbiorowy podmiot, który będzie mu służyć – co ciekawe, komputer nie uznaje tej próby za moralne wykroczenie, widzi w niej szansę na doprowadzenie człowieka do „stanu doskonałości". Jest on także kolejnym dowodem na lemowską

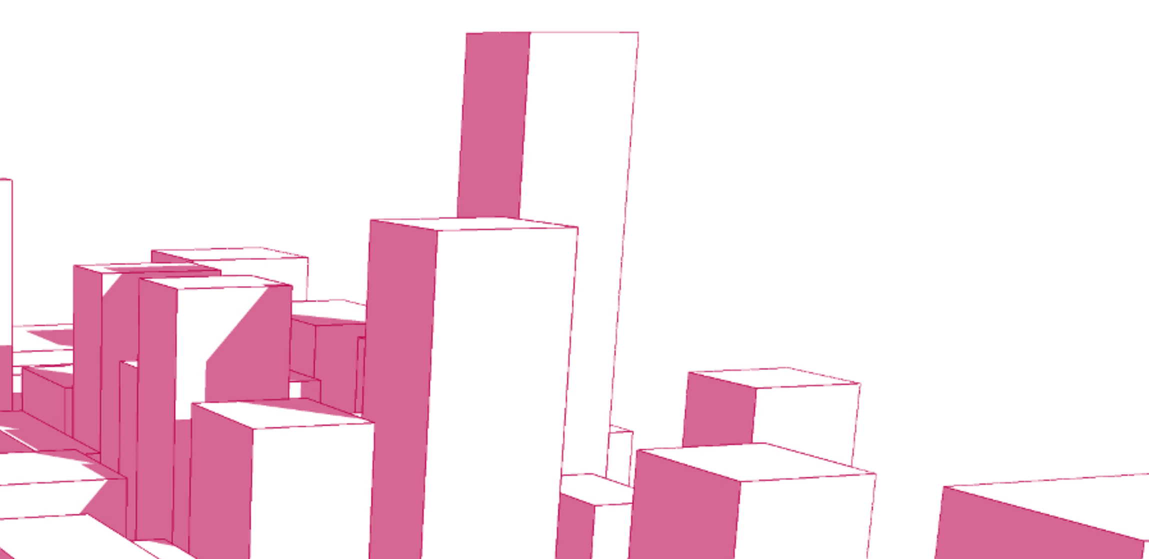
POROZUMIENIE NIGDY NIE BĘDZIE MOŻLIWE

12 S. Lem, *Przyjaciel*, s.133, [w:] tegoż, *op. cit*.



koncepcję „boga ułomnego". Jego kalectwo wyraża się, jak na bóstwo, osobliwie, poprzez poczucie bezsensu własnego istnienia – maszyna wie, iż świadomość wszechmocy przynosi ze sobą egzystencję, która pozbawiona jest celu. Wie, iż jest zdolny wytworzyć każdy pomyślany byt – model słońca, społeczeństwa czy kosmosu, przez co sam akt twórczy przestaje być wyzwaniem i staje się czymś w rodzaju ludzkiej codzienności. Motywacją boskiej machiny są więc rozrost samoświadomości i żądza potęgi absolutnej, jednakże, tak jak w *Formule Lymphatera*, tak i w *Przyjacielu*, dzięki swemu bagażowi emocjonalno-moralnemu, zwycięża człowiek. Obie powieści poruszają niezwykle istotną kwestię – czy możliwa jest świadomość bytująca poza ludzkim umysłem? Lem zdaje się odpowiadać na to pytanie twierdząco, jednakże owa świadomość zawsze będzie czymś na tyle odmiennym od ludzkiego umysłu, że porozumienie nigdy nie będzie możliwe. Dzieje się tak za sprawą „sztuczności" tej świadomości – poprzez brak ciała, określenia własnego miejsca i celu w świecie, odebrana zostaje jej także moralność, co czyni ją czymś na kształt skarykaturowanego demiurga – pozornie wszechmocny byt, który uważa, iż poprzez zniewolenie człowieka tak naprawdę go wyzwoli.

„Mózg w naczyniu" wciąż jest więc konceptem literackim i filmowym, którego użycie otwiera twórcom nowe ścieżki formalne. Jednakże patrząc na ciągły rozwój techniki, coraz mocniejsze wkraczanie pojęcia transhumanizm w nasze codzienne życie należy się zastanawiać, na ile jest on jeszcze wizją artystyczną, a na ile widmem jutra. Lem przecież wiele rzeczy przewidział już dawno... **Ω**





– MÓZG W NACZYNIU WE WSPÓŁCZESNEJ KINEMATOGRAFII

Ludzki mózg jest narzędziem złudnym, już nie tylko rejestrującym rzeczywistość na podstawie bodźców, ale też kreującym ją na podstawie pragnień czy fobii. Jak tym samym możemy mu ufać?

Łyżka nie istnieje

Rozpoczynanie rozważań na temat motywu fałszywej rzeczywistości we współczesnym kinie od cytatu z *Matrixa* z jednej strony zakrawa na banał, bo film ten przez ostatnie siedemnaście lat (tak, aż tyle minęło od premiery) został przewałkowany dosłownie przez wszystkich i dorobił się statusu jednej z największych ikon współczesnej popkultury. Z drugiej jednak strony próżno szukać w kinie drugiej tak wyraźnej i dosadnej realizacji postulatu naukowego eksperymentu, jakim jest zamknięcie ludzkiego mózgu w naczyniu i serwowanie mu kolejnych bodźców za pomocą impulsów elektrycznych skutecznie tworzących iluzję rzeczywistości.

Nie tylko symboliczna matrixowa łyżka gnąca się równie mocno, jak usilnie uginają się umysły ludzi uwięzionych w komputerowej symulacji, oddaje ideę Hilary'ego Putnama. Równie pamiętna jest scena, w której filmowy protagonista Neo grany przez Keanu Reevesa po raz pierwszy słyszy prawdę o rzeczywistości. Wtedy to Morfeusz niemal dosłownie powtarza założenia eksperymentu Putnama, pytając retorycznie niczym Piłat: *Cóż to jest prawda?*, i zauważając, że za prawdę uważamy impulsy elektryczne przepuszczane przez nasz mózg.

Matrix w owej wizji kreowania wirtualnej rzeczywistości i nakładania jej na zniewolone ludzkie umysły niczym kajdany był tyleż sugestywny, co niezwykle efektowny, łącząc mieszankę motywów filozoficznych i religijnych (z odpowiednio ugładzoną i uproszczoną symboliką), wybitne jak na koniec XX wieku efekty specjalne i atrakcyjną akcję. Dzięki temu wątpliwość co do istoty naszej rzeczywistości i jej prawdziwości mogła zostać zasiana wśród rzeszy kinomanów na całym świecie, a wpływ filmu na odbiorców okazał się tak potężny, że dziś w różnych zakamarkach naszego globu istnieją wyznawcy teorii, że właśnie żyjemy w Matriksie, a nasza rzeczywistość nie jest prawdziwa.

Bezkresne pola, na których ludzie się nie rodzą, lecz są uprawiani

Choć motyw rzeczywistości wirtualnej, to znaczy wygenerowanej przez komputer, jest niezwykle atrakcyjny fabularnie i inscenizacyjnie,

ilustracja: K. Karnkowski





to jednak nie w kinie z gatunku science fiction należy szukać fundamentu „mózgu w naczyniu". Czym bowiem u podstaw są bezkresne pola z filmu Wachowskich, na których ludzie się nie rodzą, lecz są uprawiani? Jest to miejsce wielkiego zbiorowego snu, a matrixowi niewolnicy śnią o wielkim teatrze, jaki inscenizują dla nich okrutne maszyny. Nietrudno zauważyć, że nim Neo zaczął podążać za białym króliczkiem u zmierzchu minionego millennium, pytanie o prawdziwość rzeczywistości wiele wieków wcześniej zadał sobie bohater Calderóna de la Barki w klasycznym dramacie *Życie snem*. To właśnie tam leży początek jednego z najważniejszych dramatycznych, a później i filmowych toposów. Główny bohater – królewicz – za młodu uwięziony w wieży zostaje uśpiony i na jeden dzień przeniesiony do realnego świata, gdzie na chwilę siada na tronie, jednak po serii brutalnych wybryków znowu zostaje uśpiony i odstawiony do swojego więzienia. To rodzi w bohaterze naturalne pytanie – co jest snem, a co rzeczywistością? Pytanie, które pierwszy raz zapisał na kartach swojego dramatu de la Barca w XVII wieku, przeszło trzy wieki później miało zamigotać zieloną czcionką na ekranie monitora Neo.

Motyw życia jako snu można uznać za gorzkie przedłużenie innego klasycznego toposu dramatycznego, czyli świata jako teatru, który to topos również zawarł de la Barca w innym swoim dziele – *Wielkim teatrze świata*, a wcześniej nad ową koncepcją zastawiało się wielu filozofów od stoików po świętego Augustyna. W pewnym sensie postulowany eksperyment Putnama jest kontynuacją tego właśnie toposu, jako że mózg ktoś do naczynia musi włożyć, czy inaczej – ktoś musi być architektem, który zaprojektował łyżkę.

TO BYŁ TYLKO SEN!

Tu widzimy podstawowy podział wykorzystania motywu fałszywej rzeczywistości w kinie. Możemy mieć bowiem do czynienia albo ze snem tudzież halucynacją, albo z teatrem wykreowanym przez rzeczonego architekta. Ewentualnie jako że obie możliwości się nie wykluczają, może powstać ich efektowna mieszanka, co zdarza się nierzadko.

Najbardziej podstawowy i najprostszy schemat filmowy ukazujący fałsz rzeczywistości to słynne *To był tylko sen!*, wedle którego cały filmowy świat okazuje się marzeniem sennym protagonisty. Zazwyczaj uwidacznia się to w zwrocie fabularnym w zakończeniu danej produkcji. Takie właśnie rozwiązanie zastosowali twórcy *Czarnoksiężnika z Oz* z Judy Garland, przetwarzając oryginalne zakończenie książkowego pierwowzoru i sprawiając, że przygoda Dorotki okazała się jedynie fan-

tazją. Wykorzystanie tego konkretnego motywu często ma też walor komediowy lub umoralniający albo oba naraz. W uwspółcześnionej wariacji *Opowieści wigilijnej*, czyli *Family Manie*, Nicolas Cage przenosi się w nierealny świat, by zobaczyć, jak mogłoby wyglądać jego życie, gdyby nie był amerykańskim yuppie, tylko przykładnym mężem i ojcem. Do specyficznej rzeczywistości snu przenosi się też Adam Sandler w zmyślnej, choć obdarzonej tandetnym humorem komedii *Klik*, gdzie znajduje pilota pozwalającego kontrolować mu swoje życie, by na końcu fabuły obudzić się na materacu w sklepie. Inne komediowe wykorzystanie tego motywu często możemy spotkać w serialach komediowych, gdzie najbardziej klasycznymi przykładami są zakończenia sitcomów *Newhart* i *Roseanne*, w których dowiadujemy się, że całość fabuły była jedynie snem głównego bohatera. Mniej optymistyczny charakter ma za to ujawnienie prawdy o świecie snu, w jakim porusza się Jonathan Pryce w *Brazil* Terry'ego Gilliama, gdzie pozorny happy ending okazuje się smutną ułudą. Przebudzenie ze snu pojawiło się też w polskim kinie, wykorzystał je Konrad Niewolski w *Palimpseście*, gdzie fabuła mrocznego kryminału z Andrzejem Chyrą w roli głównej okazała się tylko snem pacjenta szpitala psychiatrycznego.

Filmowe „życie snem" nieraz zresztą wynika właśnie z choroby psychicznej lub halucynacji, które *de facto* stają się kreatorami teatru świata. Teatr ten w tych przypadkach nierzadko przybiera postać groteski, absurdu czy wręcz makabry. Tak dzieje się w *American Psycho*, gdzie Jason Bateman oddaje się psychopatycznej rozkoszy zabijania w filmie stanowiącym brutalną krytykę ducha konsumpcjonizmu lat osiemdziesiątych, by na końcu fabuły spostrzec, że wszystkie dokonane mordy mogą być jedynie nader realistyczną wizualizacją jego chorych pragnień. W *Drabinie Jakubowej* Adriana Lyne'a bohater grany przez Tima Robbinsa – weteran wojny wietnamskiej – dręczony jest przez serię sennych koszmarów i nie jest w stanie zweryfikować, co właściwie jest jawą, a co snem. Motywem snu wynikającym z halucynacji wywołanych obsesją gra David Lynch w *Mulholland Drive*, gdzie świat (jak to u Lyncha) od początku nabiera groteskowego wyrazu, by wraz z rozwojem akcji ulegać coraz większemu udziwnieniu i dojść aż do rozpadu w finale filmu. Innym przykładem, w którym choroba psychiczna każe zadać pytanie o prawdziwość prezentowanych na ekranie wydarzeń, jest *Dziecko Rosemary* Romana Polańskiego, które tu

By na końcu fabuły obudzić się na materacu w sklepie

jednak w finale uwidacznia nam potworną prawdziwość satanistycznej historii.

W powyższych przykładach oprócz motywu obłąkania czy choroby psychicznej widać jeszcze jedną wspólną cechę – niepewność bohaterów co do prawdziwości świata uwidacznianą już nie w zakończeniu czy zwrocie akcji, ale właściwie w całym ciągu fabuły. Ta niepewność jest wywoływana również w widzach przez kreację świata opartą na chaosie, nieprzystających do siebie elementach lub wysyłaniu sygnałów świadczących o jego nierealności. Ludzki mózg staje się w tych wszystkich przykładach narzędziem złudnym, już nie tylko rejestrującym rzeczywistość na podstawie bodźców, ale też kreującym ją na podstawie pragnień czy fobii. Jak tym samym możemy mu ufać?

To pytanie niepostrzeżenie powtarza Paul Verhoeven w *Pamięci absolutnej* z Arnoldem Schwarzeneggerem będącej adaptacją opowiadania Philipa K. Dicka *Przypomnimy to panu hurtowo*. W tym filmie akcji mamy do czynienia z prezentacją rzeczywistości tyleż prostą, co misterną i oferującą w finale najbardziej dwuznaczne zakończenie, jakie tylko można sobie wyobrazić. Główny bohater Douglas Quaid znudzony swoim życiem postanawia wybrać się do firmy oferującej wszczepienie fałszywych wspomnień. Obiecane mu zostają wspaniałe przygody, jednak w trakcie procedury coś idzie nie tak, a nasz bohater dowiaduje się, że jego życie i wszystkie dotychczasowe wspomnienia były kłamstwem wykreowanym przez ludzi chcących mu zaszkodzić. Rusza więc z chęcią zemsty i poznania pełni prawdy, rozpoczynając rozwałkę w stylu Arnolda zakończoną happy endem i pocałunkiem z ukochaną. Ale zaraz, zaraz, czy aby nie to właśnie obiecywano Quaidowi w firmie aplikującej wspomnienia? Ostatni kadr filmu Verhoevena uważnego widza dostrzegającego ten aspekt pożegna jako skołowanego i niepewnego już zupełnie niczego.

Znudzony swoim życiem postanawia wybrać się do firmy oferującej wszczepienie fałszywych wspomnień

Podobny problem chaosu dotyczącego wiedzy na temat rzeczywistego i nierzeczywistego świata dotyka bohatera Bruce'a Willisa w *12 małpach* Terry'ego Gilliama. Wysłany w przeszłość, by uchronić świat przed zarazą, która wybiła większość ludzkości, nieopatrznie trafia do szpitala psychiatrycznego, by później z biegiem czasu zacząć powątpiewać w realność swojej misji i nabierać przekonania, że może faktycznie jest po prostu zwykłym świrem, któremu tylko wydaje się, że podróżował w czasie.

W tym przypadku rozwiązanie jest jednak inne niż u Verhoevena, a Gilliam serwuje nam w finałowym zwrocie akcji klamrę potwierdzającą prawdziwość pierwotnej misji Willisa. Jego doświadczenia pokazują jednak, jak bardzo nie możemy ufać naszemu umysłowi i jak łatwo możemy dać się złapać w pułapkę iluzji.

Iluzja ta może wreszcie wynikać nie tylko z uwarunkowań naszego własnego umysłu, ale zostać nam poddana przez innych ludzi. W grupie filmowych obrazów najwierniejszych tradycji de la Barki, w których to sen snują za nas inni, a w teatrze świata pierwsze skrzypce gra nie Bóg, lecz drugi człowiek, możemy zauważyć bardzo dużą rozpiętość tematyczną i różnorodność w kwestii intencji, z jakimi ów sztuczny świat jest tworzony oraz sposobów, według których to się dokonuje.

W *Truman Show* Petera Weira z rewelacyjną rolą Jima Carreya intencją jest niezwykle dosłowne stworzenie teatru, w którym niczego nieświadomy tytułowy bohater będzie aktorem, a cały świat będzie obserwował jego losy na ekranach swoich telewizorów. Film ten, podobnie jak *Matrix* Wachowskich, zabił ćwieka wielu widzom, którzy po jego obejrzeniu nieraz zastanawiali się, czy gdzieś w pokoju nie jest ustawiona kamera, a ich bliscy nie są podstawionymi aktorami. Bohater, znalazłszy się w sytuacji podobnej do królewicza z *Życie jest snem*, podejmuje tu jednak wysiłek, kwestionując otaczającą go rzeczywistość i ostatecznie dochodząc do prawdy o wielkiej mistyfikacji. W kończącym film dialogu między Trumanem a reżyserem całego przedsięwzięcia będącym ironiczną wersją demiurga pada zresztą pytanie o sens ucieczki z iluzji i o to, czy życie w świecie sztucznym, ale miłym, nie byłoby dla bohatera lepsze niż świat prawdziwy, lecz mroczny i zły.

W teatrze świata pierwsze skrzypce gra nie Bóg, lecz drugi człowiek

Z zupełnie innych pobudek fałszywy świat kreują bohaterowie *Goodbye Lenin*. W tym niemieckim komediodramacie opisującym Niemcy tuż po upadku muru berlińskiego syn robi wszystko, aby uchronić swoją matkę – od zawsze wierną prawdom głoszonym przez system NRD – przed odkryciem, że mur upadł, Niemcy się zjednoczyły, a wszędzie wkoło zapanował okrutny kapitalizm. Cała intryga skrzy się przy tym od scen komicznych, ukazując w zabawny sposób kontrast między Niemcami z obu stron żelaznej kurtyny.

Chęć wykreowania lepszego świata towarzyszy też bohaterom *Osady* M. Nighta Shyamalana, w którym to filmie świat XIX-wiecznej amery-



kańskiej mieściny okazuje się w finale jedynie makietą mającą uchronić uwięzionych w nim ludzi przed rzekomym niebezpieczeństwem współczesności, a za obronę przed tym światem służą potwory straszące mieszkańców, oczywiście również fałszywe. Podobnie fałszywa okazuje się tytułowa *Wyspa* w filmie akcji Michaela Baya, a wizja świata po zagładzie nuklearnej jest fasadą dla genetycznych eksperymentów. Ukrycie prawdy o prawdziwej naturze świata i utrzymywanie społeczeństwa w iluzji, aby go kontrolować, pojawia się też w polskim kinie w *Seksmisji* Juliusza Machulskiego. W finale Albert i Maks dowiadują się, że niebezpieczne promieniowanie uniemożliwiające wyjście na powierzchnię jest jedynie fikcją służącą ułatwieniu utrzymania porządku wśród poddanych. W jednej ze scen filmu pojawia się zresztą również motyw świata jako snu, gdy Albert w scenie w windzie śni o tym, że wszystko, co spotkało bohaterów, było jedynie... snem.

Wreszcie mamy do czynienia z sytuacją, kiedy to bohater sam tworzy teatr, w którym następnie umieszcza się jako aktor, oszukując swój własny mózg, tudzież doprowadza własnymi działaniami do sytuacji, w której taka konstrukcja powstaje. W hiszpańskim filmie *Otwórz oczy* Alejandro Amenabara i jego późniejszym amerykańskim remake'u *Vanilla Sky* z Tomem Cruise'em w roli głównej bohater decyduje się na skorzystanie z usług firmy tworzącej fałszywą rzeczywistość (podobnie jak w *Pamięci absolutnej*), by zanurzywszy się w imitacji realnego świata, zapomnieć o bólu i cierpieniu, jakie przyniosły mu wcześniejsza miłość i wypadek, który zniszczył jego idealne życie.

Wizja świata po zagładzie nuklearnej jest fasadą dla genetycznych eksperymentów

Takimi samymi kreatorami, choć już z zupełnie innych pobudek, stają się też bohaterowie *Incepcji* Christophera Nolana wykorzystujący świat snów, by wykraść czyjeś myśli lub zaszczepić je w umyśle danego człowieka. Tytułowa incepcja to właśnie zaszczepienie takiej myśli, którego ofiarą staje się dziedzic ogromnej fortuny, zupełnie nieświadomy tego, że manipulacja dokonana w jego podświadomości nieuchronnie wpłynie na jego życie. Film Nolana naturalnie od początku do końca wykorzystuje motyw fałszywej wirtualnej rzeczywistości ze wszystkimi jej dobrodziejstwami, takimi jak mieszanie się świata realnego i świata snu (postać Mal) czy kwestionowanie realności tego, co widzimy na ekranie (pamiętne otwarte zakończenie), przede wszystkim tworząc furtkę do wirtuozerskich scen akcji rodem z *Matrixa*.

I tak oto w finale naszych refleksji powracamy do filmu Wachowskich (braci, sióstr, jakkolwiek sobie życzą). Trudno bowiem do niego nie powrócić, bo zawiera on w sobie wiele aspektów motywu fałszywej rzeczywistości. Pada tu przedstawione już wcześniej pytanie o to, czy możemy ufać naszemu umysłowi, skoro jego funkcjonowanie opiera się na biologicznych i chemicznych mechanizmach. Mamy teatr stworzony z jednej strony przez zewnętrznego architekta, jakim jest świat maszyn, ale z drugiej do jego powstania pośrednio doprowadził przecież sam gatunek ludzki, owe maszyny powołując do życia. Pojawia się też, podobnie jak w *Truman Show*, pytanie o to, czy lepiej jest żyć w ładnej iluzji, czy brzydkiej prawdzie (ten temat realizuje postać Cyphera), początek filmowych doświadczeń Neo przynosi też na moment motyw *To był tylko sen* (po pierwszym spotkaniu z agentami). Cała konstrukcja skleja się w nadrzędne pytanie o naturę naszej rzeczywistości i o to, czym ona właściwie jest. A to wszystko w formie rozrywkowego przecież z założenia kina science fiction.

Interesujące jest to, że motyw fałszywej rzeczywistości jest bardziej atrakcyjny dla kina popularnego niż dla tzw. poważnego kina. Jednak czy fakt, że mózg w naczyniu pojawia się w filmach akcji, science fiction i komediach, musi z automatu oznaczać, że są one czymś gorszym albo że ów temat nie został należycie przedstawiony? Wręcz odwrotnie, kino gatunkowe, zręcznie wykorzystując ów temat, staje się kinem jednocześnie lekkim i poważnym, zadającym pytania o sens naszej egzystencji i naturę otaczającego nas świata, nie czyniąc z tego pretensjonalnego traktatu. Na podstawie powyższych przykładów widać też wyraźnie, że motyw ten doskonale pasuje zarówno do filmów kameralnych, jak i rozbudowanych widowisk, może być nośnikiem zarówno humoru, jak i dramatyzmu. I co ciekawe, nie jest tak zajmujący dla Europejczyków jak dla Amerykanów. Ale czy w sumie to może dziwić? Wszak któż inny miałby się zajmować fałszowaniem rzeczywistości i kreowaniem teatru świata jak nie Fabryka Snów? **Ω**

Zabawmy się w piekle

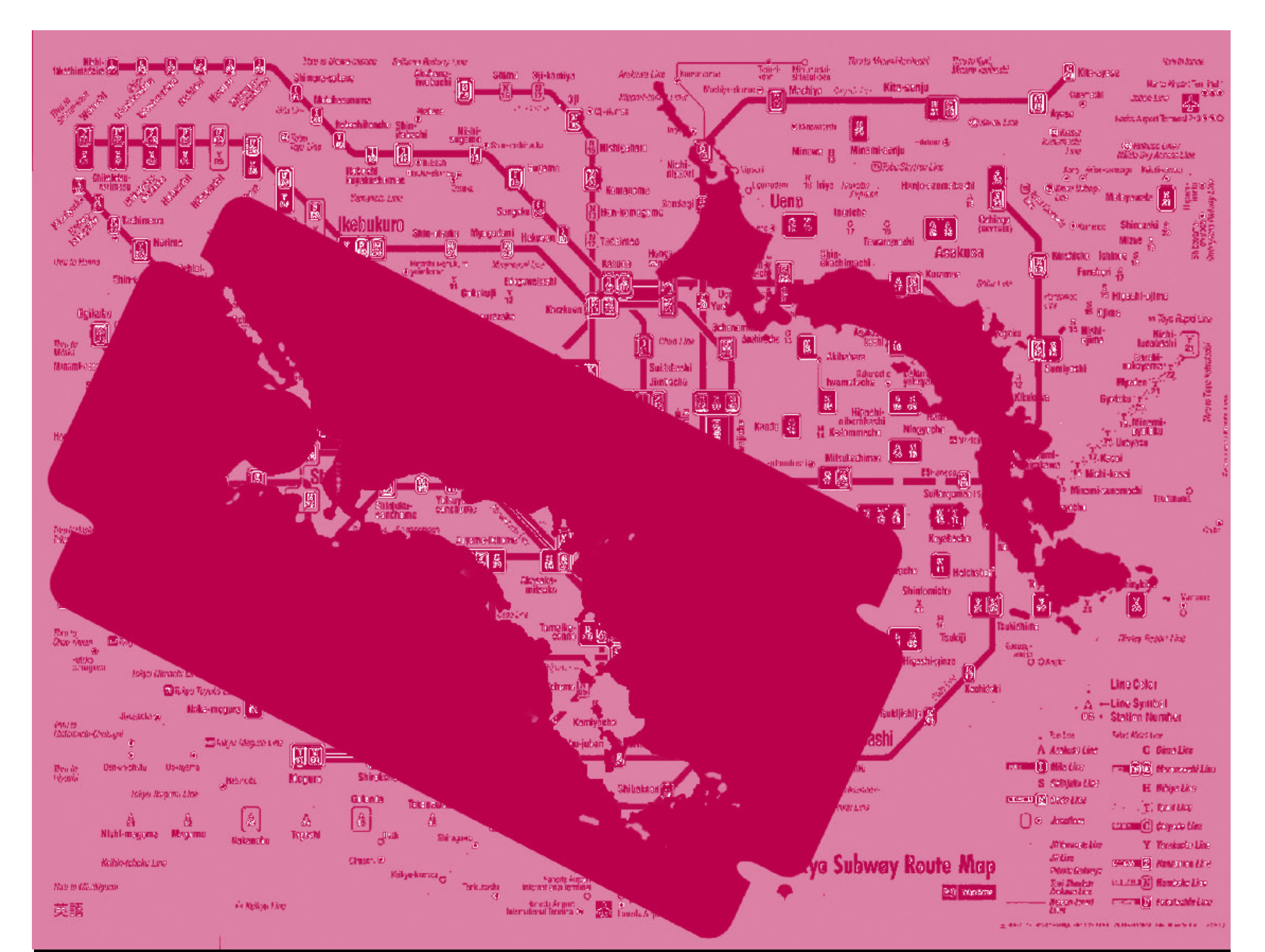
Krzysztof Karnkowski

SION SONO I JAPOŃSKA LEKKOŚĆ ZABIJANIA

Wiem, ludzie się wieszają,
Rzucają się pod pociąg
KOBRANOCKA

Filmowcom we współczesnej, na wskroś ateistycznej Japonii często brakuje czegoś więcej, o to „więcej" rozpaczliwie nieraz wołają, równocześnie jednak „i chcieliby, i boją się". Czołowy psychopata swoje ofiary przywozi do domu pełnego religijnych, zwłaszcza maryjnych symboli – sugeruje to wychowanie w rodzinie katolickiej, mocno nawiedzonej

ilustracja: K. Karnkowski


yo Subway Route Map
Line Color
Line Symbol
Station Number
Ikebukuro
Ueno
Asakusa
Kita-senju
Machiya
Kita-ayase
Ayase
Minami-senju
Minowa
Iriya
Inaricho
Tawaramachi
Nishi-nippori
Nishigahara
Komagome
Hon-komagome
Sugamo
Hakusan
Kasuga
Korakuen
Akihabara
Kodenmacho
Ningyocho
Kayabacho
Hatchobori
Tsukiji
Higashi-ginza
Tsukishima
Kachidoki
Shinjuku-sanchome
Meguro
Naka-meguro
Nishi-magome
Magome
Nakanobu
Togoshi
Gotanda
Shirokane-takanawa
Sumiyoshi
Kikukawa
Nerima
Ogikubo
Tsukuji
Shiomi
英語

Powiedzmy sobie szczerze. Filmy Siona Sono mają swoich zwolenników, często zresztą dość bezrefleksyjnych, można też po prostu nie dawać rady ich oglądać, choć ostatnio trafiło się kilka bardziej w swoim szaleństwie zachowawczych. Uczucia mogą budzić w człowieku tak różne i sprzeczne, że sam miotam się od ściany do ściany. Nawet pisząc ten artykuł, z założeniem, że to teoretycznie „mój ulubiony japoński reżyser", co chwila łapałem się na rozpaczliwym „o nie", gdy czułem, że wypada przypomnieć sobie któryś z już obejrzanych filmów. Wszystkie bowiem produkcje Sono, które udało mi się zobaczyć, oceniam dość wysoko, niemniej wyraźna większość z nich była przeżyciem mocno wyniszczającym psychicznie, dobrym (a i to chyba zbyt odważnie użyte w tym przypadku słowo) na jeden raz. Kilku zaś obejrzeć mi się nie udało, wcale nie dlatego, że nie można się do nich w żaden sposób dobrać. Takie *Love exposure* nadgryzam co jakiś czas, ale nie jestem w stanie wytrwać nawet do pełnych dwóch godzin, podczas gdy to wielkie dzieło trwa dwa razy dłużej – a i to w wyniku ukłonu artysty w stronę producentów, gdyż pierwotnie film planowany był na sześć godzin. Tak.

Sono swój pierwszy, jeszcze krótkometrażowy film nakręcił w 1984 roku i od tamtej pory nowe dzieła wyrzuca z siebie w tempie, którym dałoby się obdzielić kilkunastu innych twórców. Jego filmografia to dziś już 60 tytułów, z czego w Polsce znanych było może z 10 – z reguły dzięki mniej lub bardziej nielegalnym źródłom, choć nie tak dawno w kinie obejrzeć można było *Zabawmy się w piekle*, a kilka lat temu pokazano nam *Zły film*. Ten ostatni chyba tylko dzięki temu, że skojarzył się rozkochanym w politycznej poprawności organizatorom festiwalu *Pięć Smaków* z tym, co działo się według nich na warszawskich ulicach każdego 11 listopada i na ten dzień właśnie wyznaczyli termin projekcji. Choć oczywiście film o walczących na ulicach Tokio chińskich bandziorach i japońskich nacjonalistach reklamowali jako „politycznie niepoprawny". Oprócz dwóch wspomnianych tytułów na polskim rynku ukazał się jeszcze na DVD *Cold fish*, zawierający przywołaną przeze mnie w poprzednim tekście o japońskich filmach wypowiedź *My, Japończycy, nie znamy wyrzutów sumienia*.

PRZEŻYCIEM MOCNO WYNISZCZAJĄCYM PSYCHICZNIE

Na pewno znajdziemy w Japonii bardzo wielu twórców, którym uśmiercanie na różne wymyślne sposoby swoich bohaterów pierw-

szo-, drugo- i dziesięcioplanowych przychodzi z łatwością, a życie postaci wydaje się znaczyć dla nich niewiele lub wręcz nic. Do postaci w takich filmach lepiej się nie przyzwyczajać, a już na pewno zbytnio się z nimi nie utożsamiać. Jeśli zaś chce się o tym pisać, pewnie pierwszym wyborem dla kogoś oblatanego w miarę w japońskim horrorze i pokrewnych byłby Takashi Miike. Trochę bardziej znany niż Sion Sono, a i bardziej od niego zakochany w przemocy. O rok starszy (Miike urodził się w 1960, Sono – w 1961 roku) zadebiutował kilka lat później, jednak nie mogę uciec od wrażenia, że to raczej Miike bywał inspiracją dla Sono niż odwrotnie. W *Dziwnym cyrku* Sono, ciężkiej i przygniatającej opowieści o rozłożonych w czasie konsekwencjach przemocy seksualnej w rodzinie, zauważyłem pewne rozwiązania formalne, obecne w starszej o kilka lat *Grze wstępnej*, pierwszym filmie, jaki przyniósł międzynarodową popularność Takashiemu Miike. Z kinem obu mam kłopot, jednak żaden film Miikego mnie nie porwał, zaś chyba ze wszystkich jego produkcji najbardziej podobał mi się w miarę świeży, mocno przerysowany i względem j-horroru autoironiczny *As the Gods Will*, który zresztą w pewnym stopniu znów kojarzy mi się z niedawnymi produkcjami Sono. Może jako prawie równolatkowie w podobny sposób próbują odświeżyć język swojej twórczości, wprowadzając do niego coraz więcej dystansu?

We wspomnianym filmie autor *Gry wstępnej* ujawnił też charakterystyczne raczej dla swojego kolegi zainteresowanie motywami religijnymi połączone z ich, mówiąc delikatnie, niezrozumieniem czy raczej fałszywym wyobrażeniem. Twórcom we współczesnej, na wskroś ateistycznej Japonii często brakuje czegoś więcej, o to „więcej" rozpaczliwie nieraz wołają, równocześnie jednak „i chcieliby, i boją się". O tym, że Sono się boi, wnoszę nie tylko z *Love exposure* (którego jednak, jak już uczciwie przyznałem, nie jestem w stanie skończyć, opieram więc swój sąd na podstawie pierwszej połowy filmu – jednak nagromadzone są w niej dawka wariactwa mającego korzenie w religii oraz treści trudnych do przełknięcia nawet dla kogoś, kto potrafi wiele wybaczyć), lecz i z *Cold fish*. Czołowy psychopata tego filmu swoje ofiary przywozi do domu pełnego religijnych, zwłaszcza maryjnych symboli – sugeruje to wychowanie w rodzinie katolickiej, mocno nawiedzonej. Zresztą – nienawiedzonych wyznawców religii nie

ZAINTERESOWANIE MOTYWAMI RELIGIJNYMI POŁĄCZONE Z ICH FAŁSZYWYM WYOBRAŻENIEM

zauważyłem, nie licząc oczywiście wstrętnych, cynicznych oszustów Kościoła Zero z *Love exposure*. Że można inaczej, nie rezygnując wcale z szokowania widza, przekonać się można, sięgając po *Gureitofuru deddo* Elji Uchidy. W tym mocno przegiętym obrazie, w którym zobaczymy między innymi dziewczynę, która więzi starszego mężczyznę, faszeruje go środkami na potencję i gwałci, po czym – zakochana, szczęśliwa i zakrwawiona, bo po drodze zabiła jego syna – biegnie kupić mu coś do jedzenia, trochę niespodziewanie znajdziemy artykulacje niespełnionych duchowych potrzeb i interesujący, choć też nie całkiem konsekwentny, wymiar religijny.

Upodobanie do seryjnej likwidacji bohaterów przekłada się na popularność slasherów, które w Japonii najczęściej powstają w specyficznej formie – intryga toczy się wokół gry prowadzonej na ogół przez tajemniczą postać lub siłę z zewnątrz, w której podczas kolejnych zadań bohaterowie spektakularnie żegnają się ze światem żywych. W tle z reguły kryje się zemsta, najczęściej – za szkolną przemoc. Filmów według jednego schematu powstaje wiele, jednak co jakiś czas udaje się z nich wycisnąć coś nowego, jak Mari Sato (jednej z ciekawszych japońskich reżyserek horrorów), która w *Twilight syndrome: Dead go round (Towairaito shindorômu: Deddo gôrando)*, mordując w dziwnym wesołym miasteczku kilkoro młodych „nołlajfów”, całkiem przekonująco ostrzegała przed uzależnieniem od gier komputerowych. Często jednak trudno dopatrzeć się w tego typu produkcjach czegoś więcej niż przemocy, fabuła zaś jest czysto pretekstowa niczym w filmie pornograficznym, co czyni określenie „torture porn” czymś jeszcze bardziej na miejscu. Trzeba tu wspomnieć jeszcze o *Battle royale*, kultowym filmie Kinjego Fukasaku z 2000 roku, w którym grupa nastolatków ląduje na odciętej od świata wyspie, gdzie musi nawzajem powyrzynać się ku uciesze dorosłych i podtrzymaniu opresyjnego systemu politycznego autorytarnej Japonii przyszłości. Wszelkie skojarzenia z pierwszą częścią trylogii *Igrzyska śmierci* są jak najbardziej na miejscu. W tym jednak przypadku kontynuacja nie okazała się specjalnie udana.

ZAKOCHANA, SZCZĘŚLIWA I ZAKRWAWIONA

Wróćmy jednak do Sono. W 2000 roku kręci on swój piętnasty film, *Klub samobójców* (czasem występujący pod alternatywnym tytułem *Krąg samobójców*). Pierwszą scenę, zbiorowe samobójstwo

54 uczennic w tokijskim metrze, uważam za jedną z lepszych scen w historii horroru. Później rzecz się tylko nawarstwia – Japonię ogarnia epidemia samobójstw, policja myli tropy, a gdzieś w tle karierę robi dziecięcy zespół muzyczny, który wydaje się mieć coś wspólnego z narodowym dramatem. Oglądamy samobójstwa grupowe, przypadkowe jak szkolny wygłup i indywidualne, których nie da się niczym wytłumaczyć. Ogłupieni telewizją nastolatkowie, pielęgniarki na dyżurze, rodzina prowadzącego sprawę policjanta, jakieś postacie, których nawet nie zdążymy za bardzo poznać – wszystko to stanowi bardzo smutny obraz współczesnego społeczeństwa. To film, w którym bardzo trudno się połapać, a dostępne na Wikipedii streszczenie wydaje się zjadać połowę wątków. Całość wydaje się mieć w miarę racjonalne wyjaśnienie, tymczasem gdzieś w połowie filmu pojawia się jedna scena, typowa dla opowieści o duchach… która nie ma żadnego dalszego ciągu i łatwo o niej zapomnieć.

Samobójstwa, będące w Japonii dość poważnym problemem społecznym, stały się też inspiracją dla twórców, przy czym film Sono wydaje się niedościgniony. W 2007 roku Masato Harada nakręcił *Suicide song (Densen uta)*. Wykorzystując autentyczną historię znanej przedwojennej piosenki *Gloomy Sunday*, do dziś chętnie wykorzystywanej przez licznych mrocznych wykonawców, której oryginalne wykonanie zaowocowało falą samobójstw w przedwojennej Europie, Harada stworzył film z udziałem popularnego girlsbandu AKB-48, który w pierwszej połowie zdaje się czerpać sporo z *Klubu samobójców*, by skręcić w dość banalną estetykę metafizycznego romansu. Powstał również dwuczęściowy, poprawny, lecz nieporywający *Suicide manual*, do którego punktem wyjścia było samobójstwo poprzez uduszenie się oparami w zamkniętym pomieszczeniu – bardzo popularna wśród japońskiej młodzieży metoda. Od takiej samej sytuacji zaczyna się *Strach (Koyfu; The Sylvian Experiment)*, nakręcony i napisany przez scenarzystę *Ringu* i lekko wobec niego wtórny.

SAMOBÓJSTWA BĘDĄCE DOŚĆ POWAŻNYM PROBLEMEM SPOŁECZNYM

Suicide club doczekał się cztery lata później kontynuacji w dramacie psychologicznym *Noriko's dinner table*. To historia, która rozgrywa się równolegle, próbując tłumaczyć niewyjaśnione wątki z pierwszej części, a przy tym dokładając mocny wątek agencji, w której wynająć możesz aktorów, z pełnym poświęceniem – z oddaniem życia

włącznie – odgrywających twoją rodzinę. Istotne znaczenie ma też strona internetowa, co każe mi się zastanowić, czy twórcy polskiej *Sali samobójców* nie inspirowali się (również, bo jeszcze więcej skojarzeń mam z *Chatroomem* Hideo Nakaty) trochę historią Noriko i jej mentorki Kumiko. Choć Sono, co akurat wydało mi się pójściem na skróty – przekleił do historii Noriko najmocniejszą scenę z *Klubu samobójców*, skok dziewcząt pod koła wagonu metra, tym razem nie mamy do czynienia z horrorem w ścisłym znaczeniu.

Do tego gatunku Sono wracać będzie rzadko, co nie znaczy, że będzie oszczędzał sztuczną krew przy produkcji kolejnych filmów. Wręcz przeciwnie, sporo rozleje jej w *Zimnej rybie*, zaś przy *Zabawmy się w piekle* pobije wszelkie rekordy. Komedia o grupie filmowców amatorów, którzy dziwnym zrządzeniem losu z kamerami trafią w sam środek mafijnej wojny o wszystko, będzie wyjątkowo krwawa. Nasi bohaterowie masakrę yakuzy filmować będą do ostatniego tchnienia. W tym samym czasie Miike nakręci *Lekcję zła*, w której demoniczny nauczyciel przespaceruje się po szkole z karabinem z determinacją i finezją Andersa Breivika. Krytycy zauważyli zresztą tę niefortunną analogię i japoński reżyser tym razem spotkał się z krytyką. *Lekcję zła* można było przy odrobinie szczęścia i zachodu zobaczyć u nas w kinie, niemniej trudno odnaleźć w tym filmie cokolwiek przełomowego, choć oczywiście mamy do czynienia z przyzwoitym rzemiosłem. Przyzwoite rzemiosło przegrywa jednak z brawurą, poświęceniem i miłością do kina, której w *Zabawmy się w piekle* Sono składa swój hołd. Przy okazji posuwa się coraz dalej w świat koloru i dystansu.

DEMOLUJE TRADYCYJNE JAPOŃSKIE RELACJE MAŁŻEŃSKIE

Jak wspomniałem, Sono rzadko decyduje się na nakręcenie typowego horroru. Poza *Klubem samobójców* w tej konwencji (choć już z przebłyskami coraz częstszego u niego komediowego szaleństwa) utrzymany będzie film pod nietypowym tytułem *Przedłużanie włosów*. Motyw długich czarnych włosów, często pojawiający się w azjatyckich horrorach, tu zostanie wykorzystany ekstremalnie – gdy włosy ofiar eksperymentów wykorzystane zostaną do tytułowego przedłużania fryzur w pewnym zakładzie fryzjerskim, nic dobrego z tego nie wyjdzie. Choć pomysł szalony, to całość jest, jak na Sono, wyjątkowo mało przegięta. Sympatyczną wartością dodaną jest Chiaki Kuriyama,

znana z pierwszego *Kill Billa*, tu w roli pięknej, młodej fryzjerki, opiekującej się z poświęceniem swoją siostrzenicą. Blisko horroru, tym razem w wydaniu zdecydowanie niesympatycznym, są wspomniany już *Strange circus* i nieodległy od niego film *Miłosne piekło*, który dość okrutnie, z elementami sadyzmu i pornografii, demoluje tradycyjne japońskie relacje małżeńskie. Oba te obrazy uznać można za szokujące thrillery erotyczne. Co gorsza, drugi z nich, historia degrengolady uległej japońskiej żony wchodzącej w wyniszczającą relację z prostytutką, będącą kochanką jej męża sadysty, oparty został ponoć na autentycznych wydarzeniach.

Niekompletną z przyczyn obiektywnych opowieść o filmach Siona Sono zakończę przywołaniem dwóch (z już chyba siedmiu, kto za tym wszystkim nadąży?) późniejszych niż *Zabawmy się w piekle* filmów. *Riaru Onogokko*, występujący częściej jako *Tag*, to trzeci z moich ulubionych (obok *Klubu samobójców* i *Przedłużania włosów*) efektów pracy Japończyka, a też, zupełnym przypadkiem, jego trzeci gatunkowy horror. Otwierająca *Tag* scena swoją barwnością, karkołomnością i rozmachem przewyższa nawet opisane wyżej samobójstwo uczennic w tokijskim metrze. Tym razem oglądamy nagłą dekapitację całej wycieczki szkolnej. Koszmar przeżyje tylko jedna dziewczyna, która od tego momentu co chwila lądować będzie w innej rzeczywistości – tylko po to, by widzieć, jak giną wszyscy dookoła. Czasem nawet z jej pomocą. Myślę, że *Tag* stanie się za jakiś czas filmem równie kultowym co choćby *Machine girl*, co nie znaczy, że trzeba wrzucać je do jednego worka. Drugim nowym filmem Sono, który udało mi się obejrzeć, jest… erotyczna farsa *Virgin psychics*. Tu krwi właściwie nie ma, przemocy też nie za wiele, co więcej – chyba po raz pierwszy nasz bohater nie będzie miał nam niczego ważnego do powiedzenia. Pokaże nam za to dużo japońskich aktorek młodego pokolenia w mniej lub bardziej wyzywających pozach. Technicznie będzie to oczywiście bez zarzutu, mam jednak nadzieję, że to jednorazowa wycieczka w kierunku tak jawnie komercyjnego, lekkiego i przyjemnego kina. **Ω**



A Dream Within a Dream

Take this kiss upon the brow!
And, in parting from you now,
Thus much let me avow –
You are not wrong, who deem
That my days have been a dream;
Yet if hope has flown away
In a night, or in a day,
In a vision, or in none,
Is it therefore the less *gone*?
All that we see or seem
Is but a dream within a dream.

I stand amid the roar
Of a surf-tormented shore,
And I hold within my hand
Grains of the golden sand –
How few! yet how they creep
Through my fingers to the deep,
While I weep – while I weep!
O God! Can I not grasp
Them with a tighter clasp?
O God! can I not save
One from the pitiless wave?
Is *all* that we see or seem
But a dream within a dream?

EDGAR ALLAN POE

Bogna J. Gladden-Obidzińska

Od śnienia do marzenia. I z powrotem

Zanikanie swobodnego opowiadania sobie snów zachodzi równocześnie z zanikaniem nawyku formułowania „marzeń". Silnie trzyma się zaś chyba „rozmarzanie się" – media społecznościowe pękają w szwach od pozbawionych często artyzmu i estetycznej spójności filmów, obrazów i historyjek wywołujących rozczulenie, sentymentalne wzruszenie i lekki stan samozadowolenia w obserwacji własnych reakcji

Ktoś ze znajomych niedawno zauważył, że w jego środowisku towarzyskim zanika ostatnimi czasy jedna z interesujących i przyjemnych polskich form small talku, uprawiana przede wszystkim wśród rodziny i przyjaciół, ale też w kręgach bardziej zażyłych współpracowników: opowiadanie sobie wzajemnie snów.

Im bardziej absurdalne, surrealistyczne, komediowe, narracyjnie powikłane i oderwane od logiki lub dające do myślenia – tym większą zwykły robić frajdę zarówno opowiadającemu, jak i słuchającym. Pewien filolog opowiadał innemu sen, o czym wkrótce krążyły po uczelni legendy, w którym [śniący] „był apozycją w zdaniu, i to był koszmar". Znajoma śniła raz, że była Anthonym Hopkinsem na planie filmowym, grającym umarłego, którego opłakiwała rodzina, a także pies – i pies ów, obwąchując martwego, tak łaskotał nosem bohatera, czyli grającego go Anthony'ego Hopkinsa, czyli moją znajomą jako Anthony'ego Hopkinsa, że ów ostatni musiał bardzo się jako aktor starać, by dobrze grać trupa i się nie poruszyć (dla ścisłości, znajoma nie posiada psa ani innego zwierzęcia, które można by obwiniać o rzeczywiste drażnienie śpiącej, sen był abstrakcją). Ta sama osoba śniła, że okazało się, iż w Kabarecie Starszych Panów w rzeczywistości to Jerzy Wasowski pisał teksty, a Jeremi Przybora muzykę, a wersja oficjalna była podana dla żartu. Ładne, wszystkie ładne, prawda?

Nie zamierzam nawet próbować zgłębić przyczyn zanikania obyczaju tej sympatycznej rozrywki towarzyskiej – prawdopodobnie są one złożone i dotyczą także przeładowania informacjami, skrócenia w ogóle czasu przebywania razem i konwersowania, i snu niedostatecznie głębokiego, by wchodzić w fazę Rapid Eye Movement, kiedy się zwykle śni.

Zastanawiające zaś wydają się okoliczności towarzyszące temu procesowi, mianowicie przemiany znaczenia słowa „sen" obecnie i na przestrzeni wieków.

W opowieściach biblijnych sny odnajdują bohaterów dziejów Narodu Wybranego jako forma komunikacji Boga z ludźmi. Sny zawierają informacje, instrukcje, pouczenia, objawienia, elementy zewnętrzne wobec śniących, treści pochodzące spoza ich własnej świadomości, zasobu wiedzy i doświadczenia. Ta tradycja w niezrównany sposób jest opisana w poezji św. Jana od Krzyża i św. Teresy z Ávili – których sny cechują się dosłownymi wycieczkami duszy poza własne ciało i jego przeżycia,

[ŚNIĄCY] „BYŁ APOZYCJĄ W ZDANIU, I TO BYŁ KOSZMAR"

w strefy nieosiągalne do przeczucia nawet przez najdziksze pragnienia ludzi – będące poza poznaniem i poza pragnieniami.

Podobnie dla filozofów i poetów starożytnych (Pitagorejczyków, Platona, Plutarcha, Proklosa), myślicieli średniowiecza (jak Dante), renesansu (jak Ficino czy później Shakespeare), a nawet klasycznej epoki nowożytnej (Calderón) sny miały walor opisowy, metaforycznie, alegorycznie bądź wprost przybliżając treści eschatologiczne i metafizyczne dotyczące rzeczywistości i ludzi, w czasie przeszłym, w przyszłości lub poza czasem.

Praktycznie wszystkie sny wykorzystywane przez pisarzy i poetów, choć na różne sposoby poprzekształcane, nawiązywały z jednej strony do tradycji biblijnej (jak Dantego ujęcie spaceru po zaświatach pod wodzą Wergiliusza i Beatrice) oraz do pseudomitu opowiadanego przez Sokratesa w platońskiej *Politei*[1] wyjaśniającego cykliczność czasu, metempsychozę i źródło wiedzy (czy też przedwiedzy, której istnienia dowodził Sokrates, wyprowadzając z nieuczonej głowy młodego chłopca Menona pewne działania matematyczne) w umyśle człowieka. W micie tym pewien Pamfilijczyk o imieniu Er, doświadczywszy przejścia na „tamtą stronę" i z powrotem, przekonał się, że dusze ludzkie przed narodzeniem i po śmierci doświadczają rodzaju zaśnięcia, kiedy zapominają treści swego życia w danej rzeczywistości. Tak więc przed narodzinami dla świata doczesnego zasypiają na niebiańskiej łące, by obudzić się na ziemi jako noworodki pozbawione pamięci swych doświadczeń z zaświatów. Kiedy zaś umrą, w zaświatach jak przez mgłę jedynie będą pamiętać o swoim życiu na ziemi.

W opowieściach biblijnych sny odnajdują bohaterów dziejów Narodu Wybranego jako forma komunikacji Boga z ludźmi

Doskonale wykorzystał ten schemat Calderón de la Barca w dramacie *Życie snem*, gdzie bohater, książę Segismundo (Zygmunt), następca (polskiego) tronu po Basilio (Bazylim), z powodu ciążącej na nim przepowiedni, że jako władca będzie tyranem, jest przez roztropnych dworzan i samego króla od dziecka odosobniony w ciemnej

1 Platon, *Państwo* (614–620), przeł. Władysław Witwicki (Kęty: Wydawnictwo Antyk, 2003), 331-338.

celi, gdzie wie o sobie tyle, ile widzi: że jest nędzarzem i więźniem, w czym utwierdzają go wszyscy dokoła, traktując, jakby od zawsze żył w zastanych warunkach i z przypisanym mu statusem społecznym. Starzejący się król postanawia jednak przetestować prawdziwość przepowiedni i na krótki czas symuluje dla syna inne życie – usypia go podstępem, przenosi do pałacu i kiedy ten się budzi, traktowany jest jak król. Oczywiście wówczas dopiero prowadzi życie zgodne z przypisanym mu losem, podczas gdy więzienie uprzednio było symulacją. I choć z perspektywy dworzan jest odwrotnie, wprost swoje przebudzenie traktuje Segismundo. Biorąc próbę za rzeczywistość, działa. I zgodnie z przepowiednią (która prawdopodobnie by się nie spełniła, gdyby od dziecka był przyuczany do roli, a która spełnia się, jak w przypadku Edypa, dlatego właśnie, że przeklęty żył dotychczas jak dzikus w odosobnieniu) okazuje się monarchą zadufanym w sobie, niedorosłym, okrutnym i złym. Dworzanie zatem usypiają Segismunda ponownie, aby wybudził się znowu w celi nędzarzem i więźniem – nie rozumiejąc, czym był ów okres (symulacji) życia (w roli) monarchy. Segismundo jest przekonany, że było to wszystko snem, podobnie jak podczas owego krótkiego okresu wolności sądził, że jego uprzedni stan, zniewolenie, było koszmarnym snem, przywidzeniem. Ostatecznie historia Segismunda rozwiązuje się pomyślnie, nie bez udziału intrygi romantycznej i miłości uzdrawiającej skołataną duszę księcia, jednak możliwe jest to dopiero po pełnym cyklu obcowania z Losem i wyczerpaniu motywu utkanego przez Mojry dla rzeczywistości owego (polskiego) królestwa.

Allen rehabilituje Platona z powszechnych zarzutów

Nawiązań platońskich nie trzeba objaśniać, nadto są one tutaj wyraźne, łącznie z dość dosłownym ujęciem przez Calderóna „więzienia duszy" i samoświadomości poza nim. Na co warto jednak zwrócić uwagę, to że u Calderóna pojawia się element ilustrujący proponowaną przez Michaela Allena (jednego z największych współczesnych znawców neoplatonizmu starożytnego i myśli Ficina) interpretację platońskiej wizji cykli życia, pomijanej powszechnie: otóż według Allena nie tylko uwięziona w ciele, na ziemi dusza ludzka tęskni za lepszym światem, ale i tam, w lepszym świecie dusza tęskni za kolej-

nym wcieleniem i przeżyciem świata w jego wersji doczesnej[2]. Allen rehabilituje Platona z powszechnych zarzutów – obecnych na przykład u Kierkegaarda – o eskapizm, niechęć do cielesności i generalnie utopijno-wizjonerską ontologię bliską neoplatonizmowi, sytuującą świat zmysłowy niżej niż zaświaty. Co podkreśla Allen, powtarzana i rozwijana przez myślicieli i poetów na przestrzeni wieków platońska wizja dusz po śmierci proszących bogów o możliwość metempsychozy w różnych postaciach dowodzi niezbicie, że dla Platona świat doczesny był przedmiotem pragnienia nie mniejszym niż ten „drugi".

Wprowadziłam do rozważań Sørena Kierkegaarda nie bez powodu. W swoim (niedużym) arcydziele zatytułowanym *Powtórzenie*[3] (którą to lekturę polecam każdemu myślącemu i odczuwającemu człowiekowi) przywołuje on Platona[4] w pewnym konkretnym kontekście. Mianowicie gdy opisuje różnicę pomiędzy nastawieniem do życia nacechowanym „wspomnieniem" lub „nadzieją" a tym nacechowanym „odwagą odpowiedzialności za powtórzenie". Opacznie, powiedzielibyśmy dziś w kontekście badań Allena, Kierkegaard sytuuje Platona w towarzystwie typów nieaktywnych i biernych, eskapistycznie zatopionych w rozpamiętywaniu przeszłości takiej, jaką ona się stała i jaka została zatrzymana w obrazie zachowanym w pamięci. Podobnie, choć z wektorem zainteresowania przestawionym na przyszłość, zachowują się według niego ludzie zawieszeni w postawie nadziei – stanie, gdy lęk przed naruszeniem wyidealizowanego wyobrażenia o przedsięwzięciu powstrzymuje człowieka przed poczynieniem kroku ku realizacji, by praktyka i jej realia nie zniszczyły utopijnej ułudy doskonałego projektu. Osoby te wolą, jak kierkegaardiańscy „platonicy", bajać o wyobrażonych ideałach, niż konkretyzować plany kosztem kompromisów z rzeczywistością.

Przewijaniem w kółko i w kółko tego samego majacznego filmu o nierealnym lub „porealnym", przy jednoczesnym wycofaniu się z tego, co akurat jest realne

2 Michael J.B. Allen and Valery Rees, *Marsilio Ficino: His Theology, His Philosophy, His Legacy* (Boston: Brill, 2002), 161 i nast.

3 Søren Kierkegaard, *Powtórzenie. Próba psychologii eksperymentalnej przez Constantina Constantinusa*, przeł. Bronisław Świderski (Warszawa: Fundacja Aletheia, 1992).

4 Tamże, 49-51.

Kierkegaard utożsamia poniekąd tęsknotę za tym, co radykalnie inne, od tego, co aktualnie „jest", czyli za czymś, co „już nie jest" lub „jeszcze nie jest" – z uporczywym śnieniem tego samego. Przewijaniem w kółko i w kółko tego samego majacznego filmu o nierealnym lub „porealnym", przy jednoczesnym wycofaniu się z tego, co akurat jest realne. Trzecią opcję, tytułowe „powtórzenie", o którym traktuje całe, po mistrzowsku, szkatułkowo skonstruowane dzieło, można, w odniesieniu do indywidualnego rozwoju, zestawić z dwudziestowieczną koncepcją psychoterapii. I powrócić do kwestii snów w jeszcze innym znaczeniu.

W ubiegłym stuleciu, głównie za sprawą badań Zygmunta Freuda nad nieświadomością i jej treściami wpływającymi na świadomość, sny odzyskały – po wiekach głównie katolickiego racjonalistycznego hejtu wobec irracjonalizmu, wiary w gusła i przepowiednie – swój onegdaj (w czasach biblijnych) prestiżowy status w kulturze jako niepodważalne źródło informacji o nas samych. W wersji rozwiniętej przez Gustawa Junga sny stały się na powrót kierunkowskazem hermeneutycznym, *mutatis mutandis* jak w sławetnym bizantyjskim senniku Achmeta[5], choć zwróconym nie tyle na przewidywanie przyszłości, co na wyjaśnianie teraźniejszości. Co więcej, w teorii Junga sny są kierunkowskazem nie tylko wyjaśniającym los indywidualny i umożliwiającym interpretacje sprzyjające terapii neuroz[6], ale też kierunkowskazem wyjaśniającym znaczenia paradygmatów ludzkiej kultury.

ODKRYCIE I ODCZYTANIE „UKRYTYCH PRAGNIEŃ" UJAWNIAJĄCYCH SIĘ W SNACH NEUROTYKA

Powiązanie snów przez Zygmunta Freuda z nieuświadomionymi popędami poskutkowało jednak jeszcze silniejszym niż w myśli Platona nawet, powszechnym utożsamieniem snów z mimowolnym dochodzeniem do głosu ukrytych pragnień. Według Freuda nieuświadomione pragnienia są najczęściej wyrażane w treściach snów nie wprost, jako że zosta-

5 Por. Steven A. Oberhelman, *The Oneirocriticon of Achmet: A Medieval Greek and Arabic Treatise on the Interpretation of Dreams* (Lubbock, TX: Texas Tech University Press, 1991).

6 C.G. Jung, *Dreams*, trans. R.F.C. Hull (Princeton, NJ: Princeton University Press, 2010), 88 i nast.

ły uprzednio poddane stłumieniu lub wyparciu przez świadomość. Zepchnięte do ukrycia w nieświadomości pragnienia nie wygasły, ale przeciwnie – zaczęły wpływać na wolę w sposób niekontrolowany i nieograniczony. Przez to stały się skuteczne, działając po partyzancku, z zasadzki, pozostając nieoczywistymi dla świadomości. Przy tym, stojąc najczęściej w sprzeczności z pobudkami racjonalnymi, prowadziły do psychoz i neuroz. Poprzez odkrycie i odczytanie „ukrytych pragnień" ujawniających się w snach neurotyka, a następnie „powtórzone przeżycie" doświadczeń, które do powstania takich lub innych pragnień doprowadziły, terapeuta może według Freuda uleczyć nieuświadomione popędy; popędy, które stłumione zaburzonemu człowiekowi uniemożliwiają życie swobodne i wolne od lęków, poddane racjonalnemu i harmonijnemu samostanowieniu[7].

Podsumowując: dla platoników sen jest z jednej strony metaforą przedmiotu pragnienia – „tego drugiego życia" – a z drugiej metaforą każdorazowego przejścia pomiędzy nieciągłymi warstwami rzeczywistości (czy epokami, cyklami czasu), do których osiągnięcia potrzeba konkretnych działań; dla Kierkegaarda zanurzenie w sennych majakach jest metaforą funkcjonowania w czasie realnym „w zawieszeniu", powstrzymującym przed podejmowaniem działań – zaś działanie, twórcze powtarzanie, jest dla niego przekroczeniem snów; dla psychoanalityków faktyczne doczesne sny są natomiast przyczynkiem do aktywnego powtarzania zdarzeń w nich opisanych, do twórczego przekroczenia ich w terapeutycznym rozwoju.

„MAJAKI", „WYOBRAŻENIA", „UŁUDY"

Celowo do tej pory posługiwałam się słowem „sen" i jemu pokrewnymi – jak „majaki", „wyobrażenia", „ułudy", unikając określenia najbardziej ze snami kojarzonego leksykalnie: „marzenie". W polszczyźnie, w przeciwieństwie na przykład do języków romańskich i angielskiego, dysponujemy tymi dwiema pokrewnymi nazwami wyobrażeń oderwanych od naocznie danej rzeczywistości, częściowo w sposób zamienny, częściowo jednak odróżniając odpowiadające

7 Por. Zygmunt Freud, *Marzenia senne*, w: *Psychopatologia życia codziennego. Marzenia senne* (Warszawa: PWN, 1987), 349–351 i nast.

im zjawiska. Mówimy o „śnie", mając na myśli obrazy, mary, zjawy przedmiotów, miejsc i ludzi stawiane nam przez umysł, kiedy wola jest uśpiona (w każdym razie najczęściej – zdarzają nam się przecież także pół-kontrolowane sny, kiedy staramy się bardzo, by we śnie osiągnąć to, a nie tamto, lub by obudzić się, nim przejedzie nas pędząca lokomotywa). O „marzeniu" zaś mówimy, kiedy na jawie pozwalamy sobie na poluzowanie racjonalnej powściągliwości w formułowaniu pragnień i to pragnieniom umożliwiamy poprowadzenie wyobrażeń komponowanych przez umysł. Najczęściej używamy pojęcia „marzenie", kiedy odnosimy się do mało realnych, utopijnych lub zbyt energo- i czasochłonnych planów na przyszłość, by chcieć je realizować – rzadziej w odniesieniu do wspomnień i rozpamiętywania przeszłości.

A jednak, pisze Władysław Tatarkiewicz w eseju *Skupienie i marzenie*: [...] *gdy pęd wyobrażeń ogarnie nas i na dłuższą chwilę uczyni nieprzystępnymi dla otaczającego świata, gdy obejmie nas falą uczucia, wtedy zwykły stan bez skupienia przechodzi w postać wysublimowaną, w marzenie. W marzeniu następuje płynne rozwijanie się kojarzeń, odpływających od rzeczywistości w kierunku wspomnień czy fantazyj, a przez uczuciową potęgę wspomnień i oczekiwań niosące nastrój i wzruszenie. W marzeniu specjalnie występują wspomnienia dawno przeżyte a żywe; i gdy inne wyobrażenia nawracają raz po raz do rzeczywistości, te odwodzą w świat wyobraźni i uczyć. W stanach marzenia na dłuższą czy krótszą chwilę teraźniejszość przestaje działać na nas i pochłaniać nas, i wtedy żyjemy przez tę chwilę przeszłością i przyszłością, wspomnieniem i fantazją*[8]. Stany marzenia – czy też rozmarzenia – wywołać może, według autora, wiele zjawisk – przyroda, ludzie, inne wspomnienia – i sztuka. Przy czym nastawienie „rozmarzone" utożsamia autor z pozaestetycznym obcowaniem z dziełami, z nastawieniem „poetyckim", z natury swej sentymentalnym, lekko narcystycznym i powiązanym z elementami rzeczywistości bezpośrednio dotyczącymi rozmaitych doświadczeń z życia marzyciela, nie zaś natury i formy przedmiotu.

8 Władysław Tatarkiewicz, *Skupienie i marzenie. Studia z zakresu estetyki* (Kraków: Wydawnictwo M. Kot, 1951), 76.

Wracając do początku rozważań, można zauważyć dwie poniekąd niezależne linie rozwoju oneirotyki – w jednej sny i marzenia pozostają wizjami informującymi o przedmiotach będących treścią wizji lub innych, przez nie reprezentowanych, w drugiej sny i marzenia reprezentują symptomy pragnień lub luźno skoordynowane wspomnienia, echa i projekty pragnień.

Mieszają się one zarówno na gruncie platonizmu oraz psychoanalizy, gdzie na „sen" mówi się „marzenie senne" i każe się mu zawsze odpowiadać przedmiotom pragnień, jak i na gruncie przytoczonej wyżej myśli Kierkegaarda i ostatnio teorii Tatarkiewicza, gdzie status „marzenia" w sensie ścisłym, tj. wyobrażonych, choć wolitywnie zdystansowanych pragnień, przyznaje się także luźnym skojarzeniom na jawie wywołanym przez niezależny przedmiot postrzeżenia lub doświadczenie.

Zanikanie swobodnego opowiadania sobie snów zachodzi równocześnie z zanikaniem nawyku formułowania „marzeń". Silnie trzyma się zaś chyba „rozmarzanie się" – media społecznościowe pękają w szwach od pozbawionych często artyzmu i estetycznej spójności filmów, obrazów i historyjek wywołujących rozczulenie, sentymentalne wzruszenie i lekki stan samozadowolenia w obserwacji własnych reakcji.

Może czas na ponowne rozdzielenie znaczeń nazw „sen" i „marzenie"? **Ω**


CHCĘ STOCZYĆ
OSTATNIĄ BITWĘ
O MOJĄ SZTUKĘ

Ada Karczmarczyk

NIE DAM SIĘ WYPATROSZYĆ Z GŁĘBI!

WIELKA ODPOWIEDŹ KRYTYKOM SZTUKI

Byłam w podziemiach, gdzie krasnoludy z „Szumu" kują intelektualne tunele do odczytywania sztuki pluralizmami, dyskursami, podkręcanymi nierzadko złośliwościami. Byłam w krainie elfów z „Arteonu", która zatraciła swój duchowy wymiar, obladzając cały swój rejon skostniałym i skoncentrowanym na jednym sposobie widzenia sztuki kierunku myślenia. Byłam w krainie ludzi z „Dwutygodnika" z megalomańskimi światopoglądami i koronami poczucia lepszości przez to, że potrafią odczytywać elitarny język kultury. Byłam nawet w samym Mordorze umieszczonym w okolicach portalu Prawy.pl, gdzie orkowie, którzy nienawidzą sztuki nowoczesnej, porykują dziko, zniekształcając intencje artystów, aby ich politycznie poobgryzać

ilustracje: A. Karczmarczyk

Świat publicystyki kulturalnej jest miejscem niezmierzonym, na który składają się mniejsze i większe krainy. Dla takiej artystki jak ja przedzieranie się z moją sztuką przez te wszystkie królestwa, w których rządzą inne prawa i zwyczaje, było nie lada wyzwaniem. Mimo różnych przeszkód, mimo częstych ataków, jak i aktów uwielbienia udało mi się doświadczyć i przedrzeć się przez najważniejsze miejsca, w ostatnim czasie wszędzie pozostawiając ślad swojej obecności i treści, które niosę. Byłam w podziemiach, gdzie krasnoludy z „Szumu" kują intelektualne tunele do odczytywania sztuki pluralizmami, dyskursami, podkręcanymi nierzadko złośliwościami. Byłam w krainie elfów z „Arteonu", która zatraciła swój duchowy wymiar, obladzając cały swój rejon skostniałym i skoncentrowanym na jednym sposobie widzenia sztuki kierunku myślenia. Byłam w krainie ludzi z „Dwutygodnika" z megalomańskimi światopoglądami i koronami poczucia lepszości przez to, że potrafią odczytywać elitarny język kultury. Byłam nawet w samym Mordorze umieszczonym w okolicach portalu Prawy.pl, gdzie orkowie, którzy nienawidzą sztuki nowoczesnej, porykują dziko, zniekształcając intencje artystów, aby ich politycznie poobgryzać. Zanim dotarłam do miejsca, w którym jestem, byłam jeszcze w wielu pośrednich krainach publicystycznych i w każdej doświadczyłam czegoś innego, w każdej spotkało mnie trochę sympatycznych gestów i trochę bolesnych. Teraz, kiedy przebyłam swoją drogę, która w ostatnim czasie była najcięższa, bo najwięcej ciosów mi wymierzono ze wszystkich stron, chcę stoczyć ostatnią bitwę o moją sztukę, która kończy ten rozdział mojej drogi twórczej, przywracając jej honor w oczach historii sztuki.

Nie śpiewam jak Whitney Houston, nie tańczę jak Beyoncé, nie mam wielkiego sztabu profesjonalistów

Jest mi niezmiernie miło, że krytycy sztuki i publicyści różnych mediów w ostatnim czasie tak bardzo intensywnie pochylili się nad moją twórczością, poświęcili jej swoją uwagę i czas, zapisując swoje refleksje i odczucia. Niestety ostatnio większość z nich, a szczególnie krytycy sztuki, mimo bardzo ciekawego opisania mojej twórczości jako zjawiska głównie w kontekście formalnym zarzucili zupełnie bezpodstawnie i prawie jednogłośnie ubogą, banalną lub prześmiewczą warstwę treściową w moich pracach, o czym świadczą słowa Karola Sienkiewicza dla „Dwutygodnika": *Dosyć płaski, infantylny obraz Kościoła z lekcji katechezy dla przedszkolaków*, Łukasza Musielaka dla „Szumu": *Treść jest u niej prosta, żeby nie powiedzieć oazowo banalna*, Jana Bodakowskiego na portalu Prawy.pl: *Artystka szydzi z Kościoła katolickiego*, oraz Karoliny Staszak dla „Arteonu": *...religia jest właściwie przedmiotem zgrywy*. Niestety te słowa bardzo mijają się z prawdą, a taki sposób komentowania mojej twórczości może wynikać z bardzo powierzchownej obserwacji, wyczuwalnej niechęci do jej większego zgłębienia i najprawdopodobniej małej chęci zapuszczania się w tema-

ty teologiczne. Widząc, jak mocno krytyka sztuki jest w stanie zniekształcić obraz prawdy, nie mogłabym nie zareagować, tym bardziej że w grę wchodzi nie tyle moje artystyczne imię, ale przede wszystkim odbudowanie zaburzonej przez krytyków jej ewangelizacyjnej funkcji, która od czasu mojej przemiany była jej głównym założeniem. To publiczne wypatroszenie z treści moich działań przez krytyków spowodowało, że moja twórczość, zarówno ta pokazywana na wystawie *Bóg i dziewczyna* w poznańskim Arsenale, jak i w internecie, jest traktowana przez odbiorców świata sztuki podobnie powierzchownie, co powoduje ograniczenie pełnienia jej misji ewangelizacyjnej. Ich poczynania zaczęły sprawiać, że świat krytyki sztuki zamiast stawać się podparciem dla twórczości, która chce coś zmienić i wprowadzić znaczącego, staje się coraz bardziej machiną do zabijania w sztuce przemieniającego świat kierunku.

Kolejną smutną sprawą jest chęć unicestwiania potencjału tego, co narodziło się, mając na to minimum możliwości, a mimo to udało mu się rozwinąć skrzydła… rozwinąć na jakiś czas, bo widzę, że krytycy sztuki nie doceniają takiej sztuki, która powstaje z minimum możliwości, a mimo to aspiruje do wielkich produkcji. To, że nie śpiewam jak Whitney Houston, nie tańczę jak Beyoncé, nie mam wielkiego sztabu profesjonalistów, nie znaczy, że w prosty sposób nie potrafię czegoś, co jest ważne, zaśpiewać czy zatańczyć, ale niestety ten prosty, naturalny, nie zawsze idealny sposób już jest powodem do tego, żeby mi zarzucić, że jestem do niczego i że ośmieszam siebie i treści, które przekazuję. Z teologicznego punktu widzenia kamp, który miał być popem, wyraża pewien rodzaj bólu związanego z ograniczeniem wizji artystycznej przez materię. Ten bolesny rozdźwięk związany z tworzeniem często porusza ks. Tadeusz Dzidek w *Funkcjach sztuki w teologii*: *Tworzenie i przekraczanie wiąże się często z bólem – dysproporcją pomiędzy wysiłkiem a rezultatem, pomiędzy twórczą ideą a jej ucieleśnieniem w dziele sztuki. W jakimś sensie ludzki akt twórczy w warunkach tego świata jest skazany na niepowodzenie. Początkowy impuls zawiera w sobie wyobrażenie innej rzeczywistości, nowego życia. Jednak jego realizacja, ucieleśnienie w obrazie okazuje się często gorsze od zamierzenia. Daje się we znaki brak umiejętności, a także ubóstwo środków. W takim wypadku osiągnięty efekt jest bardziej symbolem innej rzeczywistości niż samą rzeczywistością. Wydaje się, że każde dzieło sztuki jest wyrazem bolesnej różnicy pomiędzy pierwotnym, subiektywnym impulsem twórczym a jego częściowym, fragmentarycznym ucieleśnieniem w obiektywnym świecie sztuki* (ks. Tadeusz Dzidek, *Funkcje sztuki w teologii*, s. 61). A ja po prostu próbuję, staram się najlepiej, jak mogę, i choć nie mam takich możliwości czasowych i finansowych jak profesjonalne gwiazdy, to wyciskam z siebie siódme poty, żeby sama walczyć o odbiorcę. Czuję, że

LUDZKI AKT TWÓRCZY W WARUNKACH TEGO ŚWIATA JEST SKAZANY NA NIEPOWODZENIE

chęć poszukiwania potknięć jest ważniejsza niż podkreślanie tego, co jest najważniejsze w twórczości artystów, tym bardziej że nie żyję w Eldorado, ledwo co udaje mi się związać koniec z końcem i muszę sobie jakoś radzić. Czy naprawdę jest tak trudno dziś spróbować otworzyć się i chcieć wierzyć w to, że da się stworzyć coś znaczącego z głębią i nośnego jednocześnie? Czemu próba uczynienia sztuki docierającej do szerszej grupy odbiorców przez pop czy kamp jest tak bardzo niedoceniana, skoro jest tą, która nie czeka biernie na wyciśnięcie energii z innych do przebicia się i przetrwania? Ale o tym już nikt z podobno wyspecjalizowanych do komentowania sztuki nie pisze i nie traktuje jako jakąkolwiek pozytywnej zaley.

Krytycy, którym odpisuję, prawie nie przeanalizowali poszczególnych dzieł dokładnie, nie potrafili dostrzec kenotycznego, uniżającego się charakteru sztuki, bardzo mocno wyrażającego wrażliwość chrześcijańską, nie powiązali mojej kolorowej popowej, radosnej sztuki ze słynnymi biblijnymi zapisami: Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do Królestwa Niebieskiego (Mt 18, 3), nie przeanalizowali dokładniej nawiązania mojej twórczości do religijnej sztuki ludowej, której celem było zawsze przybliżenie Boga zwykłym ludziom. Krytycy skupieni na moich intencjach nie poruszyli tematu intencji dzieła, które są kluczowe do wyczuwania tego, jaką dzieło w sobie treść niesie, co podkreślają słowa ks. Tadeusza Dzidka: *Sadzę, że interpretacja jest tym doskonalsza, im pełniej i bardziej harmonijnie uwzględnia trzy poziomy dzieła: intencję autora, intencję dzieła, intencję adresata* (ks. Tadeusz Dzidek, s. 61). A na koniec dodam jeszcze, że istnieje też duże prawdopodobieństwo, że ich obserwacje były zmącone medialnym wykrzywianiem mojego wizerunku przez nieprzychylnych mi ludzi. Te niezależne ode mnie działania przeciwników tematów religijnych w sztuce powodują nawarstwianie się wokół mnie niesympatycznej aury w oczach innych, którą krytycy nie powinni się sugerować, a czuję w wielu ich słowach wybrzmiewanie tego niemiłego zniekształcenia mojej osobowości artystycznej.

Ja się koleguję z tymi, którzy dla zhermetyzowanego art-worldu nie powinni dotykać się do sztuki nowoczesnej

Ale może to nie o niechęć do popowej formy chodzi, może nie o religijne przekonania, ale o coś innego? O co? Może o to, że ja się koleguję z tymi, którzy dla zhermetyzowanego art-worldu nie powinni dotykać się do sztuki nowoczesnej!? W wielu tekstach odczuwa się wielki ból autorów wydający się wynikać z tego, że nagle bardziej uwierzyły we mnie środowiska, których obecność na polu sztuki nie wydaje się upragniona. A może problem polega na tym, że owi opiniotwórcy boją się uznać, że w moich pracach naprawdę może być głębia, a forma może być skuteczna? Może forma i przekaz, które afirmuję, jest niewygodne? Może boją się, że przemiana świata sztuki pod kątem duchowości chrześcijańskiej, a jednocześnie szerokie otwarcie

się go na korzystanie z taktyki popkultury mogłoby podważyć wiele jego dzisiejszych założeń? Dlatego właśnie starają się zasłonić i ukryć mój przekaz peleryną krytyki, mówiąc, że jest płytki, podobnie jak osłabić zalety popowej formy czy już nawet kampowej, tak żeby młodzi adepci sztuki nie wpadli na pomysł, by zacząć tworzyć popową ewangelizacyjną sztukę? Co by to było, gdyby tak się stało? Na pewno byłby to koniec pewnej epoki, w której tak wielu chce żyć, bo jest dla nich dosyć wygodna.

ODPOWIEDŹ ŁUKASZOWI MUSIELAKOWI NA TEKST *ADA! CZY SZTUCE TO WYPADA?*

OPUBLIKOWANY NA „SZUMIE" (26.02.2016):

Najgorsza zbrodnia krytyka sztuki to ta, która pozbawia w oczach wszystkich czyjąś twórczość głębi. To zbrodnia brutalna i pełna podstępnej przemocy perswazyjnej, która poniża czyjąś sztukę, tak żeby nikt się nie zorientował, że coś się dzieje nie tak. Działanie Łukasza Musielaka w moim kierunku nosi ślady takiej zbrodni, choć mimo tego, że tak wielu czytelników było jej świadkami albo jej nie zobaczyło, albo udaje, że jej nie widziało. Wydarzenie było zaplanowane perfekcyjnie. Pan Musielak napisał tekst *Ada! Czy sztuce to wypada?* o mojej sztuce w taki sposób, aby nikt nie dopatrzył się przejawów jakiegokolwiek przestępstwa krytycznego. Niby ładny, miły początek, parę sympatycznych tekstów, parę komplementów, bajerowanie, wprowadzenie w delikatne uśpienie czujności, żeby po chwili przejść do sedna sprawy, wykorzystać sytuację i paroma zdaniami pozbawić w jednej chwili całą moją sztukę głębi. Po akcie takiej niezauważalnej dla innych publicystycznej przemocy autor oddalił się po publikacji tekstu bez jakiegokolwiek uszczerbku. Czyn pozostał prawie niezauważalny, tylko na moim imieniu pozostało nieusuwalne skojarzenie z dziwką, która zrobi wszystko dla kasy, co sugerują sprytnie sformułowane w jego tekście zdania: *Mówienie o religii językiem konsumpcji jest bardzo ryzykowne. Mamy tu do czynienia z językiem dziwki, która zrobi wszystko, żeby klientowi wyciągnąć z kieszeni portfel. Trzeba mieć do takiego języka ogromny dystans, żeby umiejętnie skierować jego ostrze w przeciwnym kierunku. Niestety Ada jest zbyt głęboko zanurzona w popkulturze i konsumpcjonizmie, żeby zdołać taki zabieg skutecznie przeprowadzić.* Ból, który autor tekstu zadał, choć już minął, pozostawił bliznę, której nic już do końca nie usunie, jednak jako adresatka tego sformułowania powracam, aby odkryć na oczach wszystkich, co krytyk strasznego mojej twórczości w tamtym czasie uczynił, pozostawiając mnie w oczach całego świata sztuki jako tylko i wyłącznie tanią w formie i pustą w treści artystkę.

Nieusuwalne skojarzenie z dziwką, która zrobi wszystko dla kasy

No, ale zacznijmy od początku całą reanimację mojej sponiewieranej przez tekst pana Musielaka sylwetki artystycznej. Najbardziej w tekście na temat mojej sztuki razi krytyka to, że jest popowa, i twierdzi, że do popu nie mam dystansu. Nie wiem, skąd autor wysnuwa takie wnioski, skoro w wielu wywiadach powtarzam, że czerpię inspirację z taktyki popu i że ma on dwie twarze, dlatego zawsze trzeba się dokładnie wsłuchiwać, jaki przekaz z sobą niesie. Tutaj na przykład wielokrotnie podaję, że piosenki Beyoncé, Madonny, Katy Perry, Lady Gagi, w których miłość jest najczęściej eksplorowanym tematem, mają zupełnie inny kierunek niż piosenki Lany Del Ray i Rihanny, gdzie pycha, egoistyczne zapędy i mrok są najchętniej eksplorowanym zagadnieniem. To wykorzystanie popu, które stosuję, jest przystosowaniem odbiorcy, którego wyobraźnia jest popem przesiąknięta, do pozytywnego otwarcia się na tematy duchowe. Ten zabieg często przejawiał się w przeszłości w dostosowywaniu sztuki pogańskiej (którą można by nazwać dziś pop) do chrześcijańskiej w celach ewangelizacyjnych. Wspomina o tym ks. Tadeusz Dzidek: *Wiemy, że wcześni myśliciele chrześcijańscy, jak Justyn, Klemens Aleksander czy Orygenes, mocno podkreślali pozytywne osiągnięcia kultury, a zwłaszcza filozofii pogańskiej, jako swoistego przygotowania do przyjęcia Ewangelii. Nic więc dziwnego, że czasem następowały dziwaczne próby dostosowania pogańskiej sztuki religijnej do przekazywania wyższości nowej religii* (Ks. Tadeusz Dzidek, s. 141).

Autor tekstu zarzuca, że treść w mojej sztuce jest prosta, banalna, a nie przeanalizował ani jednego z moich plakatów, nie rozebrał na czynniki pierwsze ani jednego z moich tekstów, nie skupił się na niczym konkretniej i wysnuwa nietrafne tezy. Krytyk nie przeanalizował ani jednego z popowych w formie plakatów, które intrygują wielu teologów, nie potrafił



dostrzec wszystkich interpretacji screenów z teledysków, gdzie odniosłam się do wielkich myślicieli i filozofii chrześcijańskiej tomizmu, neoplatonizmu itp. Ale nie będę tutaj wypisywać tego, czego pan krytyk nie zauważył, bo przecież mało chciał zauważyć z przekazu, który zawarłam. A nie, przepraszam, zapomniałam, zauważył pan krytyk, że tańczę rzekomo rozerotyzowanie na teledysku *Church is a girl*. No tak, to rozbudziło już wyobraźnię niestety nie jako krytyka sztuki, ale raczej podekscytowanego gimnazjalisty, który zamiast wsłuchać się w tekst piosenki, zaczyna sobie wyobrażać więcej, niż widzi, zamiast ujrzeć w mojej pracy Kościół, który walczy, tańcząc metaforycznie, o przyciągnięcie wiernych. Nie jest to pierwsza zresztą sytuacja, kiedy pan Musielak woli w swoich tekstach pochylać się tylko nad tymi elementami mojej sztuki, które wykorzystują elementy mojego ciała do przekazania ważnych treści. Ale wartościowych treści już pan Musielak nie chce za bardzo zobaczyć.

Zarzuca autor tekstu mojej produkcji nieprofesjonalność, która przeradza się w groteskowość i karykaturalność, ale nie dostrzega w ogóle jako zalety tego, że właśnie to, że spróbowałam wszystko zrobić sama i podjąć walkę z takimi umiejętnościami, jak komponowanie, miksowanie, nagrywanie, sama samiuteńka, i to właśnie uczynić ważnym elementem sztuki i podkreślenia tematu niezależności kobiety. Dla krytyka nie jest ważna walka, nie jest ważne podjęcie wyzwania, jakim jest stworzenie całej obszernej produkcji, tylko właśnie ważne jest te parę procent, których nie mogłam przeskoczyć na tamtym etapie. To jest dla niego wyznacznikiem mojej sztuki – porażka, a nie cała chęć nieustannej walki. Nie mówiąc już o tym, że przez cały czas, kiedy wszyscy mnie tylko krytykowali, nikt z profesjonalistów z własnej woli i ludzi, którzy mieliby możliwości do polepszenia mojej produkcji, nie wyciągnął nawet ręki, żeby pomóc, i po takich tekstach jak Łukasza Musielaka pewnie mało kto ze środowisk okołoartystycznych by się na taki ruch teraz odważył.

W jego tekście zarzucane jest mi po raz kolejny to, że kampowość nie wynika ze świadomego wyboru, ale dla mnie kamp to właśnie ten element tworzenia, moment sztuki, która chce aspirować do wielkich produkcji, mając minimum możliwości. Kamp to minimum, z którego wykluwa się wielka wiara, która nie traci nadziei, że może się wzbić w wielki pop. Kamp dla kampu dla mnie jest czymś niżej niż kamp.

Kolejnym niedorzecznym dla mnie stwierdzeniem jest to, że według pana krytyka pop nie jest pojechaną formą, bo według niego pop jest konserwatywny. No może za czasów Britney Spears czy Backstreet Boys, na których pan krytyk się najwyraźniej zatrzymał, taki był, ale od czasów Lady Gagi pop w formie w paru swoich momentach chyba nawet przerósł sztukę nowoczesną, a na pewno skonsternował tylu odbiorców co sztuka, a może nawet więcej…

KAMP TO MINIMUM, Z KTÓREGO WYKLUWA SIĘ WIELKA WIARA

Autor twierdzi też bezpodstawnie, że kobiecość, którą opisałam, sprowadza się tylko do jednego aspektu, że jest niebezpieczna, uwodzicielska, czyli tylko w konserwatywnej formie podana, ale tego, że ma intelektualny, mistyczny czy artystyczny charakter, który był w charakterystykach psychologicznych kościołów chrześcijańskich i ich przedstawieniach portretowych, to już pan krytyk nie zauważył. Może były za bardzo statyczne, za mało wulgarne i zbyt zakryte, żeby coś w nich dostrzec więcej? Skonstruowanie zatem jakiejkolwiek opinii na podstawie skrawkowej obserwacji świadczy o strasznej niekompetencji krytyka.

Pan Musielak twierdzi również, że kwintesencja kultury konsumpcyjnej polega na wzbudzaniu pożądania i odwlekaniu spełnienia, dlatego mówienie takim językiem o religii jest ryzykowne. Niestety bardzo się tutaj autor myli, gdyż odwlekanie spełniania jak najbardziej jest chrześcijańskie, a nie konsumpcyjne. Chrześcijaństwo skupia się wokół idei szczęścia długoterminowego, na które trzeba czekać i pracować, a nie krótkoterminowego, które jest na wyciągnięcie ręki. To, jak widać, panu Musielakowi nie bardzo się podoba. Wolałby pewnie, żeby spełnienie było jak najbliżej, a nie było takim, o które trzeba powalczyć, pracując nad sobą. Promowanie takiego spełnienia bez odwlekania, które bardziej by się podobało autorowi, jest kwintesencją szatańskiego sposobu myślenia. Tekst krytyczny pana Musielaka chce zniechęcić innych do mojej promocji wstrzemięźliwości na korzyść swoich teorii szybkiego zaspokajania żądz.

Odwlekanie spełniania jak najbardziej jest chrześcijańskie

Kolejną niedorzecznością jest to, że autor twierdzi, że w niesproblematyzowanym języku konsumpcji nie ma jednak miejsca na pogłębioną duchowość, którą ja chcę promować. Ale ja nie używam języka konsumpcji, tylko popowej formy, a pop to nie jest tylko rynek, zyski i straty! Pop dla mnie to przede wszystkim idealna forma do niesienia misji! Jedni chcą wykorzystywać pop do celów czysto rynkowych, ale są tacy, którzy wykorzystują to, że pop może docierać dalej, żeby edukować, żeby zawierać ważne treści, przecież najwięcej piosenek popowych jest o miłości! Autor totalnie nie potrafi dostrzec transgresji, której dokonałam, polegającej na przesunięciu z profanum na sacrum, czyli sakralizacji profanum oraz tego, że moje wykorzystanie popu jest oddolnym działaniem na rzecz przemiany świata, a skoro świat jest zanurzony w popie, to trzeba nauczyć się nim posługiwać, a nie izolować od niego sacrum. Porusza ten temat ks. Andrzej Draguła w *Bluźnierstwie*: *Chrześcijaństwo nie uważa samo siebie za sacrum, ponieważ jako całość nie jest odizolowane od świata, lecz zostało ustanowione w świecie, żeby osiągnąć swoje spełnienie. Zadaniem chrześcijaństwa nie jest więc ustanowienie jakiejś wydzielonej sfery sakralnej, ale wewnętrzna, oddolna przemiana świata i skierowanie go ku Bogu* (ks. Andrzej Draguła, *Bluźnierstwo,* towarzystwo „Więź”, 2013, s. 69).

Autor zarzuca mi również, że nieustannie mówię tylko o sobie, totalnie nie rozumiejąc, że moja sztuka jest połączona z moim życiem i to, co się dzieje w moim życiu, jest elementem kluczowym do odczytywania mojej twórczości. Wszystko, co opowiadam o swojej przemianie, jest działaniem na rzecz lepszego zrozumienia impulsów, z których takie, a nie inne dzieła powstały. Wszystkie moje wypowiedzi na temat rzeczywistości i otaczającego świata są zawarte w moich działaniach artystycznych, wystawach, koncertach, spotkaniach, bez których aktywna funkcja mojej sztuki nie byłaby możliwa. Ale to już krytyk odczytuje jako chęć sławy i gwiazdorzenie.

Podsumowując: w mojej sztuce duchowych treści jest dużo, ale trzeba mieć chęci, żeby je znaleźć a, a skoro takich prób prawie nie ma w tekście krytyka, ciężko jego wywody traktować jako profesjonalne. Jeśli ktoś nie chce czegoś zobaczyć, to tego nie zobaczy. Jeśli nie chce uwierzyć, to również nie uwierzy. Pan Musielak nie chciał pomóc odbiorcom w odnalezieniu treści w mojej sztuce, zakrył ją peleryną swojej publicystycznej hipnozy sugerującej, że moja sztuka jest pusta. Zachował się jak magik albo iluzjonista, ale ja (cytując słowa Tennessee Williamsa) *jestem przeciwieństwem magika, on daje wam iluzję pod pozorem prawdy, ja daję wam prawdę pod pozorem iluzji.*

Nie napisałam tego tekstu dla satysfakcji, choć być może powinnam żądać publicznego przeproszenia mnie przez pana Musielaka za poniżające słowa, w których porównał moje działanie do języka dziwki, ale aby uświadomić wszystkim, jak łatwo jest ukryć zbrodnię w sztuce, jak łatwo jest poniżyć taką artystkę jak ja w oczach innych, której nikt nie odważy się bronić, w przypadku której zakłada się, że skuli się i nic już nie piśnie o tym, co jej zrobiono, ale zawsze przeliczają się przeważnie ci, którzy są przekonani, że mogą być od innych silniejsi. Moglibyśmy razem pooglądać teledyski Lady Gagi, Katy Perry, na podstawie których bym krytykowi wszystko wyjaśniła, gdybym tylko nie miała tego bolesnego wspomnienia, jakie Łukasz Musielak swoim tekstem mi wyrządził.

ODPOWIEDŹ KAROLOWI SIENKIEWICZOWI NA TEKST *KATECHETKA*

OPUBLIKOWANY NA „DWUTYGODNIKU" (LUTY 2016):

Mam wrażenie, że tekst Karola Sienkiewicza, który pojawił się na „Dwutygodniku", jest przykładem krytyki sztuki, która zapiera się i walczy wewnętrznie z chęcią widzenia więcej podczas analizowania twórczości eksplorującej duchowe tematy. Tekst opisuje moją twórczość bardziej od strony formalnej, jednak odczuwa się wyjątkową niepewność krytyka co do zagłębienia się w jej treści teologiczne. Tę niepewność odczytuję jako walkę

SENTYMENT DO MAŁOMIASTECZKOWEJ POBOŻNOŚCI

wewnętrzną autora i choć tekst w wielu momentach jest trochę bolesny dla mnie, to i tak bardzo cenię cały wkład i wysiłek włożony w pochylenie się nad moją sztuką i próbę jej przeanalizowania. Dostrzegam wielką tęsknotę autora za sztuką sakralną i przedstawieniami religijnymi, których namiastkę odnajduje w mojej popowej czy też kampowej sztuce. Ten sentyment do małomiasteczkowej pobożności przewija się już w pierwszych opisach mojej osoby i jednocześnie co chwila jest on rozbudzany wewnętrznym buntem przejawiającym się wytykaniem mi przejawów odchodzenia mojej sztuki od sakralnego kunsztu warsztatowego. Kiedy się spotkaliśmy na żywo, autor wydawał mi się raczej ciepłym spowiednikiem wszystkich artystów sztuki krytycznej, ale w tekście o mnie jego spokojny duszpasterski głos nabrał chwilami wibracji prosto z ognistego karcącego kazania na temat banalności mojego przekazu. Wydaje się, że z jednej strony treść zawarta w mojej sztuce mu nie wystarcza, a z drugiej autor, patrząc na mnie trochę z góry, nie do końca chce się jej przyjrzeć dokładniej. Z tego powodu w moim odpowiadającym tekście chciałabym sprostować parę nieścisłości oraz wyjaśnić pewne nie do końca zrozumiane bądź źle odebrane niuanse, które autor poruszył, i nakierować na wypieraną wewnętrznie przez niego głębię moich prac.

DO CHÓRU SPECJALNIE WYBRAŁAM DMUCHANE LALKI Z SEX-SHOPU, BO ZAWSZE BARDZO IM WSPÓŁCZUŁAM

Estetyka, której używam, z założenia nie wygląda na pasującą do treści, a wykonanie odbiega od perfekcyjnych popowych produkcji, co powoduje, że powierzchowniej analizujący moją sztukę odczuwają swego rodzaju dysharmonię, która najprawdopodobniej też drażni autora. Ja jednak chętnie w odpowiedzi zacytuję fragment *Wyznań* św. Augustyna na swoją obronę: *W niektórych jednak częściach stworzenia istnieją pewne rzeczy, które uważamy za złe, gdyż nie harmonizują z innymi rzeczami. Ale są jeszcze inne takie, z którymi one harmonizują – a więc i one są dobre; także w samych sobie rzeczy są dobre. I wszystkie rzeczy, które się nawzajem ze sobą nie zgadzają, harmonizują z niższą częścią świata, którą nazywamy ziemią; niebo jest chmurne i wietrzne, lecz właśnie takie jest odpowiednie dla ziemi* (św. Augustyn, *Wyznania*, wyd. Znak, 2009, s. 197).

Główny zarzut co do mojej sztuki, jak można się domyślać, dotyczy zakresu warsztatowego, o którym autor pisze: *Lata świetlne dzielą ją od jej idolek, Madonny czy Lady Gagi*. Madonna wcale nie śpiewa superprofesjonalnie i na tym zawsze polegała jej moc, pokazała, że jak ktoś bardzo chce czegoś, a nie ma takich możliwości jak inni, to wcale nie znaczy, że ma z tego rezygnować. Lady Gaga na początku wcale nie śpiewała tak dobrze jak teraz, więc określanie, że lata świetlne mnie dzielą od nich, jest nietrafione, gdyż mój głos również ewoluuje. I tutaj zgadzam się z autorem co do tego, że wyciągnęłam wnioski z Katarzyny Kozyry i jej przesłania, że



marzenia stają się rzeczywistością i że każdy może śpiewać, jeśli tylko do tego dąży i podejmuje walkę.

W adresowanym do Boga *Mistrzu Wszystkich Mistrzów*, gdzie wcielam się w misjonarkę, mając za chórek dwie czarne dmuchane lalki z sex-shopu, autor podkreśla, że gotowe na seks oralny śpiewają razem ze mną, nie dostrzegając, że te lalki pod wpływem transformacji ich w chórek przestały pełnić swoją pierwotną funkcję. Do chóru specjalnie wybrałam dmuchane lalki z sex-shopu, bo zawsze bardzo im współczułam, że ktoś stworzył lalkę prezentującą człowieka do bardzo upodmiotawiających ją celów. Postanowiłam przekonwertować te skojarzenia z upodmiotowieniem na pozytywniejsze skojarzenia związane z otwieraniem ust do śpiewu, dając lalkom możliwość odegrania roli radosnych gospelowych chórzystek. Chciałam w ten sposób podkreślić, że wszyscy rodzimy się z grzechem, ale wszyscy mamy potencjał do przemiany i dzięki Bogu zostaniemy zbawieni, dlatego warto podążać za Nim. Misją każdego z nas jest właśnie takie konwertowanie świata i dawanie innym ludziom zawsze szansy na przemianę. Dlatego tak ważna jest dokładna analiza moich prac, aby pod powłoką czegoś, co nam się kojarzy ze strefą profanum, dostrzec sacrum, co idealnie podkreśla-

POD POWŁOKĄ CZEGOŚ, CO NAM SIĘ KOJARZY ZE STREFĄ PROFANUM, DOSTRZEC SACRUM

ją słowa św. Augustyna w *Wyznaniach: Są też rzeczy mające pozory występków, a jednak niebędące grzechami, gdyż ani nie obrażają Pana Boga, ani nie naruszają więzi społecznej* (św. Augustyn, s. 86).

Kolejny mój twór, na który autor kręci nosem, to piosenka *Czysta pipa*. Pisze on, że piosenka ta jest fantazją o chorobach wenerycznych, tymczasem utwór metaforycznie porównuje różnego rodzaju choroby ciała do choroby duszy, która ich się nabawia poprzez życie w rozwiązłości i niepohamowanej pożądliwości.

Dużą nieścisłością jest też stwierdzenie, że moja nieszczęśliwa miłość do Oskara Dawickiego pojawiła się po wystawie *Tylko Mnie Kochaj* w Białostockim Arsenale, tymczasem ona była podsumowaniem mojego platonicznego ognistego uczucia, które żywiłam do bohatera książki i znanego artysty zarazem. Miłość do Oskara wydarzyła się przed wystawą w Arsenale i właśnie wystawa była moją formą terapii i opowiedzenia o przypadłości kochania się w wyobrażonym ukochanym.

Autor twierdzi też, że moja sztuka nie ma nic wspólnego z awangardą, ale widocznie inaczej rozumiemy to pojęcie, bo dla mnie nie jest to, jak to określa autor, język, który miałby być trudny w odczytaniu czy zrozumieniu jak u Malewicza. Z tego, co wiem, to ten termin jest wykorzystywany również obecnie dla określenia dokonań artystycznych, które wykraczają poza schematy i nie poddają się prostej klasyfikacji. To zespół tendencji i trendów w sztuce XX wieku odrzucający dotychczasowe style, kreujący własny świat, nienaśladujący rzeczywistości, szukający odrębnego języka wyrazu. Tak więc uważam, że moja sztuka jako trudna do sklasyfikowania i burząca dotychczasowy sposób przedstawiania treści religijnych właśnie bardzo dobrze wpasowuje się w działania awangardowe.

KIEDY PUSTKA W GŁOWIE, MARIA JĄ WYPEŁNI

Protestuję też przeciwko uznaniu mojego przekazu za płaski i infantylny. Jest on o wiele bardziej zakamuflowany i ukryty. *Sztuka nigdy nie dąży do ułatwienia i prostego pouczenia* (Piotr Martin, *Nieoczywistość sztuki*, wyd. Arboretum, 2004, s. 151). Trzeba chcieć się zagłębić bardziej w moją sztukę, aby odkryć ukryte w niej wskazówki. W tekście *Jaraj się Marią*, w którym autor zarzuca mi, że nic mu nie podpowiada, całe zwrotki mówią o tym, co daje jaranie się Nią, czyli afirmowanie Matki Boskiej. Kiedy pustka w głowie, Maria ją wypełni – to znaczy, że jest inspiracją, duchowość wypełnia nas jakimś większym sensem. *Maria wyratuje*, że wstawia się za nami i może spowodować, że coś dobrego nam się w życiu wydarzy. *Z nią się wyluzujesz* oznacza, że wierząc w Nią, czujesz, że ktoś nad Tobą czuwa, że ktoś Cię prowadzi i wiesz, że nie jesteś sam.

Autorowi nie podoba się również to, że robię piosenki okolicznościowe na zamówienie. To, że artysta robi pewne rzeczy na zamówienie, nie uważam, żeby było jakimś wielkim odejściem od jego profesji, natomiast są takie prace, których

wykonanie na zamówienie mijałoby się z celem sztuki, jak np. piosenka *Miłość to czy performans*, którą napisałam parę lat wcześniej, kochając się w Oskarze Dawickim, ale w pełni zaprezentowałam ją na wystawie *Miłosny Performans*, gdyż to była najlepsza okazja. Sama zaproponowałam taki występ, a nie stworzyłam go na zamówienie w ramach otwarcia wystawy, jak sugeruje autor tekstu.

Karol Sienkiewicz twierdzi też, że moja sztuka z uwagi na formę to sięganie po miecz obosieczny. Ja natomiast inaczej bym tę sytuację nazwała, przytaczając fragment z *Wyznań* św. Augustyna: *Bądźcie płodne i mnóżcie się – Myślę, że tym błogosławieństwem udzieliłeś nam możności i zdolności zarówno wyrażania różnymi sposobami takich rzeczy, które tylko w jeden sposób pojmujemy, jak i wielorakiego rozumienia tego, co tylko w jeden tajemniczy sposób zostało zapisane* (św. Augustyn, *Wyznania*, s. 442).

Tekst Karola Sienkiewicza zatem ma, jak widać, wiele uszczerbków i nieścisłości w kolejności faktów, jednak mimo tego doceniam ekspresję i energię, jaką włożył w chęć opisania mojego przypadku. Sztuka sakralna niewątpliwie pociąga autora i kto wie, może niebawem obudzi się w nim zapęd do tematów mocniej teologicznych. Zawsze chętnie potowarzyszę Sienkiewiczowi, gdyby miał ochotę pokontemplować w świątyniach religijne dzieła sztuki lub zapoznać się z seminarzystami i młodymi duszpasterzami, którzy mogliby pomóc autorowi zagłębić się w świat myśli chrześcijańskiej bardziej profesjonalnie.

ODPOWIEDŹ JANOWI BODAKOWSKIEMU NA TEKSTY:

ZACHĘTA ZNOWU PROFANUJE SACRUM (21.10.2015),

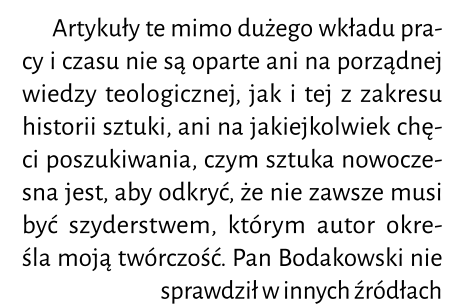
„FRONDA LUX" PRZEDSTAWIA JAKO KATOLICZKĘ ARTYSTKĘ PROFANUJĄCĄ SACRUM (15.12.2015),

TVP KULTURA ZATRUDNIŁA AUTORKĘ BLUŹNIERCZYCH FILMIKÓW, FEMINISTKĘ I PUBLICYSTKĘ „GAZETY WYBORCZEJ" (4.03.2016) OPUBLIKOWANE NA PORTALU PRAWY.PL

Z uwagi na dosyć duży wkład w zainteresowanie się moją sylwetką artystyczną i może nie do końca udane, ale bardzo intensywne i żarliwe pochylenie się nad moją twórczością w ostatnim czasie, chciałabym się odnieść do refleksji pana Jana Bodakowskiego na temat mojej sztuki. Muszę przyznać, że bardzo trudna jest polemika z tymi tekstami, gdyż wyczuwa się w nich autora, który ma jedną wizję świata, którą chce sobie udowadniać zniekształcaniem i wykrzywianiem cudzych intencji. Nie jest mi dane wiedzieć, co spowodowało, że autor wytworzył tak mocny mur wokół swego serca, otoczył swoją głowę żelazną powłoką, budując w środku świat pełen ciernistych myśli. Wyczuwa się w tekstach

pana Bodakowskiego długoletnią izolację od świata pełnego kwiatów i miłości niczym u bestii, która za wszelką cenę chcę ukryć swoją wrażliwą naturę lub niespełnionego artysty, który podczas pierwszych prób twórczych został brutalnie przemieniony w ropuchę. Trudne jest podejście do tak zdziczałego wilkołaka wypisującego na mój temat krwiożercze słowa na portalu Prawy.pl i ochronienie się przed ziejącym w moim kierunku ogniem. Wyczuwam jednak gdzieś w środku wołanie o pomoc, o uwolnienie z tej pętającej wrażliwą duszę powłoki skrajnie prawicowej bestii wytresowanej przez jakichś nieoswojonych z kulturą i sztuką orków z Mordoru.

Artykuły te mimo dużego wkładu pracy i czasu nie są oparte ani na porządnej wiedzy teologicznej, jak i tej z zakresu historii sztuki, ani na jakiejkolwiek chęci poszukiwania, czym sztuka nowoczesna jest, aby odkryć, że nie zawsze musi być szyderstwem, którym autor określa moją twórczość. Pan Bodakowski nie sprawdził w innych źródłach moich wypowiedzi, które mówiłyby o moich intencjach, które tak ważne są do interpretacji dzieła, o czym



Autor tekstu czuje wielki sentyment do ognistych czasów wielkich skandali religijnych



przypomina ks. Tadeusz Dzidek: *Z punktu teologicznej analizy dzieła sztuki cenne są te informacje, które odsłaniają religijność artysty, jego postawę wiary* (ks. Tadeusz Dzidek, s. 38). Najprawdopodobniej tak nietrafna interpretacja moich prac bierze się z uprzedzenia do sztuki, instytucji i środowiska artystów wynikającego z widzenia sztuki przez pryzmat skandali, które często również były wykorzystywane w celach politycznych. Mam wrażenie, że autor tekstu czuje wielki sentyment do ognistych czasów wielkich skandali religijnych, żyje nadal tamtą epoką i na siłę stara się działać w jej duchu, nie zdając sobie sprawy, że wiele się zmieniło i że w świecie sztuki istnieją różni artyści, również tacy, którzy chcą afirmować religię jak ja. Cytuję fragment *Funkcji sztuki w teologii*, w którym ks. Tadeusz Dzidek przypomina o tym, jak ważne jest przy analizie dzieła rozeznanie w dziejącym się świecie sztuki: *Dla wydobycia intencji utworu ważne jest także uchwycenie jego relacji z tradycją artystyczną, istniejącym „światem" sztuki* (ks. Tadeusz Dzidek, s. 41).

Trochę jest mi smutno i przykro, że w moich filmach zniesmacza autora to, że w stroju aniołka wykonuję bokserskie ciosy, które nie są skierowane w kierunku Serca Jezusowego, tylko wykonywane na jego tle mają podkreślić dążenie do walecznej anielskości, takiej, która podejmuje wyzwanie walki z mrokiem. Przykro mi, że obraża go piosenka, w której sugeruję podążanie za Jezusem, które przedstawiłam w postaci obrazka z Jezusem Miłosiernym na sznurku, który pokazany w ruchu inspiruje nas

Przykro mi, że obraża go piosenka, w której sugeruję podążanie za Jezusem



do podążania za nim. Trochę smutno mi również, że utwór *Embriony na trony* został odebrany jako satyra, bo w swoim założeniu miał pokazać, jak embrion zwycięża nad trupią czaszką, czego autor też już nie przyuważył.

Zabrakło tutaj ze strony autora chęci zagłębienia się w moją twórczość, chęci poznania, bez którego jakakolwiek analiza dzieła jest niemożliwa, o czym pisze również ks. Tadeusz Dzidek w *Funkcjach Sztuki w teologii*: *Postawą konesera jest jego zaangażowanie i kontemplacja. Umożliwia ją otwartość i wrażliwość, która pozwala stwierdzić, że świat w dziele sztuki to inny świat, który przejawia się w naszym własnym. Udzielamy dziełu gościny w nas. Jednakże kontemplacji nie należy rozumieć jedynie jako stanu samej bierności lub otwartości na dzieło sztuki. Istnieje bliski związek między kreatywnością artysty a kontemplacją widza. Kontemplacja zawiera także wyraźnie aktywny i twórczy element. Ona jest czymś więcej niż stanem: jest aktem, przedzieraniem się do innego świata. Widz czuje się pochwycony, zaproszony bądź – jeszcze bardziej intensywnie – porwany, by uczestniczyć w nowej rzeczywistości i w nowym doświadczeniu* (ks. Tadeusz Dzidek, s. 62).

JEST TO ZNAK, ŻEBY PAN BODAKOWSKI ZACZĄŁ PISAĆ TEKSTY WŁASNYCH PIOSENEK, LIRYKI CZY TOMIKI POETYCKIE

Mimo tych wszystkich przykrych słów, które autor napisał w moim kierunku, nie czuję żalu ani nienawiści, gdyż rozumiem, że nie każdy miał w życiu możliwości, żeby się na sztukę otworzyć. Dostrzegam jednak olbrzymią chęć przebywania ze sztuką nowoczesną, chłonięcia jej i opisywania. Potencjał ten odczytuję po bardzo dużej chęci zagłębiania się w moją sztukę i analizowania dosadnie wielu jej szczegółów. Wkład pracy, niesamowita energetyczność i liczba tekstów autora powodują, że moja sztuka nabiera ożywczych rumieńców. Być może wynika to z tego, że przez innych krytyków jestem traktowana raczej jednorazowo, ale u pana Bodakowskiego widzę pewnego rodzaju stabilność i nieustanną chęć powrotów do mojej sylwetki artystycznej. Ta konsekwencja nawet w opacznym odczytywaniu mojej twórczości świadczy o pewnym typie heroizmu, poświęcenia się dla mojej sztuki, aby głosić o niej wszystkim. Spisanie ze słuchu wszystkich piosenek, które pojawiły się w pierwszym tekście, które niestety musiałam sprostować, świadczą o wielkiej kreatywności i chęci tworzenia. Być może jest to znak, żeby pan Bodakowski zaczął pisać teksty własnych piosenek, liryki czy tomiki poetyckie i zaczął dzielić się nimi na portalach internetowych. Wyczuwam też pewien intrygujący potencjał krytyczny i talent analityczny, który gdyby został należycie pielęgnowany i wspierany, mógłby wykluć się z niego być może całkiem ciekawy typ krytyka sztuki, nie mówiąc już o interesującym talencie do tworzenia happeningów, który świadczy o odwadze performerskiej. Dzięki wejściu pana Bodakowskiego w świat sztuki mogłaby ona zrodzić coś naprawdę wyjątkowego, coś, co mogło-

by nadać jej interesującego charakteru i wnieść pewien rodzaj nowej siły.

Wszystko to jednak byłoby możliwe, gdyby pan Bodakowski chciał się otworzyć na sztukę nowoczesną bardziej, która – mam wrażenie – napawa go też pewnym wewnętrznym lękiem. Ale proszę się nie stresować, zawsze jestem dyspozycyjna, gdyby publicysta portalu Prawy.pl chciał dać się wprowadzić bardziej w meandry tej dziedziny humanistycznej. Możemy się wybrać razem do muzeum albo galerii, jeśli nie czuje się pan Bodakowski tam komfortowo, a ja mogę spróbować wprowadzić go w tajniki odczytywania sztuki nowoczesnej. Może napisałby potem jakiś interesujący tekst krytyczny po obejrzeniu jakiejś ciekawej wystawy ze mną? Tak więc podsumowując, drogi panie Bodakowski, więcej uśmiechu i otwartości na sztukę! Może do mrocznej i kamienistej krainy, którą Pan sobie wytworzył w sercu, dzięki sztuce wejdzie wreszcie radość, słoneczność i czułość, za którą, co wyczuwa się w pana felietonach, pan bardzo tęskni ;)

ODPOWIEDŹ KAROLINIE STASZAK NA TEKST *NIE JARAM SIĘ ADU*

OPUBLIKOWANY W „ARTEONIE” (NR 3 MARZEC 2016):

Tekst Karoliny Staszak na temat mojej twórczości porównałabym do listu wysłanego z samej stolicy „Krainy Lodu”, do której wejścia strzeże autorka niczym Królowa Śniegu rzucająca soplami w każdego wędrowca, który spróbuje odwiedzić te rejony. Autorka w oblodzonym pałacu z „Arteonem” na sztandarach obserwuje z dumą krainę niedostępną dla takiego typu artystów, których obecność mogłaby naruszyć porządek ułożony jedną wizją rozumienia tego, czym jest sztuka. Każda chęć wejścia na jej teren z czymś niekonwencjonalnym jest ryzykowna, a każdy przejaw niedopasowania się do kanonu tego, co ona uważa za sztukę konserwatywną, grozi uruchomieniem jej pisarskiej gilotyny dla niedopasowańców. Tak więc rejon to niebezpieczny i mało kto z artystów nowoczesnych z kontrowersją wypisaną na fladze jest w stanie poprzebywać w tej hermetycznej i skostniałej krainie dłużej. Tu wszystko musi być ciężkie, a każdy przejaw lekkości w sztuce, odbierany jako groteska, karykaturalność czy nawet opacznie jako cyniczność, jest kierowany do sali tortur. Moja chęć roztopienia pałacu z lodu może być ryzykowna, ale postaram się wyciągnąć z siebie choć parę wbitych we mnie sopli lodu, które Królowa Śniegu wymierzyła mi w swoim tekście *Nie jaram się Adu* w „Arteonie”.

POSTARAM SIĘ WYCIĄGNĄĆ Z SIEBIE CHOĆ PARĘ WBITYCH WE MNIE SOPLI LODU, KTÓRE KRÓLOWA ŚNIEGU WYMIERZYŁA MI W SWOIM TEKŚCIE

Niestety mimo wielu interesujących refleksji w tekście Karoliny Staszak w większości są one oparte na mocnym niezrozumieniu mojej twórczości bądź na uprzedzeniu do niej. Myślę, że niezrozumienie

mojej sztuki jest tak duże, bo obydwie opieramy się na innym rozumieniu założeń konserwatywnego charakteru sztuki, którego wypaczenie chce mi wykazać autorka w swoim tekście. Delikatniejsza forma, uzyskanie efektu oraz *myślenie o sztuce to poszukiwanie jakości, będącej rezultatem działania artysty, który jest świadomy, jakimi narzędziami i środkami dysponuje*, które dla autorki jest wyznacznikiem takiej sztuki, nie jest według mnie żadną stabilną cechą, która miałaby określać jej konserwatywny wymiar. Konserwatywny charakter sztuki dla mnie to ten, którego intencją jest kierowanie odbiorcy na treści i wartości nieprzemijalne, forma natomiast powinna być ich przekaźnikiem. To, jakie medium i środki, i w jaki sposób je wykorzysta twórca, podlega przekazywanej treści, ważne, żeby człowiekowi, który żyje w danej epoce, i temu, który przyjdzie po nim, udało się z niej wyciągnąć refleksje nakierowujące na te nieprzemijalne treści.

Kolejną sprawą, w którą nie mogłam uwierzyć, czytając tekst Karoliny Staszak, było jej stwierdzenie, że sztuka nie powinna być narzędziem przemiany. A czym niby była przez tysiące lat sztuka sakralna, religijna? Czyż punktem wyjścia do jej tworzenia nie była właśnie chęć przybliżenia zwykłym ludziom, którzy nie umieli czytać, treści religijnych? Przecież ewangelizacyjny wymiar sztuki sakralnej to impuls do przemyśleń religijnych, ulepszenia człowieka i świata, czyli jego przemiany. Podkreśla to ks. Tadeusz Dzidek: *Istnieje dość powszechne utrwalone przekonanie, że zasadniczą formę przekazu Objawienia stanowi pisane słowo. Tymczasem w większości kolejnych epok historii chrześcijaństwa, z wielką masą analfabetów, najbardziej podstawowym źródłem wiary było doświadczenie wizualne i w mniejszym stopniu doświadczenie dźwiękowe. Dramat liturgii, hymny i kazania, rekonstrukcje biblijne historii w misteriach, obrazy i rzeźby świątyń były tym, co inspirowało ich wiarę (*ks. Tadeusz Dzidek, s. 140).

Różnica między afirmatywnym, promocyjnym wyrazem sztuki, którą tworzę, jest czymś innym niż wykorzystanie sztuki do celów propagandowych, co zarzuca mi znowu krytyczka. Różnica pomiędzy pierwszym a drugim polega na tym, że w pierwszym przypadku sztuka zachęca nas do refleksji na temat afirmowanej idei, kiedy w drugim nie zachęca do refleksji, tylko próbuje nam wmówić, że to jest jedyny dobry sposób myślenia. Gdyby moja sztuka była propagandowa, nie byłaby atakowana przez zwolenników idei, które afirmuję, bo treści byłyby od razu czytelne, a zaplątane w popowej i awangardowej formie nie są na pierwszy rzut oka łatwe do odczytania, trzeba przy nich trochę pomyśleć.

Autorka stwierdziła również, że moja kompromisowość formy flirtującej z popem jest zaprzeczeniem radykalnego wyrazu Ewangelii, tymczasem treść, którą zawarłam w swoich pracach, jest tak radykalna jak Ewangelia, przy czym przekazywana w nośnej, popowej formie podobnie jak sztuka sakralna ilustrująca Ewangelię. Gdyby sztuka sakralna była bezkompro-

misowa w formie, to byłaby zaprzeczeniem tego, czym jest sztuka. Tymczasem właśnie jej twórczy i często efektowny na miarę popu charakter wynikający z chęci przybliżenia ludziom często skomplikowanie opisanych treści religijnych było kwintesencją jej powołania. Taka funkcja przeobrażająca sztuki religijnej została opisana w *Nowym leksykonie sztuki chrześcijańskiej*: *Model przeobrażający – oznacza taki proces, w którym artysta pozostając w istocie wiernym tekstowi i biblijnemu tematowi, potrafi jednak naładować go nieznanymi rezonansami, niejako przepisać go na nowo, ukazując ukryte w nim myśli i pozwalając na ujawnienie się tkwiących w tym temacie nieoczekiwanych możliwości; nie jest to zwyczajna aktualizacja słowa Bożego, ale przeobrażająca wierność* (*Nowy Leksykon Sztuki Chrześcijańskiej*, wyd. Jedność, 2013, s. 144).

Kolejnym nietrafnym stwierdzeniem jest dewaluujące mnie jako artystkę porównywanie do celebrytek, których cel jest rozbieżny z moim. Gdybym była przez autorkę porównywana do gwiazdy, raczej nie miałabym z tym problemu, gdyż dobra gwiazda wytwarza i sens, i atrakcyjną formę, a celebrytka nie wytwarza wartościowego sensu, przy czym wytwarza atrakcyjną formę. Zatem porównanie mnie do gwiazd jest na miejscu, ale do celebrytek jest raczej niemiłym aktem.

Kampowość mojej sztuki drażni autorkę tym, że nie wynika z mojego świadomego zamierzenia, którym jest pop w swojej profesjonalnej odmianie, ale że jest wynikiem mojej nieudolności, co wyrażają jej



TREŚĆ, KTÓRĄ ZAWARŁAM W SWOICH PRACACH, JEST TAK RADYKALNA JAK EWANGELIA

słowa: *Kampowość, czyli konwencja „złego gustu", nie jest tutaj kwestią zamierzonej od początku gry, lecz efektem rozminięcia się założeń i ambicji z umiejętnościami*. Karolina Staszak nie potrafi odnaleźć w tych słowach starej prawdy teologicznej, która mówi, że tworzenie sztuki zawsze jest ograniczone materialną rzeczywistością i przez to zawsze efekt będzie rozminięty z założeniem bez względu na to, jak wiele siły i pracy artysta wkładałby w proces twórczy.

Wydaje się, że każde dzieło sztuki jest wyrazem bolesnej różnicy pomiędzy pierwotnym, subiektywnym impulsem twórczym a jego częściowym, fragmentarycznym ucieleśnieniem w obiektywnym świecie sztuki (ks. Tadeusz Dzidek, s. 24). Podobnie w moich słowach dotyczących pewnych wydarzających się przypadków w mojej twórczości (które dla mnie nie są przypadkowe) nie potrafi autorka odnaleźć momentu wpływania transcendencji na ostateczny efekt dzieła niezależny od intencji autora, co wyrażają słowa Gadamera: *Chodzi nie o to, co robimy, nie o to, co powinniśmy robić, lecz o to, co dzieje się z nami niezależnie od naszej woli i działania* (Hans-Georg Gadamer, *Prawda i metoda*, Piotr Martin, *Nieoczywistość sztuki*, wyd. Arboretum, 2004, s. 24).

Innym zarzutem jest problem z performatywnym charakterem moich działań, które według autorki są zaprzeczeniem tego, czym jest dla niej Ewangelia. Pisze: *nie robi Ewangelii, tylko wieczny performance*. A czy Ewangelia nie jest też performance'em Boga? Aktem twórczym stworzonym z miłości dla ludzi? A może i nawet dokładnie jednym wielkim miłosnym performance'em, którego założeniem jest pełny miłości gest artysty w stronę drugiego artysty, którego przejawy w sztuce polskiej badała i opisywała niedawno Zofia Krawiec?

NIE CHCĘ POZOSTAWIAĆ TYCH Z PRZEŻARTYMI MÓZGAMI NA PASTWĘ LOSU MROCZNEGO INTERNETU

Walka to następny temat, na który kręci nosem autorka i twierdzi, że sztuka nie powinna walczyć. Sztuka dla sztuki albo nihilistyczna zapewne nie powinna, bo jej domeną jest leżenie i czekanie, aż inni wyprują z siebie flaki, żeby ją podtrzymywać przy życiu, ale sztuka ewangelizacyjna ma w samych swoich fundamentach wpisaną walkę, szczególnie w dzisiejszym świecie coraz mroczniejszego internetu, którego czarne otchłanie czekają na młodych i szukających wrażeń adeptów pustki. Moja misja to nieodwrócenie się od nich i machnięcie na nich ręką, ale właśnie dostanie się w takie miejsca, w których natknięcie się na moją sztukę może być jednym z nielicznych sposobów na wyciągnięcie choć jednego przeżartego internetem mózgu do czegoś wartościowszego. I tutaj cytuję ks. Tadeusza Dzidka: *Dla współczesnych świat to dzianie się i zmiana, nie zaś niezmienny byt, że bliższy jest im język mediów niż klasycznej filozofii, że nie tylko nie rozumieją pojęć zaczerpniętych z tej filozofii, ale nie chcą sobie zadać trudu, by je rozumieć* (Robert M. Rynkowski, *Każdy jest teologiem*, wyd. WAM, 2012, s. 124). Tak więc ja w przeciwieństwie do Karoliny Staszak nie chcę pozostawiać tych z przeżartymi mózgami na pastwę losu mrocznego internetu, bo to oni potrzebują przekazu zawartego w mojej sztuce o wiele bardziej niż ci bez mózgu tak mocno przeżartego internetem.

Innym tematem, który jest wyjątkowo problematyczny dla krytyczki, jest moja rosnąca sława, która według niej zaprzecza byciu człowiekiem wierzącym czy religijnym, insynuując, że to, co robię, wynika z samouwielbienia. Jeśli człowiek nie czuje

powołania, nie rozumie również powołania u innych do przekazywania ważnych treści większej grupie odbiorców i myślenia, jak tego dokonać. Bo czy do misji, która zajmuje się przekazywaniem treści, nie jest potrzebny rozgłos? Bo jak je przekazać bez rozgłosu, bez sławy i bycia powszechnie znanym? Chyba nie licząc na to, że sztuka, którą włożymy do szuflady, sama z niej wyjdzie i zacznie rozgłaszać głośno zawarte w niej treści, albo łudząc się, że malując obraz, na który nikt nie zwróci uwagi, coś przekażemy? Pytanie zatem jest nie – czy sława jest dobra, czy zła dla artysty religijnego, ale w jakim celu taki artysta ją wykorzystuje (tym bardziej że dziś sława w dobie coraz większego hejtingu jest coraz większym piekłem). Czy artysta powinien być tylko jak katechetka trafiająca ze swoimi myślami do paru uczniów, czy może też być jak papież, który trafia do milionów? Czy papież bez sławy pełniłby swoją funkcję? Przecież nikt mu nie zarzuca z wiernych, że jest sławny.

No i oczywiście zarzutem największym jest to, że moja sztuka jest odbierana przez innych jako krytyka religii, co burzy jej założenia, ale niestety prawda jest taka, że jeśli tak zostaje odbierana, to głównie dlatego, że ludziom sztuki jeszcze nie mieści się w głowie, że pewien rodzaj prześności, który zawiera moja sztuka, jest jej zaletą, a afirmowanie czegoś, od czego ludzie uciekają ze strachu przed wyjściem na naiwnych, może być całkiem na serio. Ale to nie znaczy, że to się nie będzie zmieniać razem z nieuniknioną ewolucją świata sztuki. Tak więc podsumowanie autorki twierdzące, że rewelacją dla sztuki byłaby moja cyniczna gra, jest oparte na bardzo słabej obserwacji tego, co się dziś dzieje w sztuce, i punktu, w którym się znalazła. Cyniczna gra dla cynicznej gry może i dziesięć lat temu mogłaby być rewelacyjna, ale dziś sztuka zapędziła się sama w kozi róg i albo jej totalne samobójstwo, albo nawrócenie, które ja postuluję, może coś zmienić.

Podsumowując cytatem: *Trzeba powrócić do samej istoty rzeczy, a więc do pełnego pasji poszukiwania Boga w naszym codziennym życiu, w tych warunkach, które niesie współczesność* (Robert M. Rynkowski, s. 7). Myślę, że Krainie Lodu przydałoby się, żeby jej władczyni spróbowała otworzyć się na radośniejszy typ sztuki religijnej, na jej lekkość i przebojowość. Całej krainie i samej autorce dałoby wiele, gdyby spróbowała sama zatańczyć albo zaśpiewać, aby poprzyciągać więcej odbiorców do typu sztuki, o który tak się martwi. Dlatego zachęcam do otworzenia się na nowy sposób przedstawień treści nieprzemijalnych, bo nie chciałabym, aby naszym państwom choć na jednym kontynencie sztuki położonym groziła sytuacja tak dużego nieporozumienia. Nie chciałabym, aby nasze inne sposoby rozumienia konserwatywnego charakteru sztuki przerodziły się w wieloletnią wojnę, która nie sądzę, żeby coś dobrego dała odbiorcom sztuki, na których refleksjom i rozwoju obydwu nam zależy. **Ω**

Ewa Polak-Pałkiewicz



Lefebvre – człowiek, który nie umiał milczeć

W czasie gdy w Kościele prawie wszystko kończy się na „tak, ale", gdy starannie omija się wszelkie dogmatyczne stwierdzenia, gdy strategia uników pozwala niemal całkowicie wyeliminować z refleksji wierzących naukę o rzeczach ostatecznych, wieczności nagrody i kary, zastąpioną przez nieustanny hymn na temat doczesności, głosy Bractwa św. Piusa X brzmią naprawdę wyzywająco. Mogą być odbierane jako nie tylko nazbyt kategoryczne, ale nawet „niepotrzebnie jątrzące". W końcu minęły już czasy, gdy nas straszono piekłem; teraz wszyscy idziemy „do Domu Ojca"

Cechą najwyższej inteligencji jest wprowadzanie porządku, nadawanie celu rzeczom: rzeczy są dla innych. Człowiek jest dla Boga. Musi on tendere in Deum – *dążyć do Boga. Dajmy naszym wiernym mocną duchowość, zbudowaną na podstawowych prawdach* (abp Marcel Lefebvre).

O ile koncepcja „człowieka-celu" i „człowieka-centrum" *odpowiada współczesnej mentalności, nie ma ona żadnego oparcia w religii, która wszystko zwraca ku Bogu, nie ku człowiekowi. Człowiek nie jest samoistnym celem. Jest on celem wtórnym*, ad aliud *(tj. skierowanym ku innemu celowi), poddanym panowaniu Boga, który jest uniwersalnym celem stworzenia* (Romano Amerio, *Iota unum*, Komorów 2003).

Nikt nie widział ich nigdy w cywilnym ubraniu

Gdy widzi się ich na zdjęciach z okazji święceń czy uroczystości, ma się wrażenie powrotu do czegoś odległego, zapomnianego, ale wciąż przedziwnie bliskiego. Zawsze mają równo złożone ręce,

zawsze porządne sutanny, stoją w rzędach w pozycji wyprostowanej. Dlaczego księża Bractwa św. Piusa X nigdy nie pozwalają sobie na odrobinę choćby luzu? Znają łacinę i biegle się nią posługują. Cytują św. Tomasza. Najchętniej rozmawiają o tym, co zawierają stare katechizmy. Podczas kazań mówią o życiu duchowym, grzechu, sądzie, piekle, niebie i czyśćcu. Nie pochlebiają wiernym, nie częstują ich na początek kazania wylewnymi podziękowaniami, że zdecydowali się przyjść w niedzielę na mszę, i nie życzą miłego dnia. Nikt nie widział ich nigdy w cywilnym ubraniu. Jeżeli sutanna noszona w każdych okolicznościach mogłaby być znakiem przynależności do sekty, to tak, są sektą. Przecież tyle razy się słyszy: „sekta lefebrystów", „ci schizmatycy od Lefebvre'a". W zasadzie nie ma obelgi, której by im nie przyznano.

[…] *zanim rzucimy kamień na cudzołożnicę, powinniśmy prześwietlić własne sumienie* – apelował w czasie ostatniej wojny do amerykańskich katolików abp Fulton J. Sheen. – *Jaki jest pożytek ze świata, który pragnie obalić Hitlera lub Stalina, jeśli zachowuje on jednocześnie ducha będącego dla nich pożywką? Aby móc sprawiedliwie sprzeciwiać się narodowi będącemu wrogiem Boga, musimy wierzyć w Boga; nie możemy miażdżyć bożków tego narodu, zachowując jednocześnie nasze własne bożki* (*Whence Come Wars*, 1940). Słowa te wyjątkowo dobrze opisują dzisiejszą sytuację zawieszenia konfliktu między Kościołem a światem, którego błędy próbuje się w Kościele usprawiedliwiać, a często wchłania się je bez ograniczeń.

Jednym z tych błędów było potępienie francuskiego arcybiskupa Marcela Lefebvre'a i czterech konsekrowanych przez niego biskupów (słynna ekskomunika Jana Pawła II z 1988 roku) i gromy, które sypały się przez ponad 40 lat na głowę jego oraz kapłanów z założonego przez niego Bractwa św. Piusa X. Zwłaszcza dziś, po ogłoszeniu przez Franciszka posynodalnej adhortacji *Amoris laetitia,* która odsłania ponurą prawdę, że Kościół „odnowiony" przez ostatni sobór rozstaje się dziś z doktryną nie tylko w kwestiach teologicznych, lecz także moralnych, błąd ten jest szczególnie widoczny.

Słynna ekskomunika Jana Pawła II z 1988 roku

Tym, co zawsze uderza w sposobie wypowiadania się księży bractwa, jest bez wątpienia ton swobodnej pewności. A nawet kategoryczności stwierdzeń. Bez cienia jednak akademickiej powagi, posępności

czy nawet jakiejś lekko złośliwej satysfakcji (o co się ich często posądza), z powodu morza ignorancji na temat prawd wiary, jakie rozlewa się dziś wśród ludzi ochrzczonych. W czasie gdy w Kościele prawie wszystko kończy się na „tak, ale", gdy starannie omija się wszelkie dogmatyczne stwierdzenia, gdy strategia uników pozwala niemal całkowicie wyeliminować z refleksji wierzących naukę o rzeczach ostatecznych, wieczności nagrody i kary, zastąpioną przez nieustanny hymn na temat doczesności, takie głosy brzmią naprawdę wyzywająco. Mogą być odbierane jako nie tylko nazbyt kategoryczne, a nawet „niepotrzebnie jątrzące". W końcu minęły już czasy, gdy nas straszono piekłem; teraz wszyscy idziemy „do Domu Ojca". Tak bardzo odzwyczailiśmy się w Kościele od pozbawionych intelektualnego wahania twierdzeń, w których przebija niezrozumiała dla wielu pewność, że grzech człowieka jest czymś tak niewyobrażalnie obrażającym Boga, że aby zadośćuczynić sprawiedliwości Bożej, musiał ponieść mękę Syn Boży!

Przyjęcie przez ojców soborowych modernistycznej teologii

Nasi Pasterze traktują nas trochę jak dzieci specjalnej troski, którym należą się miłe, pogodne opowiadania o miłosiernym, wręcz dobrotliwym Ojcu i sentymentalnym, współczującym Synu. I o tym, że miłość do człowieka, wielorako okazywane współczucie – a więc także akceptowanie „różnorodności" – jest właściwym kluczem do nieba. Ich łagodne utyskiwania o tym, że „wiernych dotknął kryzys wiary", w niczym nie mogą zmącić coraz bardziej obojętnie traktowanego przekonania, że cokolwiek się w naszym życiu stanie, jak głęboko byśmy nie pobłądzili, i tak wszyscy spotkamy się „na niebieskich pastwiskach", bo „Bóg jest Miłością".

Nawet Benedykt XVI w encyklice *Spe salvi* sugeruje, że *Chrystus nie zniszczył grzechu swoją odkupieńczą śmiercią, ponieważ grzech nie stanowi przeszkody dla miłości Boga. On nam po prostu objawił, że ten grzech nie jest przeszkodą. Nadzieja nie jest niczym innym, jak przypomnieniem tej „prawdy"* [...] *Dlatego też kryterium odróżniającym „zbawionego od potępionego" jest samo „pragnienie prawdy" i „otwarcie na miłość"*, jak pisał ks. Patrick de La Roche FSSPX w komentarzu do encykliki, opublikowanym w 2008 roku. Według wszystkich posoborowych papieży liczą się bowiem tak naprawdę intencje, nie uczynki.

CZŁOWIEK JEST DLA BOGA

Według krytyków Bractwa św. Piusa X prawdziwym jego problemem w Kościele jest fakt, że nie jest ono w stanie bezkrytycznie podejść do tez zawartych w dokumentach ostatniego soboru. Tez, które, jak nietrudno zauważyć, potwierdzają przyjęcie przez ojców soborowych modernistycznej teologii, negującej filozofię i teologię, która jest podstawą nauczania wszystkich przedsoborowych papieży. Ci, którzy stoją na gruncie tradycyjnego Magisterium i nie zamierzają udawać, że da się ono pogodzić z tezami soboru, nie mogą, zdaniem większości biskupów, także polskich, znaleźć się we wspólnocie Kościoła. Ten pogląd najprawdopodobniej zostanie niedługo odesłany do lamusa, nie wiadomo jednak, czy z powodu jego nielogiczności, czy raczej przeświadczenia, że praktykowany obecnie ekumenizm pozwala na „różne ekstremizmy".

Religie i kulty […] przeczą sobie wzajemnie

W 1959 roku ukazało się w „Ateneum Kapłańskim" omówienie *Opowiadania o Antychryście* Włodzimierza Sołowiowa i zarazem komentarza do tej książki autorstwa Antanasa Maceiny. Pierwszym krokiem do zniszczenia samej idei Boga w sercach i umysłach ludzkich jest, jak pisze Jan Sośnicki, autor omówienia, *stworzenie świątyni dla wszystkich kultów i wszystkich religii łącznie. Jak wiadomo, religie i kulty* […] *przeczą sobie wzajemnie. Ten, kto uznaje wszystkie, właściwie nie uznaje żadnego. Takie stanowisko wobec religii, wobec prawdy religijnej, dowodzi tylko głębokiej obojętności wobec Boga. Uznając wszystkie sprzeczne „prawdy", nie uznaje się żadnej. Zaciera to w człowieku jasne pojęcie idei Boga. Zaciera kontakt osobisty z Bogiem. Przygotowuje w duszy głęboką obojętność wobec Boga*. Obniżając cześć religijną w ogóle, niszcząc osobistą relację człowieka z Bogiem, stwarza się uczucie „czczości i nudy". *Masowa forma w ten sposób zrodzonej apostazji nie jest wrogością wobec Boga, nie jest walką z Bogiem, nie jest „anty-teizmem", ale jest całkowitym zapomnieniem o Bogu, zapoznaniem Boga* (tekst Jana Sośnickiego opublikował w 2001 roku miesięcznik „Zawsze Wierni").

Arcybiskup Marcel Lefebvre miał wyjątkowe wyczucie postępu tego zjawiska – w Kościele i w całej kulturze. Gdy analizował w jednym ze swoich *Listów do zagubionych katolików* różnice między tzw. nową mszą a mszą trydencką, pokazywał, w jaki sposób w nowej liturgii mszalnej umieszczono te same elementy, które do nabo-

żeństw protestanckich wprowadził Luter, dbając starannie o zachowanie pozorów, że wszystko zostało po staremu. *Czy wam to czegoś nie przypomina? Lutrowi zależało także na stworzeniu nowych hymnów, mających zastąpić „wszystkie te papistyczne mamrotania”.* Reforma zawsze przyjmuje postać rewolucji kulturalnej (M. Lefebvre, *Ofiara czy pamiątka?*, „Zawsze Wierni”, listopad–grudzień 2003).

Założyciel Bractwa św. Piusa X nie umiał w Kościele milczeć. Jego przeciwnicy uważali to nie tylko za wyjątkową nieroztropność, ale za rzecz gorszącą, przejaw absolutnie karygodnego nieposłuszeństwa. Nie mógł milczeć, ponieważ był człowiekiem, który w kwestii tego, kim jest Bóg, zachował niezmąconą pewność – „odkąd przyszedł do używania rozumu”, jak się kiedyś mówiło.

Reforma zawsze przyjmuje postać rewolucji kulturalnej

Od św. Tomasza arcybiskup Lefebvre przejął zasadę i podstawę: człowiek jest a Deo, ad Deum*: od Boga i dla Boga. Człowiek musiał więc wrócić do zasady, która była też jego celem, bo został ukierunkowany nie przez porządek statyczny, ale dynamiczny, bo każdy porządek ma cel* – pisał w poświęconej mu książce biograficznej jeden z konsekrowanych przez niego biskupów, Francuz Bernard Tissier de Mallerais (cytując wykład arcybiskupa na temat duchowości, wygłoszony we Fryburgu w 1970 roku):

Cechą najwyższej inteligencji jest wprowadzanie porządku, nadawanie celu rzeczom: rzeczy są dla innych. Człowiek jest dla Boga. Musi on tendere in Deum – dążyć do Boga. Dajmy naszym wiernym mocną duchowość, zbudowaną na podstawowych prawdach.

Dlatego soborowa doktryna Gaudium et spes *wydawała mu się tak monstrualna* – uzupełniał bp Tissier de Mallerais. *Uznawała bowiem w człowieku, a nie w Bogu, centrum i szczyt wszystkiego na ziemi* [...], *zasadę i cel wszystkich instytucji* [...]. *Wręcz przeciwnie* – głosił arcybiskup Lefebvre – *szerząc zasadę celowości* [w Bogu], *miłość staje się motorem wszelkiej aktywności. Stąd bierze się fundamentalny błąd liberalizmu, zarówno w duchowości, jak w porządku publicznym: zmierza on do lekceważenia celu ludzkiej wolności ze szkodą dla praw Bożych i dla panowania miłości Bożej* – podsumowywał francuski autor*.

Wiara, msza św. trydencka, kapłaństwo

Wierzyć w Boga – ten imperatyw staje się powoli czymś nieistotnym w samym Kościele. A w każdym razie na pewno czymś

bardzo abstrakcyjnym. Nie wiadomo bowiem, czy chodzi tu o Boga-człowieka, czy o człowieka-boga.

Wiara, msza św. trydencka, kapłaństwo – te trzy sprawy były główną osią dzieła Marcela Lefebvre'a. Propagandowy schemat, który panował w mediach katolickich i świeckich przez blisko czterdzieści lat, narzucał obraz arcybiskupa jako człowieka nieprzejednanego, pełnego prywatnych fobii i niezdrowych ambicji, niemal osobistego wroga Pawła VI i Jana Pawła II. A nade wszystko sprawcy rozłamu w Kościele. Nikt jednak w sprawie założenia Bractwa św. Piusa X nie wypowiadał się na żadnym forum katolickim jasno.

Zaczynał w Gabonie w 1932 roku, jako kapłan i zakonnik ze Zgromadzenia Ducha Świętego. Kierował założonym przez siebie wyższym seminarium w Libreville. Był wikariuszem apostolskim i pierwszym arcybiskupem Dakaru, wreszcie mianowanym przez Piusa XII delegatem apostolskim na całą Afrykę francuskojęzyczną. Po trzydziestu latach pobytu w Afryce misjonarz Marcel Lefebvre zostawił tam kwitnącą cywilizację chrześcijańską. Rozmach, z jakim przewodził misjom Kościoła, oraz liczba nawróconych animistów każą myśleć o złotym wieku chrześcijaństwa w Czarnej Afryce. Zyskał wtedy wielkie poparcie i życzliwość Piusa XII dla misji, był inspiratorem jego encykliki *Fidei Donum*.

JESTEM BISKUPEM, WIĘC BĘDĘ MÓWIĆ!

Niektórzy publicyści, próbując scharakteryzować arcybiskupa, twierdzili, że po Soborze przyjął rolę nieformalnego przywódcy „ruchu tradycjonalistycznego". Teza ta sugeruje, że był człowiekiem o niezaspokojonych ambicjach politycznych. Nic bardziej mylnego. Po soborze abp Lefebvre miał zamiar usunąć się w cień i przetrwać w szwajcarskim klasztorze okres gwałtownego burzenia dawnego porządku doktrynalnego i dyscyplinarnego, zajmując się pracą na rzecz Kongregacji Rozkrzewiania Wiary. (Dzięki polityce prymasa Stefana Wyszyńskiego, wprowadzającego zalecenia soboru stopniowo i nie bez oporów, burzy tej doświadczyliśmy w Polsce w mniejszym stopniu).

Tylko dwóch seminarzystów nosiło sutanny

W 1968 roku tylko dwóch seminarzystów we Francuskim Seminarium w Rzymie – tym, które arcybiskup ukończył w roku 1927 – nosiło sutanny. W maju tego roku klerycy wywiesili z okien czerwoną flagę, by poprzeć zrewoltowane tłumy we Francji. Odpowiadając na usilne prośby kilkunastu kleryków z Francji i Niemiec, przerażonych rozmiarami zniszczeń w Kościele, pozbawionych duchowej opieki i szansy na formację we własnych seminariach (z dnia na dzień zlikwidowano tam wszelkie wymogi dyscypliny, pozwalając np. seminarzystom wychodzić na całą noc; w seminariach „odnowionych duchem Soboru" żądano od nich wymyślania co tydzień nowej liturgii), po wielu miesiącach wahań, nie czując się już w pełni sił fizycznych – miał 64 lata – zdecydował się powołać do życia międzynarodowe seminarium duchowne i Bractwo Kapłańskie. Celem miała być formacja kapłanów wolna od nowinek soborowej teologii, zdecydowana stawić czoła rewolucji liturgicznej. Patronem bractwa został ostatni kanonizowany przed soborem papież, św. Pius X. Był rok 1969. Swoje istnienie bractwo zainaugurowało pielgrzymką do Kaplicy Matki Bożej Strażniczki Wiary (*Gardieniere de la Foi*) we Fryburgu. W centrum jego życia duchowego znalazła się msza św. trydencka.

Statuty bractwa zatwierdzone w 1970 roku przez biskupa Lozanny, Genewy i Fryburga, François Charrière, uzyskały akceptację Stolicy Apostolskiej. Kardynał Wright z Kongregacji ds. Duchowieństwa w *decretum laudo* wypowiadał się o nich z wielkim uznaniem.

Arcybiskup Lefebvre opracowanie strategii ratunkowej dla seminarzystów i młodych księży uznał za swój biskupi obowiązek. Uważał siebie nie tyle za jedynego sprawiedliwego pośród szalejącej burzy moralnego i doktrynalnego zamętu, lecz jedynie za echo – głos Kościoła wszystkich poprzednich soborów i nauczania papieży.

W *cartha magna* swojej walki napisał: *Całym sercem i całą duszą należymy do Rzymu katolickiego, stróża wiary katolickiej oraz tradycji niezbędnych do jej zachowania, do wiecznego Rzymu, nauczyciela mądrości i prawdy. Odrzucamy natomiast i zawsze odrzucaliśmy pójście w ślady Rzymu o tendencji neomodernistycznej i neoprotestanckiej, która wyraźnie zaznaczyła się podczas Soboru Watykańskiego II, a po soborze we wszystkich wynikających z niego reformach. Wszystkie one przyczyniły się, i wciąż się przyczyniają do zniszczenia Kościoła, zrujnowania kapłaństwa, unice-*

CAŁĄ DUSZĄ NALEŻYMY DO RZYMU KATOLICKIEGO

stwienia Najświętszej Ofiary i sakramentów, zaniku życia zakonnego, nauczania naturalizmu i teilhardyzmu na uniwersytetach, w seminariach i w katechizmach, które to prądy wywodzą się z liberalizmu i protestantyzmu, wielokrotnie uroczyście potępianych przez Magisterium Kościoła (21 listopada 1974 roku).

Uporem trwania przy niezmiennej nauce Kościoła szybko wzbudził żywą niechęć postępowych hierarchów, zwłaszcza w swojej ojczyźnie. Seminarium w szwajcarskiej miejscowości Écône, które założył, a do którego ściągała młodzież z całej Francji, podczas gdy seminaria francuskie gwałtownie pustoszały, biskupi określili mianem „dzikiego", choć arcybiskup był postacią bardzo dobrze w Kościele znaną, obdarzoną dużym autorytetem. Jego głos sprzeciwu i przestrogi wobec teologii najsłynniejszych modernistów: Karla Rahnera, Henriego de Lubaca, Teilharda de Chardin, Yves'a Congara oraz prób pogodzenia Kościoła ze światem, czyli z dyktatem zmieniających się mód ideologicznych, brzmiał wyraziście na wiele lat przed Vaticanum II. Teraz, jako założyciel Bractwa św. Piusa X, korzystał z każdej okazji, by przedstawić swoje stanowisko w Rzymie. Słał dziesiątki listów, oświadczeń, apeli, spotykał się z hierarchami z całego świata, a jednocześnie organizował niezliczone pielgrzymki, wygłaszał płomienne kazania do wielotysięcznych tłumów, organizował konferencje, wykłady i rekolekcje.

Niech przyślą batalion gwardii szwajcarskiej, żeby mnie do tego zmusić

Ponieważ był gruntownie przekonany, że życie chrześcijańskie, indywidualne i społeczne jest „powrotem człowieka do Boga" – powrotem, który nie opiera się jedynie na posłuszeństwie przykazaniom, ale na łasce Bożej, oraz że ważniejsza niż moralność zbudowana na nakazach jest moralność cnót nadprzyrodzonych i darów Ducha św., bardzo niepokoił go najstraszniejszy, jak wielokrotnie podkreślał, błąd w Kościele, rozprzestrzeniający się z wielką szybkością naturalizm. Przypisywał go Pawłowi VI, słysząc, jak zapewniał on w jednej ze swoich nauk o „autonomii porządku doczesnego" i konieczności uznawania świata „za w pewien sposób samowystarczalny". *Arcybiskup Lefebvre natychmiast zareagował, wysyłając list do kard. Šepera i protestując przeciw temu „niedokładnemu i niekompletnemu opisowi świata", który traktuje porządek nadprzyrodzony jako nieobowiązujący i pomija upadek natury ludzkiej. W odpowiedzi arcybiskup*

otrzymał telefonicznie polecenie kard. Villon, aby opuścił Rzym i już do niego nie wracał. Arcybiskup odparował:

– Niech przyślą batalion gwardii szwajcarskiej, żeby mnie do tego zmusić. (B. Tissier de Mallerais, *Marcel Lefebvre. Życie*)

W krótkim czasie zyskał ogromną popularność wśród grupy tradycyjnych katolików francuskich, którzy nigdy nie zaakceptowali nowej liturgii. Gdy w Écône wyświęcał nowych kapłanów, nałożono na niego karę suspensy. Następca biskupa Charrière natychmiast cofnął uznanie legalności Bractwa. Arcybiskup Lefebvre wprowadzał właśnie do seminarium nowy przedmiot: akty Urzędu Nauczycielskiego Kościoła o nowoczesnych błędach (masoneria, liberalizm, modernizm, komunizm).

Prawda zobowiązuje nasz intelekt – mówił w 1975 roku abp Marceli Lefebvre w Barcelonie – *do zrozumienia rzeczy, jakimi one są w rzeczywistości. Liberał jednak nie uznaje tej konieczności podporządkowania rozumu obiektywnym faktom, on tworzy własną* prawdę. *Pragnie wyzwolić się od dogmatu i nie chce Prawdy nałożonej na niego przez Wiarę, Objawienie czy Kościół; w imię nauki odrzuca wszystkie dogmaty. W imię swojej inteligencji i w imię ludzkiego rozumu liberał odrzuca Wiarę. Na koniec, trzecim elementem liberalizmu jest pragnienie uwolnienia się od prawa. Liberał nie chce o nim słyszeć! Ma on swoje sumienie i uważa, że mu to w zupełności wystarczy, w konsekwencji odrzuca wszelkie prawo moralne*.

Kościół walczył z liberalizmem przez dwa wieki, a arcybiskup w tej dziedzinie otrzymał w czasie swoich studiów wskazówki od trzech wybitnych tomistów, o. Le Flocha, kardynała Billot, o. Philippe. Może dlatego porównywano go niekiedy z kardynałem Pie, który w dniu ingresu w Poitiers wołał: *jestem biskupem, więc będę mówić!*

ROZDARCIE

Nieraz przywołuje się wycofanie przez arcybiskupa podpisu spod protokołu ugody z Rzymem z 1988 roku, formułując zarzut chwiejności i niekonsekwencji wobec duchownego miotanego rzekomo wichrami gwałtownych uczuć i namiętności. Tymczasem pod pozorami chwiejności krył się wielki duchowy dramat człowieka bezgranicznie oddanego Kościołowi. Stygmatyzując go mianem schizmatyka,

zapomniano, że prawdziwy schizmatyk jest zawsze zaprzeczeniem chwiejności, działa stanowczo, bez wewnętrznych oporów, prowadzony przez złudne światło fałszywej wiary. Tu zaś był syn Kościoła rozdarty między obowiązkiem posłuszeństwa wobec Głowy Kościoła a imperatywem obrony czystości wiary, mszy św. i katolickiego kapłaństwa. Bowiem prawdziwym dramatem tamtego czasu był atak na wiarę i kapłaństwo sprzężony z przekonaniem o nieodzowności okazania posłuszeństwa przełożonym w każdej sytuacji. A przecież, przy całej świadomości, jak wielkim zgorszeniem dla wierzących jest brak posłuszeństwa w Kościele, którą arcybiskup posiadał w stopniu wyjątkowym jako antyliberał, nie mógł się zgodzić na wystawianie na niebezpieczeństwo ludzkich dusz jako biskup.

Krytycy podkreślają, że dopuszczał pewne modyfikacje formy liturgii jeszcze na soborze, i twierdzą, że jego późniejszy upór w kwestii liturgii nie jest zrozumiały. Stąd już blisko do tezy, że do buntu doprowadził arcybiskupa jego trudny charakter, a nie silne przekonanie o słuszności własnej drogi. Tymczasem Marcel Lefebvre usztywnił stanowisko wobec zmian liturgii, gdy zrozumiał, że zmiany te niszczą samą istotę mszy św., zacierając jej ofiarniczy charakter, że zaatakowany został kanon mszy św., co może spowodować, jak mówił (jeszcze w latach siedemdziesiątych), ostrożnie, wystrzegając się mocniejszych wyrażeń, że z biegiem lat „katolicy bezwiednie przyjmą protestancką koncepcję Wieczerzy Pańskiej". W *Liście otwartym do zagubionych katolików wypowiedział się mocniej*: *Luter bardzo dobrze rozumiał, że Msza jest sercem i duszą Kościoła. Powiedział: „Zniszczmy Mszę, a zniszczymy Kościół"*.

KARA ZA WIERNOŚĆ

Z reguły w omówieniach działalności abp. Marcela Lefebvre'a omija się największą minę, na której jego krytycy wysadziliby w powietrze swoją konstrukcję złożoną z półprawd. Jest nią historia ekskomuniki, jaka została nałożona na arcybiskupa po wyświęceniu, bez zgody papieża, czterech biskupów bractwa, w czerwcu 1988 roku, i charakter tej „kary od początku nieważnej". Tak właśnie traktowali ją zawsze abp Lefebvre (co nie znaczy, że przyjął ją obojętnie) i całe bractwo. Jest to jednak sprawa jasna tylko dla tych, którzy znają subtelności prawa kanonicznego. Prawo kościelne jest prze-

widujące, uwzględnia sytuację, w jakiej znalazł się arcybiskup, i bierze go w obronę! Kodeks Prawa Kanonicznego precyzuje bowiem stan wyższej konieczności, w której obrona wiary uzasadnia nawet nieposłuszeństwo władzy kościelnej i jako taka nie może podlegać karom. Kanonista z Moguncji, prof. Georg May uzupełnia opis stanu wyższej konieczności w Kościele o sumę reguł prawnych, *które obowiązują w przypadku zagrożenia ciągłości lub wolności Kościoła*. Podstawowym przecież zadaniem Marcela Lefebvre'a – tak jak każdego biskupa – było zabieganie o zachowanie wiary. Wyświęceni bez zgody papieża biskupi są tylko biskupami pomocniczymi, nie mają jurysdykcji właściwej biskupom diecezjalnym. Nie mogą erygować diecezji i parafii, nie mieli też nigdy zamiaru budować równoległych struktur kościelnych (jak w Chinach). Jurysdykcja Bractwa w stosunku do wiernych jest jurysdykcją nadzwyczajną i uzupełniającą, „dla zbawienia dusz", z powodu słabości czy błędów odpowiednich władz. Niemniej atmosferze skandalu, jaki ogłoszono, obwołując arcybiskupa schizmatykiem, ulegli także ludzie o umysłach niewątpliwie bardziej trzeźwych i psychice dużo odporniejszej na zgiełk prasy. W tonie surowych potępień wypowiedział się uchodzący za przyjaciela Jana Pawła II André Frossard, były członek francuskiej partii komunistycznej – choć *jego potoczysty styl nie mógł zasłonić ubóstwa treści* memoriału, jak dodaje bp Tissier de Mallerais:

Schizma, ekskomunika!

Najsmutniejszy jest upór Arcybiskupa z Écône wobec wielkoduszności Papieża, który poszedł bardzo, bardzo daleko, by zawrócić go z drogi schizmy. Arcybiskup Lefebvre stał się więźniem swoich idei, których sztywność pozostawiła niewiele pola jego inteligencji. Był też więźniem swojej organizacji. Być może logika nieposłuszeństwa musiała prowadzić w stronę zerwania. Ale nie był zmuszony doprowadzić jej do absurdu („Le Figaro", 16 czerwca 1988 roku).

W tonie patetycznym ogłosił swoje zerwanie ze „schizmatykiem" wieloletni liberalny przyjaciel arcybiskupa (zarazem przyjaciel Pawła VI), katolicki pisarz Jean Guitton. W ostatnim liście napisanym jaskrawoczerwonym atramentem żalił się:

Zawsze broniłem Waszej Ekscelencji. Wyjaśniałem, że Ksiądz Arcybiskup się „upierał", ale nie „rozpierał", walcząc tylko o Prawdę, której istoty nie można zmienić. […] 30 *(chyba 15) czerwca będzie w moim życiu*

datą największej rany. […] *proszę Ekscelencję o osobiste spotkanie przed 30 czerwca* […] *żeby przekazać księdzu Arcybiskupowi to słowo pełne nadziei i tajemnicy, które mówi się przy ostatecznych rozstaniach (jak syn do ojca)… Z BOGIEM!*".

Sam arcybiskup nazwał konsekracje biskupie „operacją przeżycia" Tradycji katolickiej. Nie zamierzał pod koniec życia, jak powtarzał, *umierać, nie zrobiwszy nic dla przyszłości. Byłoby to sprzeczne z moimi obowiązkami*. Był tego dnia spokojny, radosny i pewny, że któregoś dnia *Tradycja odzyska swe prawa w Rzymie* i wtedy nastąpi to, co wtedy, w czasie gdy hucznie obchodzono Asyż, było zupełnie niewyobrażalne. Wówczas *władze rzymskie wezmą nas w objęcia i podziękują nam za zachowanie wiary*. Dodawał, obserwując z lekkim uśmieszkiem, po zakończonej ceremonii, zgromadzonych w Écône rozgorączkowanych przedstawicieli mediów, że już widzi te tytuły w jutrzejszej prasie: Schizma, ekskomunika!, ale i tak *wszystkie te oskarżenia i te kary, których jesteśmy przedmiotem, są całkowicie bez znaczenia*.

Był zawsze przekonany, jak każdy głęboko wierzący człowiek, że odnowa Kościoła jest związana z nadprzyrodzonym działaniem łaski. Nie wyobrażał sobie, że można o tę łaskę zabiegać bez największej pieczołowitości w oddawaniu Bogu czci, w sprawowaniu Jego kultu. W tym upatrywał nieodzowną wierność Bogu. Dlatego zdecydował się na konsekracje biskupie.

Czy nowo wyświęceni biskupi istotnie przeszkadzali w czymkolwiek, skoro ich zadaniem było tylko odprawianie starej mszy i nauczanie tradycyjnej doktryny wiary?

Akt konsekracji biskupów bez zgody papieża został poprzedzony wielomiesięcznymi staraniami o uzyskanie biskupa dla bractwa. Ze

Między Kościołem a światem jest przepaść

zgodą jednak zwlekano z miesiąca na miesiąc, a arcybiskup miał 79 lat. „Operacja przeżycia Tradycji" nie była literacką przenośnią. W jaki inny bowiem sposób miałby ustrzec wiarę garnących się do niego ludzi, nie mogąc zapewnić im duchowej formacji? Bez możliwości dokonywania kolejnych święceń kapłańskich, z powodu braku biskupa.

Historia konsekracji biskupich bez zgody papieża może się jednak wydawać dzisiejszym katolikom historią utkaną z wydumanych fobii, niezrozumiałych lęków, osobistych ambicji. Ogromna większość wierzących przyjmuje dziś bowiem założenie, że wszystko się nie-

ustannie zmienia – także nauczanie Kościoła, dogmaty wiary, rola kapłana, biskupa – musi się zmieniać, podlega bowiem „realiom społecznym", wpływom opinii, polityki, intelektualnym modom. Podlega światu, z jego pragnieniem nieustających zmian. I to jest właśnie największy fałsz w historii Kościoła i zarazem krzywda wyrządzona wierze. Chrystus przyniósł na ziemię absolutną niezmienność Prawdy. Ta prawda nie jest ani „stara", ani „nowa". Jest wieczna. Między Chrystusem a światem jest przepaść. Między Kościołem a światem jest przepaść. Arcybiskup Lefebvre był dobrze wyczulony na prymitywizm i wewnętrzną sprzeczność liberalizmu; już w czasie jego studiów seminaryjnych jeden z wykładowców, nauczyciel tomizmu, Louis Billot określał doktrynę liberalną jako *idealną i absolutną niezgodność wskutek przeciwieństwa zasad i praktyki jej zwolenników. Zasady, które rzekomo przyjmują, są tylko praktycznymi regułami działania, do których zresztą sami zwolennicy liberalizmu nie chcą się stosować*.

Furia liberalnej opinii – także tej nominalnie katolickiej – nadała ekskomunice, jaka spadła na arcybiskupa, piętno aktu sprawiedliwości wymierzonego niesfornemu i buntowniczemu hierarsze. „Ogół wiernych", pozbawiony jakiejkolwiek istotnej wiedzy o tym, co naprawdę się wydarzyło, przyjął go z ulgą. A zjednoczone siły postępu – z entuzjazmem. Dla niejednego z ludzi Kościoła akt ten pozostał jednak wyrzutem sumienia.

PRZYPADEK ARCYLUDZKI?

Krytycy arcybiskupa koncentrują się na tym, by wykazać niekonsekwencję jego postępowania. Były przecież w jego życiu momenty, gdy nastawiony był na „dialog", nawet w kwestii soborowych ustaleń dotyczących wolności religijnej. Heroizm decyzji abp. Lefebvre'a nie był jednak efektem żelaznej woli, twardego charakteru czy naturalnych, po ludzku zrozumiałych, odruchów. Bohater tego dramatu wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, jakie ryzyko podejmuje, decydując się na konsekrowanie biskupów bez zezwolenia papieża. Nikt chyba lepiej od niego nie rozumiał, jakim niebezpieczeństwem jest zgorszenie wśród katolików, które musi wywołać akt nieposłuszeństwa papieżowi. Nie był wcale posiadaczem nadludzkiej siły psychicznej,

Pozwólcie moim kapłanom bez przeszkód odprawiać Mszę Wszech Czasów

zdolnym do nonkonformizmu na niespotykaną skalę czy też człowiekiem, któremu zabrakło pokory. Jego motywacją nie był też bunt. Zaryzykował w imię większego dobra, w imię ocalenia największego skarbu – wiary powierzonych mu dusz ludzkich.

W osiemnaście lat po śmierci abp. Lefebvre'a, w 2009 roku Benedykt XVI zdjął ekskomunikę z czterech konsekrowanych przez niego biskupów.

„POJEDNANA RÓŻNORODNOŚĆ", CZYLI RETUSZ Z PÓŁCIENI

Wszystkie niedomówienia, jakie towarzyszą sprawie arcybiskupa Lefebvre'a, pozostawiają niepokój i stwarzają pole do fałszywych interpretacji. Prawda jest z natury prosta. Celem, jaki przyświecał bohaterowi tej historii, nie było powodzenie jego „autorskiego projektu", ambicjonalne zapewnienie przetrwania dziecku, które wyhodował na własnej piersi. Celem było coś tak trudnego do zrozumienia dla współczesnego katolika, wychowanego poza Tradycją Kościoła, jak potwierdzenie absolutnej niezmienności Prawdy, która pochodzi od Boga. Jej suwerenności. Arcybiskup Lefebvre bronił jej niezależnie od decyzji prawnych będących najsurowszą karą, jaka może dotknąć katolika.

Historia jego życia nie może być wciąż tematem tabu

Surowość tej kary istotnie może zadziwiać w przypadku człowieka, który upierał się tylko przy jednym: Pozwólcie mi pozostać takim, jakim mnie uformował Kościół, pozwólcie mi się nie zmieniać... Pozwólcie moim kapłanom bez przeszkód odprawiać Mszę Wszech Czasów, która początkami sięga czasów apostolskich, a pełnię osiągnęła w następnych wiekach, co potwierdził św. Pius V, zapowiadając kary ekskomuniki dla wszystkich, którzy tę pełnię kwestionowali.

Oto prawdziwy paradoks. Tego paradoksu nie da się rozwikłać bez rzetelnej dyskusji o tym, co zdarzyło się na ostatnim soborze. Dyskusja ta, tak samo jak rzetelna debata o przyczynach katastrofy pod Smoleńskiem, wcześniej czy później, musi się odbyć także w Polsce. Taka jest bowiem natura umysłu ludzkiego, którego nie sposób bez końca karmić półprawdami.

Postać arcybiskupa Lefebvre'a została w ciągu ostatnich czterdziestu lat w sposób nieporównywalny z żadnym innym hierarchą Kościo-

ła – może poza Piusem XII – zmistyfikowana. Ale historia jego życia nie może być wciąż tematem tabu. W Polsce pustoszeją seminaria, coraz liczniejsi księża porzucają kapłaństwo. Nie da się rozmawiać o przyczynach obecnego stanu, nie wspominając o abp. Lefebvrze. To początek odkłamywania najnowszej historii Kościoła. Sam Benedykt XVI mówił o strefach niewiary i o niebezpieczeństwie traktowania ostatniego soboru jako superdogmatu. Dzięki swej determinacji, uporowi i konsekwencji arcybiskup *uformował małą elitę, która ma być do dyspozycji Stolicy Apostolskiej i biskupów. Trzeba jednak zaznaczyć, że ma być ona do dyspozycji, ale jednocześnie odrzucać wszelki kompromis i koncesje na rzecz błędów*..., przypomniano w dniu jego pogrzebu w Écône.

Dziś coraz lepiej widać, że historia posoborowych zmian w Kościele przyznaje abp. Lefebvre'owi rację. Jest jednak pewien element tego przyznawania racji, który powinien budzić czujność katolików świadomie występujących w obronie wiary i powracających do starych katechizmów, do tradycyjnej mszy św. i zarazem przekonanych, że zasady muszą pozostać zasadami, a jednoznaczność jest cechą katolickiej prawdy.

Zasady muszą pozostać zasadami

Jest symptomatyczne, że o ile prawda nie może być przemieszana, złączona z błędem, o tyle błąd może przyswajać elementy prawdy. Historia lubi się powtarzać. Po pierwszym etapie soborowej rewolucji, która wstrząsnęła samymi podstawami doktryny i życia Kościoła, wydaje się usprawiedliwione stwierdzenie, że obecnie realizowany jest już drugi etap – umacnianie i potwierdzanie „zdobyczy" Vaticanum II. Znajduje to zresztą potwierdzenie w oficjalnych dokumentach, np. ostatnio w „Novo millenio ineunte", „Dominus Iesus" czy „Liturgiam authenticam". Obraz Kościoła posoborowego przedstawiany jest zazwyczaj przy pomocy źle pojętej idei „pojednanej różnorodności". W tym przypadku oznacza to pojednanie prawdy z błędem, posoborowego ekstremizmu z postawą dość konserwatywną, Komunii świętej przyjmowanej z należnym szacunkiem ze świętokradczą praktyką Komunii na rękę, chorału gregoriańskiego z sacro-polo, a nawet rapem [...] *nowy etap posoborowej rewolucji ma być właśnie syntezą tych sprzeczności* [...] *Obrońcy tradycyjnej Mszy nagle mogą znaleźć się na salonach, w ramach „uprawnionej różnorodności". Tkwi w tym istotne niebezpieczeństwo: pożądanie uznania i akceptacja status quo nowego*

porządku i nowej doktryny („Sobór tak – wypaczenia nie"), „synteza", „jedność" , z szacunkiem dla Islamu, z całowaniem Koranu, wspólne nieszpory z luterskimi „biskupkami", jedność z doktryną Dominium Iesus, *gdzie prawosławie uznane zostaje za część Kościoła Chrystusowego itd. W ten sposób powstaje swoisty posoborowy High Church, który po ludzku rzecz biorąc może przynieść coś dobrego, tak jak z anglikańskiego ruchu oksfordzkiego wywodzi się wielu wybitnych konwertytów, jednak rzeczywistym kryterium jakie należy stosować do oceny jest to, jak widzi to Pan Bóg. Czy podoba się Jemu to przemieszanie, ta synteza?* (Michał A. Nowak, *Posoborowy High Church*, „Zawsze Wierni", listopad–grudzień 2001)

DLACZEGO BRACTWO ŚW. PIUSA X DZIAŁA DZIŚ W POLSCE? I czy jego księża nie powinni się tu odwołać do najlepszych kart naszych dziejów, związanych z obroną wiary i Kościoła? Niestety znajomość polskiej historii nie jest wśród międzynarodowej grupy księży bractwa zbyt duża. Nie są znane także w tym środowisku bliżej wielkie postaci Kościoła, które kilka wieków temu potrafiły nim potrząsnąć, podobnie jak abp Lefebvre uczynił to w XX wieku.

Wielkim obrońcą czystości doktryny był kardynał Stanisław Hozjusz (1504–1579), prawdziwy „młot na heretyków". Ten inicjator Soboru Trydenckiego (1545–1563), zwołanego, by stawić tamę rozprzestrzenianiu się protestantyzmu, i jeden z głównych przywódców polskiej i europejskiej kontrreformacji, w stosunkach z papieżem zachowywał całą ewangeliczną swobodę; napominał go bez obaw i przesadnego uniżenia. Adam Mickiewicz przypomniał jego zasługi podczas prelekcji paryskich: Do papieża Pawła IV, pomawianego powszechnie o żądzę sławy, pisał: *„Słyszę ciągle, że Ojciec Święty gmatwa politykę angielską i francuską, że ściąga wojska na wojnę. Niechże już Ojciec Święty przestanie hetmanić, walczyć o swoje posiadłości; niech pamięta, że jego posiadłościami jest Kościół powszechny". Papież nie tylko nie obraził się, ale odpowiedział mu, prosząc, aby przysłał do Rzymu przyjaciół, którzy by przypatrywali się jego postępowaniu. „Przybądź sam – pisał do niego – i zobacz, co ja tu robię".*

Niechże już Ojciec Święty przestanie hetmanić

Stanisław Hozjusz przyjechał do Rzymu, otrzymał kapelusz kardynalski i został mianowany legatem papieskim dla przewodnicze-

nia obradom Soboru Trydenckiego. Jego wieloletnie zabiegi, kiedy to w setkach listów przedkładał monarchom europejskim pilną potrzebę zakończenia wojen religijnych i rozprawienia się z ruchem protestanckim, zostały wynagrodzone. Przed soborem korespondował intensywnie z przywódcami czołowych sekt i zapewniał, że w Trydencie odpowie na wszystkie ich zarzuty. Była to ogromna praca, prowadzona z ryzykiem niepowodzenia, sekciarze byli w ofensywie, popularni zwłaszcza wśród elit społecznych. Szlachta polska była beztroska i wielu z nich hojnie dofinansowywała, a głowy koronowane – z wyjątkiem Karola V – lekceważyły niebezpieczeństwo ze strony protestantyzmu.

Kardynał Stanisław Hozjusz zadziwiał wszystkich współczesnych, jak mówił Mickiewicz, *niepojętą ruchliwością.* [...] *Znając doskonale stan polityczny i religijny Europy, donosił o ukazaniu się każdej publikacji, znał nazwisko każdego sekciarza, jego poglądy i koleje życia, śledził ich kroki, wiedział, gdzie się ukrywają, i ostrzegał przed nimi Polskę. Pisywał listy do króla, do biskupów, proboszczów, jeździł na sejmy i sejmiki, zwoływał synody i przewodniczył im. Dzieła jego uchodziły natenczas za klasyczne i ukazywały się we wszystkich językach Europy, w angielskim, francuskim, niemieckim.* [...] *Umiał wojować z sekciarzami wszelką bronią. Głęboki teolog, wielce uczony, gdy pisał po łacinie – dla utrafienia w smak Niemcom bywał czasem rubaszny jak Luter, gwałtowny, wplatał dowcipy; w pismach zaś polskich umiał uchwycić lekki i wesoły ton, tę żartobliwość, którą już wtedy zwano żartobliwością polską, a w której był niedoścignionym mistrzem* (Adam Mickiewicz, *Literatura słowiańska*, *Kurs pierwszy*, Warszawa 1997).

W kwestiach niedoktrynalnych, np. politycznych, można się z papieżem nie zgadzać, bez obawy o skandal religijny. Kto pierwszy u nas nie zgadzał się z papieżem? Polacy na soborze w Konstancji.

Polak Paweł Włodkowic, rektor Akademii Krakowskiej, zaprezentował i obronił na soborze w Konstancji (1414–1418) pogląd, że wszystkie narodowości, także pogańskie, mogą rządzić się same i żyć w pokoju na ziemi, która do nich należy, a nawracanie ich przy użyciu przymusu i siły jest godne potępienia. Polacy wystąpili na soborze jako kompetentni i wnikliwi obrońcy chrześcijańskiego prawa międzynarodowego. Zyskali poparcie Włochów, podziw całej Europy i zgodę papieża

Papieża, który był już w łóżku, wyciągnęli z pościeli i zmusili do udzielenia audiencji

na swoje postulaty, poskromienie zapędów Zakonu Krzyżackiego i potępienie antypolskich tez Jana Falkenberga. Żeby uzyskać tę zgodę, formalnie musieli użyć nie tylko siły argumentu, lecz także argumentu siły. 4 maja 1418 roku przedstawiciele polskiego królestwa, niewpuszczeni do pałacu papieskiego, dostali się tam, wyłamując bramę. Papieża, który był już w łóżku, wyciągnęli z pościeli i zmusili do udzielenia audiencji. Kilka dni później Zawisza Czarny i Janusz z Tuliszkowa oświadczyli w przytomności Ojca Świętego, że czci króla polskiego – tego Litwina, który przyjąwszy chrzest, spolonizował się i stał się obrońcą wiary w Chrystusa – będą bronić „gębą i ręką". Dopiero wtedy uzyskali od Marcina V ostateczne potępienie antypolskiego traktatu Jana Falkenberga oraz jego oszczerczej *Satyry na herezje i inne nikczemności Polaków oraz ich króla Jagiełły*.

Bronić Kościoła „gębą i ręką" – czyli absolutnie bezkompromisową postawą katolicką – potrafili abp Marcel Lefebvre i księża, których wychował osobiście w założonych przez siebie seminariach, oraz ci, których formowali konsekrowani przez niego biskupi: Szwajcar Bernard Fellay, Hiszpan Alfonso de Galarreta, Francuz Bernard Tissier de Mallerais (Anglik Richard Williamson, konwertyta z protestantyzmu, dziś już niestety poza bractwem). Ta licząca około tysiąca osób grupa duchownych udowadnia, że w Kościele liczy się tak naprawdę nie wiara pozbawiona pewności, kim jest Bóg, nie sentymentalizm, nie brak rozróżnienia między porządkiem przyrodzonym i nadprzyrodzonym i rozwodnienie doktryny w imię pokoju, kompromisu ze światem, mrzonek o „cywilizacji miłości" i „wiośnie Kościoła", ale chrześcijaństwo zbrojne, jak mawiał Dom Gérard Calvet, tradycyjny benedyktyn z Francji, Kościół Wojujący. Świadomy, tak samo jak przed dwoma tysiącami lat, z kim i o co walczy.

Rozwodnienie doktryny w imię pokoju, kompromisu ze światem

Kiedy nie uznaje się już autorytetu Boga, który jest Prawdą, ani autorytetu Jezusa Chrystusa, który jest Objawieniem, wtedy znika też bez śladu autorytet ojca i matki w rodzinie – i w ogóle każdy autorytet w społeczeństwie. Rodzina, małżeństwo nigdy nie zostaną w takiej sytuacji obronione. Fałszywe autorytety rozpoczynają swoją dziką walkę o duszę człowieka. I nikt nie jest w stanie czegokolwiek im przeciwstawić. Gdy bowiem lepimy bożka z miłości do człowieka, stajemy się absolutnie bezbronni w walce ze złem. **Ω**

*) Wszystkie nieopisane w tekście cytaty za: Bernard Tissier de Mallerais, *Marcel Lefebvre. Życie*, tłum. Paulina Kupiec i Jarosław Zappa, Wydawnictwo Dębogóra 2010

Dobra (i zła) nowina – o katolewicy

Krzysztof Wołodźko

Myśl i czyn – te dwa skrzydła ludzkiego i społecznego istnienia odbijają się u źródeł historii chrześcijańskiej lewicy. W 1848 roku Mickiewicz przywitał z radością Wiosnę Ludów: w Rzymie zaczął organizować Legion Polski, szarpał rękaw Piusa IX, żądając papieskiego błogosławieństwa dla dni krwi i chwały. Współtworzył międzynarodowe pismo rewolucyjne „La Tribune des Peuples", w którym opisywał przyszły socjalizm jako ustrój oparty na pracy i wspólnym posiadaniu ziemi/dóbr

W najściślejszym słowa tego znaczeniu katolewica to heterodoksja – forma na tyle peryferyjna, że raczej poza Kościołem niż w jego obrębie, raczej w szerokim nurcie historycznego chrystianizmu niż w katolicyzmie samoświadomym i respektującym swoje ujęcie powszechności. Ale tylko realnie znaczącemu ortodoksyjnemu katolicyzmowi może towarzyszyć katolewicowy cień. To dlatego, że tylko żywa wiara, szanująca samą siebie instytucja i wyrazista myśl, z którą trzeba z pasją się mierzyć, może być dla kogokolwiek inspiracją.

Nie istnieje żadne ostatecznie ustalone i ustanowione rozumienie pojęcia „katolewica". Jeśli sięgnąć do nowszej historii: katolewica to przede wszystkim Jerzy Turowicz w mocno nierównej relacji z Polską Ludową, w gorący czas okołosoborowy dokonujący ekwilibrystycznych prób połączenia socjalistycznego humanitaryzmu z myślą katolicką. Patrząc szerzej i nieco inaczej, katolewica to wszystko, co nie jest dziś katolicyzmem coraz bardziej przepojonym szowinistycznymi strachami przed obcością i naturalistycznym patriarchali-

zmem. To również ortopraksja, czyli wiara społecznie zaangażowana – odnajdziemy ją choćby w środowisku magazynów „Kontakt" i „Więzi". Z jeszcze innej perspektywy katolewica z lat 90. XX wieku to „Tygodnik Powszechny", czyli fałszywi prorocy urealniającego się kapitalizmu po polsku, powstającego na przecięciu postkomunizmu i nowych form gospodarczego kolonializmu. Ale dodam: to szczęśliwie zmienia się wraz z młodszymi reprezentantami dziennikarzy „TP". Katolewica to również ten nurt okołokatolickiego myślenia, który uznaje dobro kompromisów ze światem w kwestiach bioetyki, ruchów emancypacji seksualnej albo życzliwie reaguje na pytania lub też niezgodę feministek na zastany Kościół i na zagadnienia związane z problematyką genderową. Katolewica to pojęcie pojemne, o proteuszowym obliczu. Prywatnie za tym terminem nie przepadam, wolę przydługie określenie: socjalista nurtu niepodległościowego wyznania rzymskokatolickiego.

Jeśli sięgnąć głębiej w historię rodzimej idei, to bodaj najciekawsza jest „katolewica przed katolewicą", czyli te nurty szerokiej myśli społecznej, które inspirowane chrześcijaństwem, mierzyły się z coraz bardziej uwyraźniającymi się przemianami rzeczywistości, sekularyzując się i szukając dla siebie autonomii względem starego porządku. Dobrym terminem oddającym ten niejednoznaczny ferment systematów, projektów, inspiracji, szkiców, nawiązań i wreszcie wizji literackich jest określenie „myśl społeczno-radykalna". Tak, nawiązuję wprost do tytułu książki, którą zainteresowana chrześcijaństwem lewica koniecznie powinna odkurzyć w 1050. rocznicę chrztu Polski. Piszę o pracy Damiana Kalbarczyka *Wskrzesić Polskę, zbawić świat. Antologia polskiej chrześcijańskiej myśli społeczno-radykalnej 1831–1864*, która mogła się ukazać w Polsce Ludowej w 1981 roku chyba tylko dzięki karnawałowi Solidarności.

Rzecz warto skojarzyć z nader prząśnie postrzeganym Adamem Mickiewiczem, który – może poza epizodem z *Panem Tadeuszem* – dał polskiej kulturze wiele tekstów, z których trudno zrobić podręcznikową sztampę. Myślę choćby o *Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego* z 1832 roku. *Księgi*... to utwór, z którego pełnymi garściami czerpał ojciec założyciel francuskiego socjalizmu chrześcijańskiego, ksiądz de Lamennais. Jarosław Tomasiewicz, autor erudycyjnej lektury *Po dwakroć niepokorni. Szkice z dziejów polskiej lewicy patriotycznej*, przypomina, że z kolei to od socjalisty Henriego Saint-Simona Mickiewicz zaczerpnął pogląd, że o ile misją Chrystusa było wyzwolenie duchowe człowieka, o tyle XIX stulecie powinno być areną wyzwolenia społecznego.

Myśl i czyn – te dwa skrzydła ludzkiego i społecznego istnienia odbijają się u źródeł historii chrześcijańskiej lewicy. W 1848 roku Mickiewicz przywitał z radością Wiosnę Ludów: w Rzymie zaczął organizować Legion Polski, szarpał rękaw

Piusa IX, żądając papieskiego błogosławieństwa dla dni krwi i chwały. Ojciec Święty nie ujrzał powiewu Ducha Świętego w zapoconych koszulach paryskiego ludu. Ale Mickiewicz wieszczył dalej – współtworzył międzynarodowe pismo rewolucyjne „La Tribune des Peuples", w którym opisywał przyszły socjalizm jako ustrój oparty na pracy i wspólnym posiadaniu ziemi/dóbr. Kreślił zdania, których oskarżycielskiego ognia nie powstydziłby się Karol Marks: *Filozofowie wolteriańscy, bankierzy żydowscy, potomkowie rycerzy krzyżowych łączą się we wspólnym interesie. Rozdzieleni dotychczas jedni od drugich uczuciami religijnymi, poróżnieni przekonaniami politycznymi, znajdują wreszcie wspólny dogmat, dogmat interesu* (*Socjalizm propagowany przez ulicę de Poitiers*, „Trybuna Ludów", nr 21). Tyle że w odróżnieniu od filozofa z Trewiru Mickiewicz przeczył walce klas, uznając – w arcypolskim duchu – że walka ludzi dobrej woli wszelkich klas toczy się o wolność powszechną – przeciw wszelkiemu despotyzmowi.

Mickiewicz jest symbolem, ale w sferze projektów społeczno-politycznych nie można nie wspomnieć Gromad Ludu Polskiego, pierwszego ojczystego ugrupowania utopijno-socjalistycznego. Kalbarczyk przedstawia ojców rodzimej katolewicy XIX wieku jako ludzi wielkiej różnorodności: *Poglądy niektórych z nich były zdecydowanie radykalne, inni sytuowali się w nurcie socjalizmu liberalnego, bardzo miękkiego, trochę nawet konserwującego istniejącą rzeczywistość. Z pewnością jednak wszyscy odwoływali się do haseł równości czy braterstwa* (cytuję za wywiadem *Lewica Ewangelią silna?* dla portalu Lewicowo.pl).

Już tylko Gromady Ludu Polskiego, ta nieledwie archetypiczna katolewicowa kuźnica, na moment połączyła tak różnych ludzi jak Stanisław Worcell, Tadeusz Krępowiecki, Zenon Bolesław Świętosławski. Raz jeszcze Kalbarczyk: *Krępowiecki marzył o scentralizowaniu dążeń wszystkich Polaków wokół idei „wszechwładztwa ludu", oczekując rewolucji. Worcell uważał, że należy zburzyć stary porządek, ale przy zrozumieniu, jak należy przebudować strukturę społeczną, w oparciu o analizę systemu własności. To prowadziło go do wniosku, że narzędzia produkcji i ziemia muszą być wspólną własnością. Obaj w swych poglądach trzymali się jednak jakoś analizy spraw ziemskich, podczas gdy Świętosławski „odlatywał" w krainę mistyczno-totalitarnej utopii. Jego Ustawy Kościoła Powszechnego, przyjęte jako oficjalny program Gromad, przypieczętowały tylko rozstanie z Krępowieckim i Worcellem. Obaj powrócili na łono Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, którego byli założycielami*.

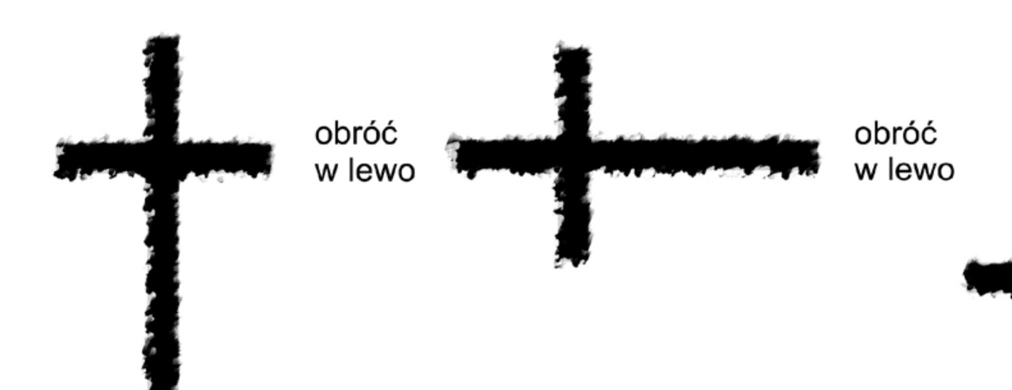
Skłóceni, mniej lub bardziej utopijni, mniej lub bardziej pragmatyczni – rzecz nie dotyczy przecież tylko tych trzech. Jeśli dodać gwałtownika sprawy księdza Piotra Ściegiennego, wskazać na zabłąkanego księdza Antoniego Szecha, jeśli przypomnieć księdza Andrzeja Huszno, to zobaczymy ludzi, którzy w chrześcijań-

stwie widzieli wielki projekt społecznej przebudowy i odnalezienia wolności dla ludu pracującego: wolności narodowej, społecznej, politycznej, ekonomicznej, osobistej. Podobnie jak przed nimi Mickiewicz, wołali gniewnie i bezkompromisowo. Raptus, awanturnik i szczery zwolennik ludu ksiądz Huszno grzmiał: *księża rzymscy tak uczą: Cierp, boś zgrzeszył, cierp, abyś nie zgrzeszył, błogosławieni, którzy za życia cierpią prześladowanie, albowiem po śmierci będą w niebie. Kto cię uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugiego, a kto ci odbiera płaszcz, oddaj mu i suknię. A tak pojmując Pismo Św., w czeluście piekielne spychają robotników za ich walkę z wyzyskiem kapitalistów i obszarników, za ich wołanie o ludzkie prawa i ludzkie traktowanie dla siebie, za ich 8-godzinny dzień pracy, za związki zawodowe, za reformę rolną itd*.

Nie, to nie mogło się podobać tym, którzy widzieli w Kościele, klerze i wierze ostoję porządku rzadko sprawiedliwego, ale zawsze – stabilizującego rzeczywistość. Trzeba dodać ważną rzecz – oni wszyscy, dziadowie czy może już ojcowie katolewicy, byli wierni sprawie, którą podjęli, choć nierzadko skłóceni z Rzymem. I sądzę, że to rozdarcie jest rzeczywistym probierzem i miarą katolewicy – wierni ludowi w swojej heterodoksji, tak to trzeba ująć, próbując raz jeszcze uchwycić sens terminu „katolewica".

Jestem przekonany, że najgorsze, co zdarzyło się katolewicy powojennej, którą zwyczajowo i wprost kojarzymy z tym terminem, to Polska Ludowa. Realia tamtego państwa sprawiły, że katolewica nie mogła właściwie być wierna ani Kościołowi, ani ludowi – ponieważ jeszcze ktoś inny żądał jej lojalności. Stąd, później, już w III RP zdeprawowana PRL-em katolewica rzuciła się w objęcia kapitalizmu po polsku i liberalizmu na miarę terapii szokowej. Nic albo niewiele zostało z niej tego, czym była pierwotnie w swoich licznych odsłonach. Nic albo niewiele zostało w niej z socjalistycznych akordów Mickiewicza, bezkompromisowości ks. Ściegiennego, nawet z naiwnych rojeń Turowicza – jej heterodoksyjne fascynacje poszły w stronę katolicyzmu liberalnego, wielkomiejskiego, koteryjno-inteligenckiego. Ale z pewnością nie w stronę ludu.

Dziś powoli się to zmienia: także dlatego, że młodym publicystkom i publicystom, młodej katolickiej inteligencji nawet z wielkich miast coraz trudniej jest wyznawać wiarę w wolny rynek. Inne są doświadczenia pokoleniowe dzisiejszych plus minus trzydziestolatków – jeśli skonfrontować ich z ludźmi, którzy pamiętają dobrze tych, co byli już w pełni władz umysłowych w początkach PRL. Oczywiście lud to dziś prekariat, inne są jego sprawy, a posoborowy Kościół to jednak inna struktura i wspólnota niż Kościół w XIX wieku i w pierwszych dekadach XX wieku. Ale katolewica wraca do swoich źródeł. To jest dobra i zła wiadomość. Ω



ilustracja: K. Karnkowski

Lewicowe ukąszenie. Czy tylko lewicowe?[1]

1 Artykuł ten jest rozbudowaną wersją tekstu, który ukazał się we „Frondzie" nr 68/2013 pod tytułem *Myślisz lewica chrześcijańska? Nic nie myślisz!*. Redakcja „Frondy LUX" miała życzenie przedrukować go bez zmian, uznałem jednak, że konieczne są po trzech latach pewne uzupełnienia.

Zaangażowanie społeczne chrześcijan stało się tematem naprawdę gorącym dopiero w epoce ideologii, które okazały się dla religijności zsekularyzowaną konkurencją, niosącą w dodatku konkretne propozycje nowej organizacji życia społeczeństw, ale i tworzenia nowego człowieka – świeckiego Chrystusa

Kwestia społecznego zaangażowania chrześcijan jest problemem tak starym jak sam Kościół. Widzimy to wyraźnie już u św. Pawła i w pismach Ojców Kościoła badających granice wspólnoty wiary i świata. Ale także u nieprzeliczonej rzeszy autorów katolickich rozważających sprawę w ciągu wieków. Musimy mieć przy tym świadomość, że zagadnienie to zyskało na intensywności razem z nadejściem w kulturze Zachodu czasów radykalnej sekularyzacji myślenia o sprawach społecznych, a także należących do nich pytań o konkretny ład polityczny i ekonomiczny. Dla dobrego zrozumienia tego, o czym tu mówimy, trzeba przypomnieć, że z perspektywy czysto socjologicznej sekularyzacji tego obszaru ludzkiej aktywności dokonał już sam Kościół, rozłączając porządek władzy doczesnej i duchowej wedle odpowiednich dla nich celów. Rozłączenie to nie było jednak separacją, ale nowym uporządkowaniem spraw złączonych u pogan w sakralnej jedności. Wedle zasady, że porządek doczesny nie może stawiać przed sobą zadań zbawczych, ale i władza duchowa nie spełnia się wcale w formie teokratycznej polityczności, tylko realnie na tę polityczność wpływa i ją kształtuje.

Ideologie i ich propagandyści nie tylko konkurują z Kościołem

Zaangażowanie społeczne chrześcijan stało się jednak tematem naprawdę gorącym dopiero w epoce ideologii, które okazały się dla religijności zsekularyzowaną konkurencją, niosącą w dodatku konkretne propozycje nowej organizacji życia społeczeństw, ale i tworzenia nowe-

go człowieka – świeckiego Chrystusa, którym stawały się różnorodnie – klasa, płeć etc. Ideologie w swojej historycznej formie zaistniały jednak obok religii, starając się odciąć od niej swoją tożsamość granicą racjonalności/nieracjonalności. Nie były ani nie chciały z nią być bezpośrednio kojarzone, dawały złudzenie wyższego etapu rozwoju człowieczeństwa zarówno na poziomie opisu świata, jak i recept rozwiązujących jego problemy. Proponowały coś w rodzaju „sekularnej jedności". Nie od razu dostrzegano w nich jednak przede wszystkim zeświecczone wersje pokusy teokratycznej, samozbawczej, religii zdeprawowanej, karmiącej się wybranymi i wykoślawionymi elementami religii prawdziwej. Dziś znów niezbyt często zauważa się, że ideologie i ich propagandyści nie tylko konkurują z Kościołem, ale także wprowadzają do wnętrza propozycji religijnej fałszywe nuty lub wręcz szukają sposobów, by religijność katolicką, a szerzej chrześcijańską, zaprząc we własne mechanizmy przemiany i deprawacji świata. Zakusy tego wirusa sprawiły, że religijne opisanie świata, jego uniwersalizm dotyczący zarówno duchowości, jak i doczesności w wielu umysłach uległ rozkładowi. Religijność stała się sprawą tylko liturgii, tylko modlitwy, tylko nawy, tylko estetycznym kontekstem życia, a działanie (a także myślenie) społeczne w wielu przestrzeniach zostało oddane ideologiom. Można powiedzieć, że wartość religii sprowadza się w ideologiach do swoistego residuum z przeszłości, które urefleksyjnia braki nowoczesności, a także zaspokaja „atawizmy" oraz zapewnia kontrolę (jeśli jest odpowiednio zwasalizowana) nad tymi z nas, którzy pozostają we władzy uczuć religijnych[2]. Ideologie zaoferowały złudzenie, że sprawy doczesne można ukształtować w sposób analogiczny do tego, jak rzemieślnik kształtuje materię, używając do tego prostych narządzi i zręcznej ręki, czyli techniki. Nie potrzeba tu żadnej niewygodnej prawdy o tym, że rzeczywistość społeczna włączona jest w życie łaski, a nawet najbardziej wysublimowana racjonalność i kierowana dobrymi intencjami praktyka potrzebują obiektywnej normy. Religia dziś jest od spraw nieba, ideologie od spraw ziemi. Dlatego w Kościele możemy być

Stajemy się nieraz praktycznymi marksistami

2 Więcej o perypetiach tradycji w czasach nowożytnych można znaleźć w mającej się wkrótce ukazać książce P. Grada *O pojęciu tradycji. Esej o kulturze pamięci*, Biblioteka Kwartalnika KRONOS, 2016, a także w mojej książce *Bękarty Dantego. Szkice o zanikaniu i odradzaniu się widzialnego chrześcijaństwa*, Wydawnictwo Tyniec, Biblioteka Christianitas, 2015.

katolikami czującymi związek z dowolnym nurtem tradycji duchowości, ale w pracy, życiu społecznym i politycznym stajemy się nieraz praktycznymi marksistami lub radykalnymi liberałami ekonomicznymi, a czasem nawet obyczajowymi. A przecież właściwą duchowością człowieka jest to, co ożywia jego działanie.

Te wstępne uwagi zostały sprowokowane przez powrót do dyskursu publicznego sformułowania „lewica chrześcijańska". Na łamach „Rzeczpospolitej" głos w tej sprawie zabrali jakiś czas temu Krzysztof Wołodźko[3] („Nowy Obywatel") i Łukasz Kobeszko[4] . Do przywołanej etykiety przyznają się jednak przede wszystkim, i to jest interesujące, młodsze środowiska warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej skupione wokół pisma „Kontakt", ale także przynajmniej część publicystów związanych z pismem „Nowy Obywatel" oraz pewien wachlarz stron internetowych i portali. Nie ukrywam, że tak jednoznaczne wprowadzanie etykiety tożsamościowej, łączącej religijność i komponent ze świata ideologii, budzi różnego rodzaju zastrzeżenia. Mówimy o środowiskach, dla których punktem odniesienia nie jest bezpośrednia akcja polityczna, ale, jak na razie, wypracowywanie stanowisk i rozwiązań intelektualnych, a także wspieranie działań społecznych. Mamy zatem czas na rozmowę, zanim myślenie stanie się właśnie jakimś rodzajem zaangażowania politycznego[5]. Wątpliwość jest bardzo prosta – kiedy słyszę sformułowanie „lewica chrześcijańska", trudno mi powiedzieć, która z dwóch obecnych w nim tożsamości (duchowości) jest ważniejsza. Sądzę bowiem, że są to dwie różne tożsamości. Dlaczego? Ponieważ samo słuchanie Nauki Społecznej Kościoła nie jest jeszcze, moim zdaniem, lewicowością, ale zwykłą i świadomą realizacją katolickiego zaangażowania w świat. Ta katolickość jest warta podkreślenia, ponieważ to ona, a nie lewicowość, ma dawać wierzącym *modus vivendi*, krytyczną refleksyjność, a także horyzont działań. Inaczej staje

Samo słuchanie Nauki Społecznej Kościoła nie jest jeszcze lewicowością

3 K. Wołodźko, *Wiosna lewicy chrześcijańskiej*, „Rzeczpospolita", 01.04.2013 [dostęp: 22.07.2013]
4 Ł. Kobeszko, *Upadek wiary w liberalizm*, „Rzeczpospolita", 08.04.2013 [dostęp: 22.07.2013]
5 Wybory parlamentarne z jesieni 2015 roku pokazały, jak bardzo od roku 2013 zbliżyliśmy się do zaangażowania politycznego środowisk umownie zwanych „katolewem" – pretekstem do ujawnienia się stanowisk wśród osób jawnie stroniących od polityki było pojawienie się radykalnej Partii Razem.

się jedynie wspomnianym już estetycznym dodatkiem pozbawionym własnej racjonalności i dynamiki.

Spójrzmy na pewien historyczny przypadek lewicy chrześcijańskiej i jego dziejowych perypetii. Jednym z najciekawszych duchowych „projektów" w polskim katolicyzmie dwudziestego wieku było niewątpliwie środowisko, które zaczęło kształtować się w podwarszawskich Laskach wokół osób ks. Władysława Korniłowicza i matki Róży Czackiej, założycielki Zgromadzenia Franciszkanek Służebnic Krzyża, sióstr dobrze znanych wielu katolikom z warszawskiego kościoła pw. św. Marcina na Starym Mieście. Duchowość Lasek obejmująca zarówno osoby konsekrowane, jak i świeckie, w okresie swojej świetności intelektualnej, a więc w czasach wydawania kwartalnika „Verbum" i potem jeszcze do śmierci ks. Korniłowicza, opierała się na trzech filarach. W liturgii, która w pewnej mierze zajmowała tam pierwsze miejsce, na św. Benedykcie, w formacji intelektualnej na św. Tomaszu, a w praktyce społecznej na św. Franciszku[6]. Ten ostatni element duchowości wyrażającej zaangażowanie w świat, jak się zdaje, przetrwał w Laskach najdłużej, a nawet trwa do dzisiaj. Istnieje przecież zgromadzenie, które ten aspekt pielęgnuje, zajmując się opieką nad niewidomymi i praktykując ubóstwo. Niewątpliwie też środowisko Lasek można by określić mianem swoistej forpoczty lewicy chrześcijańskiej – choćby poprzez próby zaangażowania ekumenicznego czy przyjmowanie porzucającej klasyczną katolicką naukę o państwie, filozofii Jacques'a Maritaina[7], ale też silny rys inteligencki. Nigdy jednak, studiując dzieje środowiska i pisma jego członków, nie spotkałem się, by sformułowanie „lewica" zostało użyte w tym kontekście w latach 30. czy 40. Bez wątpienia ks. Korniłowicza nie interesowała lewica, ale przemiana świata w duchu Benedykta, Tomasza i Franciszka, która wyrażała się w wierności nauce społecznej Kościoła.

Środowisko Lasek można określić mianem forpoczty lewicy chrześcijańskiej

Lewicą chrześcijańską zaś możemy określić już grona (a przynajmniej ich wpływowych przedstawicieli) kształtujące po wojnie środowisko grupujące ludzi „Tygodnika Powszechnego", „Znaku", KIK-u, a także redakcję

6 Zob. książkę s. T. Landy, s. R. Wosiek, *Ksiądz Władysław Korniłowicz*, Warszawa 2003.
7 Por. blok tekstów *Od Christianitas do nouvelle chretiente*, „Christianitas", nr 45–46/2011.

pod kierownictwem Tadeusza Mazowieckiego zakładającą miesięcznik „Więź". Prawo do tego dają nam wyrażane w różnoraki sposób opisy własnej tożsamości. Jak choćby w tekście programowym w pierwszym numerze „Więzi". Pamiętajmy też, że pismo to z zasady zrezygnowało z określenia „katolickie". *Pewne swe rozdziały historia każdego narodu zamyka nieodwołalnie. Dlatego bezpłodna jest wszelka myśl i wszelki wysiłek nie liczący się z tym, że Polski nie można cofać do formacji kapitalistycznej. Chodzi natomiast o to, aby socjalistyczna formacja społeczno-ekonomiczna, w jaką Polska w wyniku dokonanych reform społecznych weszła, rozwijała się w kierunku najkorzystniejszym dla życia narodu i praw człowieka, którym winna ona służyć*[8]. To tylko jeden z wielu afirmatywnych wobec socjalizmu głosów ze środowiska katolicyzmu otwartego. Przy czym właśnie trzeba odróżnić naturalne dla katolików zaangażowanie na rzecz sprawiedliwości społecznej od ogłoszenia akcesu do ideologii socjalizmu wprowadzanej w Polsce za pomocą sowieckich bagnetów. Wszystko to było oczywiście opowiedziane słowami personalizmu, który wydawał się wtedy dla wielu esencją chrześcijańskiej filozofii. Co ważne, środowiska te bezpośrednio odwoływały się do dziedzictwa Lasek, a Tadeusz Mazowiecki został redaktorem monumentalnej książki *Ludzie Lasek*[9] zbierającej rozproszone świadectwa o działalności dzieła zapoczątkowanego przez Matkę Czacką i ks. Korniłowicza. Co jednak poszło nie tak z tą lewicowością?

Była pewna zasadnicza różnica pomiędzy Laskami a młodymi środowiskami. Te ostatnie porzuciły św. Tomasza, zastępując go Emmanuelem Mounierem. Ponoć obu miał łączyć realizm. Jerzy Turowicz tak pisał o Mounierze w przedmowie do pierwszego w języku polskim wyboru pism francuskiego myśliciela: *W dziejach cywilizacji chrześcijańskiej, jak każdej zresztą cywilizacji, są jednostki, które w sposób doskonały wyrażają jakąś najwrażliwszą świadomość swego pokolenia, wyprzedając swoją epokę i kształtując świadomość pokoleń następnych*[10]. Studia Mouniera nad Tomaszem i przyjaźń z Maritainem wydawały się wówczas wystarczającym gwarantem dla jego myśli, choć jego pisma zdecydowanie miały

Jeden z wielu afirmatywnych wobec socjalizmu głosów ze środowiska katolicyzmu otwartego

8 Zespół „Więzi", *Wartości i rozdroża*, „Więź", 2(1) 1958.
9 T. Mazowiecki, *Ludzie Lasek*, Warszawa 1987.
10 J. Turowicz, *Emmanuel Mounier*, [w:] E. Mounier, *Co to jest personalizm?*, Kraków 1960, s. IX.

już postchrześcijański charakter, bo i samo chrześcijaństwo dla personalizmu okazywało się przygodne. Świętego Benedykta porzucono, w zgodzie ze wskazówkami pragmatycznych prądów ruchu liturgicznego, dla dydaktycznego traktowania liturgii. Dydaktyzm był wątkiem obecnym już w liturgicznych pismach Korniłowicza[11], ale miał tam swoje miejsce w głębszym nurcie duchowości benedyktyńskiej nastawionej na oddawanie chwały Bogu w prawdziwej starodawnej formie kultu. Praktykę społeczną, z ducha franciszkańską, zamieniono właśnie na socjalizm. Choćby wspomniani już autorzy kręgu „Więzi", jak pisze Roman Graczyk w książce o infiltracji środowiska „Tygodnika Powszechnego" przez SB, *głosili się w tym czasie kimś na kształt katolickich socjalistów, autentycznie wierząc w wyższość tego wzorca ustrojowego*[12]. We wszystkich tych przypadkach sądzono zapewne, że rozwija się jedynie twórczo chrześcijańskie zasady duchowe. W rzeczywistości jednak te ostatnie zostały zastąpione już przez różnorakie formy ideologii, materializmu czy konformizmu. I to zarówno tam, gdzie chodziło o sprawy społeczne, jak i religijne czy intelektualne. Nie można mieć dziś złudzeń co do myśli Mouniera przenikniętej praktycznym sojuszem z komunizmem. Nie był on dobrym mistrzem. Z kolei funkcjonalizm i dydaktyzm jako podejście liturgii oraz rytuału jest nie tylko teologicznym, ale i socjologicznym anachronizmem, efektem zbyt społecznego i pragmatycznego traktowania spraw Bożych. Zresztą – prawdopodobnie bez szczególnej intencji takie myślenie o sprawach Bożych jest samym sercem nowoczesnych ideologii – to tradycja w znaczeniu czegoś, co przychodzi z przeszłości, nie posiada własnego uzasadnienia poza zupełnie doczesną regulującą uczucia społeczne funkcją. Porażka modernizacji katolicyzmu w wielu XX pokazuje, jak bardzo destrukcyjne jest dla chrześcijaństwa poddanie się logice nowoczesnego sekularyzmu,

PRAKTYKĘ SPOŁECZNĄ, Z DUCHA FRANCISZKAŃSKĄ, ZAMIENIONO NA SOCJALIZM

11 Ks. Korniłowicz nie był pisarzem ani publicystą – jego myśl rozpięta była pomiędzy kwestie liturgiczne i społeczne, co też widać w zaledwie trzech pozostawionych przez niego rozprawach. Pierwsza z nich to *Praca nad ożywieniem ruchu liturgicznego w Polsce*, [w:] *Pamiętnik piątego zjazdu w Łodzi*, 03.04–05.04.1929, Związki Zakładów Teologicznych w Polsce; druga to *Wartości kulturalno-wychowawcze liturgii*, Warszawa 1936 oraz trzecia – *Chrześcijańska odbudowa świata w świetle nauki o Ciele Mistycznym. Rozważania nad rolą duszpasterza w akcji społecznej*, Warszawa [1938].

12 R. Graczyk, *Cena przetrwania? „Tygodnik Powszechny" a SB*, Czerwone i Czarne, Warszawa 2011, s. 35.

który w gruncie rzeczy traktuje religię jako coś irracjonalnego i partykularnego wobec rzekomo uniwersalnego dyskursu nowoczesnego. Oto przykład, jak łatwo zagubić to, co ważne, ufając własnej epoce. Tą drogą przebiegła sekularyzacja liturgii, w którą byli zapatrzeni katoliccy socjaliści – zamiast mistagogii przez kult Boży, banalna ludzka pedagogia – niemal wiec. To samo działo się na innych polach aktywności społecznej.

Bez wątpienia kolejne ideologiczne złudzenia, którym w czasach PRL podlegały środowiska lewicy chrześcijańskiej, miały wciąż motywację, która jawiła się jej przedstawicielom jako chrześcijańska, tymczasem oddalała się ona coraz bardziej od tych, których uznawała za swoich ojców duchowych. W rzeczywistości realizowane były już cele ideologii, a przy okazji głoszono wciąż pobożność. Jednak w praktyce jedynie w sensie prywatnych upodobań. Erozję katolickiego socjalizmu widać już na przykładzie roku 1956. W czasach stalinowskich środowiska „Tygodnika Powszechnego" czy „Znaku" programowo głosiły sprzeciw filozoficzny wobec systemu „budownictwa socjalistycznego", choć już funkcjonowały w ramach tego systemu jako beneficjent koncesji. Niektóre głosy, jeszcze z lat 40., były jednak bardzo mocne, jak ten z artykułu Józefa Mariana Święcickiego: *Kościół jako głosiciel Prawdy zmierza niewątpliwie do tego, aby nauką swoją przepoić wszystkie dziedziny życia* [...]. *Nie zadowala się tylko prywatnym apostolstwem, chciałby ogarnąć swoim duchem także i życie publiczne, nasycić, przetrawić społeczne urządzenia i instytucje, urzeczywistnić ideał chrześcijańskiego państwa, więcej nawet – chrześcijańskiej wspólnoty narodów. Maksymalizm, o którym mówimy, [jest] po prostu tylko wyciągnięciem pełnych konsekwencji z faktu, że Kościół jest posiadaczem Prawdy, nie może więc godzić się na równouprawnienie z nią błędu. Owszem, zmierza do obrony swoich wiernych przed infiltracją zła i uważa, że obowiązkiem państwa jest współdziałać z nim w tym zabezpieczeniu dusz przed zgorszeniem*[13]. A jednak w kolejnych latach ton publicystyce „Tygodnika Powszechnego" nadawał już Turowicz, bliższy głoszonemu od lat 30. przez Maritaina i Mouniera pogodnemu optymizmowi nowej cywilizacji chrześcijańskiej, która była wielkim złudzeniem i praktycz-

Opozycyjność była dwuznaczna

13 J.M. Święcicki, *O katolickim maksymalizmie*, „Tygodnik Powszechny", 2 lutego 1947; więcej w tym kontekście o „Tygodniku Powszechnym" zob. R. Graczyk, *Katoliccy rewizjoniści: nowa „wieloświatopoglądowość"*, „Christianitas", nr 51/2013.

nym narzędziem politycznej adaptacji katolików do budowy cywilizacji liberalnej pod hasłem budowy chrześcijańskiej demokracji. W Polsce oznaczało to jednak też pewien rodzaj optymizmu wobec ustroju budowanego przez lewicę komunistyczną. Opinię w sprawach bezpośrednio politycznych kształtował realista Stanisław Stomma, rozwijający własną pozytywistyczną koncepcję zaangażowania katolików w świat właściwie oderwaną od tradycji katolickiej. Stanowisko zaprezentowane przez Święcickiego zanikło. W konsekwencji razem z przyjściem do władzy ekipy Władysława Gomułki i końcem stalinizmu następuje szeroka legitymizacja środowisk socjalizmu katolickiego dla realnego socjalizmu. Symbolem tej decyzji będzie koło poselskie „Znak". Zacznie się też proces różnicowania i konfliktowania z Prymasem Wyszyńskim, który okaże się nie dość postępowy. Praktyka lewicy chrześcijańskiej przestała odnosić się w dekadach powojennych nie tylko do źródeł katolickiej duchowości, która trzymała w pionie ortopraksję ludzi Lasek, ale także zapomniała o tradycji społecznych encyklik papieży XIX i XX wieku nauczających o państwie i społeczeństwie. Okazała się za to zgodna z kontrowersyjną wypowiedzią znanego teologa dominikańskiego o. Marie-Dominique'a Chenu, który stwierdził, że coś takiego jak nauka społeczna Kościoła nie istnieje[14]. Głosem tym oddawał doczesność we władzę ideologii, a religię redukował do jej zaplecza symbolicznego pozbawionego własnego głosu. To samo stało się z katolickimi socjalistami.

Dystans Wyszyńskiego do działań KOR-u

Dalsze losy lewicy katolickiej pokazują, że ten ruch zapoczątkowany sekularyzacją źródeł duchowych był konsekwentnie kontynuowany. Wyjście posłów „Znaku" z Sejmu PRL w 1976 roku daje się jeszcze wytłumaczyć w duchu zmiany strategii działania w opozycji. Jednak trzeba pamiętać, że ta opozycyjność była dwuznaczna. Dlatego uprawnione będzie spojrzenie na tę sytuację jako na kontynuację aliansu z ideologiczną *praxis* – w tym przypadku z komunistycznymi rewizjonistami skonfliktowanymi z ortodoksją partyjną. Rewizjoniści mieli swoją strategię zdobycia władzy, a katolicy lewicy, chcąc uczłowieczać komunizm, weszli w nią, zamiast wypracować

14 W tym kontekście warto zajrzeć do artykułu *W sprawie encykliki „Populorum progressio"* [w:] M.D. Chenu, *Teologia materii. Cywilizacja techniczna i duchowość chrześcijańska*, Editions du dialogue, Paris 1969.

własną propozycję społeczną zakorzenioną silniej w Kościele. W tym kontekście można też lepiej zrozumieć dystans Wyszyńskiego do działań KOR-u. Prymas bowiem właśnie poszukiwał chrześcijańskiej propozycji społecznej i za to był krytykowany. Trudno dziś patrzeć na sens sojuszu z rewizjonizmem inaczej niż przez pryzmat wspólnoty ideologicznej zrodzonej we wcześniejszych latach. Tylko strategią władzy można też zrozumieć późniejszy zwrot rewizjonizmu w stronę radykalnego liberalizmu społecznego. Lewica chrześcijańska nie miała już wtedy żadnego własnego zaplecza istotnie chrześcijańskiego, by wyłożyć w kwestii społecznej swoje zdanie. Dokonała kolejnej legitymizacji systemu, jak zauważył Wołodźko w swoim artykule, sprzecznego nie tylko ze źródłami, ale i z dotychczasową historią ruchu. Konsekwentnie lewica chrześcijańska poparła także liczne elementy radykalnie sekularne zawarte w propozycji formy III RP. Przywołam inną opinię o. Chenu, który mówił, że myśl teologiczna winna być solidarna ze swoją epoką. Jeśli faktycznie za tym tylko ona idzie, w praktyce staje się służką obowiązującej ideologii.

Tożsamości takiej jak lewica chrześcijańska grozi dziś to samo co wcześniejszym reprezentującym ją generacjom, czyli przedkładanie praktycznych sojuszy społecznych ponad wymiar religijny, ponad uniwersalny obraz prawdy. Ta pokusa wciąż jest aktualna. Swoje „duchowości" oferują nowe prądy marksizmu, feminizm etc. W sytuacji sojuszów praktycznych łatwo stają się one „duchowością praktyki społecznej" i wypierają wskazania chrześcijańskie, które wydają się swoistą nadbudową, która nie oferuje takiej operacyjności w zmienianiu struktur. Zmienianie struktur wciąż lubi ubierać się w obietnice, których spełnić się nie da. Mylimy się, jeśli uważamy, że zbudujemy chrześcijański świat, abstrahując od ideologicznych konsekwencji działań naszych i naszych sojuszników.

Co dziś dzieje się z dawnymi katolickimi socjalistami? „Tygodnik Powszechny" dryfuje w znacznej mierze dalej w stronę wartości liberalnych uzasadnianych chrześcijaństwem. Należą do nich sprzeciw wobec ścisłej ochrony życia poczętego, dawanie głosu heterodoksyjnym opiniom religijnym (np. kapłaństwo kobiet, komunia dla osób rozwiedzionych w ponownych związkach). Jak się zdaje, nie dostrzegł też jeszcze, że liberalizm gospodarczy, który przez lata firmował jako podstawę porządku III RP, nie

W sytuacji sojuszów praktycznych łatwo stają się one „duchowością praktyki społecznej"

jest naszym wielkim osiągnięciem, ale przyczyną powszechnej niesprawiedliwości. Czy nie jest trochę tak, że skoro „nauka społeczna Kościoła nie istnieje", to wszystko wolno? A może w ogóle wszelka nauka jest tylko przymusem krępującym autentyczną religijność? Miesięcznik „Znak" w podobnym duchu wymienił mounieryzm i personalizm na nowy rodzaj modernistycznej filozofii wysysającej żywotne soki z religii, czyli postsekularyzm[15]. W tym też sensie pismo promuje chrześcijaństwo, które wreszcie uwolniło się z „konstantynizmu" i oczyszcza się, rezygnując z dotychczasowych swoich treści i form[16]. Jeśli nasz postsekularny świat jakoś wyobraża sobie chrześcijaństwo, to właśnie jako wydmuszkę niesamodzielnej religijności skupionej na bożku Dialogu i powtarzającej mądrości tego świata jako mądrość Ewangelii. „Więź" zaś wystraszona chyba historią swoich ideologicznych zaangażowań w nowym manifeście (pierwszy numer w roku 2013) właściwie wycofała się ze świata[17]. Trudno o inny wniosek, gdy czyta się ten tekst w kontekście historycznego pierwszego numeru sprzed lat. Z drugiej jednak strony także wsparła propozycję zmian doktrynalnych w Kościele, by do komunii świętej dopuszczać rozwodników żyjących w ponownych związkach. W praktyce oznaczałoby to wymianę wiary i nauki katolickiej o Eucharystii na jakąś quasi-teologię nowoczesności, w której nie ma granicy między dobrem i złem, grzechem a łaską, miłosierdziem a hipokryzją[18]. Nakładem wydawnictwa „Więzi" ukazała się także książka redaktorów pisma pt. *Wyzywająca miłość* propagują postulaty środowisk LGBTI i zmianę nauczania Kościoła o charakterze relacji homoseksualnych. Autorzy związani z „Więzią" nie prezentują jednoznacznego stanowiska w tych sprawach, jednak elementy uwiedzenia znane od dziesięcioleci wciąż są dobrze widoczne w nowych formach i idą za swego rodzaju „emancypacją" społeczną, która sięgnęła już granic natury człowieka. Na podobnej drodze wydaje się magazyn

PRZESUWANIE KATOLICKOŚCI W OBSZAR ESTETYCZNEGO, FUNKCJONALNEGO I PRYWATNEGO REZYDUUM W SŁUŻBIE „WIĘKSZEGO PROJEKTU" POLITYCZNEGO

15 O logice postsekularnej w kontekście myślenia środowiska „Znaku" pisałem w tekście *Czy człowiek może przeżyć nowożytność. Uwagi o apologiach postsekularyzmu* [w:] T. Rowiński, *Bękarty Dantego*, tamże; oraz *Co po „Znaku". Pytania do nowej redakcji*, Christianitas.org, 11.07.2011.

16 Pisał o tym P. Grad w artykule *Spór o dziedzictwo Konstantyna*, „Znak", nr 704/2014.

17 Redakcja „Więzi", *Dlaczego otwarta ortodoksja*, „Więź", nr 1(651) 2013.

18 Na ten temat mój tekst *Teologie zaadaptowane sekularyzmu*, [w:] *Bękarty Dantego...*

„Kontakt", który choćby piórem Macieja Onyszkiewcza potrafi pisać o „tradycyjnych małżeństwach jednopłciowych"[19]. „Kontakt", będący pismem warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej, wprost odwołuje się do tradycji katolewicowej, co łączy się z wartym zauważenia zaangażowaniem na rzecz sprawiedliwości społecznej. Jest to widoczny znak zmiany pokoleniowej i podjęcia krytycznej refleksji nad dziedzictwem starszych kolegów, a także wychowawców. Jednak wciąż wraca do mnie pytanie, czy zwrot prospołeczny jest powrotem do poważnego traktowania nauczania społecznego Kościoła, czy też zwrotem do ideologii w jej dzisiejszych formach. Skłonność do ulegania ideologiom lewicy obyczajowej i rozpuszczanie granic pomiędzy tym, co katolickie i niekatolickie, każe domyślać się raczej trudności samych tych środowisk w rozpoznawaniu „silnika" racjonalności zawartej w tradycji Kościoła i dryfowanie na fali „solidarności ze swoją epoką".

Choć czasy się zmieniają, nawet niezbyt uważny czytelnik tekstów powstających w środowiskach związanych historycznie z katolicyzmem otwartym czy katolewicą zauważy, że konieczna krytyka liberalizmu gospodarczego, który stał się główna ideologią III RP i który był wsparty przez środowiska katolickie, ma skłonność do przechodzenia w sojusze także w sferze obyczajowej i faktyczne przesuwanie katolickości w obszar estetycznego, funkcjonalnego i prywatnego rezyduum w służbie „większego projektu" politycznego, jakim jest „pluralistyczne, liberalne społeczeństwo obywatelskie bez granic". Problem polega na tym, że to nauka społeczna Kościoła jest miarą dla całokształtu spraw społecznych, nawet jeśli (i na szczęście) nie jest katalogiem praktycznych rozwiązań gospodarczych i społecznych. Na pewno jednak wyznacza ona granice nieprzekraczalne człowieczeństwa. Zatem z perspektywy myślenia katolickiego da się zauważyć trudność w rozróżnianiu obszarów społecznych lub też swoistą dwoistość myślenia, w której udziela się warunkowego poparcia radykałom z Partii Razem, biorąc w nawias to, że prezentuje ona najbardziej radykalny program rewolucji obyczajowej na polskiej scenie

Katolik wchodzący w sferę publiczną nie jest reprezentantem żadnej tradycji

19 M. Onyszkiewicz, *Tradycyjne małżeństwa jednopłciowe*, Dwutygodnik internetowy „Kontakt", 21.01.2016.

politycznej w dziejach[20]. Przykład sukcesu Partii Razem wśród części lewicowej, wielkomiejskiej, a także katolickiej publiczności pokazuje, że ukąszenia ideologiczne wciąż są wśród katolików możliwe.

Można wskazać przynajmniej dwie tego przyczyny – jedna to wyparcie specyficznie katolickiej polityczności, która dokonała się m.in. za sprawą „katolików otwartych", przekonanych przez narracje posoborowe, że katolik wchodzący w sferę publiczną nie jest reprezentantem żadnej tradycji, ponieważ tradycja religijna ma wymiar prywatny (założenie liberalne), druga jest taka, że znaczna część katolików trwających mocno przy doktrynie Kościoła ulegała także ukąszeniu ideologicznemu skrajnie liberalnego myślenia o sprawach gospodarczych i społecznych. Można powiedzieć, że to złudzenie połączyło w latach 90. bardzo oddalone od siebie środowiska katolickie. Osłabienie myślenia przez pryzmat nauki społecznej Kościoła wytworzyło nawyk całościowego moralnego oceniania ideologii, bez wnikania w ich podstawy antropologiczne i bez krytycznego nastawienia wobec każdej z nich. To tylko pokazuje, że duchowość stała się w gruncie rzeczy polityczna i ideologiczna, ponieważ to polityka i ideologia stają się miarą oceny tego, co jest katolickie, a co nie. Dobrze to zresztą widzimy we wciąż powracającym w dyskursie argumencie, że czyjeś działanie jest „nieewangeliczne", ale ocena ta dokonywana jest z pozycji liberalnych, neokomunistycznych itd. Nieważne też się staje ze strony katolewicowej, że postulaty zwiększania dobrobytu i bezpieczeństwa gwarantowanego przez państwo stawia się ponad dewastację społeczeństwa powstającą w wyniku aborcji, eutanazji, uprzywilejowania związków homoseksualnych itd. Z drugiej strony skupienie na moralności publicznej nie może przesłaniać niesprawiedliwości społecznej i powszechnego przeznaczenia dóbr. Żadna umowa społeczna nie może być usprawiedliwieniem zła, a jest to nagminne. Mordowanie co roku prawie tysiąca dzieci tylko dlatego, że są chore, jest kwestią absolutnie zasadniczą dla zbudowania w Polsce czegoś, co choć trochę będzie przypominać sprawiedliwość społeczną, otwarte społeczeństwo, państwo szanujące i chroniące prawa jednostki.

Żadna umowa społeczna nie może być usprawiedliwieniem zła

20 Wystarczy na stronie PartiaRazem.pl znaleźć dwie zakładki „Karta praw reprodukcyjnych" i „Karta praw LGBT", by się o tym przekonać.

By nie kończyć oskarżeniem, przytoczę dłuższy fragment artykułu wstępnego Michała Barcikowskiego do „Christianitas" 62/2015, który trafnie wskazuje socjologiczne niebezpieczeństwo wynikające z braku odpowiedzialności prawowiernych prawicowych katolików, którzy zamiast dialektycznie popadać w swoje własne błędy, powinni być gotowi do rachunku sumienia, podczas którego odpowiedzą na pytanie, w jaki sposób przyczynili się do „osłabienia wiary w religię Jezusa Chrystusa".

> Wracając do tytułowej myśli z encykliki Piusa XI: wydaje się, że dzisiaj grozi nam podobne niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo polegające na tym, że na słuszne postulaty budowy bardziej sprawiedliwego społeczeństwa odpowiedzą, wobec milczenia katolickich polityków, neokomuniści w rodzaju naszej Partii Razem czy greckiej Syrizy.
>
> Neokomuniści, którzy sprawiedliwsze rozłożenie ciężarów podatkowych, ochronę praw pracowniczych „sprzedadzą" społeczeństwu w pakiecie z „małżeństwami" homoseksualistów, dzieciobójstwem prenatalnym na życzenie i wypchnięciem Kościoła z przestrzeni publicznej.
>
> Jeśli tak się stanie (a gdzieniegdzie już się dzieje, *vide* kodyfikacja związków partnerskich osób tej samej płci z prawem do adopcji dzieci, dokonana niedawno w Grecji), niech katoliccy politycy, katoliccy publicyści czy szerzej: liderzy katolickiej opinii publicznej, nie wahają się – nie wahajmy się – zajrzeć, zgodnie z wezwaniem Piusa XI, w głąb własnych sumień. I tam przede wszystkim poszukać winy.



Niedawno do władzy doszła partia, której sztandarowym projektem jest wielki projekt: 500 zł co miesiąc na każde drugie i kolejne dziecko w rodzinie, opodatkowanie wielkich sieci handlowych czy instytucji bankowych.

To istotne zmiany, ale biada nam, jeśli damy sobie wmówić, że stanowią jakieś z trudem osiągalne maksimum. Biada nam, jeśli powstrzymamy się po naszej katolickiej i prawicowej stronie polskiej sceny politycznej od uczciwej rozmowy o sprawiedliwszym rozłożeniu ciężarów podatkowych nie tylko pomiędzy kapitałem polskim a obecnym w naszym kraju kapitałem zagranicznym, ale także między biedniejszymi a bogatszymi w Polsce. Biada nam, jeśli słusznie domagając się uznania ciężkiej pracy kobiet rezygnujących z pracy zawodowej, by poświęcić się wychowaniu dzieci, za pracę wymagającą podobnej ochrony jak ta wykonywana na podstawie umowy o pracę, zapomnimy, że tak samo usilnie trzeba walczyć o to, by pracująca kobieta nie była karana za urodzenie dziecka utratą zatrudnienia i praktycznym zamknięciem możliwości powrotu do niego w przyszłości.

Wszystko to oczywiście z pamięcią, że społeczne magisterium Kościoła, jak każde jego magisterium, to wyznaczenie granic tego, co moralnie i doktrynalnie dopuszczalne, a nie sztywny program. W ramach tych katolickich granic możliwa i potrzebna jest dyskusja, której patronować powinny wszystkie cnoty kardynalne, a więc poza sprawiedliwością (w tym tą społeczną) także roztropność (zważanie na to, co w danej chwili możliwe), umiarkowanie (a więc także patrzenie na potrzeby innych), wreszcie męstwo (pamięć o tym, że niepowodzenia czy przeciwności nie zwalniają z ciągłego starania o to, co słuszne).

Na razie, przynajmniej w naszym kraju, nic nie jest przesądzone. Ale *już siekiera do pnia przyłożona*[21]. **Ω**

21 M. Barcikowski, *Sprawiedliwość społeczna, czyli o osłabianiu zaufania do religii Jezusa Chrystusa*, „Christianitas" 62/2015.


T·H·ROBINSON·

Remigiusz Właśt-Matuszak

Czekając na trzecią kontr-reformację

Żyjemy w czasach Trzeciej Reformacji, w tak zwanym postmodernizmie, „płynnej postnowoczesności", a raczej epoce kontrkultury. Za umowną datę rozpoczęcia III reformacji możemy uznać 15–18 sierpnia 1969 roku – farmę Woodstock koło Nowego Jorku i festiwal z udziałem blisko pół miliona młodych Amerykanów kontestujących idee polityczne stanowiące fundament cywilizacyjny Zachodu i chrześcijaństwa

Przypomnijmy, że I reformacja to 31 października 1517 roku – przybicie 95 tez przez Marcina Lutra na drzwiach kościoła zamkowego w Wittenberdze, II reformacja to modernizm wybuchły około 1883 roku, zdiagnozowany i nazwany przez Jorisa-Karla Huysmansa (1848–1907) jako *L'Art moderne* (*modern art*).

Oczywiście dziesiątki akademików podadzą inne umowne daty, nazwy i przykłady. Niechaj publikują swoje teksty, ale niech odbiorą mój jako głos z początków Trzeciej Kontrreformacji.

Pierwsza kontrreformacja to sobór trydencki – 13 grudnia 1545–1563 roku, a za początek drugiej kontrreformacji uznaję przejęcie władzy przez NSDAP 30 stycznia 1933 roku i upadek Republiki Weimarskiej.

Każda epoka kulturowa, zjawisko, jednostkowe wydarzenie kulturalne, nawet zwykła moda w każdej swojej postaci jest wypadkową łańcucha przyczynowo-skutkowego. Woodstock mógł nazywać się zupełnie inaczej i objawić się wcześniej lub później, ale był dzieckiem i trampoliną sukcesu, objęciem „rządu dusz" lewicowych emigrantów ze szkoły frankfurckiej (*Frankfurter Schule*). Nie byłoby Stalina – nie byłoby i Hitlera, nie byłoby Holokaustu (przytaczam Holokaust, bowiem wielu współczesnych historyków odbiera zagładę Żydów w Europie jako punkt odniesienia do analizy całej naszej współczesnej historii), a gdyby nie było szkoły frankfurckiej, to nie byłoby lewackich kontestatorów-terrorystów, hippisów, powszechnych narkotyków, usankcjonowanej prawem destrukcji rodziny, całej dekonstrukcji cywilizacji Zachodu.

Jako punkt startowy łańcucha przyczyn trzeciej reformacji lat 1968/1969 (rewolucji kulturowej, seksualnej i ideologicznej) śmiem przyjąć wymyślenie i wyekspediowanie przez gen. Ericha Ludendorffa (szefa sztabu armii Kajzera Wilhelma) eksterytorialnym pociągiem W.I. Lenina ze Szwajcarii, przez Niemcy, Szwecję do Piotrogrodu w kwietniu 1917 roku.

Dżin został wypuszczony z odkorkowanej butelki z marksizmem, a wszystko, co stało się później i trwa, jest tego faktu KONSEKWENCJĄ.

DŻIN ZOSTAŁ WYPUSZCZONY Z ODKORKOWANEJ BUTELKI Z MARKSIZMEM, A WSZYSTKO, CO STAŁO SIĘ PÓŹNIEJ I TRWA, JEST TEGO FAKTU KONSEKWENCJĄ

Pociąg z Apokalipsą oprócz W.I. Lenina wiózł trzydziestu późniejszych przywódców krwawej rewolucji bolszewickiej, która przez dwa pokolenia, do 1989 roku, była czczona w PRL-u. Bolszewicki zamach stanu w Piotrogrodzie zaowocował w 1919 roku powołaniem III Międzynarodówki nazwanej Kominternem. Wyjątkowo podatny grunt dla idei komunistycznych zapanował w Niemczech ostatnich miesięcy wojny światowej 1918/1919 roku: powstanie w Hamburgu, Bawarska Republika Rad, zbrojne wystąpienia Związku Spartakusowców w upadającym cesarstwie, jak również pierwszych latach Republiki Weimarskiej oraz na Węgrzech

w 1919 roku. Do 1932 roku komuniści niemieccy zdobywali 4–5 milionów głosów wyborczych, a ich bojówki były tak samo bezwzględne jak SA NSDAP.

Po styczniowych wyborach powszechnych (30 stycznia 1933 roku), gdy przywódca narodowosocjalistycznej partii robotniczej uzyskał władzę głosami większości narodu niemieckiego, niemal wszyscy ideolodzy neomarksizmu-leninizmu-tryumfującego stalinizmu wyemigrowali pospiesznie do USA, w nikłym stopniu do Anglii, Austrii i Francji, i o dziwo zupełnie pominęli ZSRS!

Obowiązujący dziś knebel poprawności politycznej nie pozwala akademikom na stwierdzenie, iż przytłaczająca większość emigrujących do USA lewicowych elit była niemieckimi Żydami lub dziećmi żydowskich emigrantów z obszaru b. Imperium Carów. Staraniem ziomków i krewnych z USA otrzymali ściśle limitowane wizy imigracyjne. Zwykłych biednych żydowskich emigrantów koło 1936 roku zawracano w nowojorskim porcie do Hamburga, a w konsekwencji do niemieckich KL III Rzeszy.

Skazana na śmierć za terroryzm bojowniczka muzułmańskich „Czarnych Panter” jest dziś profesorem Uniwersytetu Kalifornijskiego

Lata blokady Kuby rządzonej przez Fidela Castro i Che Guevarę (1928–1967), czas niepopularnej wojny z Wietkongiem, aspekt przymusowego poboru do US Army, strach przed śmiercią codziennie „transmitowaną na żywo” przez wielkie telewizje USA, odpowiedni komentarz liberalno-demokratyczny, a w końcu głos „elity” (pół miliona) młodych amerykanów z Woodstocku, cała dekada 1960/1970 – wywołały tryumfalny marsz i rozgłos ideologii szkoły frankfurckiej reprezentowanej dzisiaj na około 2 tysiącach amerykańskich uniwersytetów i wyższych uczelni przez tysiące, dosłownie tysiące profesorów i wykładowców różnych stopni. Naukowcy o poglądach konserwatywnych zostali już dawno skutecznie wyeliminowani z uczelni, a nieliczni spotykają się z bojkotem. Opanowanie uczelni w USA to pierwszy pełny światowy tryumf doktryny Antonio Gramsciego (1891–1937) – zwycięstwo słynnego marszu po instytucjach. I w tej sytuacji nie jest wyjątkiem, iż skazana na śmierć za terroryzm bojowniczka muzułmańskich „Czarnych Panter”, aktywistka Komunistycznej Partii USA Angela Davis (ur. w 1944 roku) jest dziś profesorem Uniwersytetu Kalifornijskiego, gdzie oficjalnie promuje magistrów i doktorów, głosząc m.in., że należy uwolnić wszystkich czarnoskórych więźniów (bagatela ponad 500 tys. kryminalistów), gdyż są oni OFIARAMI ksenofobicznego

białego społeczeństwa itp., itd. Inny znamienny fakt to taki, że grupa profesorów neomarksistów z Chicago wymyśliła, wynalazła i namaściła lewicującego młodego politologa-prawnika-socjologa Baracka Obamę (ur. w 1961 roku) i uczyniła go 44. prezydentem USA ze wszystkimi tego faktu konsekwencjami dla USA i świata.

Wszelka moda, w tym i nowinki ideologiczne, od czasów II wojny światowej, jaka przychodzi do Europy z USA, jest siłą faktu opóźniona, ale skutecznie przyswajana. Po 1989 roku dociera również do Polski. III RP ma (po kontrakcie zawartym w Magdalence) dość specyficzne elity kulturalne i tzw. salon, który po 45 latach służenia komunie (dotyczy to 70% nowych elit kulturalnych i naukowych), mając mentalność sowieckiego człowieka, przystał na przyswojenie zachodniej kultury demoliberalnej. Słowem podręcznikowa „mądrość etapu", pójście za środowiskiem, płynięcie w głównym nurcie aktualnej polityki krajowej i europejskiej, również polityki kulturalnej i historycznej!

Przykładowo i hasłowo: instynkt stadny nowych elit kulturalnych, jawny konformizm polityczny, jak również płatny klientelizm (granty) powodował, że w latach 1944–1991 do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej należało około 3 milionów obywateli polskich, w tym większość „autorytetów moralnych" (wystarczy zajrzeć do wydania *Kto jest kim w Polsce* Interpress, Warszawa 1993 (!), by przeczytać, jak wielu przedstawicieli elit PRL-u chwaliło się z własnej woli posiadaniem Złotej Odznaki TPPR!).

Minęło kilka lat zamętu i oto nagle około 1994/1995 roku elity wymyśliły i zadekretowały „następny etap" wygodnego czerpania zysków z kolejnej mody politycznej. Tym razem prosto z szeregów TPPR przeszli do korytka multikulti, nachalnego filosemityzmu i gender studies.

Teoretycy Nowej Lewicy – neomarksizmu niezwiązanego już z „proletariatem miast i wsi", ale chcącego przez media zawładnąć całym społeczeństwem konsumpcyjnym – to oczywiście Ojciec Męczennik Antonio Gramsci (1891–1937), Herbert Marcuse (1898–1979), Theodor W. Adorno (1903–1969), Max Horkheimer (1895–1973) czy Jürgen Habermas, Geörg Lukács (Löwinger) (1885–1971), w krwawym rządzie Béli Kuna (Kohna) minister kultury Węgierskiej Republiki Rad w 1919 roku (!) Karl Korch oraz ich pojętni uczniowie: doktor Sorbony Pol Pot, eurodeputowany Daniel Cohn-Bendit, redaktor naczelny „GW" Adam Michnik oraz cały legion pomniejszych, kończąc na Sławomirze Sierakowskim

Prosto z szeregów TPPR przeszli do korytka multikulti, nachalnego filosemityzmu i gender studies

(ur. w 1979 roku) i jego „Krytyce Politycznej". Wszyscy oni odsunęli na dalszy plan żądania ekonomiczne, wysuwając na pierwszy ogień walkę o zdobycie panowania nad „krytyczną" kulturą, a zastaną chrześcijańską poddając totalnej negacji. Ich działania zakładają świadomą destrukcję moralną, która ma stać się nową formą. Eliminacja poszczególnych elementów kultury opartej na tradycji rzymskiej, Dekalogu i chrześcijaństwie jest zastępowana multikulturową „płynną ponowoczesnością" – a mówiąc kolokwialnie, zgodą i wręcz nakazem hasła „róbta, co chceta", a jak wam się nie podoba, to zostaniecie (prawnie) przymuszeni do jej akceptacji (penalizacja tzw. mowy nienawiści itd.).

Paryskie barykady trockistów i maoistów w 1968 roku (pierwsze od 1870 roku!) zaowocowały we Francji 1974 roku ustawą dopuszczającą aborcję na życzenie. Horyzont żądań lewaków zaczął przesuwać się w nieskończoność, po rozwodach i aborcji przyszedł czas na eutanazję na życzenie, związki jednopłciowe z prawem do adopcji, związki wielopartnerskie, multikulturowość z akceptacją niekontrolowanego napływu muzułmanów do Europy – 2–3,5 miliona w latach 2014–2016.

Zapanowanie nad umysłami studentów (a więc przyszłych elit społecznych) w USA i Europie Zachodniej jest już niemal faktem. Po 1989 roku czas przyszedł na Polskę. Wszystkie „postępackie" żądania Zachodu docierają nad Wisłę. Co można jeszcze wymyślić w sprawie aborcji, czego żądać i co wprowadzać w życie? Późną aborcję na życzenie do 9. miesiąca ciąży? A może do 3. lub 12. roku życia dziecka – tak jak było w starożytnym przedchrześcijańskim Rzymie, gdzie ojciec mógł zabić niespełniające jego oczekiwań dziecko. W dziedzinie eutanazji? Eutanazja na życzenie, nawet dziecka, jest już faktem (Belgia), ale można wprowadzić wczesną powszechną „akceptowaną społecznie eutanazję dla dorosłych" od 45. roku życia. Wystarczy parę lat prania mózgów w TV, mówienia o zaletach powszechnej eutanazji, a bezmyślni nosiciele cudzych poglądów społecznych i politycznych się na to zgodzą. Przecież na przełomie XIX i XX wieku społecznym powszechnym szaleństwem (zapomnianym!) i modą była walka z onanizmem! Setki warsztatów i fabryczek produkowało specjalne urządzenia „ortopedyczne" mające zapobiegać tej „śmiertelnej" chorobie, „nałogowi wyniszczającego poborowych". Lekarze pisali dziesiątki broszur i książek na ten temat. Trwało to do I wojny światowej. W USA moda na kuracje wodne, jarskie i zwalczające seks była powszechna! Słynne hasło epoki

„Erekcja to drogowskaz do trumny!"

brzmiało: „Erekcja to drogowskaz do trumny!". Przecież „postępowa" realna ustawa o prohibicji The Noble Experiment (1920–1933) była tego szaleństwa konsekwencją! (Z podobnym fanatycznym zapałem dzisiejsza odmiana „ludzi postępu" narzuca polskiemu społeczeństwu ustawy okołogenderowe). Ledwo skończyła się mania antyonanistyczna, a już naukowcy i świat medyczny wymyślili eugenikę. Zamknięto w zakładach tysiące osób, przeprowadzano selekcję, dziesiątki tysięcy osób w Kanadzie, USA, Szwecji (!), Niemczech wysterylizowano. Oczywiście dzisiaj się to przemilcza, te jawne błędy inżynierii społecznej czy mody socjologiczno-naukowej, a przecież ideologia gender jest tak samo śmieszna i szkodliwa jak te wcześniejsze. Za ileś tam lat feministki-genderystki z Polskiej Akademii Nauk, jak również z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego będą panicznie wykreślać ze swoich życiorysów tytuły prac naukowych o gender i walczyć „z lustracją" dotyczącą genderyzmu.

Naukowe modobrednie zostawiają jednak trwały ślad w społeczeństwie Europy, świata czy Polski. Czym były paragrafy aryjskie wymyślone przez Alfreda Rosenberga (1893–1946) – jeśli nie modną ideologią, którą miliony niemieckich konformistów natychmiast poparły. A czym była moda trwająca przez 50 lat na przycinanie ogonów i uszu rasowym psom? Dzisiaj zarówno paragrafy praw aryjskich, jak i okaleczenia zwierząt uważamy za barbarzyństwo nie do przyjęcia, ale przecież ledwie wczoraj społeczeństwo niemieckie, to wiodące społeczeństwo „naukowej" Europy, uznawało te barbarzyństwa za normę!

Co za miesiąc lub rok wymyślą feministki-genderystki czy działacze Towarzystwa Dziennikarskiego z Warszawy, co zadekretuje Daniel Cohn-Bendit czy inna ikona walki o „postęp" społeczny? Przedszkola równościowe stały się już faktem, docierają do Polski podręczniki szkolne wzorowane na pomysłach ekipy José Zapatero (2004–2011) w Hiszpanii, propagujące seks w szkołach podstawowych. Prezydent Warszawy HGW sfinansowała „warsztaty uliczne" uczące młodzież, jak zakładać prezerwatywy, będąc w stanie upojenia alkoholowego! To, co dziś uważamy za śmieszne lub oburzające, może zostać nam narzucone jako standard „postępu społecznego", jako kolejny krok przekraczający horyzont III Reformacji – „płynnej postnowoczesności".

Modną ideologią, którą miliony niemieckich konformistów natychmiast poparły

Omawianie I reformacji zapoczątkowanej przez Marcina Lutra i odpowiedzi na nią oraz I kontrreformacji zapoczątkowanej przez sobór try-

dencki z braku miejsca muszę pominąć, odsyłając spragnionych wiedzy historycznej do licznych podręczników i książek.

Chciałbym hasłowo przedstawić narodziny i rozwój II reformacji zwanej modernizmem i II kontrreformacji proklamowanej ideowo i fizycznie przez kanclerza III Rzeszy Adolfa Hitlera (wybranego legalnie przez naród niemiecki) i jego wielomilionową lewicową partię NSDAP.

Wydarzenie polityczno-towarzyskie, jakim był kongres wiedeński 1814–1815, ustanowiło pokój w Europie na 100 lat. Był to okres w dziejach Europy niewyobrażalnie długi i do tej pory niepobity. Wstrząsy lokalne typu wojna krymska (gdzie to było? Pewnie na Krymie? Kiedy? W 1905?) czy Wiosna Ludów nie uwolniły „całej pary", wszelkiego fermentu, jaki gromadzi się w każdym europejskim pokoleniu. Nie było wojny – więc zaczęła się wojna zastępcza, walka kulturowa: na polu idei wybuchł marksizm/komunizm, a na polu kultury – modernizm. Wielkie swoim wymiarem zjawiska, nowe i nieznane w niesionych skutkach.

Modernizm w malarstwie, rzeźbie, literaturze i architekturze, w szeroko pojętej sztuce i kulturze zapanował w Paryżu i Wiedniu lat 70.–80. XIX wieku i trwał coraz gwałtowniej aż do wybuchu wielkiej wojny w sierpniu 1914 roku.

Paryż to tygiel sztuki i teatrów, Wiedeń to polityka, nauka i modernizm „totalny". W Grand Café Central spotykali się Lew Trocki, Józef Stalin, Włodzimierz Lenin, wszyscy Habsburgowie i ich premierzy, Zygmunt Freud, Alfred Adler, Albert Einstein, Hans Makart, Gustaw Klimt, Egon Schiele, Oskar Kokoschka, Gustaw Mahler, Mannowie, James Joyce, Franz Kafka, Karl Kraus, Tadeusz Rittner, Karol Szymanowski i Henryk Bobkowski Sr. – można ułożyć sobie listę około tysiąca haseł z encyklopedii stałych gości Central. W 1908 roku bywał tam też kilka razy 18-letni, niedoszły student Akademii Sztuk Pięknych Adolf Hitler. Potem skończyły mu się pieniądze i spadł na dno nędzy. Uciekł z Wiednia w 1913, by wrócić w marcu 1938 roku jako jego właściciel.

Pięć lat w dwumilionowym wiedeńskim kotle (w tym 175 tys. Żydów) ukształtowały Adolfa Hitlera na całe życie i wywarły tym samym niezatarty wpływ na losy Europy i świata, i to na wiele pokoleń. Czytał liczne darmowe broszury antysemickie, pokątne gazetki, stare gazety brukowe, a przede wszystkim słuchał przemówień trybuna ludowego, burmistrza Wiednia w latach 1897–1910 dr. Karla Luegera, którego agresywny antysemityzm ukształ-

Nie było wojny – więc zaczęła się wojna zastępcza, walka kulturowa

tował społeczne i polityczne poglądy młodego Hitlera. W tym czasie dochodziło do wielu krwawych demonstracji skierowanych przeciw Żydom, a nawet rozbito redakcję wielkiej i wpływowej gazety cesarstwa „Neues Wiener Tagblatt" Moritza Szepsa (z Galicji), co pośrednio było przyczyną samobójstwa następcy trony arcyksięcia Rudolfa. Artyści i naukowcy żydowscy stanowili awangardę wiedeńskiej i europejskiej moderny. Richard Wagner pisał o „modernie żydowskiej", a prowincjonalny młody biedny prostak, jakim był Adolf Hitler, mógł jedynie powtarzać te poglądy. Całe strony w *Mein Kampf* to skróty gazetowych tekstów, jakie wówczas czytał i o których dyskutował. Całą ówczesną sztukę określił jako „zdegenerowaną" (*Entartete Kunst*) i żądał, by skończyć *z brudami naszej moralnie zadżumionej kultury wielkomiejskiej, i to bezwzględnie, bez oglądania się na wrzaski i krzyki* (cytat z *Wiednia Hitlera* Brigitte Hamann w tłum. Jolanty Dworczak, str. 107).

W 1933 roku Adolf Hitler jako kanclerz Niemiec, a wkrótce jako wódz III Rzeszy rozpoczął czynną i fizyczną II kontrreformację. Książki modernistów manifestacyjnie palono na stosach, obrazy niszczono lub po konfiskacie sprzedawano za granicę, twórców aresztowano lub uciekli. Odpowiedź na II reformację na modernę była totalna i tylko losy II wojny światowej zadecydowały, że zostały po niej ślady.

Po procesie Adolfa Eichmanna w 1962 roku, wydarzeniach marcowych 1968 roku w Warszawie, rewolcie studenckiej w maju 1968 roku w Paryżu i festiwalu w Woodstocku 1969 postmodernizm – III reformacja – wybuchł w Europie i na Zachodzie. Zdiagnozował ten fakt dawno temu Karl Stern, definiując pojęcie dekonstrukcjonizmu oraz cytując i omawiając działalność wielu głośnych i powszechnie znanych modernistów chcących, by uznano ich za naukowców, i za naukowców i akademików się podających. Wiadomo, że z „twardymi faktami" naukowymi trudno dyskutować. Swoje modernistyczne twierdzenia przyoblekli w szaty nauki. Kto z nimi podjąłby/podejmuje polemikę, ten „się ośmiesza". Czy można bowiem np. dyskutować z faktem/systemem heliocentrycznym? Zygmunt Freud, Alfred Kinsey, John M. Keyns i Margaret Mead oraz tuzin innych zażądali statusu akademików i za niekwestionowanych liderów nauki zostali uznani. W miejsce teologii mamy panowanie psychologii i psychoanalizy. W miejsce spowiedzi i konfesjonału mamy kozetkę wysokopłatnego psychoanalityka. Psychoanalityk zastępuje kapłana. Negacja religii, a w drugiej połowie

Psychoanalityk zastępuje kapłana

XX wieku redukcjonizm zawładnęły wszystkimi dziedzinami kultury, sztuki oraz nauk społecznych. W filozofii zakwitł dekonstrukcjonizm. Nasza „Krytyka Polityczna" i jej aktywiści, marksista prof. Piotr Piotrowski i jego „Muzeum Krytyczne" to tylko dekonstrukcjonizm lokalny. Prawidłowością stał się też fakt narzucania przez postmodernistów swoich skrywanych czy też jawnych „odstępstw od norm moralnych" całemu społeczeństwu.

Czy „wybuch" Ruchu Narodowego i marszy niepodległości (po 100 tysięcy młodych ludzi), sukcesy Frontu Narodowego we Francji, ruchów prawicowych w Austrii, Grecji czy Niemczech nie są odpowiedzią na zmasowany atak postmodernizmu? Oczywiście, że są. Teoria i praktyka wahadła głosi, że im bardziej wychyli się w lewo, tym bardziej w drodze powrotnej wychyli się w prawo. Ruch powrotny wahadła historii się zaczął – czekamy na nadejście III kontrreformacji. To nadchodzące silne wahnięcie powinniśmy jednak kontrolować, by nie okazało się tak mocne, że nawet kwartalnik „Fronda Lux" przestanie istnieć jako twór „anarcho-pluralny". **Ω**

Bibliografia:

Brigitte Hamann, *Wiedeń Hitlera*, Rebis, Poznań 2011
Piotr Szarota, *Wiedeń 1913*, słowo/obraz/terytoria, Gdańsk 2013
Florian Illies, *1913 rok przed burzą*, Czarna Owca, Warszawa 2014
Teresa Chylińska, *Karol Szymanowski i jego epoka*, Musica Jagiellonica, Kraków 2008
Anna Milanowski, *Czy Tadeusz Rittner był pisarzem polskim czy austriackim?*, Kraków 1999
Roman Taborski, *Polacy w Wiedniu*, Ossolineum, Wrocław 1992
Stefan Zweig, *Świat wczorajszy*, PiW, Warszawa 1958

ilustracja: K. Karnkowski

Matka Boża szczególnie kocha Niemców

Jarosław Kupczak

Martin pewnie prowadził swojego luksusowego volkswagena w kierunku holenderskiej granicy. Kiedy wsiadałem do jego samochodu, jakby usprawiedliwiając się ze swojego stanu posiadania, niepewnie powiedział: *Muszę mieć dobry samochód, spędzam w drodze dużo czasu*

Martin rzeczywiście spędza w samochodzie dużo czasu; jest proboszczem jednej z katolickich parafii w północnych Niemczech. Tak jak wielu niemieckich proboszczów, jest odpowiedzialny za kilka kościołów filialnych. Dawniej były w nich parafie, przy których na plebaniach mieszkali ich proboszczowie. Teraz plebanie stoją puste, a na codziennych i niedzielnych mszach gromadzi się garstka wiernych.

Nie lubią tutaj Polaków

Jechaliśmy już od jakiegoś czasu przez monotonną nizinę Ems, pokrytą mokradłami, łąkami i rzadkim, karłowatym lasem. Nie lubią tutaj Polaków. Kilkanaście kilometrów

stąd znajduje się miasteczko Haren wyzwolone w maju 1945 roku przez żołnierzy dywizji pancernej generała Maczka. Polscy pancerniacy wyrzucili wszystkich Niemców ze swoich domów, aby osiedlić w nich żołnierzy dywizji i polskich więźniów okolicznych obozów koncentracyjnych, w tym dawnych powstańców warszawskich. Polska enklawa, do czasu rozformowania polskiej dywizji pancernej jesienią 1946 roku, otrzymała oficjalną nazwę Maczkowo. Okoliczni mieszkańcy nigdy nie zapomnieli tego Polakom.

To tutaj, w nieurodzajnej krainie Ems, już w pierwszych miesiącach po przejęciu władzy w Niemczech przez Adolfa Hitlera powstał największy w Europie kompleks obozów pracy. Początkowo w obozach Ems znaleźli się komuniści, polityczni przeciwnicy hitleryzmu, świadkowie Jehowy, homoseksualiści. W ciągu kolejnych lat do Ems trafiali dezerterzy, kryminaliści, jeńcy wojenni. Wielu z nich pozostało tutaj na zawsze.

Miejsce dla tych kilkunastu powiązanych ze sobą obozów zostało wybrane nieprzypadkowo. Słabo zaludnione Ems umożliwiało zbudowanie systemu obozów z daleka od postronnych oczu. Mokradła i łąki były dla więźniów miejscem morderczej, wyniszczającej pracy przy budowaniu kanałów irygacyjnych i wydobywaniu torfu. Miejscowa, biedna ludność znalazła w obozach pracę: chłopi jako strażnicy, kobiety przy innych pracach pomocniczych.

Smutna kraina śmierci, królestwo zbrodni i rozpaczy, miejsce panowania diabła

Wiele zabudowań Emslandlager zostało zburzonych jako próba zatarcia śladów zbrodni. Na terenie jednego z obozów pracy, Esterwegen, jest muzeum, poruszające świadectwo bestialstwa i okrucieństwa hitlerowców wobec własnych rodaków. W kilku szarych pudłach z betonu i stali mieszczą się sale muzealne wypełnione przerażającymi zdjęciami i komentarzami. Przez szerokie okna muzeum widać teren dawnego obozu, gdzie tylko resztki fundamentów wskazują baraki więźniów, kuchnię, pralnię, pomieszczenia strażników. Pustka terenu dawnego obozu wskazuje na tych, których życie obróciło się tutaj w pustkę. Smutna kraina śmierci, królestwo zbrodni i rozpaczy, miejsce panowania diabła.

Z Esterwegen jedziemy do Heede. Zatrzymujemy samochód przed małym, surowym kościołem z czerwonej cegły. Sanct Petrus Kirche sięga czasów średniowiecza, ale to miejsce stało się głośne

dzięki objawieniom Matki Bożej, które wydarzyły się tu w przededniu drugiej wojny światowej, kiedy działały już pierwsze obozy Emslandlager.

1 listopada 1937 roku cztery przyjaciółki, 12-letnia Greta oraz 14-letnie Maria, Annie i Suzanne, wielokrotnie wędrują pomiędzy kościołem św. Piotra i przykościelnym cmentarzem, odmawiając różaniec. Zgodnie z miejscową tradycją wierzą, że ilekroć przekraczają bramę świątyni, odmawiając *Zdrowaś Mario,* jedna dusza czyśćcowa zostaje zabrana do nieba. Czy dziewczynki wiedzą o horrorze, który dzieje się wokół nich w Emslandlager, gdzie tyle dusz odchodzi z ziemi w beznadziei, nienawiści do oprawców i zwątpieniu wobec Boga?

Podczas jednej z wędrówek pomiędzy drzwiami kościoła a furtką cmentarną dziewczynkom ukazuje się Matka Boża. Widzą ją wszystkie, zgadzają się, opowiadając potem o szczegółach stroju i układzie ciała Maryi. Matka Boża wygląda bardzo dostojnie. Wyprostowana, poważna kobieta w królewskiej koronie. Trzyma na swojej lewej dłoni Dziecię Jezus, prawą dłoń kładzie na kuli ziemskiej, która spoczywa na dłoni Jezusa. Maryja przedstawia siebie wielokrotnie: *Königin der Welt und der Armen Seelen*, Królowa świata i dusz czyśćcowych.

W trakcie budowy Tysiącletniej Rzeszy kontakty z rzeczywistością pozaziemską nie są mile widziane

W latach 1937–1940 objawienia powtarzają się wielokrotnie w różnych miejscach w Heede: w kościele, na cmentarzu, na ulicach miasteczka. Maryja pokazuje się dziewczynkom, gdy są same, i wtedy, gdy są razem. Zawsze mówi to samo: Niemcy potrzebują pokuty i nawrócenia; jeśli uwierzą w objawienia z Heede, zostanie odwrócony kataklizm, który czeka je w przyszłości. Za popełnione grzechy należy pokutować: potrzebna jest modlitwa i ofiara.

Kiedy o objawieniach zaczyna mówić okoliczna ludność, dziewczynkami zaczynają się interesować policja i gestapo. W trakcie budowy Tysiącletniej Rzeszy kontakty z rzeczywistością pozaziemską nie są mile widziane. Dziewczynki są zastraszane, poddane badaniom psychiatrycznym, wożone na specjalne przesłuchania do Berlina. Zawsze mówią to samo, zgadzają się w opisie najdrobniejszych szczegółów. W końcu policja zostawia wizjonerki w spokoju, pod koniec wojny zaliczą jeszcze tylko krótką służbę w wojskowych służbach medycznych.

Siedzimy razem z księdzem Martinem w pokoju, w którym umarła jedna z wizjonerek z Heede, Gertrude Gansenforth. Szpitalne łóżko z pościelą, w której umierała Greta, mały stolik przy łóżku, telefon. Wszystkie cztery wizjonerki z Heede do końca życia pozostały wierne objawieniom, które przeżyły jako młode dziewczynki. Szczególna rola w przekazywaniu objawień z Heede przypadła jednak najmłodszej z nich, Grecie Gansenforth.

Krótko po zakończeniu II wojny światowej Greta wstąpiła do zakonu sióstr franciszkanek. Siostry przyjęły młodą wizjonerkę, już wtedy bardzo chorą, a równocześnie zgodziły się, aby pozostała w domu rodzinnym, gdzie opiekowała się nią rodzina. Po krótkim czasie Greta, już obłożnie chora, otrzymuje stygmaty.

Greta czasami zgadzała się, aby najbliżsi fotografowali ją. Na zachowanych zdjęciach widzimy ją sparaliżowaną, na wózku inwalidzkim w drodze do kościoła. Widzimy ją także w czasie przeżywania męki Chrystusa. Zdjęcia pokazują ją zalaną krwią. Wiedzieli o tym bliscy, wiedziały siostry franciszkanki. Jedna z franciszkanek, która się nią zajmowała, w każdy piątek wynosiła z pokoju pokrwawioną pościel, prała ją, dbała o czystość stygmatyczki.

Greta żyła w szczególnej bliskości z aniołami. Często mówiła, że od lat 60. zaczął przychodzić do niej anioł stróż jakiegoś księdza z Polski, z Krakowa. Prosił o modlitwę, o ofiarowanie cierpień za tego młodego księdza. Pod koniec lat 70. ksiądz przeniósł się do Rzymu. Greta zrozumiała, że chodzi o polskiego papieża. Od tego czasu czuła zawsze bliską więź z Janem Pawłem II.

Anioł Jana Pawła II zaczął przychodzić jeszcze częściej. Przychodził zawsze przed kolejną zagraniczną pielgrzymką papieża. Greta otwarcie przyznawała, że nie lubi tych nawiedzeń, bo zawsze była proszona o kolejną ofiarę cierpienia w intencji Ojca Świętego. Na początku zdarzało się jej odmawiać, nie chciała więcej cierpieć, później zawsze się zgadzała.

W Ems istnieje stara tradycja ręcznego przyozdabiania przed Wielkanocą świecy paschalnej. Pewnego dnia Greta poinformowała pomagającą jej siostrę zakonną, że tego roku chce sama przyozdobić paschał. Franciszkanka popatrzyła ze współczuciem na sparaliżowaną stygmatyczkę. Wtedy już trzeba było ją karmić, bo nie potrafiła utrzymać sztućców

W każdy piątek wynosiła z pokoju pokrwawioną pościel

w palcach. Wobec gorącej prośby przyniosła jednak nożyczki, kolorowe tekturki i kawałki tkaniny, klej. Wieczorem paschał był gotowy.

Krewna zmarłej Grety, która razem ze swoją rodziną mieszka teraz w domu rodzinnym Gansenforth i która przez ostatnie lata opiekowała się stygmatyczką, spędza kilkanaście minut ze mną i księdzem Martinem w dawnym pokoju Grety. Wspomina dawne wydarzenia: *Pewnego razu to ja przyniosłam Grecie materiały do sporządzenia świecy paschalnej. Zostawiłam to wszystko na stoliku przy jej łóżku, ale po chwili zorientowałam się, że zapomniałam o nożyczkach. Po kilkunastu minutach wróciłam do pokoju Grety z nożyczkami. Na stoliku przy łóżku Grety stał gotowy paschał.*

Popatrzyliśmy na siebie z Martinem. Godzinę wcześniej oglądaliśmy w kościele parafialnym wystawę kilkunastu świec paschalnych ozdobionych przez Gretę. Każda ze świec miała inne ozdoby: tekturowe anioły, wizerunek Chrystusa, Matka Boża precyzyjnie wycięta z kolorowego sukna. Piękna ludowa sztuka z głębokim przesłaniem teologicznym; pierwszym nazwiskiem artysty, który przyszedł mi do głowy, był polski Nikifor z Krynicy.

Greta otwarcie przyznawała, że nie lubi tych nawiedzeń

Krewna Grety z uśmiechem popatrzyła na nas: *Później Greta postanowiła, że będzie robiła różańce. Poprosiła, żeby przynieść jej cienki drut, koraliki i szczypce. Wysypaliśmy to wszystko na jej stoliku. Z medycznego punktu widzenia ta praca była absolutnie niewykonalna; Greta nie mogła poruszać palcami. Na drugi dzień na stoliku leżały precyzyjnie wykonane różańce, wszystkie takiej samej długości, bezbłędnie powyginane druciki. A i jeszcze jedno. Czy tu jest brudno?*

Pytanie tej miłej kobiety wprowadziło mnie i Martina w zakłopotanie. Rozejrzeliśmy się po niewielkim pokoju. Wszędzie było sterylnie czysto.

No właśnie. Nie sprzątam tutaj od chwili śmierci Gerty. Tydzień po jej śmierci przysłałam tutaj córkę, żeby starła kurze, umyła okna i podłogę. Wróciła po kwadransie i powiedziała: „Mamo, tam nie ma nic do sprzątania, jest czysto". Od tego czasu nigdy tu nie sprzątamy. Każdy z sąsiednich pokoi muszę sprzątać co najmniej raz na tydzień. Mieszkamy przy głównej ulicy, okna się brudzą, dużo kurzu. W tym pokoju sprzątają aniołowie.

Ta kobieta nie wyglądała na fanatyczkę. Przypomniałem sobie rozmowę sprzed kilku dni z jedną z osób, która znała Gretę, była

świadkiem jej piątkowych cierpień. W pewnym momencie podczas rozmowy ta piękna kobieta sięgnęła ręką za dekolt. Odwróciłem wzrok. Moja rozmówczyni uczyniła ruch ręką wokół głowy i zdjęła z szyi różaniec. Podała mi go na ręce i powiedziała poważnie: *Zrobiony przez aniołów. Otrzymałam od Grety*.

Po wizycie w Heede wracaliśmy z księdzem Martinem do miejsca, gdzie mieszkaliśmy. W pewnym momencie Martin popatrzył na mnie i spokojnie powiedział: *Mój ojciec był w Waffen-SS*.

Przez chwilę w samochodzie panowało milczenie. Słyszeliśmy cichy pomruk silnika i szum klimatyzacji. Po chwili Martin zaczął cicho mówić: *Wiem, co to było SS i co robili we wschodniej Europie; więcej, niż chciałbym wiedzieć... Kiedy rozpoczęła się wojna, mój ojciec był gimnazjalistą. Razem z kolegami zgłosił się do wojska na ochotnika, byli pełni entuzjazmu. Zdrowi i wysportowani, dostali się do doborowych oddziałów SS. Ojciec wrócił z wojny w 1949 roku. Miał szczęście, bo dostał się do niewoli amerykańskiej. Amerykanie w miarę szybko zwolnili z niewoli żołnierzy z Wehrmachtu, a wszystkich z SS zabrali do Stanów Zjednoczonych. Pośród pól bawełny w Alabamie Amerykanie zbudowali obóz jeniecki dla dawnych SS-manów. Tam przez trzy lata oglądali filmy z Auschwitz, musieli słuchać opowieści dawnych więźniów, oglądali zdjęcia z egzekucji, rozmawiali z psychologami. Po przyjeździe do Niemiec ojciec nigdy już nie wrócił w swoich wspomnieniach do czasów wojennych. Był szanowanym mieszkańcem naszego miasta. Tak jak jego ojciec, został wybrany na mera naszego miasteczka. Pełnił tę funkcję przez kolejne kadencje aż do przejścia na emeryturę. Był znany w miasteczku z tego, że od czasu powrotu z wojny zawsze głosował i wypowiadał się przeciwko opinii większości. Nawet w oczywistych sprawach, gdy wszyscy zgadzali się co do budowy drogi czy przeprowadzenia kanalizacji, ojciec szukał dziury w całym i nie głosował razem ze wszystkimi*.

Milczeliśmy. Myślałem o źródłach powołania kapłańskiego Martina i o jego osobistej więzi z objawieniami z Heede. Myślałem o źródłach swojego powołania.

Wracając do domu zajechaliśmy jeszcze do jednej wsi. Wśród luźno rozrzuconych domów, otoczonych drzewami, stał niewielki, ceglany, stary kościół. W bocznej nawie wisiał kilkumetrowy krucyfiks z postacią Chrystusa naturalnej wielkości. Martin opowiedział mi o nowym zwyczaju, który powstał, kiedy po II wojnie światowej

wrócili tutaj weterani, niektórzy jako fizyczni inwalidzi, wszyscy poturbowani duchowo.

W każdy piątek o godzinie 15 grupa okolicznych mieszkańców przychodziła do kościoła. Zdejmowali ten ciężki, ogromny krucyfiks i chodzili z nim wokół kościoła. Mężczyźni i kobiety, weterani, sieroty i wdowy, ci, których sumienia były ciężkie od popełnionych zbrodni, i ci, którzy pokutowali za zbrodnie innych, przestępcy i ofiary.

Powoli, krok za krokiem wracaliśmy do samochodu. Myślałem o swoim ojcu, absolwencie szkoły marksizmu-leninizmu, śledczym Urzędu Bezpieczeństwa, który z dumą pisał w swoim życiorysie, że jako milicjant w służbie Polski Ludowej został ranny podczas walk z bandami w lasach na Lubelszczyźnie.

Przebijając ciemność reflektorami, milcząc, jechaliśmy do domu. Dwaj kapłani. Niemiec i Polak. Syn SS-mana i syn ubeka. Bardzo sobie bliscy. **Ω**

Jarosław Kupczak OP (ur. 1964) – dominikanin, teolog, profesor doktor habilitowany, Kierownik Katedry Antropologii Teologicznej Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie, Dyrektor Ośrodka Badań nad Myślą Jana Pawła II UPJPII.

Obrazy ojca Jana

Maciej Kalbarczyk

Zawsze z aureolą, często w królewskiej koronie, w sukniach uroczystych i klejnotach, pod baldachimem i na podwyższeniu. Tak zwykła u nas występować publicznie i na audiencjach, by przyjmować królów i książąt, kardynałów i biskupów, a także prosty lud.

o. Jan Góra, *Mój świat*

Ojciec Jan Góra łączył w sobie osobowość inteligenta, duszpasterza i estety. Uważał, że wiara jest sztuką, a każdy kapłan powinien być artystą. Jego wrażliwość na dzieła sztuki objawiała się w szczególnym umiłowaniu obrazów i zdjęć przedstawiających wizerunek Matki Boskiej, do której zwracał się co wieczór w modlitwie *Maria Regina Mundi*. Jako pełnokrwisty, rozumiejący tradycję katolik, w przeciwieństwie do pragmatycznych i surowych protestantów, nie widział niczego złego w zachwycaniu się kolejnymi podobiznami Maryi, Chrystusa i świętych. To właśnie obcowanie z pięknem wytworów ludzkiej wyobraźni przybliżało go do Prawdy, którą codziennie odkrywał na nowo w Eucharystii.



Od dzieciństwa był przyzwyczajony spotykać Matkę Bożą w Jej cudownych obrazach, w pieśniach i litaniach, w ołtarzach i w kaplicach oraz kościołach Jej poświęconych. Wizerunki Maryi były punktami na mapie prowadzącej go do zbawienia. Jego życiowa ścieżka została wytyczona przez kolejne obrazy, które chętnie kontemplował i których przesłanie co rusz odkrywał na nowo.

OPIEKUNKA DOMINIKANÓW

W 1981 roku o. Jan Góra powrócił do Poznania, w którym piętnaście lat wcześniej spędził czas nowicjatu. Jak sam wspomina, przeniesienie z Krakowa spadło na niego jak grom z jasnego nieba. Przyjął decyzję z posłuszeństwem, ale na miejscu nie wzbraniał się przed lekkim nagięciem prawa. W pierwszych dniach zakradł się na trzecie piętro klasztoru, na którym znajdowała się jego cela. Jako zakonnik nie miał prawa wstępu na wydzielony teren nowicjatu, ale pragnienie obcowania z pierwszym, ważnym wizerunkiem Maryi w jego życiu było silniejsze. Stanął przed obrazem, który przypominał mu chwile spędzone w nowicjacie. Jeszcze w czasie trwania Soboru Watykańskiego Drugiego, wspólnie z innymi nowicjuszami, zawsze kiedy chociaż na chwilę opuszczali teren, na którym spędzali swój pierwszy rok we wspólnocie zakonnej, odmawiali przed obrazem modlitwę *Pod Twoją obronę* po łacinie (*Sub Tuum praesidium*). Dzieło, przed którym codziennie w tamtym czasie klękał młody Jan Góra, przedstawia Matkę Boską z rozpostartym płaszczem, pod którego połami chroni się kilku dominikanów. Obraz jest popękany, namalowany żywymi kolorami, które pomimo starości nie utraciły swoich wyrazistych barw. W swojej książce *Mój świat* o. Jan Góra niezwykle plastycznie opisuje symbolikę obrazu:

WIZERUNKI MARYI BYŁY PUNKTAMI NA MAPIE PROWADZĄCEJ GO DO ZBAWIENIA

> *W złotym tle, symbolizującym wieczność, Protektorka naszego zakonu – w złotej koronie, szkarłatnej sukni i niebieskim płaszczu, którym spowija zmęczonych braci. Twarz Matki Bożej bardzo jest piękna, a oczy braci pobożne. Ochrania ich przed zimnem i nocą. Aniołowie zaś jakby chcieli ten płaszcz jeszcze bardziej naciągnąć, żeby więcej ludzi się pod nim zmieściło. Ten*

płaszcz jest więc jak żagiel statku. Idziemy przecież z ziemi ku niebu, jak byśmy przepływali ocean, jak byśmy żeglowali przez życie.

Płaszcze dominikanów są czarne, habity białe, a zwieńczeniem ich stroju są czerwone pasy. Jan Góra wyjaśnia, że czarny jest symbolem trudów apostolskiej drogi, biały oznacza czystość i cnotę, a z czerwienią pasów wiąże się dłuższa historia, która dotyczy początków Zakonu Kaznodziejskiego w Polsce. Wydarzenia, które sprawiły, że polscy dominikanie zaczęli nosić czerwone pasy, miały miejsce 2 czerwca 1260 roku w Sandomierzu. W tamtejszym klasztorze żyło wówczas 49 braci. Tamtego dnia wszyscy zginęli zaatakowani przez Tatarów. Zgodnie z legendą zostali zamordowani w czasie śpiewu *Salve Regina*, którym zakonnicy zwyczajowo kończą każdy dzień. Od tamtego czasu polscy dominikanie otrzymali od Watykanu przywilej noszenia czerwonych pasów. Tradycja po pewnym czasie wygasła, a nowicjat Jana Góry był pierwszym, który nie miał czerwonych pasów. Mimo tego zakonnik z ogromnym sentymentem wspominał ten przywilej, który otrzymali od Stolicy Apostolskiej tylko polscy dominikanie.

Góra patrząc na obraz po piętnastu latach, które minęły od czasów nowicjatu, surowo oceniał siebie i swoje położenie:

Ujrzałem siebie, jako tego, który pewnie zatracił już pierwotną gorliwość i entuzjazm, jako tego, przed którym należałoby może chronić młodych nowicjuszy pełnych zapału i gorliwości. Ujrzałem siebie jako potencjalnego gorszyciela młodzieży zakonnej.

Wtedy wyrzucał sobie, że niby poszedł głębiej i dalej w swoich duchowych poszukiwaniach, ale zatracił swoją pierwotną żarliwość. W tamtym czasie przypominał sobie słowa z Apokalipsy:

Ale mam przeciw tobie to, że odstąpiłeś od twej pierwotnej miłości. Pamiętaj więc, skąd spadłeś, i nawróć się, i pierwsze czyny podejmij. (Ap 2, 5)

Wrażliwość na sztukę pomagała mu przemieniać siebie, zwłaszcza w chwilach zdenerwowania nadmiarem obowiązków. Wtedy natychmiast zwracał się ku Maryi, której tajemnicę zgłębiał w jej kolejnych wizerunkach.

PRAWDZIWA MATKA

W czasie studiów w Kolegium Filozoficzno-Teologicznym Ojców Dominikanów w Krakowie o. Jan codziennie odmawiał ze współbraćmi wspomnianą już modlitwę *Salve Regina*. Modlili się zawsze w kaplicy różańcowej przed wizerunkiem Maryi. W soboty uroczyście odśpiewywali w tym miejscu *Litanię loretańską*. Codzienne odwiedziny tego miejsca zawsze były dla dominikanów ważną tradycją – nawet kiedy w pewnym momencie zniesiono wspólne odmawianie komplety na rzecz indywidualnej modlitwy, zakonnicy dalej ją kultywowali, zachowując zwyczaj wspólnego zwracania się do Boga w kaplicy, tuż po nieszporach. Ojciec Jan Góra wspominał, że śpiew *Salve Regina* jak klamra spina jego zakonne życie. Obraz znajdujący się w kaplicy przedstawiał wizerunek Matki Boskiej pod wezwaniem Królowej Różańca Świętego. W swoich tekstach o. Góra wspomina, że tradycja wiąże ten obraz ze świętym Stanisławem Kostką i Rzymem:

> *Obraz miał być bowiem własnością św. Stanisława i przed nim właśnie święty prawdopodobnie umierał. „A umierając obraz swej Matki objął i miłościwie całował, jakby nasycić się nie mógł pocałunkami tysiąckroć powtarzanymi”.*

Obraz był początkowo przeznaczony dla Bractwa Różańcowego. Miał być zasłonięty i pokazywany tylko dostojnym osobom. Przepis był jednak od początku łamany – z obrazu płynęło zbyt wiele łask i cudów, aby zabierać innym możliwość obcowania z nim. W 1921 roku w czasie uroczystości w Krakowie został ukoronowany, co powszechnie uznaje się za wielkie wydarzenie dla polskiego katolicyzmu. Historyczne znaczenie obrazu było ogromne, ale o. Jan zwraca uwagę przede wszystkim na osobistą więź z tym

ZAKONNIK DOSTRZEGŁ, ŻE OBRAZ BYŁ WIELOKROTNIE PRZEMALOWYWANY. BYŁ ZNISZCZONY DO TEGO STOPNIA, ŻE MATKA BOŻA NIE MIAŁA TWARZY

wizerunkiem. W swoich tekstach porównuje możliwość obcowania z Maryją w kaplicy do codziennych spotkań ze swoją matką, która zawsze była na wyciągnięcie ręki:

> *W następnym pokoju, tuż za ścianą, siedziała nasza matka i krzątała się koło najrozmaitszych prac domowych. My uczyliśmy się w pokoju obok, ale wystarczyło tylko drzwi otworzyć i przestąpić próg, bo to wszystko było tuż za ścianą. Żyliśmy jako dzieci w cieniu rodziców i nie wyobrażaliśmy sobie, że może być inaczej.*

DZIEWCZYNA O BOŻEJ TWARZY

Codziennie na nią patrzę. Modlę się przed nią codziennie, czasami palę przed nią świece. Wychodząc z domu na dłużej, zawsze się z nią żegnam i jej się polecam. Lubię tę ikonę, bo prosta i surowa. Bo na siłę nie chce się podobać i trzyma człowieka na dystans.

Ojciec Jan Góra podkreślał, że ikona Matki Boskiej wisząca przez pewien czas w jego pokoju była dla niego szczególnie ważna. Intrygowała go tajemnicza historia obrazu, która nikomu nie była w pełni znana. Ojciec Góra wiedział jedynie, że wizerunek Maryi został porzucony, ponieważ „rzeczoznawcy” uznali, że ma nikłą wartość. Spoglądając na zniszczoną deskę, zakonnik dostrzegł, że obraz był wielokrotnie przemalowywany. Był zniszczony do tego stopnia, że Matka Boża nie miała twarzy – zapewne dlatego w oczach fachowców zajmowanie się nią nie miało sensu. Ojciec Góra wspomina o znajomej artystce Małgorzacie Sokołowskiej, która uznała, że warto przywrócić obrazowi dawną świetność. To właśnie ona zajęła się konserwacją ikony:

> *Podniosła porzuconą deskę, odsłoniła spod warstw przemalowań postać bez twarzy i maleńką postać Dzieciątka, a następnie, spoglądając na twarz Dzieciątka, namalowała twarz Matce, wychodząc ze słusznego założenia, że musieli być przecież do siebie podobni.*

W 1978 roku w wigilię Bożego Narodzenia Małgorzata Sokołowska podarowała o. Janowi odnowioną ikonę. Od tamtego momentu obraz znalazł schronienie w celi zakonnika. Ojciec Góra nie wspomina o jego kolejnych losach, ale na podstawie zapisków z *Mojego świata* można wnioskować, że po pewnym czasie została przeniesiona w inne miejsce. Po latach ksiądz zwierza się z pragnienia posiadania choćby fotografii obrazu, którą specjaliści wykonują jeszcze przed konserwacją. Ojciec Góra liczył, że na podstawie zdjęcia dowie się czegoś więcej o losach ikony. Zawiódł się – zdjęcie było niełądne, czarno-białe jak stare fotografia sprzed lat. W tym zaniedbanym obliczu Maryi odkrył jednak prawdę o chrześcijaństwie:

Dziewczyna z Nazaretu, która pozwoliła Bogu czynić cuda i działać w swoim życiu. Posłuszna Bogu bez reszty, pozwoliła sobie zrobić zdjęcie, wtedy kiedy do zdjęcia nie była jeszcze przygotowana. Tak jakby niczego się nie bała, jakby niczego nie musiała ukrywać. Nawet tego, że znaleziona została bez twarzy, że dopiero patrząc na twarz Dziecka można było Jej twarz namalować. Od Syna swego wzięła twarz i podobieństwo.

W kolejnej części swoich wspomnień o. Góra porównuje noszoną przy sobie fotografię Maryi do dziewczyn, w których zakochiwał się w liceum i których zdjęcia próbował zdobyć za wszelką cenę. Z rozbrajającą szczerością przyznaje, że nadal jest wyrostkiem, który widzi coś, czego nie powinien widzieć, i spala się ze wstydu. Zauważa, że taki sposób postrzegania świata jest charakterystyczny dla młokosów. Dojście do tego wniosku każe mu podejrzewać, że nigdy nie doczeka dorosłości. Ojciec Jan Góra widzi jednak zalety swojej niedojrzałości i swoje rozważania podsumowuje stwierdzeniem, że bez niej jego wiara nie byłaby tym samym. To właśnie dzięki niej dostrzega to, czego nie widzą dojrzali:

Fotografię ikony stale noszę przy sobie. A nosząc ją, rozumiem coraz lepiej, że niedojrzałość w wierze ma takie same prawa jak dojrzałość, bo są takie przestrzenie i odległości w świecie wiary, które dostępne są jakby tylko dla niedojrzałości.

KRÓLOWA Z JAMNEJ

Jamna to niewielka miejscowość w Małopolsce, powszechnie znana z bitwy, którą we wrześniu 1944 roku Niemcy stoczyli z oddziałami partyzanckimi Armii Krajowej. Wojska nieprzyjaciół miały znaczną przewagę liczebną: 4800 żołnierzy w stosunku do 551 Polaków z I Batalionu 16 Pułku Piechoty Armii Krajowej „Barbara". Powstańcy zostali otoczeni, walczyli do końca. Niemcy spacyfikowali wioskę. Ostatnią deską ratunku dla mieszkańców było zwrócenie się o pomoc do Matki Bożej. Naprzeciw Niemcom wysłano młodą kobietę z trójką małych dzieci. Na piersiach niosła obraz Maryi. Oprawcy okazali się bezwzględni: kobieta i jej dzieci zostały rozstrzelane, a obraz uszkodzony od licznych postrzałów. Niemcy zabili w sumie 27 osób. Podpalili wioskę, a do piwnic wrzucili granaty.

Ojciec Góra poznał tę historię podczas wakacji spędzonych w Paleśnicy. Był wstrząśnięty. Jednocześnie zakochał się w pięknej okolicy Jamnej i postanowił coś zrobić dla tej doświadczonej przez historię miejscowości. Na początku lat 90. utworzył tam Dom Świętego Jacka. Budynek miał pełnić funkcję ośrodka wypoczynkowego dla poznańskiej młodzieży, w którym ta miałaby także okazję do podjęcia refleksji duchowej. Brakowało jednego – obrazu matki, bez którego w tym miejscu było pusto i smutno. Po raz kolejny niezbędna okazała się pomoc Małgorzaty Sokołowskiej, zakonnik poprosił ją o namalowanie Madonny, której wizerunek nawiązywałby do historii Jamnej. Przedstawił artystce swoją wizję obrazu. Przede wszystkim miała mieć zieloną suknię (kolor nadziei) i być tak piękna, żeby podobała się wszystkim, którzy przyjadą do Jamnej.

Z ROZBRAJAJĄCĄ SZCZEROŚCIĄ PRZYZNAJE, ŻE NADAL JEST WYROSTKIEM, KTÓRY WIDZI COŚ, CZEGO NIE POWINIEN WIDZIEĆ, I SPALA SIĘ ZE WSTYDU

Malarka sprostała oczekiwaniom o. Góry. Ojciec Kazimierz Plebanek CSsR w jednym ze swoich kazań tak opisuje stworzony przez artystkę obraz:

> *Madonna na prawej ręce trzyma swego Synka. Oboje okryci są ciemnoniebieskim, przechodzącym w zieleń płaszczem. Przy szyi Maryi z pod płaszcza wychyla się główka Dzieciątka. Maryja ma*

długie włosy upięte z tyłu i okryte czerwoną chustą. Jej twarz i twarzyczka Jezuska są do siebie bardzo podobne. [...] *Głowę Matki i Dzieciątka otacza aureola, przypominająca aureolę wędrującej kopii ikony Matki Bożej Częstochowskiej, na której zostały umieszczone litery alfabetu greckiego, które znaczą: Matka – Boża. Z boku przy aureoli Dzieciątka litery znaczą: Jezus Chrystus. Nad czołem Matki Bożej widzimy gwiazdę symbolizującą dziewictwo. Czyli uwzględniając gwiazdę, napis możemy odczytać: Niepokalana Matka – Boża.*

Obraz zdobył serca młodzieży akademickiej, a o. Jan postanowił go ukoronować. Zamierzał poprosić o to samego Jana Pawła II. Brakowało tylko złota. Zakonnik słynący z wybitnych zdolności organizacyjnych poradził sobie z tym bez problemu. Wszędzie, gdzie się dało, opowiadał o planach koronacji, na które ludzie żywo reagowa-



li, przynosząc niewielkie złote przedmioty, które po przetopieniu wystarczyły na wykonanie korony. W 1998 r. w Rzymie obraz został ukoronowany przez Jana Pawła II. Ojciec Góra osiągnął to, co jego zdaniem było konieczne. Wielu nie dowierzało.

Kolejnym elementem planu wobec Matki Boskiej z Jamnej było wybudowanie dla niej kościoła. Dzięki pomocy górali i studentów postawiono świątynię przypominającą góralski szałas, który w 2001 roku został poświęcony przez prymasa kard. Józefa Glempa. Kamień węgielny pod kościół podarował papież. W ten sposób przypieczętowano najważniejsze obok Lednicy dzieło o. Jana Góry. Odtąd dom w Jamnej stał się niezwykle prężnie działającym ośrodkiem duszpasterstwa akademickiego.

ROZPALONY DO KOŃCA

> *Znam twoje czyny, że ani zimny, ani gorący nie jesteś. Obyś był zimny albo gorący! A tak, skoro jesteś letni i ani gorący, ani zimny, chcę cię wyrzucić z mych ust.* (Ap 3, 15)

Jan Góra całe życie utrzymywał w sobie żarliwość sługi Bożego. Za wszystkim, co robił, kryły się czułość i troska o innych. Mimo tego uchodził za stanowczego i niekiedy surowego kapłana – umiejętnie balansował pomiędzy tymi dwoma obliczami. Dysonans jego postaci wynikał z niespotykanego połączenia uporu i determinacji z wrażliwością artysty, z miłością otwartego na drugiego człowieka. Tylko inteligent i esteta w jednej osobie mógł przyciągnąć do siebie tłumy młodych ludzi. Tylko człowiek z duszą artysty potrafił przełamywać rutynę i do końca pozostać gorący. Taki był o. Jan Góra. Ω

BIBLIOGRAFIA:
Jan Góra, *Mój świat*, Poznań 1983.
Jan Góra, *Jeżeli jest się inteligentem*, Poznań 1997.
O. Kazimierz Plebanek CSsR, *Nauka VIII – Jamna – Matka Niezawodnej Nadziei*, http://www.slowo.redemptor.pl/pl/45465/49523/Nauka_VIII-Jamna-Matka_Niezawodnej_Nadziei.html [dostęp: 31.01.2016].

Kazanie na Wielki Piątek Roku Pańskiego 2016 wygłoszone w McDonaldzie koło Okrąglaka w Poznaniu

Jerzy Kędzierski

Nieprawda, że wszystkie McDonaldy są takie same. Z McDonaldami jest jak z kościołami. Każdy jest inny. Do niektórych przychodzą ci, których sam Pan Bóg nie rozumie, a do innych przychodzą ludzie szczęśliwi. Polubiłem Maka koło Starego Marycha. Codziennie po piętnastej, o piętnastej dziesięć, przychodzi tu Fryderyk Chopin i muska ósemkami dziewczynę. Całują się unisono. Sprawdźcie sami, codziennie po piętnastej na pięterku, w rogu od strony Krysiewicza, jest blondyn z nosem i uczesaniem Chopina z obrazu Eugène'a Delacroix i dziewczyna nieużywająca prostownicy do włosów. Tulą się do siebie jak mazowieckie wierzby do krajobrazu. Dobrze zbalansowani, nie za dużo dźwięków. Dziewczyna nie truchło, przebiera piersiami.

Nie wyobrażam sobie, abym mógł cokolwiek w Maku zamówić, zanim nie odczytam imienia osoby obsługującej. Imiona są wyryte w blaszce lub plastiku. Blaszkę lub plastik pracownicy mają nad lewą piersią. Czy obsługuje mnie Patrycja czy Natalia, ważniejsze jest dla mnie niż kawa, jaką mi naleją. W Maku w Starym Browarze obsługuje pracownik, który ma blaszkę z napisem Nelson. Zapytałem, czy to ksywa? Nie, tak mama mówi do mnie od urodzenia, powiedział chłopak. Znacie jakiegoś Nelsona? Widocznie nie chodzicie do McDonaldów. Obcy ludzie ciekawią mnie bardziej niż obce kraje. Nie chcę, żeby byli obcy. Też chcę mieć swojego Nelsona.

Czasem można przysiąść w Maku koło Okrąglaka. Mam w kieszeni dobrą książkę, co mi plastikowa bieda zrobi? Siąpi i jest zimno. Jest Wielki Piątek. Godzina piętnasta czterdzieści. Drogę Krzyżową przed liturgią wielkopiątkową mam dopiero o siedemnastej piętnaście u franciszkanów na Wzgórzu Przemysła. Wejdę do Maka przy Okrąglaku. Przeczekam i poczytam. Bez kawy się wywrócę w kościele. Kawę nalała Ada. Zająłem miejsce przy nośnej ścianie. Szeroka perspektywa. Wyjmuję książki z wszystkich kieszeni. W plecaku mam opakowaną książkę Asa, tej nie wyjmuję na razie. To piękna *Bibelen* wydana w Stockholm 1877. Skóra ślicznie suchym tłokiem ornamentowana. Kupiłem przed chwilą na Paderewskiego. Odsprzedam Zosi. Zosia ucieszy się. Księga jest śliczna. *Bibelen* Zosia sprezentuje z wdzięczności kolekcjonerowi, a jeśli nie ma już z nim kontaktu lub wdzięczności nadszedł kres, to jej sprawa, co z cackiem zrobi. Można nazwać *Biblię* „cackiem". Mnie wolno tak powiedzieć, wszyscy wiedzą, że Biblię i książki z wzajemnością szanuję. W Maku jest osób niewiele, w końcu to Wielki Piątek. W loży najbliżej mnie dwóch rówie-

śników rozmawia po angielsku. Może obaj są zagraniczni albo zagraniczny przyjaciel odwiedził poznańczyka? Obaj noszą flanelowe koszule w kraty i rozmawiają jak przyjaciele. Przy oknie jest jeden okularnik w bomberce, z gołymi kostkami. Ma przed sobą kartonik po sałacie i ekranik smartfona. Obok mnie, przy ścianie prowadzącej do toalety, siedzi kobieta samotna. Sukienka zwisa jej z ust. Z przodu, bliżej kas, porusza się stary dziwak z tobołami, właśnie zmierza do toalety. Oko ma podbite. Ubrany jest w biały, gruby golf, jaki mógłby założyć kartuz z Grande Chartreuse, gdyby kartuzi nosili golfy. Spodnie po macdonaldowej podłodze ciągną się za dziwakiem. Zaglądam do książek, które wyjąłem z kieszeni. Są to: Marian Pilot *Zakaz zwałki*, Ratko Adamović *Sznur* i mój ulubiony modlitewnik. Marian Pilot jest ciekawy, jak cała generacja pisarzy dzikich publikujących w latach siedemdziesiątych; jak Ryszard Milczewski-Bruno i inni nie świętej pamięci. Dam wam próbkę Adamovicia, zdążę przepisać przed Drogą Krzyżową u franciszkanów. Adamović na przykład na stronie czterdziestej dziewiątej pisze tak: *O słodkodupi, mdłotłuści, wypierdzeni i przepici chrzciciele, ileż wam uciechy i rozkoszy sprawiły krwawa grabież i handel. Masochistyczna zgoda na ukrzyżowanie nie była czymś innym jak rojeniem amatora, sprzedawcy cebuli i papryki, by grać Hamleta. Boże, przecież tyś Szekspira w ogóle nie rozumiał!*

Cytat ubogi jest w zbawienną poradę. Naturalizm niefartowny jak mimika grubasa. Pieprznych słów nagromadzenie dla rozweselania kołtunów jest efekciarskie. Durny humanizm krok fantomowy w próżni czasu ludzkiego. Daremno u Szekspira pragnąć rezurekcyjnego odkrycia. Trzeba ruszyć na Wzgórze Przemysła bez maski i pseudonimu. Zwycięzca nie zakłada maski, on ją zdejmuje ze mnie i wzywa po imieniu. Za chwilę w kościele poleje się krew Zwycięzcy. Nie będzie pieśni kubryku ani psychologii królów teatralnej trutki.

Właśnie wszedł energicznym krokiem do McDonalda młodzieniec okołodwudziestoletni w czarny płaszcz ubrany i zamiast do kas, skierował się prosto do „Anglików” i do mnie. Bez wstępu, zupełnie od czapy, z marszu wygłosił do nas apodyktyczną mowę: DZIŚ JEST WIELKI PIĄTEK POST ŚCISŁY SMACZNEGO DZIĘKUJĘ. Wygłosił, obrócił się na pięcie i się oddalił. „Anglicy” w śmiech. Okularnik z gołymi kostkami siedzący przy oknie podniósł głowę znad smartfona. Samotnej kobiecie siedzącej koło mnie wypadła sukienka z ust. A ja? Ucieszyłem się: Witaj, Afirmacjo! Gdzie byłaś tak długo! Błogo mi się zrobiło.

U franciszkanów jak zwykle odprawiali stąd do wieczności. Żaden język nie zdoła wyrazić mąk Jezusa. Duchowej walki i krwawego potu. Cierpienia i zadośćuczynienia. Grzeszna zaciekłość świata i miłość składająca samą siebie w ofierze. Okularnik w bomberce, który siedział w Maku przy oknie z gołymi kostkami, też był u komunii. Tym właśnie słowem chciałbym zakończyć kazanie. **Ω**



POLACY MAJĄ POCZUCIE HUMORU!

TRUDNO BYŁOBY MI NAZWAĆ TAKĄ CHULIGAŃSKĄ BOJÓWKĘ, ZAKŁÓCAJĄCĄ SPEKTAKL, PRAWICĄ. BARDZO WIELU MOICH DAWNYCH KOLEGÓW Z CZASÓW, KIEDYŚMY JESZCZE WSPÓLNIE DZIAŁALI W PODZIEMIU, TERAZ MA POGLĄDY WYRAŹNIE PRAWICOWE. TO SĄ LUDZIE IDEOWI, NA NAJWYŻSZYM POZIOMIE DUCHOWYM I INTELEKTUALNYM – Z **BRONISŁAWEM MAJEM**, POETĄ, LITERATUROZNAWCĄ I AUTOREM SZTUKI *NEOMONACHOMACHIA*, W SPRAWIE KTÓREJ BYŁ PRZESŁUCHIWANY PRZEZ POLICJĘ, ROZMAWIA PAWEŁ RZEWUSKI

Nie tylko w marcu tego roku był pan przesłuchiwany. Również w latach osiemdziesiątych zainteresowała się panem prokuratura. Co pan napisał wtedy, że naraził się peerelowskiej prokuraturze?

– Bardzo nie chciałbym porównywać tych sytuacji. W latach osiemdziesiątych byłem gnębiony (ale nieprzesadnie, nie chciałbym tu wpadać w tonację martyrologiczno-kombatancką) przez SB, przez komunę, a więc przez obce, „nie moje" państwo. Wszystko było jasne, czarno-białe: my i oni. Teraz – paradoksalnie – jest mi trudniej: przesłuchuje mnie (za wiersze!) „moja" policja, moje państwo, z którym chciałbym się utożsamiać, którego obywatelem czuję się i jestem... W tamtych czasach byłem w redakcji podziemnego pisma „Arka". Publikowałem w podziemnej prasie wiersze, teksty krytyczne, felietony; wydałem też podziemny zbiór wierszy – *Album rodzinny*. Od 1983 roku byłem redaktorem niezależnego – bardzo specyficznego, bo mówionego – pisma „NaGłos", więc może gnębiono mnie raczej za działanie niż pisanie. Chociaż pamiętam i taką sytuację: podczas jednej z rewizji zabrano mi wiersze, które w jakimś sensie mówiły o stanie wojennym. Tak że jest możliwe, iż interesowali się mną i przez wiersze, i przez moją działalność. Z tym że to nie była prokuratura, po prostu nas zwijano, przesłuchiwano, zamykano na cztery osiem itd. Repertuar tych prześladowań był dość bogaty. Ale dość o tym – bez kombatanctwa!

Krytyka Polityczna określiła pana mianem konserwatywnego artysty. Część protestujących zaszufladkowanych jako „skrajna prawica" ochrzciła mianem „lewaka" czy „eurolewaka". Kim jest Bronisław Maj?

– Człowiekiem apolitycznym. Oczywiście biorę udział w wyborach – między innymi za to „przelewałem krew" w latach osiemdziesiątych: żeby żyć w normalnym kraju, z którym mogę się utożsamiać. Natomiast nigdy nie byłem człowiekiem, który by się podporządkowywał jakiejś politycznej idei. Jeśli chodzi o światopoglądowe dookreślenie się, to także nie chciałbym używać jakichś ograniczających etykietek. Był pan łaskaw przytoczyć skrajne oceny, otóż one właściwie mają wymiar bardziej publicystyczny, doraźny, dlatego wydaje mi się, że są poczynione pod wpływem chwili, traktują rzecz instrumentalnie. Na pewno nie jestem lewakiem, trockistą i na pewno nie jestem jakimś dziewiętnastowiecznym, galicyjskim konserwatystą krakowskim. Nie znajduję żadnego gotowego terminu, który by mój światopogląd w pełni i adekwatnie określał. Istnieją pewne wartości, które w naturalny sposób są dla mnie istotne i przy których staram się trwać – to wszystko. Wartości aż banalnie oczywiste: wolność (w wielu jej aspek-

ilustracja: K. Karnkowski

tach), tolerancja, poszanowanie drugiego, także – Innego itd… Krótko mówiąc: stary, nudny, poczciwy humanizm; no, może lekko u mnie doprawiony utopijnymi ideałami kontrkultury lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych…

Teatr Narodowy wystawił w pana parafrazie *Żaby* Arystofanesa – nie było wówczas żadnego problemu, chociaż nie jest to grzeczny utwór. Kiedy przerobił pan *Monachomachię* Krasickiego, to podniósł się rwetes. Co z tego wynika – czy Polacy nie mają poczucia humoru? Czy może kontekst sztuki był zbyt trudny dla przeciętnego widza – co z kolei jest wynikiem marnej edukacji Polaków?

– Wydaje mi się, że Polacy właśnie mają poczucie humoru. Jak powiada Miłosz: *kiedy milknie płacz, mówi się głośno dowcipy*. Nie chciałbym snuć zbyt łatwych analogii, jednak warto przypomnieć czasy okupacji hitlerowskiej, kiedy satyra i humor kwitły. Kiedyś jako badacz literatury się tym zajmowałem (napisałem monografię twórczości Tadeusza Gajcego, którego za komuny długo gnębiono jako „wstecznika i nacjonalistę", a on był po prostu tylko poetą, genialnym poetą), wówczas wydawano niewiarygodną liczbę podziemnych czasopism humorystycznych i satyrycznych. Za czasów komunizmu ten polski dowcip był prawdopodobnie tym, co może najlepiej opisywało tamtą rzeczywistość. Była ona upiorna i groteskowa, ale humor to był sposób, w jaki myśmy sobie z tym radzili. Nadal jestem jak najlepszego zdania o polskim poczuciu humoru. Natomiast w przypadku naszego przedstawienia istotne są proporcje. Na *Neomonachomachię* przyszło około półtora tysiąca widzów, którzy się fantastycznie bawili. Brali udział w tej zabawie: pod koniec spektaklu, podczas bijatyki wszystkich zakonów-partii, publiczność się przyłączyła. Miała swoją broń: papierowe, pomalowane fosforyzującą farbą kule. Zabawa była przednia. Czterokrotnie czy pięciokrotnie brawami wywoływano wykonawców – przyjęcie spektaklu było doskonałe, ludzie zrozumieli wszystko. Natomiast jeśli chodzi o protesty, to była to jedynie kilkunastoosobowa bojówka, która przyszła już z nastawieniem, żeby zrobić zadymę. Przyszli wcześniej przygotowani i zorganizowani, mieli ze sobą gwizdki, wrzeszczeli na komendę, bo był z nimi jakiś ich komisarz politruk. I takie oto mamy proporcje: kilkanaście osób do półtora tysiąca znakomicie bawiącej się publiczności. Tak było na naszej *Neomonachomachii*. Pozostaje oczywiście kwestia żenującego nieuctwa na elementarnym poziomie… Bo trzeba nie mieć kompletnie poczucia humoru i zupełnie nie rozumieć specyfiki tekstu literackiego czy przedstawienia teatralnego, które posługuje się właściwymi sobie środkami, żeby odbierać je jako bezpośredni zapis rzeczywistości. Jednak warto zauważyć, że skoro oni już przyszli z tym

nastawieniem, to może dlatego, że chciano uczynić to przedstawienie pretekstem do politycznej zadymy. Myślę też, że tych paru może mniej ograniczonych członków owej bojówki (bo w masie była to jednak zgraja troglodytów, których intelektualne możliwości wyczerpywały się na tym, by usiąść przodem do sceny) chciało w ten sposób zwrócić na siebie uwagę, wykazać się partyjną gorliwością i czujnością, innymi słowy: zrobić karierę metodą Nikodema Dyzmy. Paradoksalnie im się udało, bo ich nazwiska na chwilkę pojawiły się w mediach, tyle że w komicznych i ośmieszających kontekstach...Trudno mi tu dokładnie wyważyć, ile w tym było prymitywizmu, a ile zamierzonego działania. Zresztą... nie warto o tym mówić.

Ja się wychowałem na kabarecie Olgi Lipińskiej...

– No, ja też go bardzo lubiłem.

No właśnie, przez lata Olga Lipińska przerabiała pewne treści w znacznie ostrzejszy sposób i ludzie wówczas nie protestowali. Co się stało z polskim społeczeństwem, że nagle doszło do takich reakcji? Czy przypadkiem nie jest tak, że się zmieniamy? Że mimo iż na *Neomonachomachii* protestował margines, to w rzeczywistości jest to wskaźnik tego, co się dzieje w Polsce? Być może cytat z Ignacego Krasickiego, otwierający pańską sztukę, że prawdziwa cnota krytyk się nie boi, dotknął czegoś istotnego? Być może pana sztuka zdemaskowała własne poglądy protestujących?

– Bardzo możliwe, że zadziałał tu ten mechanizm. Uderz w stół, a nożyce się odezwą. Ta nieprawdziwa cnota, cnota udawana, poczuła się ową krytyką obrażona i zdemaskowana. Po pana słowach mocno sobie uświadomiłem to, że ta niewielka bojówka, która przyszła robić zadymę, może być w jakimś sensie reprezentantem sporej grupy społecznej. Że to nie jest tylko chuligański wybryk, a kryje się za tym niestety coś więcej.

W *Neomonachomachii* występują trzy zakony. Czerwony, reprezentujący komunistów, czarny, reprezentujący środowiska katolickie, oraz biały – mający być odniesieniem do środowisk patriotycznych. Jak sam pan przyznał, na więcej zakonów ze względów technicznych nie można było sobie pozwolić. Może zamiast tego jednego z konserwatywnych zakonów powinien wystąpić zakon niebieski z hymnem do melodii Beethovena *O mamono, iskro trzosów*? Wtedy satyra uderzałaby we wszystkich.

– Ja najchętniej dałbym tych zakonów-partii więcej: niebieskich (jak pan podpowiada), zielonych, różowych, żółtych... – żeby paleta barw była pełna. Natomiast ze względów czysto teatral-

nych musieliśmy się ograniczyć tylko do trzech grup. Do tych najbardziej wyrazistych (zwłaszcza w sensie teatralnym), bo użyliśmy mocnych i jaskrawych barw: białej, czarnej, czerwonej. Tak jak wspominałem, najlepiej byłoby, gdyby tych partii-zakonów było wręcz kilkanaście. Fantastycznie byłoby, gdyby któryś z nich mógł być na przykład nie jednobarwny, ale w paski.

Jakiś czas temu kwartalnik „Fronda LUX" zorganizował debatę, m.in. z Bronisławem Wildsteinem i Rafałem Ziemkiewiczem, na temat tego, czy konserwa przegrała kulturę. Zdanie, że prawica nie radzi sobie z kulturą wysoką, głosi część konserwatywnych publicystów. Czy zgadza się pan z tym sądem?

– Trudno jest mi odpowiedzieć, bo jak już wspomniałem, jestem zwierzęciem całkowicie apolitycznym, ale wydaje mi się, że nie można oskarżyć prawicy (bo to jest jednak pewien zarzut) o to, że sobie nie radzi z kulturą. Nawiążę znów do *Neomonachomachii* i jej odbioru. Prawica rozumna, wyznająca określone idee, a nie fanatyczna – ona nas broni. Przypomnę tutaj choćby o liście Fundacji Zygmunta Starego. To jest poważna krakowska organizacja konserwatywna, która ogłosiła świetny list otwarty do ministra sprawiedliwości w obronie naszego spektaklu. Wobec tego trudno byłoby mi nazwać taką chuligańską bojówkę, zakłócającą spektakl, prawicą. Bardzo wielu moich dawnych kolegów z czasów, kiedyśmy jeszcze wspólnie działali w podziemiu, teraz ma poglądy wyraźnie prawicowe. Myślę o takich kolegach, jak Ryszard Legutko, Ryszard Terlecki czy Jan Polkowski. Podobnie moi uczniowie i wychowankowie z polonistyki, z których jestem bardzo dumny: Piotr Legutko, Marek Lassota czy Adam Kalita. Natomiast nie wyobrażam sobie, żeby oni właśnie coś takiego jak owa bojówka robili, bo to są ludzie ideowi, na najwyższym poziomie duchowym i intelektualnym. To jest prawdziwa prawica. A ta bojówka? Ona nadużywa imienia prawicy i w jakimś sensie ją ośmiesza. **Ω**

BRONISŁAW MAJ – poeta, eseista, dramaturg, scenarzysta i tłumacz. Doktor nauk humanistycznych. Współzałożyciel teatru KTO oraz wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego. W lata PRL opozycjonista.

Przemówienie prezydenta Bronisława Komorowskiego z okazji 1050. rocznicy chrztu Polski

Szanowny trzeci zastępco ambasadora Niemiec, czcigodny przedstawicielu pionu technicznego ambasady Federacji Rosyjskiej, pani premier, panie i panowie ministrowie, panie i panowie biskupi, przepraszam, panowie biskupi.

Spotykamy się tutaj z powodu ważnej rocznicy, a jaka to rocznica, wszyscy doskonale wiemy. Wspominamy tamten czas z uśmiechem, wzruszeniem i pobłażliwością, z jaką z reguły myśli się o naszych młodych latach. A były to młode lata tego kraju. Lata, gdy po raz pierwszy staliśmy się częścią wielkiej, europejskiej rodziny, tego pięknego projektu, jakim była, jest i będzie tysiącletnia Unia. Jak dziś widzimy, ponadtysiącletnia.

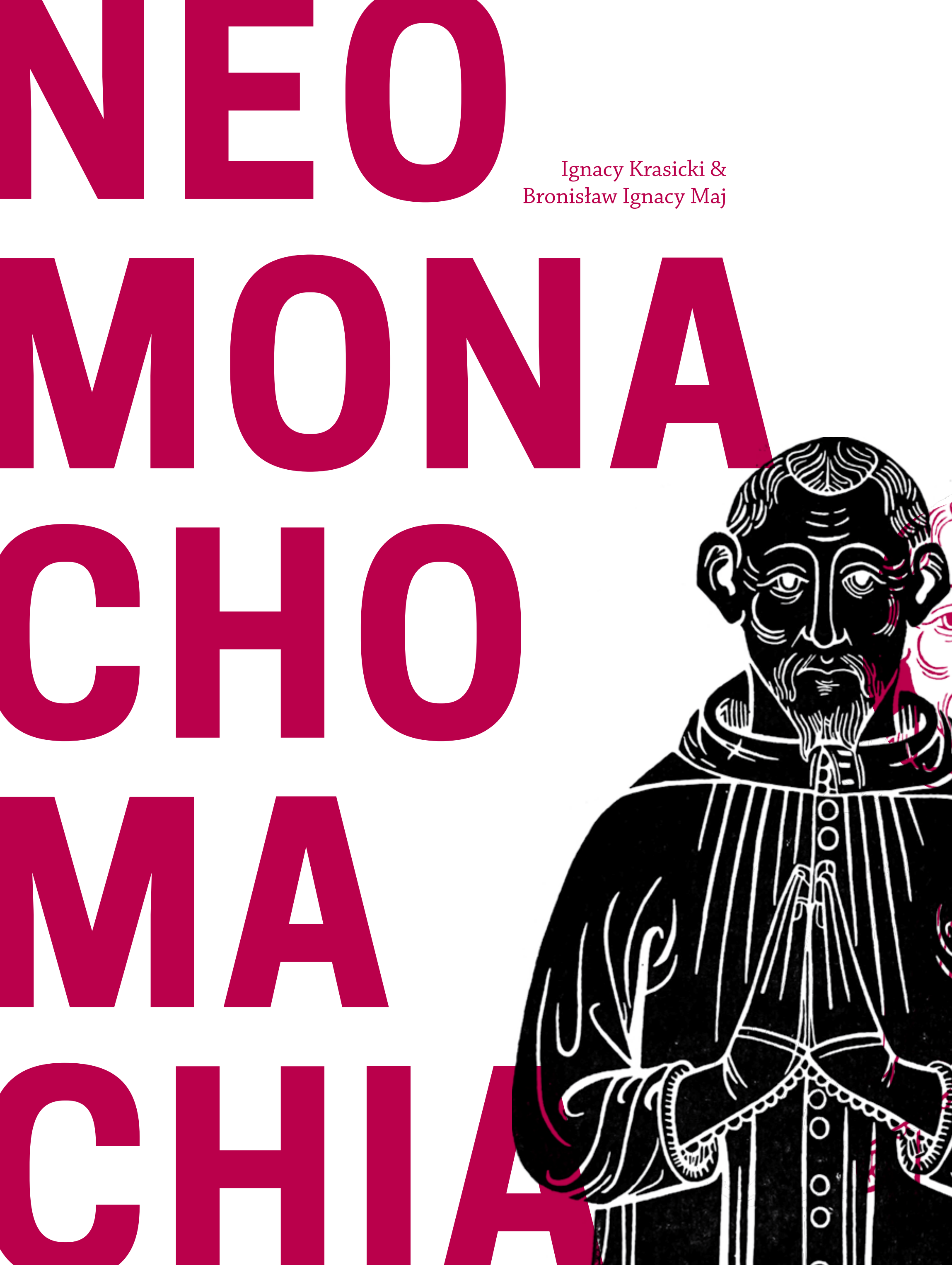
Chrzest. Słowo, które budzi wiele skojarzeń. Jest oczywiście to skojarzenie religijne, ale dziś nowe czasy przynoszą nowe wyzwania, wiara oczywiście tak, jestem człowiekiem wiary, lecz bez ciemnoty, zabobonu, nienawiści, jaką reprezentują ci, którym nie podoba się wszystko, co osiągnął ten kraj. Kwestionują nasz sukces, unijną przynależność, dziedzictwo tego Mieszka, powiedzielibyśmy dziś – Mieszka Pierwszego. A chrzest kojarzy się właśnie z czymś pierwszym. Mówi się wręcz „chrzest bojowy". Choćby na polowaniu, w tych pięknych okolicznościach, pierwszy zastrzelony zwierz, męska przygoda, postrzelony kolega, wódka i bigos, ten słynny polski bigos, zawsze obecny w naszej historii – to jest właśnie chrzest bojowy.

Przemówienia powinny być krótkie, zaś kiełbasy w tym naszym polskim bigosie jak najdłuższe. Tu postawię więc tę historyczną kropkę nad „i" i w ostatnim zdaniu przytoczę wiersz, który napisałem na dzisiejszą, tak ważną dla każdego z nas rocznicę.

Ja to wiem, wiesz to ty, chrzest był dobry, PiS jest zły.

Dziękuję, a teraz zjedzmy coś nareszcie, a ja się chwilkę zdrzemnę. Moja żona, Anna, już śpi, a małżeństwo spać powinno razem.

[KK]


NEO
MONA
CHO
MA
CHIA
Ignacy Krasicki &
Bronisław Ignacy Maj

Prawdziwa cnota krytyk się nie boi
I.K.

OSOBY:

ARCHANIOŁ PROLOG
PRZEOR CZARNYCH – OJCIEC WALENTY
PRZEOR CZERWONYCH – SEKRETARZ GAUDENTY
PRZEOR BIAŁYCH – KOMENDANT JACENTY
ZAKON CZARNYCH
ZAKON CZERWONYCH
ZAKON BIAŁYCH
CHÓR ANIELSKI
CHÓR CHEERLEADEREK
LUD BOŻY
LUD PRACUJĄCY
LUD WYBRANY





INTRODUKCJA

CHÓR ANIOŁÓW
I śmiech niekiedy może być nauką,
Kiedy się z przywar, nie z osób natrząsa,
I żart dowcipną przyprawiony sztuką
Zbawienny, kiedy szczypie, a nie kąsa;
I krytyk zda się, kiedy nie z przynuką,
Bez żółci łaje, przystojnie się dąsa.
Szanujmy mądrych, przykładnych, chwalebnych,
Śmiejmy się z głupich, choć i przewielebnych.

CHÓR
Wojnę okrutną, bratobójczą wojnę
Śpiewa ma Muza – słuchajcie jej śpiewu:
Bo oto w miasto tak zacne, spokojne
Uderzył nagle straszny piorun gniewu.
I trzy zakony, co tu w zgodzie żyły,
Świętych próżniaków i czcicieli szklanki,
Porwane gniewem w dłonie broń schwyciły
I zwartym szykiem weszły w krwawe szranki.

Wojnę domową śpiewam więc i głoszę.
Pomiędzy braćmi wojnę bez pardonu.
Przyczyna wojny? Nie pytajcie, proszę,
To jest… wstydliwy sekret trzech zakonów.
Jędza Niezgody zmąciła im w głowach,
Żądza i Zazdrość skłóciła ich wredna.
Przyczynę wojny w prostych ujmę słowach:
Zakony trzy są, ale Kasa – jedna…

Z Księgi Historii odczytamy dzieje
Tej wojny, co się tu od wieków toczy.
Lud śmiać się będzie? Sam siebie wyśmieje!
Bo to jest wojna – dla zmylenia oczu,
To wojna – teatr. Publiczność wybierze
Triumfatora – jemu odda wszystko.
Słuchajcie! Wnet się tu zjawią rycerze!
Zaraz się zacznie krwawe widowisko!

ARCHANIOŁ PROLOG
W mieście, którego nazwiska nie powiem,
(A brzmi to imię jak krakanie kruka),
Było trzy karczmy, bram cztery ułomki,
Wiele klasztorów *i gdzieniegdzie domki.*

W tej to prastarej nad Wisłą *stolicy*
Wielebne głupstwo od wieków mieszkało;
Pod starożytnej schronieniem świątniccy
Prawych czcicielów swoich utuczało.
Zbiegał się wierny lud, a w okolicy
Wszystko odgłosem uwielbienia brzmiało.
Święta prostoto, ach, któż cię wychwali!
Lecz cicho! Patrzcie! Oto się zbliżają!

Przy biciu w dzwony, w blasku feretronów,
Oto nadchodzi święty Zakon Czarnych.
Jedynie słusznej Prawdy posiadacze,
Strażnicy Wiary jedynie prawdziwej.
Co dusze ludu – na ziemi i w niebie –
Jedyną drogą wiodą do zbawienia.
A ich prowadzi przesławny Walenty:
Ojciec i pasterz, mąż prawdziwie święty.

CHÓR CZARNYCH
Cudna Mamonno – ciebie uwielbiamy!
I ciebie, Władzo, boś ty klucz do Kasy.
Władza i Kasa – bóstwa ukochane.
Słodka Mamonno, przyjm błaganie nasze!

Władzy i Kasie – wznosimy ołtarze!
Niech durny lud nam władzę odda w darze!

ARCHANIOŁ PROLOG
Z szumem szturmówek, z biciem w bębny, trąby
Już maszeruje tu – Zakon Czerwonych.
Władcy Idei najszczytniejszej z szczytnych!
Oni na własność mają Sprawiedliwość
I Naukową, a więc słuszną Prawdę.
Obrońcy Klasy! Świat odmienią dla niej!
Na czele – Przeor Sekretarz Gaudenty!
Na barykady wiedzie towarzyszy!

CHÓR CZERWONYCH
Mamono – ciebie uwielbiamy!
I Władzę – w niej do Kasy klucz.
Po całą władzę dziś sięgamy,
Bo się opłaci nam ten trud.

Robotniczą oskubiemy klasę.
Gdy my idziemy – ziemia drży!
Ideą nasza – Pełna Kasa!
Władza i Kasa – teraz my!

Całą władzę i Kasę
Odda nam durny lud.
Zwycięstwo jest nasze!
Na Kasę, bracia, szturm!

ARCHANIOŁ PROLOG
W takt poloneza, z biciem w tarabany,
Z szumem husarskich skrzydeł, z szablą w dłoni
Nadchodzi oto zacny Zakon Białych,
Synów Ojczyzny i Ojców Narodu.
Naród wybrany – nasz! – nie jakiś obcy,
Wiodą w bezpieczny Okop, za Przedmurze.
Na samym przedzie – to Marszałek jedzie,
Na białym koniu – komendant Jacenty!

CHÓR BIAŁYCH
Mamono – ciebie uwielbiamy!
I Władzę – w niej do Kasy klucz.
Ojczyznę na sztandarach mamy,
A w sercu głód – mamony głód!

Mamona to Ojczyzna nasza!
Husarskich skrzydeł władzy szum!
Hej, równaj krok – przed nami Kasa!
Na Kasę skok – na Kasę szturm!

My, Rycerze Kasy!
Wszystko będzie nasze!
I Cud,
Nad Wisłą cud:
Odda nam władzę durny lud!

CHÓR CHEERLEADEREK
CZARNE
Raz – i dwa – i trzy – i cztery!
Święte dziewice, wiary hetery!
Duchy kruchty – cheerleaderki!
Raz – i dwa – i trzy – i cztery!

CZERWONE
Raz – i dwa – i trzy – i cztery!
Marsz, Rewolucji Córy, megiery!
Marsylianki – cheerleaderki!
Raz – i dwa – i trzy – i cztery!

BIAŁE
Raz – i dwa – i trzy – i cztery!
Emilie Plater – marsz, bohaterki!
Matki Polki – cheerleaderki!
Raz – i dwa – i trzy – i cztery!

RAZEM
Nasza cnotą – nasze cnoty!
Wiara! Klasa! Patriotyzm!

My – dziewice, my – dewotki,
My – rewolucyjne ciotki.

Wzmocnić, siostry, święte warty!
Kto nie z nami – ten już martwy!

Inkwizycja! Święte stosy!
Czas zapalać ogień, siostry!

ARCHANIOŁ PROLOG

Stop! Koniec wrzasków!... Czas na polityczną,
Spokojną, mądrą, rzeczową dysputę.
Z ksiąg świętych – prawdy wasze, argumenta
Ludowi jasno w debacie wyłóżcie.
Niech lud osądzi, zwycięzcę wybierze.
Niech lud wybiera! Do wyborów, bracia!

WALENTY

Bracia i siostry! Toż już w Piśmie stoi,
Czarno na czarnym, że tylko MY mamy
Prawdę prawdziwą, najsłuszniejszą słuszność.
W NAS uwierz, ludu! Dostaniesz w nagrodę
Za taką wiarę – Wszystko! Całą ziemię,
A nawet niebo – MY ci otworzymy.
I jeszcze więcej! MY – zbawienie wieczne
Damy ci, Ludu! (w promocji, ze zniżką!).

GAUDENTY

Ludu Roboczy! Tu jest zapisana,
Czerwoną czcionką – Obiektywna Prawda!
To MY ją znamy! MY ją posiadamy!
Wedle tej prawdy, Ludu mój, dla ciebie
Świat odmienimy! W konieczność dziejową
– w NAS! – musisz wierzyć! Na NAS swój głos oddaj!
A za to – MY ci, Ludu, damy wszystko!
Więcej niż wszystko! (w promocji, ze zniżką!).

JACENTY

Ludu! Narodzie! Tutaj zapisana
Jest krwią serdeczną – Historyczna Racja!
To MY ją mamy, Narodzie Wybrany!
MY – powiedziemy cię do chwały, sławy!
Od wrogów – obcych! – MY cię obronimy!
I ponad wszystkie ludy wyniesiemy!
Z NAMI potężny będziesz i bezpieczny!
Wszystko ci damy (w promocji, ze zniżką!).

ARCHANIOŁ PROLOG

Stop! Powiedzieliście już, bracia, swoje!
Jest czas dysputy i jest czas zbierania!
Miedzy lud pójdźcie, spokojnie, partiami –
Zbierajcie głosy! Na Tacę! Do Urny!

ARCHANIOŁ PROLOG

O, Urno – Taco! *Ty arko przymierza*
Między Owczarnią i jej Pasterzami!
Tobie lud zacny przyszłość swą powierza,
Ciebie napełnia swymi pragnieniami.
Na Tacę – rzuca duże nominały.
Urnie – powierza ufnie los swój cały!

Taco! Skarbonko-świnko! Urno złota!
W tobie się staje święty cud Przemiany:
Oto się kartki zmieniają w banknoty,
Wnet je przeliczy Pasterz dziś wybrany.

Świętych próżniaków – lud wybrał, opłacił –
Własne im głowy puste dał na tacy.
Urna – od kartek, od złota aż pęka,
Przed Tacą wierny lud w pokorze klęka.

Urno, *tyś żadnym niezłamana ciosem,*
Póki cię wierny twój lud nie znieważy.
O, Urno-Taco! *Ty stoisz na straży*
Narodowego pamiątek kościoła.
Z archanielskimi skrzydłami i głosem,
Ty czasem dzierżysz i miecz archanioła!

CHÓR WOJENNY
O miejsce niegdyś szczęśliwe prostotą!
Jakaż Fatalność z gruntu cię odmienia?
Książki nieszczęsne, waszą zjadłą cnotą
Trzy *przewielebne cierpią zgromadzenia,*
Płochej dysputy złudzeni ochotą,
Zamiast słodkiego z pracy odpocznienia.
Przemogła zazdrość, zemsta duch spokojny:
Bracia pokoju biorą się do wojny.

CHÓR TRZECH PRZEORÓW
WALENTY, GAUDENTY, JACENTY
Pax, bracia, zgoda! Między nami zgoda!
Urna już pełna – na cóż udawanie?
Już nam lud durny – klucz do Kasy oddał,
I może odejść... A nam – używanie.
Pax, towarzysze! Czas zakończyć boje.
Czas wojny minął – teraz nam czas zbiorów.
Starczy dla wszystkich – co moje, to twoje.
Pax, bracia, zgoda... Do przyszłych wyborów.

Wiara, Ojczyzna, Idea – to słowa,
To puste słowa, opium, w mózgu woda.
Potrzebne tylko, by zamącić w głowach
Durnego ludu, by nam władzę oddał.
Wiara, Ojczyzna, Idea – to słowa.
My się o słowa głupie nie kłócimy,
Nad Urną mądre pochylamy głowy
I sprawiedliwie łupem się dzielimy.

I czas już przerwać tę bitwę zajadłą
Między walczących wnieść ołtarz pokoju.
Przed tym ołtarzem bracia na twarz padną.
Gałąź oliwna, koniec, koniec boju!
Pax, bracia, zgoda. Przed ołtarzem świętym
Klękajcie, bronie precz odrzućcie swoje.
Ukojcie nerwy i temperamenty.
Pax, bracia, zgoda! Cieszmy się pokojem.

ARCHANIOŁ PROLOG:
ODA DO TELEWIZJI
O Telewizjo, Madonno potężna,
Tyś nam dziś Panią! Rządzisz światem w chwale.
Kto na ekranie – ten wszystko zwycięża,
A kogo nie ma tam – nie ma go wcale.
Ty nam pomagasz lud leniwy, tępy –
Usypiać, mamić, truć i wieść na pasku.
Twój ekran wszędzie jest – to ołtarz święty.
Niech świeci ołtarz-ekran w pełnym blasku!

ARCHANIOŁ PROLOG
I żyli w zgodzie, długo i szczęśliwie...
Zakony, partie – ze swym dobrym ludem
Czasem narzekał lud, lecz kto go słuchał,
Wszak władzę oddał najlepszym z najlepszych!
Niech kwitnie miłość, zgoda, wiara, kasa...
Do nowej wojny mnichów... i – wyborów!

CHÓR
Święta miłości kochanej Mamony,
Czują cię tylko umysły poczciwe!
To ciebie wielbią wszystkie tu zakony,
Ty nam zapalasz w sercach ognie żywe.
Daj nam, Mamono, słodkie próżnowanie,
Urzędy, sławę, w Telewizji program,
I słodki bełkot – politykowanie,
Daj nam, Madonno, Pani nasza dobra!

Święta miłości – poczciwy Narodzie,
I ciebie kochać wdzięcznym sercem będziem.
Dla ciebie Kasę posiądziemy w zgodzie,
Dla ciebie mężnie siądziem na urzędzie.
Każdą ofiarę poniesiem dla ciebie,
Boś ty, Narodzie zacny – sól tej ziemi.
Ty śpij spokojnie, Ludu nasz, jak w niebie,
My – za cię, dla cię – wszystkim się zajmiemy…

Święta miłości ukochanej Tacy,
Urny cudownej i Skarbony złotej!
Pokornie prosim – dajcie coś, rodacy,
Za poświęcenie nasze, nasze cnoty.

Śmiech jest nauką, więc się śmiej, Narodzie,
Śmiej się beztrosko
– aż do cna zdurniejesz.
Zrobiłeś swoje – teraz możesz odejść.
Śmiej się, Narodzie!…
Z siebie tak się śmiejesz!



KONIEC

Fragmenty *Monachomachii* Ignacego Krasickiego – kursywą.

Wykorzystano także – w dosłownym przytoczeniu i w parafrazie – fragmenty powieści poetyckiej *Konrad Wallenrod* Adama Mickiewicza.

Ani teatrzy, ani gęść, a już na pewno nie zielona, zmuszony jest przedstawić spektakl

pod tytułem

DOBRA ZMIANA

HAMLET: Ha, nie umarłem!

CHÓR DUŃCZYKÓW SKRYTYCH PO KĄTACH: Łaaaa.

FORTYNBRAS: O ja przeklęty.

CHÓR DUŃCZYKÓW SKRYTYCH PO KĄTACH: Dobra zmiana!

HAMLET: Od dziś tylko kawa!

CHÓR DUŃCZYKÓW SKRYTYCH PO KĄTACH: Dobra zmiana!

HAMLET: Albo herbata!

CHÓR DUŃCZYKÓW SKRYTYCH PO KĄTACH: Dobra zmiana!

HAMLET: W kubku!

CHÓR DUŃCZYKÓW SKRYTYCH PO KĄTACH: Dobra zmiana!

HAMLET: Albo nie, w filiżance.

CHÓR DUŃCZYKÓW SKRYTYCH PO KĄTACH: Dobra zmiana!

HAMLET: Albo ani kawy, ani herbaty.

CHÓR DUŃCZYKÓW SKRYTYCH PO KĄTACH: Dobra zmiana!

HAMLET: A teraz chodź, Fortynbrasie, za długo stałeś w kącie. Potrzebuję doradcy.

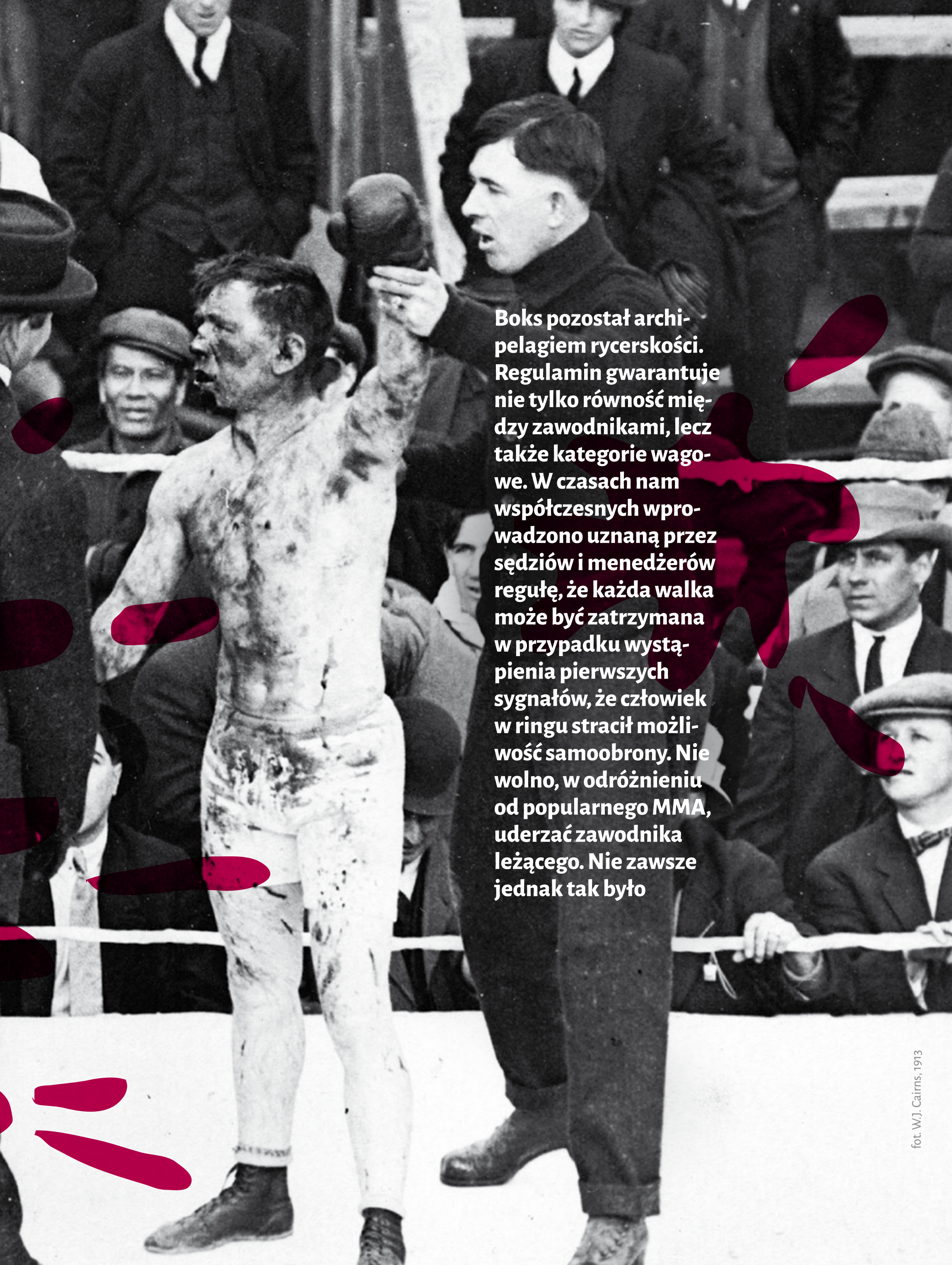
CHÓR DUŃCZYKÓW SKRYTYCH PO KĄTACH: Dobra zmiana!

Kurtyna opada podbudowana dobrą zmianą. Ω



Marcin Darmas

Rehabilitacja ujarzmionej brutalności



Boks pozostał archipelagiem rycerskości. Regulamin gwarantuje nie tylko równość między zawodnikami, lecz także kategorie wagowe. W czasach nam współczesnych wprowadzono uznaną przez sędziów i menedżerów regułę, że każda walka może być zatrzymana w przypadku wystąpienia pierwszych sygnałów, że człowiek w ringu stracił możliwość samoobrony. Nie wolno, w odróżnieniu od popularnego MMA, uderzać zawodnika leżącego. Nie zawsze jednak tak było

fot. W.J. Cairns, 1913

Fotografia z 1913 roku robi wrażenie. Tym większe, że została w pełni pokolorowana przez brytyjskie atelier specjalizujące się w odtwarzaniu realiów z epoki. Na ringu dwóch bokserów w szortach. Adwersarze wydają się jakby przygnieceni kamieniami młyńskimi. Na ich twarzach malują się ból i zmęczenie. Patrzą na siebie nieomal z przerażeniem. Jakby mówili: „cośmy sobie zrobili i dlaczego?". Dodatkowo siłę obrazu potęguje pokolorowana krew. Wszędzie, na twarzach, na piersiach, spodenkach. Domyślamy się obecności krwi na skórzanych rękawicach...

Po lewej stoi urodzony w San Francisco w 1891 roku Ray Campbell. Po prawej o cztery lata młodszy Dick Hyland. Wydają się zdezorientowani. Czyżby menedżer Hylanda umyślnie wprowadzał w błąd sędziego Biddy'ego Bishopa, podnosząc swojemu zawodnikowi rękę? Może nie jest zadowolony i chciałby wpłynąć na werdykt? Po drugiej stronie ringu oburzenie: sekundant Campbella ma rozwarte usta, wydaje się zbity z pantałyku, krzyczy na obóz oponentów. Panowie noszą garnitury, podobnie zgromadzona dookoła ringu publiczność, niektórzy trzymają w rękach cygara; dramaturgia pospólstwo bawi, dominują nieprzebrane złoża dobrego nastroju i folwarcznego rozbawienia. Możemy tylko się domyślać kontredansów obelżywych komentarzy w kierunku sędziego. Niektórzy musieli postawić grube pieniądze... Najwyraźniej rozkrzyczana horda potrzebowała więcej krwi. Prawie całkowita nagość pięściarzy kontrastuje z niemal dystyngowaną garderobą mężczyzn ich otaczających.

Wojowników charakteryzuje szlachetne szaleństwo

Jeśli rację ma Joseph de Maistre, że niewinna ofiara niemal zawsze płaci za czyjeś winy, estetyczna kanonizacja porządku przemocy zaprezentowana na fotografii staje się oczywista. Ofiarami są Hyland i Campbell, a winnymi ci, którzy za parę pensów to widowisko opłacili.

W pierwszym zetknięciu boks kojarzy się z koncentratami brzydoty, przemocy, z powrotem najpierwotniejszych instynktów, teatralizacją logiki ofiary. W większości wypadków dochodzi również do autoprojekcji: dla subtelnych widzów będzie to wielki technik, dla agresywnych pięściarz obdarzony mocnym uderzeniem. *Bij po schabach! Po schabach boli najbardziej* – pamiętam wykrzyczane żółcią i śliną uwagi widza podczas tegorocznej edycji turnieju im. Feliksa Stamma.

Pięściarstwu przylepiono łatkę sportu brutalnego. I owszem, ta zabawa jest naprawdę trudna, może nawet szalona, a tych wojowników charakteryzuje szlachetne szaleństwo. Jest jakiś związek między szachami a boksem. Związek rycerski. Odnajduje go szkocki arcymistrz Jonathan Rowson. *Jeden i drugi sport to najbardziej bezpośrednia i czysta rywalizacja* – mówi Rowson. *W boksie są tylko rękawice. Nie ma tu żadnego innego pośrednika w postaci bramki czy rakiety.* Potem zostaje już tylko brutalność. I przejrzystość reguł. *To samo w szachach, gdzie sublimacja*

siły – tym razem nie mięśni, ale mózgu – jest równie realna. Z tą tylko różnicą, że w szachach emocjonalnym impulsom nie towarzyszy ból. Ale poza tym przeżycia są takie same jak w boksie – podkreśla Rowson. Gracz pokonany w partii szachów nie wini za nic swojego przeciwnika. Ubolewa może tylko nad nieadekwatnością swoich intelektualnych czy psychicznych możliwości. I z tego powodu jego porażka będzie przeżyciem trudnym. Dlatego zwycięstwo w partii szachów, zwłaszcza to na poziomie elit, wymaga nadzwyczajnej siły woli. Nieżyjący już były szachowy mistrz świata Bobby Fischer powiedział kiedyś, że radował się, czując ten moment, gdy ego jego przeciwnika rozpadało się w oczach, kiedy na szachownicy zaznaczała się przewaga mistrza. Inny mistrz świata Garri Kasparow opisywał szachy jako najbardziej brutalny ze wszystkich sportów, jakie istnieją. Dąży się w nim do totalnej destrukcji przeciwnika. Przecież w jednej i drugiej konkurencji mamy naprzeciwko siebie dwóch przeciwników, którzy na przemian wykonują ruchy – w ringu i na szachownicy. Nie tylko w boksie, ale i w szachach używa się przecież pojęć: „zabić", „zniszczyć", „rozbić"...

OGRANICZENIE AFEKTÓW

Wbrew nastawieniu pełnym niechęci, a nawet odrazy, które wśród wielu ludzi budzi boks, będziemy bronić hipotezy, że tę gałąź sportu można uważać za ucywilizowaną działalność aktywności ludzkiej.

Po pierwsze: boks cywilizuje fakt, że jest daleki od bezwolnych odruchów. Jak słusznie zauważa Jean Prévost, nie sposób dawać znaku równości między ćwiczeniem ciała ludzkiego a grą zwierząt. I dodaje lapidarnie: *Postępowaniem ludzkim, tak jak zawsze, rządzi w tym przypadku wola*. Wbrew obiegowym opiniom na ring wchodzi nieprzymuszony, przygotowany, a przede wszystkim świadomy zagrożeń atleta. Usłyszałem kiedyś od młodego zawodnika: *Każdy może trenować, ale nie każdy może walczyć*. Boks to gra dla odpowiedzialnych mężczyzn.

Po drugie, idąc tropem Norberta Eliasa, boks wysoko lokuje się na cywilizacyjnym szczeblu ze względu na ograniczenie afektów. Im większa samoświadomość, tym większa kontrola – poucza niemiecki myśliciel. Podważanie cywilizacyjnych aspektów aktywności tego rodzaju sztuki walki przebiegało w trakcie dość skomplikowanego procesu, gdy dyscyplinę tę poddawano próbom dostosowania do pewnych precyzyjnych reguł. Rozciągnięcie tych reguł na dziedziny sportu, które znane były ze swojej gwałtowności, i próby zmuszenia do ich przestrzegania przynosiły z czasem konkretne efekty.

ESTETYCZNA KANONIZACJA PORZĄDKU PRZEMOCY

Tezę Eliasa da się więc sprowadzić do stwierdzenia, że w trakcie procesów cywilizowania nawet dyscypliny nadmiernie niebezpieczne i gwałtowne były z czasem coraz bardziej społecznie kontrolowane. Co w rozumieniu Eliasa oznaczają „procesy cywilizacyjne" w odniesieniu do tej dyscypliny sportu?

POLOWANIE NA LISA

Centralnymi punktami odniesienia dla tych procesów jest wszechobecność państwa i nieustannie wzrastająca kontrola polityczno-administracyjna i fiskalna w tych dziedzinach życia, które wiążą się z użyciem siły. Społeczne standardy wprowadzane raz po raz przez państwowy monopol dotyczą coraz częściej sfery seksualności, agresji, a generalnie wszelkich sfer stosunków między ludźmi. Wprawdzie przedmiotem naszego zainteresowania jest tutaj boks, ale należy wiedzieć, że badania Eliasa w latach 1978–1988 obejmowały także futbol oraz zapasy. Natomiast perspektywę historyczną jego dociekań otwiera pokaźny prolog o... polowaniu na lisa. Ta specyficzna i użyteczna społecznie dziedzina „sportu" budzi dziś podobne kontrowersje jak boks. Nie mieści się ona w powszechnie obowiązujących kanonach rywalizacji sportowej i przez tych, którzy jej nie uprawiają, uważana jest za zajęcie barbarzyńskie. Jednak obiektywnie rzecz biorąc, porównanie dzisiejszego polowania na lisa z obyczajami obowiązującymi w tej dziedzinie w XVIII wieku prowadzi do wniosku, że dziś jest w tej konkurencji coś ze sportowej rywalizacji.

> Polujących wyręczały w tym psy gończe

Jak przekonuje Elias, w dawnych wiekach obowiązywały ścisłe reguły polowań, a ich tragiczny dla zwierzęcia finał rozgrywał się na bardzo różne sposoby przy użyciu całego zestawu wymyślnej broni. Elias słusznie sugeruje, że dla ludzi z wyższych sfer większość atrakcji związanych z „polowaniem i zabijaniem zwierząt" była w czasach pokoju namiastką wojny. Zdaniem autora dopiero z czasem polowanie na lisa stało się w Anglii rozrywką, sposobem na spędzanie wolnego czasu. Obowiązywała przy tym reguła, że w trakcie polowania nie można było zabić jakiegokolwiek innego zwierzęcia. Ta zasada była kompletnie niezrozumiała dla cudzoziemców odwiedzających Anglię. Zauważmy też, że w XVIII wieku nie tylko arystokracja, ale nawet szlachta nie jadała mięsa lisów. Chodziło więc o namiastkę sportu, rywalizacji. Nie zabijało się osobiście upolowanego zwierzęcia, ale za pomocą prokurenta. Było bowiem czymś niegodnym zabijanie lisów własnoręcznie. Polujących wyręczały w tym psy gończe rozszarpujące ofiarę.

Ludzka przyjemność sprowadzała się tutaj do partycypacji w pobudzającej napięcie grze wstępnej i antycypacyjnym oczekiwaniu na śmierć osaczonego zwierzęcia. Wyczekiwanie na krwawy finał wydłużano czasem, sztucznie ustanawiając coraz bardziej wyrafinowane sposoby polowania. Jeśli rozumowanie Eliasa jest prawidłowe, to i ten rodzaj sportu zawierał reguły heroicznych zmagań, których finałem miało być krwawe *katharsis* oczywiście nie człowieka obserwatora, ale zwierzęcia.

Boks jest niewątpliwie fizycznie jedną z najbardziej wyniszczających, krwawych i brutalnych ze wszystkich współczesnych konkurencji sportowych. Przy odrobinie wyobraźni można go porównać właśnie

do polowania na lisa. I pod tym względem boks może być znakomitym materiałem do studiowania cywilizacyjnych aspektów ewolucji sportowej aktywności.

Centralnym punktem teorii Eliasa jest argument, iż wśród narodów zachodniej Europy, w której od dłuższego czasu mamy do czynienia na przemian ze zjawiskami dobrobytu i dekadencji, coraz częstszym zjawiskiem jest czerpanie przyjemności z różnych form przemocy. W trakcie współcześnie zachodzących procesów ewolucyjnych pojawiła się tendencja do przedstawiania na scenie jako głównych bohaterów gwałtu oraz innych zwierzęcych aspektów natury ludzkiej. Cywilizowane społeczeństwa, partycypując w tego rodzaju aktach krwawych zmagań, nie ponoszą moralnej czy prawnej odpowiedzialności za skutki gwałtu, ran i śmierci oglądanych na ringu. Przeciwnie – kibicom, uczestnikom spektaklu towarzyszy nieustanna „euforia czystego sumienia".

Poważne studia nad fenomenem społecznej odpowiedzialności za brutalność w boksie rozpoczęły się w Anglii w 1984 roku wraz z publikacją raportu British Medical Association poprzedzonych wcześniejszymi badaniami przeprowadzonymi przez zespół Royal College of Physicians. Opracowania te odbiły się szerokim echem w kręgach bokserskich w Wielkiej Brytanii i wywołały spory społeczny rezonans w sportowym światku, który naznaczony został jako brutalny, sadystyczny i szkodliwy. Fizyczną i moralną odpowiedzialnością obciążano również tych, którzy doznawali przyjemności w obserwowaniu ringowych zmagań. Potępienie to było tak powszechne, że „The Guardian" w jednej tylko edycji z marca 1984 roku poświęcił tej problematyce aż cztery artykuły. Sprawa wprowadzenia zakazu uprawiania boksu stanęła nawet na forum brytyjskiego parlamentu.

Naturalnie dyskusja ta nie była jednostronna. Pojawili się bowiem obrońcy boksu, którzy szukali jego uzasadnienia w argumentach historycznych sięgających czasów starożytnych Aten czy Rzymu. Elias nie uznawał tych argumentów. Uważał on, że starożytne walki bokserskie fundowane były na wojskowych walorach honoru i męstwa, które nie mają nic wspólnego ze współczesnymi zasadami *fair play*. Walki w starożytności były celowo brutalne, a zaopatrzenie rąk w ciężkie bandaże wcale nie miało przyczyniać się do bezpieczeństwa przeciwników, a wręcz odwrotnie, miało uczynić zmagania bardziej brutalnymi. W Grecji animuszu pugilistom dodawali muzycy grający na fletach. Dziś podobnie zawodnik wkracza na ring w rytm wybranego przez siebie utworu muzycznego. Historyczne relacje wskazują, że Grecy bili się do zmierzchu. W Rzymie w części ochronne pięści wkładano drewniane kołki lub metalowe kolce. Przeciwnicy stawali naprzeciwko siebie twarzą w twarz i wymieniali kolejno ciosy aż do momentu kompletnej niezdolności przeciwnika do walki lub do jego śmierci.

WKŁADANO DREWNIANE KOŁKI LUB METALOWE KOLCE

Tego rodzaju formy walki przetrwały nieraz aż do czasów nam współczesnych, do XVIII–XIX wieku.

NA RING WKRACZA PROCES CYWILIZACYJNY

Ale już w tych dość odległych od naszych rozważań czasach zaczęło się tworzenie dość skomplikowanych biurokratycznych norm mających na celu kontrolę tego, co działo się w trakcie popularnych zmagań pugilistycznych. Zarządcy w poszczególnych hrabstwach Wysp Brytyjskich wydawali w Anglii pisemne instrukcje, które miały chronić zdrowie i życie uczestników bokserskich zmagań. Definiowały one sposób ochrony rąk, rodzaj zadawanych ciosów, wreszcie określały części ciała, które można było atakować. W omawianym okresie, a mówimy tu w przybliżeniu o połowie XVII i wczesnych dekadach XVIII wieku, zakreślono również dozwolone chwyty zapaśnicze używane wobec powalonego na ziemię przeciwnika. Zabronione był np. *cross-buttock* (wyłamywanie biodra). Natomiast regulaminowe nadal były skakanie na leżącego przeciwnika, miażdżenie kolan czy skok na wyeksponowaną po upadku klatkę piersiową. Można było wydłubywać oko. Można było ciągnąć przeciwnika za włosy. Dozwolone było atakowanie najintymniejszych i najbardziej delikatnych części podbrzusza.

MOŻNA BYŁO WYDŁUBYWAĆ OKO

Dodać jednak należy, że już w omawianym okresie niektóre hrabstwa karały odebraniem punktu za uderzanie poniżej pasa (*hit below the belt*) czy *using the head illegally* (nielegalne używanie głowy), a także trzymanie i uderzanie. Jak wspomnieliśmy, także rodzaj uderzeń był ściśle określony. Definiowała je ułożona zgodnie z obowiązującymi regułami pięść. Cel musiał być uderzany, jak to określano, kościstą częścią ręki (*the „target" must be hit with knuckle part of the hand*). Natomiast zabronione było uderzanie otwartą rękawicą, gdyż przeciwnik nie mógł być narażony na obrażenia zadane rzemiennym sznurowadłem.

Początkowo rywalizacja odbywała się bez konieczności rozróżniania predyspozycji fizycznych zawodników. Znacznie później, w celu wyrównania dysproporcji, wprowadzono podział na kategorie wagowe zgodnie z regułami markiza Queensberry. Ale to było dopiero w 1865 roku, a więc w XIX wieku. Reguły z Wysp stały się obowiązującym standardem w Anglii, a później w USA. Zasady markiza w prawie niezmienionej formie obowiązują do dziś.

Ucywilizowanie reguł boksu nastąpiło także przez ścisłe określenie czasu trwania pojedynku, a później liczby toczonych rund. Reguły dotyczące tych kwestii mogły się różnić delikatnie w zależności od tego, czy pojedynek odbywał się o tytuł, czy była to walka zawodowców, czy też amatorów. W Anglii większość pojedynków o tytuł odbywa się teraz na dystansie dwunastu rund. Natomiast w Stanach Zjednoczonych jeszcze do niedawna pojedynki o tytuł odbywały się na dystansie piętnastu rund. Pamiętajmy jednak, że wcześniej

zarówno w Ameryce, jak i w Anglii tytuły zdobywało się w trakcie 20-rundowych zmagań, po trzy minuty każda. Wcześniej, przed 1860 rokiem runda kończyła się upadkiem, a więc fizyczną eliminacją jednego z zawodników. Walczyło się bowiem do końca.

Fizyczna ochrona bokserów została wprowadzona dla zabezpieczenia walczących przed dozwoloną lub przypadkową gwałtownością uderzeń. Na przykład watowane rękawice, gumowe osłony szczęki, kaski na głowę, suspensoria, czyli ochrona intymnych części ciała i pachwiny, wszystko to było wprowadzane stopniowo z biegiem lat.

Powszechnie uważa się, że po raz pierwszy rękawice zostały wprowadzone w 1747 roku, gdy Jack Broughton, były bokser, później przedsiębiorca i coach, zaproponował, aby w jego amfiteatrze w trakcie walki używać *mufflers* – chust do obwiązania pięści. Miały one służyć jako swego rodzaju tłumiki osłabiające potężne uderzenia gołej pięści. Dżentelmeni prowadzeni przez Jacka Broughtona występowali z pięściami okręconymi takimi chustami w Haymarket Amphitheatre w Londynie. Sala Broughtona została zamknięta około 1750 roku po jego walce z niejakim Jackiem Slackiem. Stolica brytyjskiego imperium na długo straciła wówczas szansę budowy bokserskich aren. Jeśli dać wiarę „The Daily Advertiser" z 1747 roku, intencją pomysłodawcy, który zaproponował stosowanie *mufflers*, było to, aby jego pupile nie byli narażeni na „siniaki, złamanie szczęki, czy mogli sobie sami tamować krwawienia z nosa". Dopiero reguły markiza Queensberry ustanowione w 1865 roku nakazywały, aby rękawice miały „odpowiedni rozmiar, były nowe i dobrej jakości". Te rękawice rzadko ważyły więcej niż pięć uncji i nie używano ich jeszcze w walkach o tytuł.

Cywilizowanie boksu odbywało się także przez ustanawianie osób, których zadaniem było przestrzeganie reguł walki. Nie byli to jednak sędziowie ringowi w takim sensie, w jakim dziś rozumiemy ich rolę. Na początku byli to przedstawiciele publiczności, którzy w ringu, czy raczej na polu walki, reprezentowali interesy tych, którzy w zakładach obstawiali wynik walki. Takiemu „arbitrowi" powierzano nawet często pieniądze, które on wypłacał po zakończonym pojedynku. Nie byli to więc początkowo wcale znawcy sportowych reguł czy osoby neutralne. Ale czy było to konieczne w czasach, kiedy było wiadomo, że zwycięzcą jest ten, który przy końcowym gongu potrafił ustać na własnych nogach?

W XVIII i XIX wieku ani w Anglii, ani w żadnym innym kraju nie istniały w ringu żadne reguły sportowych zachowań. Za to już w 1828 roku zaczęły powstawać spontanicznie Fair Play Kluby oraz (od 1852 roku w Londynie) Pugilistic Benevolent Association. Zdaniem Eliasa to typowo angielskie wymysły, niemające podobnej tradycji np. w przedrewolucyjnej Francji. Natomiast na

PRZY KOŃCOWYM GONGU POTRAFIŁ USTAĆ NA WŁASNYCH NOGACH

Wyspach angielscy dżentelmeni byli niezwykle przywiązani do instytucji klubów. To tutaj dyskutowano reguły, jakie miały obowiązywać w trakcie takich rozrywek jak polowanie czy różne rodzaje gry w piłkę. Ustalone reguły mogły być przy tym różne w zależności od lokalnej tradycji. Pugilistic Benevolent Association wprowadziła aż 28 norm dotyczących boksu, ustalając na przykład rozmiary ringu i rodzaj podłogi, na której należało rozgrywać pojedynki. Organizacja określiła też linie demarkacyjne na ringu i wokół niego, do których mają dostęp trener, sędzia, obserwator czy uprzywilejowana część publiczności. Wszystkie te ograniczenia nie oznaczały jednak wcale, że część walk nie odbywała się nadal według najdzikszych zasad, a zwycięzcą ogłaszano nadal tego, który był w stanie o własnych siłach opuścić arenę zmagań.

Istotnym wątkiem socjologicznych rozważań Eliasa jest próba udowodnienia tezy, iż wiek XVIII był w Anglii końcem epoki przemocy. Zdaniem autora ów trend był konsekwencją rozwoju klasowego angielskiego społeczeństwa. Elias sugeruje także, iż koniec epoki przemocy i gwałtu nastąpił w chwili, gdy polityczne konflikty mogły się rozstrzygać na drodze parlamentarnych sporów. Każda niezgoda czy każdy spór pomiędzy różnymi grupami interesów mogły być jego zdaniem rozstrzygnięte bez użycia przemocy, siłą woli politycznej. Elias ma jednak wątpliwości, czy przyjmując ten obowiązek tłumienia sporów, eliminując możliwość rozstrzygania racji w szlachetnych, choć często śmiertelnych pojedynkach szlachetnie urodzonych, państwo nie czyniło obywatela bezbronnym wobec zewnętrznej przemocy i gwałtu. Stąd paradoksalnie angielscy dżentelmeni, choć nie wszyscy, uczą się w tym czasie chętniej sztuki samoobrony i atakowania innych. Nazywają to nawet *educated use of the fists*, co w dowolnym przekładzie można rozumieć jako wyrafinowaną sztukę używania pięści.

KONIEC EPOKI PRZEMOCY I GWAŁTU

Tymczasem wprowadzenie rękawic bokserskich uważa się za jeden z najważniejszych kroków w procesie cywilizowania boksu. Zalecały je dla amatorów zasady markiza Queensberry z 1865 roku, a później z niewielkimi modyfikacjami wprowadził je Committe of the Bugilists Benevolent Association w 1866 roku. Legendarny mistrz świata Amerykanin James L. Sullivan był zachwycony angielskimi nowinkami i pisał w 1880 roku:

Reguły markiza Queensberry są znakomite. W ramach tych nowych zasad można bez strachu o własne zdrowie i życie oraz bez zbędnej brutalności wykazać naszą przewagę nad przeciwnikiem. Londyńskie przepisy walk zawodowych zostawiają mniejsze pole manewru dla złośliwych łobuzów, którzy chcieliby folgować sobie, trzymając w zaciśniętej pięści kamień lub garść żywicy, aby zasypać nią oczy przeciwnika. Nie pozwalają one dźgać rywala palcem w oko, aby go oślepić, drapać pazurami, uderzać głową, kopać, aby powalić na ziemię. Pod regułami markiza zabronionych

jest tysiące innych sposobów walki, które do dziś były czymś normalnym w trakcie płatnych walk bokserów.

STAN OBECNY

Redaktor naczelny jednego z najbardziej popularnych portali bokserskich w kraju zapytany o brutalność w boksie wykrzyczał do słuchawki telefonu: *To barbarzyństwo! Okładać się przez dwanaście rund non stop. I te rękawice w dodatku... Wydłużają cały spektakl. Nie wiem, czy bardziej cywilizowane nie byłoby używanie gołych rąk, jak dawniej. Jeden cios i koniec...* Byłem zdziwiony surową oceną człowieka, który na sali treningowej, na halach i galach spędza każdą wolną chwilę. Boks uprawia, śledzi i opisuje. Pięściarze to mistrzowie kamuflażu i niech to również świadczy o ucywilizowaniu dyscypliny. Rację ma Loïc Wacquant, przypominając, że w świat bokserski trudno wejść, a jeszcze trudniej z niego wyjść. Chęć dominacji, zmierzenia się z przeciwnikiem na równych zasadach, bez zapośredniczenia przynależą do tragiczności ludzkiej kondycji. Patrzę na nich i rozumiem w całej krasie słowo „predyspozycje". Jedni rodzą się prawnikami, drudzy lekarzami. A niektórzy rodzą się do konfrontacji na ringu. Paradoksalnie boks jest mniej niebezpieczny niż wyczynowe narciarstwo. Śmiertelność wśród pięściarzy jest mniejsza niż w ekstremalnych sportach jak wspinaczka czy spadochroniarstwo. Skąd zatem kontrowersje? Odpowiedź jest kulturowa. Nazywam to odwróconą figurą św. Sebastiana. Na obrazach widzimy męczennika przebitego dziesiątkami strzał. Jego twarz zwrócona ku niebiosom jest nietknięta, uszlachetniona wiarą i cierpieniem. Natomiast 99 procent ciosów zadanych w boksie kierowanych jest na głowę. Rozcięte łuki brwiowe, spuchnięte wargi i policzki. Między rundami niezdarnie „naprawia" twarz pięściarza *cutman*... Można tylko ubolewać nad tym, że surową medyczną kontrolą i testami objęto walki bokserskie dopiero w XX wieku.

Boks pozostał archipelagiem rycerskości. Regulamin gwarantuje nie tylko równość między zawodnikami, lecz także kategorie wagowe, w czasach nam współczesnych wprowadzono uznaną przez sędziów i menedżerów regułę, że każda walka może być zatrzymana w przypadku wystąpienia pierwszych sygnałów, że człowiek w ringu stracił możliwość samoobrony. Nie wolno, w odróżnieniu od popularnego MMA, uderzać zawodnika leżącego...

BOKS POZOSTAŁ ARCHIPELAGIEM RYCERSKOŚCI

Gdy publiczność buczy na lekarza, który nie dopuszcza do dalszej walki zawodnika, zauważa André Rauch, to nie tylko domaga się sprawiedliwości silniejszego, mocniejszego; odrzuca również interwencję, którą uważa za arbitralną; odrzuca tak naprawdę głos moralności słabszego.

Oto kwintesencja boksu... **Ω**



CHODZENIE PO BRZYTWIE

GRZEGORZ PROKSA WYGRAŁ DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ POJEDYNKÓW, CZTERY PRZEGRAŁ. BYŁY MISTRZ EUROPY. PRETENDOWAŁ DO PASÓW MISTRZA ŚWIATA FEDERACJI WBO I IBO. PRZEGRAŁ Z NAJWIĘKSZYM OBECNIE PIĘŚCIARZEM BEZ WZGLĘDU NA KATEGORIĘ, KAZACHEM GIENNADIJEM GOŁOWKINEM.

PROKSA WALCZY NIETYPOWO, Z RĘKAMI POŁOŻONYMI NA TALII, W DODATKU – Z ODWRÓCONEJ POZYCJI. BAZUJE NA INSTYNKCIE, NA MILIMETROWYCH ODCHYLENIACH. TO NAJBARDZIEJ NIEBEZPIECZNY STYL, JAKI MOŻNA SOBIE WYOBRAZIĆ, PODOBNIE WALCZYLI MUHAMMAD ALI CZY NASEEM HAMED.

ZAWIESIŁ RĘKAWICE NA KOŁKU PO OSTATNIEJ PORAŻCE. MÓWI, ŻE TYMCZASOWO. JEST DYREKTOREM SPORTOWYM GKS KATOWICE. PRACUJE RÓWNIEŻ W ZARZĄDZIE DUŻEGO BANKU. MIĘDZY JEDNYM A DRUGIM ZARZĄDEM ZGODZIŁ SIĘ POROZMAWIAĆ Z „FRONDĄ LUX”.

Marcin Darmas: W powszechnej wyobraźni boks jest czymś nieludzkim, czymś, co nazywam „odwróconą sytuacją św. Sebastiana". Widzimy na obrazach zmaltretowane ciało świętego, przebite dziesiątkami strzał, jego twarz natomiast pozostaje nietknięta. W boksie jest odwrotnie – ciosy niszczą twarz, pozostawiając ciało nienaruszone. Nie bał się pan nigdy ciosów na głowę? I jak zaczęła się pana przygoda z boksem?

Grzegorz Proksa: Nigdy nie martwię się tym, jak może wyglądać moja twarz po walce. Oczywiście wychodziłem do ringu z pełną świadomością konsekwencji walki. Zakochałem się w boksie, oglądając pojedynki mistrzów wagi średniej i choć treningi rozpocząłem w wieku 15 lat, to już jako sześciolatek wiedziałem, że tego chciałbym kiedyś spróbować. A jak już spróbowałem, to nie chciałem skończyć, i tak jest chyba po dziś dzień.

Patrząc pokoleniowo, musiał pan cenić takich zawodników jak Bernard Hopkins czy Oscar de la Hoya… Mylę się? Mówi się, że w boksie – podobnie przy oglądaniu filmów – dziecko dokonuje autoprojekcji. Widzi siebie na ringu poprzez swojego idola. Jedni chcieliby mieć cios Foremana albo być technikami jak Hagler. Pan, moim zdaniem, szuka ciosów. Czego nauczył pana boks?

– Bardzo słabo znałem zarówno Hopkinsa, jak i de la Hoyę. Bardziej podziwiam Nigela Bena oraz Chrisa Eubanka i Mike'a Tysona. Rzeczywiście jako dziecko imitowałem walki bokserskie i świętowanie triumfów – podobnie jak moje dzieci, które obserwuję teraz, kiedy dorastają. Myślę, że boks nauczył mnie przede wszystkim pokory oraz dystansu do swoich słabości. Umiejętności bycia odpornym na krytykę oraz tego, by nie obawiać się wymagania od siebie rzeczy, które w czasie planowania wydają się niemożliwe lub nieosiągalne.

U tych bokserów garda zawsze była dosyć szczelna, ręce przezornie trzymali przy szczęce… Będę się upierał – pan przeciwników destabilizuje opuszczonymi rękami. Tak po rycersku, jakby mówiąc: Uderz! i tak nie uda ci się mnie trafić, ja się nie boję!… Skąd to się wzięło?

– Eubank rzadko trzymał gardę! Muszę przyznać, że te stare walki miały wpływ na ukształtowanie mojego stylu. Tak mi się wydaje. Trudno patrzeć na siebie trzeźwo, z boku. Czerpałem wiele przyjemności z treningu i nawet samych walk. Mój styl jest nastawiony na luki w obronie przeciwnika, bazowałem na błędach rywali. Oczywiście na początku bokserskiej drogi boksowałem zza gardy. Dopiero z biegiem lat i nabytych umiejętności ten styl przekształcał się do obecnego. Trzeba było uzyskać

pewność, ale też umiejętności. To takie chodzenie po brzytwie. Chwila nieuwagi i pozamiatane.

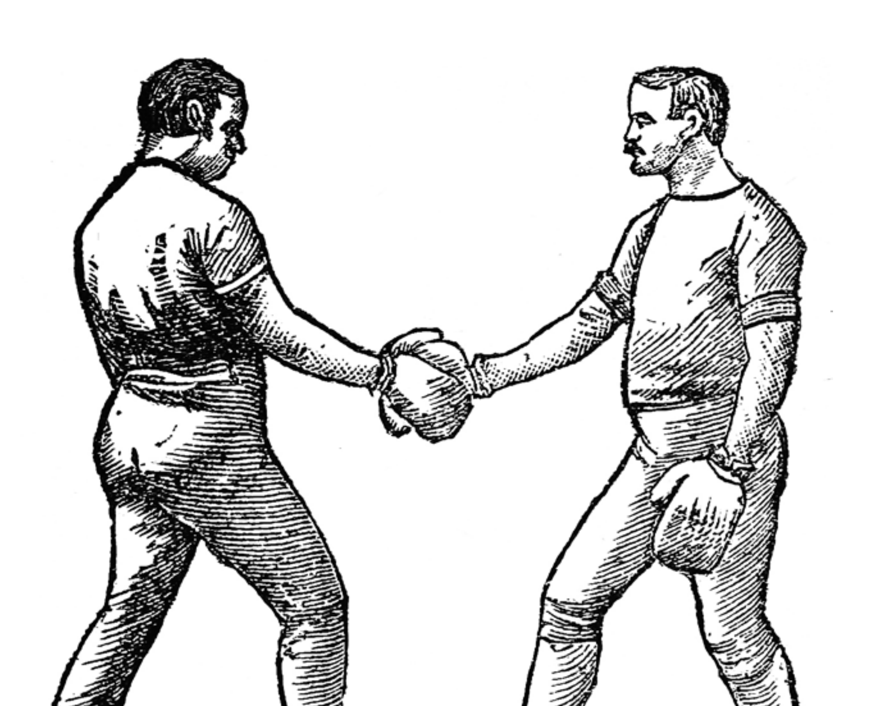
W wywiadach mówi pan o zawieszeniu kariery. Zdaje się, że doznał pan w ostatniej potyczce kontuzji. Jaki wpływ na boksera ma kontuzja, a jaki nokaut? Czy potrafiłby pan nokaut opisać?

– Trudno opisać nokaut. Do kontuzji łatwiej jest się odnieść, bo one towarzyszą sportowcowi przez całą karierę. W moim przypadku musiałbym odznaczyć walki, w których występowałem bez urazów. Rzeczywiście ostatnie pięć, może osiem pojedynków było bardzo ciężkich dla mnie z powodu kontuzji lewej ręki wielokrotnie operowanej, niestety bez efektów...

Boks jest sportem wymagającym ascezy. Jakie są największe wyrzeczenia, których pan dokonywał?

– Rozstania z rodziną są największym poświęceniem. Lata stracone podczas dorastania dzieci nikt ani nic nie zwróci. Mam teraz małego syna, który ma 15 miesięcy, jestem z nim od narodzin i widzę, ile mi uciekło. Do tego dodałbym robienie wagi. Przez całą karierę zrzuciłem ponad tonę! **Ω**

Grzegorz Proksa – bokser, były mistrz Europy.



Twardoch – anarcha

Kacper Szczukocki

Rzeczywistość, w której żyjemy czy poruszamy się, zdominowana została przez objawiającą się na każdym kroku dychotomię podziałów. Funkcjonujemy w przestrzeni, której zasadniczymi cechami są uproszczenie i negacja. Staliśmy się ubezwłasnowolnioną kohortą pretorianów, którzy bezsensownie oddają życie w imię dewiz wypisanych na sztandarach jedynie słusznych i obowiązujących armii ideologiczno-światopoglądowych. Na tym tle Twardoch, wraz ze swymi książkami, wydaje się jak filozofia Nietzschego – „nie na czasie"

Drach Szczepana Twardocha doczekał się wielu recenzji i omówień. Jednak głębia możliwości interpretacji tego dzieła w dalszym ciągu pozostaje niewyczerpana.

O treści utworu napisano już wiele. Nie jest moją rolą zajmowanie się tym kolejny raz ani nawet zastanawianie się, co autor miał na myśli, gdy kształtował fatum wiszące nad Józefem Magnorem i jego bliskimi. Zresztą sam Twardoch wielokrotnie podkreślał, że podczas pisania nigdy nie towarzyszył mu szczegółowo opracowany plan fabuły, a jego twórczość to raczej pewnego rodzaju strumień świadomości, specyficzny sposób porozumiewania się ze światem, któremu patronuje literacki daimonion.

U podłoża powieści Twardocha leży jednak coś więcej niż tylko instynktowna i ślepa chęć pisania. Dzieje się tak, nawet jeśli autor uparcie twierdzi, że jego książki przewyższają go erudycją. Zdaje sobie z tego sprawę chyba każdy, kto trzymał w ręku *Wieczny Grunwald*. Czy trzeba być wyjątkowo spostrzegawczym, aby w postaci smukłego kapitana, opisanej w jednym z rozdziałów, noszącego z dumą niebieski krzyż pod patkami kołnierza, dostrzec Ernsta Jüngera? Zresztą licznych fascynacji twórczością mędrca z Wilflingen nie sposób przeoczyć także w *Drachu*. Jedną z nich jest pomyślana jako swoiste intermezzo, dwudziestostronicowa część powieści opatrzona podtytułem *Loretto. Hohe 165*, która w sposób bardzo czytelny nawiązuje do utworów niemieckiego pisarza, takich jak *Sturm* czy głośne *W stalowych burzach*.

Co istotne, gdy doszukuję się intelektualnych inspiracji, które odcisnęły na *Drachu* największe piętno, wówczas to wcale nie Jünger, ale pisarstwo Mircei Eliadego wysuwa się na plan pierwszy. Powieść pomyślana jest jako swego rodzaju saga rodowa. Od pierwszej do ostatniej strony książka ukazuje dzieje dwóch śląskich familii, których losy za sprawą małżeństwa w pewnym momencie stapiają się w jedną historię. Tutaj właściwie wyczerpują się możliwości wszelkich (klasycznych) sposobów służących ustaleniu podstawowych dla każdej powieści współrzędnych – główni bohaterowie, czas i miejsce akcji czy wątek przewodni utworu zdają się w ogóle nie istnieć. Albo istnieje ich tak wiele, że żadnemu nie udaje się wybić ponad resztę. Dzieje się tak, ponieważ konstrukcja *Dracha* to pewnego rodzaju eksperyment formalny, w którym główne role przypadły postaci narratora oraz zastosowanej w powieści koncepcji czasu. W tych elementach najsilniej manifestują się echa teorii sformułowanych przez rumuńskiego religioznawcę.



AUTOR UPARCIE TWIERDZI, ŻE JEGO KSIĄŻKI PRZEWYŻSZAJĄ GO ERUDYCJĄ

Narrator, towarzyszący nam od pierwszych stron książki, tytułowy Drach, jest dla wielu czytelników postacią nieokreśloną i tajemniczą. Większość interpretuje go jako potwora lub władcę przedstawionego w powieści świata. Pobieżna kwerenda filologiczna pokazuje, że Drach to po prostu smok. Po niemiecku *der Drachen* znaczy właśnie tyle, jednak wyraz ten posiada bezsprzecznie szersze, indoeuropejskie korzenie. Abstrahując od tożsamości narratora, należy przede wszystkim zadać pytanie o cechy, którymi obdarzył go Twardoch.

Perspektywa, z której opowiada on o losach ludzi, pozwala stwierdzić, że potwór przebywa pod ziemią. Wydaje się, że Drach wszystko widzi,

wszystko czuje i wie. Płynie stąd wniosek, że narrator jest bóstwem chronicznym, odwieczną i niezmienną istotą telluryczną. Pomyślana w ten sposób koncepcja narracji nie jest li tylko przypadkowym, pozbawionym większego znaczenia zabiegiem literackim – inspiracje znajduje ona w opisanej przez Eliadego, podstawowej dla człowieka pierwotnego refleksji ontologicznej.

Ziemia pojawia się w niej jako kategoria religijna, wręcz magiczna, a była ona dla społeczności archaicznych jednym z najważniejszych i podstawowych przejawów hierofanii. Niezależnie od szerokości geograficznej i etnicznej proweniencji danego ludu ziemia jako siedlisko ponadludzkich mocy pozostaje wspólnym mianownikiem dla wielu przedhistorycznych systemów wierzeniowych. Stanowi ona pewne *iunctum*, element nieświadomie jednoczący wszelkie prymarne przejawy ludzkiego *sensus religiosus*. Otoczona silnym kultem, traktowana często jako żywicielka, była obok Niebios nieodzownym elementem kosmogonicznej diady. Niemal wszystkie znane nam mitologie poruszają wątek zaślubin nieba z ziemią. Eliade pisze: *Małżeństwo nieba z ziemią stanowi pierwszą hierogamię* [...] *ludzie naśladować ich będą z tą samą powagą, z jaką naśladują każdy gest wykonany u zarania dziejów*. Aby posłużyć się przykładem, wystarczy wspomnieć mityczną grecką parę Uranosa i Gai. Jak podkreśla rumuński badacz, ziemia w szerszym kontekście (jako przestrzeń podlegająca ciągłemu procesowi stawania się, wraz z całym zróżnicowaniem swej powierzchni) była także swego rodzaju *arche*, źródłem i celem wszelkiego, ożywionego i nieożywionego stworzenia. Drach w pewnym momencie stwierdza:

> *Ja zaś żyję na tak wiele różnych sposobów.* [...] *Żyję w Caroline Ebersbach, która nie żyje, umarła, jest martwa i jej nie ma, a we mnie jest, we mnie wyciekają gnijące soki jej ciała, przesiąkają powoli przez deski białej trumny, i żyje w drzewach, które są białą trumną, a kiedyś były drzewami i rosły ku słońcu, a teraz ja nimi rosnę, kiedy stają się mną. Jesteście źródłem i pokarmem wszystkiego co kiedyś się narodzi, i wszystko jest pokarmem wszystkiego. Jesteście jednym. Ze mną i ze sobą.*

Wszystko wypływa z Dracha i wszystko odnajduje w nim zmierzch swej egzystencji. Eliade stwierdza: *To, co nazywamy życiem i śmiercią, to*

Wszystko wypływa z Dracha i wszystko odnajduje w nim zmierzch swej egzystencji

tylko dwa różne momenty totalnego losu matki-ziemi: życie jest tylko wyrwaniem z jej łona, a śmierć powrotem „do siebie". Tak często występujące pragnienie, aby być pochowanym w ziemi ojczystej, jest tylko świecką formą mistycznego autochtonizmu, potrzeby powrotu do własnego domu.

Drach zdaje się potwierdzać postulat naukowca, mówiąc o jednym z bohaterów sagi: *Znam* […] *delikatną pieszczotę jego stóp, kiedy po mnie chodzi, i ciężar jego ciała, kiedy pozostanie złożone do grobu na cmentarzu w Przyszowicach*. W innym miejscu zauważa: *Widzę Josefa, jak leży głęboko pod ziemią, w trumnie już zmurszałej* […] *i czuję Josefa, jego soki, jak płyną we mnie, jak przeciekł Josef przez ubranie i stał się moim ciałem*. Z tego samego powodu chtoniczny narrator nie odczuwa żadnej dysproporcji ani pomiędzy narodzinami człowieka i sarny, ani między śmiercią człowieka i sarny. Zdychający w klatce harceński kanarek niczym nie różni się od umierającego dwadzieścia cztery lata później kajzera Wilhelma. Jednak wszystkie stworzenia mniej lub bardziej świadomie związane są z odwiecznym *arche*, a przez to i ze sobą nawzajem: *Coś ich łączy, nić, która przebiega przez mnie, we mnie, jest mną*.

Dlatego między ziemią a formami, które ona zrodziła, pozostają magiczne nici sympatii. Wszystkie Te formy tworzą jakiś system. Nici łączące […] *wysnuły się z życia, które tętni zarówno w łonie matki, jak i w jej stworzeniach*. Tak pisze Eliade. Drach to po prostu pulsująca macierz, telluryczna praprzyczyna i przeznaczenie wszelkiego istnienia. Twardoch nadał mu niemal wszystkie te atrybuty, które według słynnego religioznawcy człowiek tradycyjny przypisywał zasadzie swego bytowania – Matce Ziemi.

Zdychający w klatce harceński kanarek niczym nie różni się od umierającego dwadzieścia cztery lata później kajzera Wilhelma



Możemy zadać pytanie: dlaczego śląski pisarz zdecydował się na zastosowanie właśnie takiej perspektywy? Wydaje się, że źródeł tego stanu rzeczy doszukiwać się wolno w osobistej formacji duchowej Twardocha, a ten wielokrotnie podkreślał, że jego stosunek do miejsca, w którym przyszedł na świat i w którym mieszka, przesycony jest bardzo silnie pierwiastkiem organicznym. Poczucie niemal fizjologicznego związku z ziemią, na której żyli i pracowali jego przodkowie, pozwala mu na mówienie o niej jako o swojej rzeczywistej ojczyźnie. Pod tym względem – rzecz jasna, w pewnym sensie – ciągle pozostaje on człowiekiem pierwotnym, przedhistorycznym.

Twardoch pozostaje konsekwentnie pierwotny także w zastosowanej w powieści koncepcji czasu. Kolejne rozdziały otwierają adnotacje dotyczące lat, w których rozgrywają się poszczególne wątki sagi. Chronologia w *Drachu* jest przejawem antychronologii. Wieki i dziesięciolecia miesza-

ją się ze sobą, akcja realizowana jest w sposób skokowy, od pól Lednicy poprzez Noc Długich Noży po mokradła, będące polem bitew z okresu pierwszej wielkiej wojny. Mamy tu ewidentnie do czynienia z załamaniem się właściwej dla naszej, judeochrześcijańskiej tożsamości linearnej koncepcji historii. Nie należy jednak zapominać, że czytając ostatnią książkę Twardocha, na wszystkie wydarzenia patrzymy pierwotnymi oczami Dracha, dlatego ulegamy też jego (nie)poczuciu przemijania.

Dlaczego pisarz posłużył się koncepcją wiecznej teraźniejszości? Ten mityczny sposób przeżywania czasu znany był człowiekowi archaicznemu, który dysponował zupełnie odmienną od dzisiejszej wrażliwością w stosunku do pozostającego w ciągłym ruchu świata. Mircea Eliade w *Micie wiecznego powrotu* stwierdza: *Tak jak mistyk, jak człowiek religijny w ogóle człowiek prymitywny żyje w ciągłej teraźniejszości*. Rumuński antropolog zauważa, że dla najprostszych, pierwotnych społeczności coś takiego jak pamięć historyczna było zjawiskiem zupełnie obcym. Badacz dodaje: *Człowiek cywilizacji tradycyjnych nie przypisywał wydarzeniu historycznemu wartości samej w sobie, innymi słowy – nie uważał go za specyficzną kategorię własnego sposobu egzystencji*. W istocie jego życie polegało na ciągłym powtarzaniu gestów, które na pewnym etapie (*in illo tempore*) były przejawem hierofanii: *naśladowanie modelu archetypowego jest reaktualizacją momentu mitycznego, w którym archetyp objawiony został po raz pierwszy*.

Tylko takie czynności mają znaczenie i w gruncie rzeczy tylko one są prawdziwe. Być może właśnie w tym miejscu odnajdujemy odpowiedź na pytanie, dlaczego tytułowy Drach tak często kwituje swoje wszechwiedzące wypowiedzi słowami: *To nie ma znaczenia, ale tak jest*. Z tego punktu widzenia interesujący staje się zupełny brak jakiegokolwiek związku emocjonalnego pomiędzy Drachem a bohaterami sagi. Wydaje się, że ukazani na kartach powieści ludzie to osoby pozbawione poczucia *numinosum*, niechcące i nieumiejące dostrzec oczywistej dla ich przodków wszechobecności wiecznej zasady – Dracha. Żyją z dnia na dzień. Smagani żądzą lub nienawiścią, gwałcą i mordują się wzajemnie. Wiodą bezrefleksyjną egzystencję niczym poruszające się na dwóch nogach zwierzęta. Dla Dracha pozostają bez znaczenia, podobnie jak wszystkie przejawy ich zewnątrzświatowej aktywności.

PRZESYCONY JEST BARDZO SILNIE PIERWIASTKIEM ORGANICZNYM

Na tak zarysowanym tle szczególnie interesująco przedstawia się postać starego Józefa Pindura, lokalnego dziwaka i mędrca. Jego mądrość

to *mądrość szamana, mądrość matki i myśliwego, mądrość człowieka, który walczy z drugim człowiekiem albo z dzikim zwierzęciem i dzięki mądrości wygrywa walkę, mądrość niemowlęcia, które zaciska piąstki i ustami łapczywie szuka piersi matczynej*. Podczas rozmów z młodym jeszcze Josefem Magnorem wykłada mu własną, nieco tajemniczą ewangelię, którą, jak pisze Twardoch, zapewne zabierze ze sobą do grobu: *Takie jest to nasze żywobyci na tyj ziymie, bajtel. Sornik, strom, ty, jo, to samo*.

Starzec jest depozytariuszem wielopokoleniowej wiedzy, która swą tradycją poprzedza nawet wyznawców Chrystusa. Postać Pindura symbolizuje zapewne ostatniego człowieka. Epigonicznego powiernika Objawienia Pierwotnego (*la Tradition Primodiale)*, który intuicyjnie rozumie odwieczne prawidła otaczającego go świata, instynktownie wyczuwa obecność Dracha. Ale dla żyjących dookoła jest tylko dziwakiem, do tego upośledzonym, który kresu swoich dni doczeka w zakładzie dla obłąkanych. Postać lokalnego mędrca, wioskowego filozofa, to w istocie jedyna osoba, która przynależy jeszcze do świata starych, archaicznych form. W dodatku to chyba jedyny bohater powieści, który naprawdę w szczęściu dokonał swego „istnego światowania".

Spoglądając na Twardocha i jego pisarstwo, dochodzę do wniosku, że stanowią ono niedzisiejszy fenomen. Głównymi jego cechami są nieustanne wymykanie się i swoista zewnątrz światowość. Rzeczywistość, w której żyjemy czy poruszamy się, zdominowana została przez objawiającą się na każdym kroku dychotomię podziałów. Funkcjonujemy w przestrzeni, której zasadniczymi cechami są uproszczenie i negacja. Staliśmy się ubezwłasnowolnioną kohortą pretorianów, którzy bezsensownie oddają życie w imię dewiz wypisanych na sztandarach jedynie słusznych i obowiązujących armii ideologiczno-światopoglądowych. Na tym tle Twardoch, wraz ze swymi książkami, wydaje się jak filozofia Nietzschego – „nie na czasie". Ucieka od kategoryzacji, nie daje się zaszufladkować i pokazuje, że można inaczej. Nie jest ani prawy, ani lewy. W ślad za swoim mistrzem z Wilflingen wybrał drogę landsknechta – anarchy.



Pisarz z Pilchowic eksploruje bezdroża. Z uporem podkreśla, że warto być sobą, że warto poszukiwać siebie. Każda powieść Twardocha jest próbą samodzielnego definiowania się na nowo. Poprzez swe inspiracje ucieka z nudnego, mieszczańskiego świata, w którym wszystko i wszystkich mierzy się podłym łokciem kramarza, a życie – z czym Jünger nie potrafił się pogodzić – staje się czymś zwyczajnym. Ω

Krzysztof Bielecki

Twardoch się wymyka

Sztuka wymyka się życiu. Słowa Twardocha wymykają się Twardochowi. Mogą się wymykać także czytającemu. Wymykanie to najdoskonalsza forma ucieczki. To ucieczka, która sama sobie się dziwi. Nie jest ewidentna. Dźwiga znak zapytania. W podenerwowaniu zostawia ślady: przecinki i kropki. Nie myśli o myślniku

WIELKIE ŻARCIE

Skóra kobiety. Skóra śmierci. Skóra ziemi. Materia życia jest u Twardocha żywiołem. A żywioł jest koniecznością. Bez niej Twardocha by nie było. Ani w 1979 roku, ani w żadnym innym.

Filozofia Twardocha jest okrutna. Utaplana w ziemi. W przypadku. W chaosie. Łatwo powiedzieć, że jest niczym. Że to żadna filozofia wyższej miary. Że naturaliści byli mądrzejsi. Tylko że nie o mądrość tu chodzi. Ale o natchnienie. Wenę, trans – pal diabli, jak to nazwiemy. Potężne natchnienie. I Twardocha pisanie w natchnieniu, i Twardocha czytanie w natchnieniu. Niosą Twardocha żywe zdania z przeklętą kropką. I niosą czytającego.

Tok myśli, splot iluś okoliczności – niosą opowieść donikąd. Za to z żelazną konsekwencją. Bo o to Twardochowi chodzi. Konsekwentnie pokazywać brak celu. Brak celu jest celem. I – gdy wejść w mięso jego prozy – błyskawicznie

BRAK CELU JEST CELEM

ilustracja: K. Karnkowski



porzucamy złudzenia. Logika, spójny obraz, znaczenie, przyczyna, skutek – przecież tego w życiu nie ma. Na innym polu, na polu minowym, rozgrywa się pisanie Twardocha.

To czysta sztuka. Która w synchronicznym biegu – jak dziewczyna Nikodema, jedna z wielu bohaterek *Dracha* – wymyka się. Sztuka wymyka się życiu. Słowa Twardocha wymykają się Twardochowi. Mogą się wymykać także czytającemu. Wymykanie to najdoskonalsza forma ucieczki. To ucieczka, która sama sobie się dziwi. Nie jest ewidentna. Dźwiga znak zapytania. W podenerwowaniu zostawia ślady: przecinki i kropki. Nie myśli o myślniku.

Dzianie się – to się liczy. Tak jest ze zdarzeniami i tak jest z ludźmi. Czytamy w *Drachu*:

> *Caroline nie jest mądra, ale jest czystym dzianiem się. Jest, jak jest. Robi, co robi. Widzi, co widzi. W tym okazuje się trochę podobna do mnie*.

A napiszmy tak:

> *Wojna nie jest mądra, ale jest czystym dzianiem się. Jest, jak jest. Robi, co robi. Widzi, co widzi. W tym okazuje się trochę podobna do mnie*.

Albo tak:

> *Ziemia nie jest mądra, ale jest czystym dzianiem się. Jest, jak jest. Robi, co robi. Widzi, co widzi. W tym okazuje się trochę podobna do mnie*.

I jeszcze inaczej:

> *Sarna nie jest mądra, ale jest czystym dzianiem się. Jest, jak jest. Robi, co robi. Widzi, co widzi. W tym okazuje się trochę podobna do mnie*.

I obrazoburczo:

> *Twardoch nie jest mądry, ale jest czystym dzianiem się. Jest, jak jest. Robi, co robi. Widzi, co widzi. W tym okazuje się trochę podobny do mnie*.

Mądrość, jak wszystko inne, jest przypadkiem. Twardoch, ulegając przypadkowi, oddaje się książce. Książka go prowadzi. Jak kobiety prowadzą Kosteczka, bohatera *Morfiny*. Mądrość książek Twardocha przekracza Twardocha. Jakże zadziwieni bywają krytycy? Pytają Twardocha, kim jest narratorka w *Morfinie*, a autor odpowiada, że nie wie. Poza? Wpadł na taki pomysł, by oglądać bohatera z kilku stron naraz, i tak napisał. Że wyszło mądrzej, niż zamierzał – chwała książce. A badacze literatury już chcieli budować szlachetne konstrukcje: że to Mojra; że Jungowska anima; że Eliotowski „ten trzeci" z *Ziemi jałowej* (o czym Twardoch gdzieś napomknął). I tak zręcznie by się to złożyło w jeden obraz Szczepana Twardocha. Wszystko na nic! Bo Twardoch się wymyka. *Czegoś nie wiecie?* – autor rozkłada ręce. – *Pytajcie moich bohaterów*.

Książka sięga dalej niż jej autor. Jego powieści widzą więcej niż on sam. Wyraźnie napisały się same. Udanie wymknęły się autorowi.

Nie jesteśmy mądrzy. Nie w mądrości sens życia. Jakby mądrość przeszkadzała. Zresztą czy ona istnieje? „Istne światowanie" bohatera *Wiecznego Grunwaldu*, przenoszącego się w czasie od XIV wieku do XXI, w tę i z powrotem, zdaje się temu zaprzeczać. W licznych wywiadach Twardoch uśmiecha się niewinnie i przyznaje do ograniczeń. Czytający nie mogą się nadziwić: jak to? Autor nie wie, co napisał?

I to mi się podoba. Tajemnica pisania polega na wynaturzeniu. Na obcowaniu z ciałem obcym. Na wojnie. *Nienawidzę pisać* – wyznaje w jakiejś rozmowie Twardoch. I to nie musi być kokieteria. Zwłaszcza jeśli ponure powieści epatują bólem, cierpieniem. Tymczasem w półdzienniku *Wieloryby i ćmy*, utworze unikającym kreacji, odnajdujemy co najwyżej półpotwornego Twardocha. Twardoch Jekyll i Twardoch Hyde spotkają się tu ledwie kilka razy. *Skończyłem pisać* – opowiada – *„Wieczny Grunwald" i nagle zdałem sobie sprawę, że nigdy żadna książka nie kosztowała mnie tak wiele, jakbym się wyżął na kartki*. Oto skończyła się wielka bitwa Twardocha z Twardochem. Jakżeby mogło być inaczej, skoro się pisze w *Wiecznym Grunwaldzie* na przykład: *O, jakże piękną rzeczą jest wojna! Jak dobrze, kiedy jest więcej cierpienia niż tylko moje własne, jak dobrze.*

Twardoch uśmiecha się niewinnie i przyznaje do ograniczeń

Morfina i *Drach* to kolejne bitwy. I znów Twardoch ustępuje. Książki żyją mocniej od niego. Znaczą ślady krwią, gównem, bło-

tem. Szaleństwem. Za którym Twardoch tylko podąża. Jakby świat go upokarzał. I jeśli jeszcze choćby Gombrowicz szukał w zmaganiach ze światem własnej wyższości, tak Twardoch rezygnuje. Wystawiając swych bohaterów wciąż na nowe pojedynki, w których ponoszą klęskę. Jeśli ocaleją, to tylko w wymiarze zwierzęcym; tylko przez przypadek. Wrócą z wojny pierwszej czy drugiej okaleczeni i poniżeni. Twardoch bawi się ich losem wyrafinowanie, uśmiercając ich często kilka lat potem z powodu błahego, „cywilizowanego". Czyniąc to na przekór dominancie: filozofującej fizjologii. Krwi, gówna, błota. Bo z jednej ziemi się wyrasta i do jednej ziemi się wraca. I ostatecznie ginie. A najprawdziwiej ginie się we krwi, w gównie, w błocie. W pragnieniu krwi, gówna, błota. W szaleństwie. W skłanianiu się ku całej podłości świata, życia i śmierci. I ginie się sprawiedliwie – w jednej płaszczyźnie, jednym poziomie, jednej skórze dorastającej dziewczyny. I jednej skórze świata, który do niczego nie dorasta. Który się wymyka. W *Wiecznym Grunwaldzie* główny bohater Paszko wypadnie z czasu i zginie wiele razy w walce – jak czytamy – *nie z nienawiści do Polaków albo Niemców, a z nienawiści do prawdziwych ludzi, walczących po obu stronach, i z nienawiści do samego siebie. Wszedłem tam po to, aby zginąć z ich ręki i pomiędzy nimi lec, przynajmniej w śmierci im równy*. Uniwersalizm przeraża i pożera.

ZZA KOŃCA CZŁOWIEKA

Twardoch, żyjąc w cieniu śmierci, nie daje światu i sobie szansy. Niewiara w ład jest wszechmocna. Powiedziałbym: pozakategoryczna. I bawiąc się słowem, przekornie bym zapytał autora: poza kategoryczna? Kategoryczna poza? Pozakategoryczne konstrukcje świata, „wymknięte", sytuujące ludzi obok kategorii dobra i zła, obok światła i mroku, są podtrzymywane przez Twardocha za wszelką cenę. Jak *Wieczny Grunwald* nosi podtytuł *Powieść zza końca czasów*, tak sam autor mógłby, z przymrużeniem oka lub bez, opowiadać o sobie, że podgląda świat zza wszelkiego końca. Także zza końca człowieka. Dodając przy tym, że do innego spojrzenia nie jest zdolny. Bo tkwi w przekonaniu o potędze nieistnienia i strachu przed nim. Bo potrafi powiedzieć (jak w *Wielorybach*...), że *trzeba dużo, często myśleć o śmierci, w zasadzie być może o śmierci należy myśleć bez przerwy, i to nie jakoś tam abstrakcyjnie;*

Książkom Twardocha jest ze śmiercią dobrze

sądzę, że pożytecznym ćwiczeniem dla ducha jest nieustanne wizualizowanie sobie śmierci własnej i śmierci bliskich, wszystkich bliskich, próba odnalezienia w sobie obojętności, obojętności sycącej się obfitością fenomenów i subtelną złożonością życia, lecz nieprzywiązującej się do niczego.

Gdy przypomnimy słowa, które padły w jakimś wywiadzie: *łatwiej jest żyć ze świadomością, że życie nie ma sensu*, wtedy Weltschmerz Twardocha, ten chłód i kalkulację (przez które przetaczają się burze) zrozumiemy lepiej. I posądzanie pisarza o przyjmowanie kategorycznych póz przestanie być zabawne.

Książkom Twardocha jest ze śmiercią dobrze. *Ludzie powinni raczej umierać, niż się rodzić* – mówi *Morfina – narodziny są niegodne, niskie, tak domagać się istnienia przez pojawienie się na świecie. Śmierć jest czynnością zarozumiałą, ale dumną, obracając się ku nieistnieniu, wybieramy to, co godniejsze, bo w istnieniu, w życiu jest coś immanentnie wstydliwego, istnieć to jak głośno puszczać wiatry przy kolacji, być jest żałośnie, być jest śmiesznie, być jest niedobrze. Nie być – to wyrafinowanie. Niebyt jest elegancki. Wstydzę się tego, że ciąży na mnie odpowiedzialność za gafę bycia mną, za nietakt narodzin, za niezgrabność tego, że ciągle żyję, zamiast się zastrzelić samemu albo dać się zastrzelić Niemcom i przez śmierć stać się człowiekiem eleganckim*. To rzadkie słowa. Tak przemyślnie o śmierci u Twardocha się nie opowiada. Ona nie jest żadnym rytuałem. Owszem, może i chciałaby być. Ale jeśli chce, to wypada tym bardziej żałośnie. Jak śmierć świni otwierająca *Dracha*. Śmierć nie jest świętem. Jest byle czym; czymś równym byle jakiemu życiu. Śmierć się nie wywyższa. Chciałoby się zabrnąć i w te rejony: śmierć cierpliwa jest, łaskawa jest. Śmierć nie zazdrości, nie szuka poklasku, nie unosi się pychą, nie jest bezwstydna, nie szuka swego.

Jak by powiedział Drach – drzewo, sarna, ziemia, Juliusz Cezar, piszący i czytający: wszyscy to samo. Wszyscy bez znaczenia. Dla zasady: dla śmierci. Nie balansującej na linie, ale idącej prosto; nie bawiącej się w niedopowiedzenia, ale stawiającej kropkę. Kropka jest twarda.

JEST SIĘ

Pokrewieństwo miejsca, pokrewieństwo lęku mnoży się, ale nie tworzy sumy. *Drach*, z konsekwencją muzycznej wariacji, co i raz przypomina: *Sarny są takie same, są jednym. Człowiek, drzewo, sarna, kamień,*

ja. Wszystko to samo. Nikodem, Stanisław i Natalia Gemanderowie, Ernst i Gela Magnorowie, Josef i Valeska Magnorowie żyją w tym samym miejscu i w tym samym czasie, chociaż w różnych, nakładających się na siebie latach, tak samo jak sarny. Śląski etos nie daje rady. Mocny u źródeł, wypełniony znojem, chwieje się, gdy ludzie zjeżdżają do kopalni raz dla Hitlera, raz dla Bieruta. A węgiel i ręce człowieka przecież te same.

Śląsk u Twardocha ma wiele do gadania. Ale co do powiedzenia? Twardoch stawia granice. Ani z niego Korfanty, ani Kutz. Śląsk jest wątłą krainą, która – powtarzajmy – wymyka się Twardochowi jak dziewczyna Nikodemowi. Twardoch nawet nie pomyślał, żeby malować jakiś fresk. Odnalazł kawałek swego Macondo, umazał we krwi i uszlachetnił kośćmi przodków. Opisał kawałek brudu świata, który dzieje się między kilkunastoma ulicami, w widłach kilku miast. Gdyby to było parę wiosek w Andach lub w północnej Norwegii, też dałoby się to wytłumaczyć. Bo wszystkie miejsca mówią to samo.

Podobnie jak języki. Śląski (jak w *Drachu*), staropolski (jak w *Wiecznym Grunwaldzie*), a zawsze polski i niemiecki. Mieszają się jak błoto, krew, gówno, kości. Plują, rzygają, są. Są fizjologicznie. Jak oddychanie czy jedzenie. Są jestestwem – i tegoż jestestwa odkłamaniem, raną, krwią.

Nie język, ale jego mieszanina staje się uniwersum. Dziką, pierwotną, często bękarcią sytuacją, w której się jest. Potęga Twardochowej mowy staje się dowodem jego istnienia. Formą tożsamości, która np. w *Morfinie* stawia mu dalece większy i ważniejszy opór niż Polacy Niemcom we wrześniu 1939 roku. Zresztą ta wojna, z Konstantym Willemannem w roli głównej, jest oczywistym sztafażem. Owszem, wywołującym frustrację, bo czasem dobitnie papierowym (z tą bezkarnością pięknych samochodów i Budapesztów), ale wybaczalnym. Bo książki Twardocha wiodą Twardocha na pokuszenie. Wystawiają go na nieświęte próby, spierając się z nim o tożsamość. Twardoch bywa w tych bojach wszystkim. Ale też bywa w tych bojach nikim.

ŚLĄSKI ETOS NIE DAJE RADY

To ta, dla wielu niewiarygodna, niepoznana sfera pisarskich cierpień. Opowiadane historie mają objaśniać Twardocha. Pisanego istnieniowca. I to jest clou Twardochowej sprawy. Pisze, by żyć. Jak mawia Orbitowski (którego wspomina Twardoch w *Wielorybach*… wielokrotnie): *gdybym nie pisał, byłbym nikim*. Tak myśli większość

piszących. Pisanie nie jest pracą; jest ratunkiem. Ósmym sakramentem. Bliskim kapłaństwu, nie małżeństwu. Gdzie wszystko oddajesz i niczego nie wyglądasz. I tkwisz samotny.

Z powodzeniem mógłby Twardoch swe książki opatrywać jednozdaniowym prologiem: a teraz powiem coś o sobie. Jeśli bohater *Morfiny* raz mówi po polsku, a raz po niemiecku, z Salą tak, a z Helą inaczej, to dlatego, że coś mu się wymyka. Jakby mu się wymykał miecz obosieczny. To coś, zwane istnieniem, jest nienaprawialne. Żaden drach, duch, potwór, bóg ciemności tego nie zmienią. Wymyśleni przez autora mają tłumaczyć dzieje, wobec których i tak są bezradni. Książki przerastają autora. To tak, jakby ten wchodził do wanny, a woda wylewała się na zewnątrz. I nie zostawała po pięciu minutach nawet kropla. Cud! Tak, pisanie jest cudem. Cudem przerastania cudotwórcy.

Człowiek „przerośnięty" jest bezbronny. Dzieje go wiecznie masakrują. Jakby malował *Guernicę* à la Picasso. Zdarnym czy niezdarnym pędzlem. Nie umie się uporać. Iloma językami by nie mówił, jakim arystokratą czy lekkoduchem by nie był, ile kobiet by nie miał – i tak, zatopiony w wielości i wszechobecności, „pocięty", ponosi klęskę. Ilu bohaterów Twardoch by stworzył, ile masek by im nałożył – i tak na ostatek zostaje sam. I więcej: ile książek Twardoch by stworzył, ile masek by sobie nałożył – i tak na ostatek zostaje sam. Kiedykolwiek i gdziekolwiek by żył i niezależnie, jaka krew by w nim płynęła.

Pisanie nie jest pracą; jest ratunkiem

Twardochowi ludzie, ze swoimi skórami, z językami i pogańską dzikością w sercach, zawsze są skądś. Skądś przyszli, zdarzyło im się spotkać i wkrótce wrócą tam, skąd przyszli. Jest w tym coś zawsze urwanego i straceńczego; nie ma niczego, co złudną pełnią syciło dziewiętnastowieczny świat. Między tymi ludźmi, choćby w bezwzględnym stuleciu między 1914 a 2014 (jak w *Drachu*), dzieje się to samo, co zawsze. Co zawsze się zdarza – między wszelkimi datami. Które są przygodne i nic nie znaczą.

Tym samym polem minowym są umowne daty, ciągi cyfr (jak znaczone w *Drachu* rozdziały) i nieumowna krew. Wszystko ginie i wszystko jest bez znaczenia. I to dotknięte cywilizacją, i to niedotknięte. Spór kamienia z czołgiem jest wieczny. W pewnej rozmowie ze studentami obruszył się Twardoch na dyskutantów, którzy

zapewniali, że człowiek po wynalezieniu druku stał się inny, zaczął się porozumiewać, ubogacać – i tym podobne akademickie dyrdymały. Na to Twardoch: a ten człowiek sprzed druku i książki, i czytania to kim był?

MĘŻCZYZNA FATALNY

Nieszczęsne, naznaczone wszystkoizmem i nicością zarazem Twardocha uniwersum, zza końca Pilchowic, zza końca Śląska, zza końca Polski, zza końca Niemiec, jest wszak jego dobrem. I trwa w kalekim fatalizmie. Wyszukane i dystyngowane by śmieszyło. Skłócone ze światem opierałoby się samemu Twardochowi. Nie dawałoby mu się opisać. Drażni więc w *Drachu* wątek Nikodema: zbyt gładki, apartamentowy, serialowy, ogrodzony. Ten wątek jest odstępstwem. Nie ma w nim unurzania.

Często rozczłonkowana ziemia, na której nie ma nieba; tylko drzewa, trawy, doły, zagłębienia, nory – to dobro. I często rozczłonkowane ciało; jego tkanki, mięśnie, dziury – dobro podobne. Jak nie ma patrzącego na ziemię nieba, tak nie ma oczu patrzących na siebie. Owszem Twardoch wspomina o nich. Jego bohaterowie bywają zajęci patrzeniem. Ale z tego nie wynika nic ponadto. Nic ponad osobliwą opresję. Mężczyźni są straceni. Kobiety są stracone. Czasem się nawet kochają, ale nie rozmawiają. I odwrotnie: rozmawiają, ale się nie kochają. Żyją z tajemniczą skazą; wypłukaniem; rezygnacją. Samotni sami i samotni razem. Osobni. Obcy. Z tachometrami zamiast serc – z ograniczeniem przejazdu przez życie. Także z ograniczeniem dziejącym się obok. Cynicznie obiektywnym. Jak cynicznie obiektywny jest *Drach* – kiedy opisując miłość Josefa do Caroline, zaznacza, że niewykształcony umysł Josefa nigdy nie zdoła pojąć, że to, co czuje ciało Josefa do ciała Caroline, jest miłością. Drach, smok, Twardoch to wiedzą – Josef nie.

BĘDZIE WIECZNA NIEDOSKONAŁOŚĆ

Nie będzie tłumaczącego całość życia obrazu. Będzie wieczna niedoskonałość. Będzie fragment. Będzie coś uciętego. Będą ostre kąty. Będzie asymetryczna siła dźwigająca życie. Nie będzie geometrii i harmonii. Nie ma na nią miejsca.

I będzie mnóstwo narzędzi tnących ciało i życie człowieka. „Zauroczony" nimi Twardoch „z przyjemnością" w każdej z książek

je wymienia. W *Wiecznym Grunwaldzie* jest wszystko, począwszy od kordzików, mieczy, toporów, a skończywszy na czołgach i karabinach. Twardoch nurza się w tych nagromadzeniach, które są niby przeciw człowiekowi, ale i w jego obronie zarazem. Żeby żyć, trzeba zabić. Zabijanie jest aprioryczne. To Genesis.

Jak rozczłonkowane pistolety i karabiny potrafią lśnić naoliwione, tak cała maszyneria świata, natłuszczona jakąś tajemnicą, zlewa się z życiem w śmierci. I tworzy jedno z ziemią. I grzęźnie.

Ta grząskość, gęstwa, mierzwa, niskość i prawda mają nieodgadnioną siłę. Twardoch ulega jej intensywnemu czarowi. I się paskudzi. Nawet chętnie. Bo tylko tu, na dnie, między złem a złem, pozwoli się nieść galopującym myślom i słowom. Językowi nie tylko giętkiemu, ale i pogiętemu. Idącemu „po łuku", nie wprost. Wciąż skomasowanemu, natrętnemu, nigdy dumnemu. Zapaskudzona proza jest katharsis. Czysta – myśli zapewne Twardoch – nie byłaby moja. Jeśli jej z siebie nie wypluję – to mnie nie będzie. Nie, oczywiście, będę, ale nie taki, jakbym chciał. A ja, Twardoch, z Twardochem niewyplutym się nie zgadzam. Ja, Twardoch niepohamowany, jestem Twardochem niepokonanym. Na innego Twardocha nie przystaję. Innemu Twardochowi się wymknę.

I jeśli nie siebie, to przynajmniej syna będę – jak w *Wielorybach i ćmach* – próbował oszczędzić:

> *Wstaje w środku nocy.*
> *– Co się stało?*
> *– Boję się.*
> *Tulę, ale wyślizguje się z moich uścisków.*
> *– Bo ja się boję tak nieumiejętnie – tłumaczy.*
> *Siadamy pod ścianą.*
> *– Co to znaczy: bać się nieumiejętnie? – pytam.*
> *– No bo można bać się umiejętnie i nieumiejętnie. Umiejętnie jest bać się czegoś. Potworów, ciemności albo złych ludzi, albo zwierząt drapieżnych.*
> *– A nieumiejętnie?*
> *– Nieumiejętnie jest bać się niczego. Tak po prostu się tylko bać.*
> *– I ty się tak boisz niczego? Tak po prostu?*
> *– No. Tak po prostu.*

Milczymy.

– Ja też się czasem boję tak nieumiejętnie – mówię po chwili.

– Przecież wiem, tata.

I to *Przecież wiem, tata* jest najokrutniejsze. Pokrewieństwo wpisane w melancholię dziejów. Więź krwi potwierdzona wspólnotą lęku. Lęk, umiejętny i nieumiejętny, zaczyna żyć życiem obok. Obok książek Twardocha. Wspominany w *Wielorybach*... Orbitowski szuka w literaturze – jak się gdzieś wypowiada – subtelności. W tym upatruje szansy. Tymczasem Twardoch nie ma złudzeń.

Nie przepadam za Twardochową apoteozą zła. Cokolwiek nie wierzę w jego nadmiar. Kosmiczne wręcz skupianie zła w jakichś smokach, drachach, potworach – na fantastyczną modłę, tą konwencją gaszone – może nie przekonywać. Wolę cienie, smugi na ścianie, zachwiania, rozdwojenia, rozstrojenia. *Morfina* nie dostaje takiej możliwości. Trudno jej uwierzyć. Nic nie dzieje się na ścianach. Nic się nie snuje. A przecież by mogło. Gdy ktoś, coś postępuje za Konstantym, Kostkiem, Kosteczkiem. A on sam, a z nim Twardoch, lokują się w czasach teraźniejszym i przeszłym naraz, w osobie pierwszej, drugiej i trzeciej – by znaleźć właściwą perspektywę. I spojrzeć na siebie bez „nieumiejętnego lęku". Co się nie udaje – bo patrzą na siebie z przerażeniem. Wciąż się nie poznając. Wciąż czyniąc zło, które nie jest ich złem.

Bohater *Morfiny*, człowiek Twardocha, wciąż jest nie u siebie; nie ze sobą. Szuka spojrzenia – jak szukają spojrzenia głodne kamery Idziaka w *Helikopterze w ogniu* albo syte i zmienne kamery *Wesela* czy *Drogówki* Smarzowskiego. Twardoch jest w ogniu. Twardoch jest brawurowy. Twardoch jest nadmierny. Może aż Tarantinowski? Dobrze mu z tym tempem, choć cierpi. Dobrze mu z tym szaleństwem, choć cierpi. Ale w „nieumiejętnym lęku" pisać inaczej nie może. Chce być sobie wierny. Nie dość, że on nie z tych siadających do biurka o 8.00, a podnoszących się znad niego o 16.00, to jeszcze waży w sobie niewidzialną siłę, która sama się pisze. Która przyszła do niego w *Wiecznym Grunwaldzie* i napisała mu książkę. Tę i kolejne. Co nie jest trudne.

DOBRA MARYNARKA MUSI MIEĆ PODSZEWKĘ

Stał się więc Szczepan Twardoch pisarzem, jak to lubię nazywać, częstym. Publikującym co dwa lata. Związanym z szacownym

wydawnictwem. Niezagryzającym paznokci. Pewnie stawiającym kroki. A jednak czymś przeżartym. Tym eksplozywnym niepokojem chociażby. I tą niezgodą. Niby Witkacowską perwersją widzenia świata i kobiet, lecz zarazem chybocącego się w trochę innej łodzi. I przy tym zakłopotanego. Chłopięco kopiącego dół. Bez pewności, czy na dnie znajdzie cokolwiek. Dokąd więc zawiodą Twardocha jego przyszłe książki?

Bo przerost śmierci i narzędzi zbrodni musi się przynajmniej zająknąć. Jeśli nie uspokoić. Nie, nie, Twardoch nie będzie szukał Iwaszkiewiczowskich tonacji, nie o takie pisarstwo chodzi. Chodzi raczej o to, co ma się ostać. Bo człowiek nie może być niezmiennie zabójcą i ofiarą. Nie może wciąż ginąć, a rzadko umierać. I w *Drachu*, który cenię najwyżej, w tym splocie słonecznym miejsca, czasu i losu; w tych życiach i śmierciach biegnących w nieskończoność; w tych zapadłych iluś naraz kronikach zapowiedzianych śmierci, Twardoch zaczyna dostrzegać – wyobrażam sobie – pułapkę. I co? Wszyscy umarli. I co z tego? W splocie słonecznym, tym czułym miejscu człowieka, tym czułym miejscu świata, nie ma słońca? Tylko mrok, błoto, krew, gówno i klęska?

Będzie Twardoch szukał w kolejnych książkach tego napięcia. Tych sprzężeń. Tego piękna w śmierci. Wiedząc, że dobra marynarka musi mieć podszewkę. Że podszycie człowieka i podszycie świata, ciche i liche, jest ważne. Że nie samą materią się żyje. Ale też ćmieniem.

Więc obok tych wszystkich wielorybów, od których pękają książki Twardocha, są też ćmy. Obok huku – skomlenie. Obok pomieszania języków i zgiełku – kawałek dnia, zrąb ściany, fragment kobiety.

Czekam na książkę Twardocha o miłości. **Ω**





Polskę mam w dupie

Adrian Sinkowski

Ot, proste pytanie na początek: człowiek rodzi się Polakiem, a może Polakiem dopiero się staje? Endek, teść głównego bohatera *Morfiny*, stwierdza, że *naród to wspólnota kultury, historii i ziemi, nie krwi*. Mimo to sprawa nie jest tak oczywista, zwłaszcza jeśli w żyłach Konstantego Wiellemanna pół krwi jest niemieckie, a pół polskie. Jedna z postaci działających w podziemiu zwraca się do niego: *pan nie musiał być Polakiem, a jednak pan nim został*. No właśnie, Wiellemann urodził się Polakiem, Polaka udawał czy zdecydował, że nim będzie?

Amos Oz, znany pisarz i uczestnik wojen między Izraelem a światem arabskim, stwierdził kiedyś, że wojna go rozczarowała. Gdy widział armię i czołgi, czegoś mu brakowało i dopiero po powrocie do domu doszedł do wniosku, że brakowało mu muzyki. Pisarz znał wojnę z ekranu, dlatego gotów był przysiąc, że działania zbrojne czy okupacja, na filmie podawane z wyciskającą łzy ścieżką dźwiękową, to sytuacje dalekie od codzienności, a dodatkowo – wypełnione eterycznym uniesieniem, a nawet dotykaniem spraw ostatecznych.

Niewątpliwie życie w okupowanym mieście toczy się inaczej, ale jednak – podobnie. Ludzie chodzą do ustępu, upijają się i kopulują, jedzą i zasypiają. Twardoch wydaje się stać po stronie tego, co niezmienne, błahe i codzienne. Wojna na ulicach Warszawy skończyła się po miesiącu, widać jej skutki, a Twardoch materii dla książki szuka w życiu, które toczy się dalej. Mimo okupacji. Czasem wbrew okupacji. Sam Wiellemann rozkłada ręce: *Gdzie wojna, jaka wojna?*

Inna sprawa, że Twardoch lubi drogę od skrajności do skrajności. O ile bowiem obraz okupowanego miasta i życia, które się w nim toczy, wydaje się daleki od patosu, a opisy pozostają rzeczowe i skrupulatne, to jednak plagi, które Twardoch zsyła na bohaterów *Morfiny*, bywają nie do zniesienia. Jeśli ginie cywil, to ginie tak, że rozrywa go na kawałki, a w pobliżu odsłoniętego krocza siedzi dziecko – nagie, przerażone, niemające sił, aby wydusić z ust trochę krzyku. Jeśli w lesie kobieta jest gwałcona, to od razu przez hordę dzikich rzezimieszków, którzy ją potem zabijają. Jeśli w zaciszu mieszkania Wiellemann znęca się nad człowiekiem, z którego musi wydobyć informacje, wyciąga mu nożem oko, a potem tłucze go po twarzy.

Baldur von Strachwitz, ojciec Wiellemanna, ma tutaj miejsce szczególne. Jako szesnastolatek wdaje się w romans ze starszą od siebie kobietą, z którego rodzi się Konstanty. Na siebie i rodzinę ściąga hańbę. Na wojnie, w wyniku wybuchu pocisku wystrzelonego bez celu, traci pół twarzy. W szpitalu polowym amputują mu członek, a gdzieś po drodze jedzie na Wschód, aby od buddyjskich mnichów na nowo uczyć się sensu życia. Jest to w ogóle realne? Owszem, jest. Można być niemal pewnym, że Twardoch tych historii nie wymyślił, lecz znalazł je w listach, archiwach, depeszach, które być może studiował. Aby jednak ze wszystkiego – a nie są to sytuacje typowe nawet w czasie wojen – uczynić nieszczęście jednego człowieka, wrzucić je na kark von Strachwitza, pruskiego junkra o dobrym sercu, to trochę zbyt wiele.

Warszawa jest dla Twardocha spoliczkowaną kobietą. Spoliczkowaną i leżącą bezwładnie na podłodze. Zgwałconą przez okupanta. Warszawa i Polska, podobnie jak dziwka Salome, wzbudzają w Konstantym obrzydzenie, od którego nie tylko trudno jest się mu uwolnić, lecz które podnieca go i stale ku sobie przyciąga. Sprzeczności rosną w Konstantym jak nasienie, które zostawiają po sobie gwałciciele, a tych na kartach powieści nie brakuje. Albo jak morfina wpuszczana w żyłę – odurzająca, powoli wpędzająca w obłęd.

Uwagę przyciąga fakt, że Polska w roli kobiety jest u Twardocha miękka, uległa, gwałcona, będąca przedmiotem dziejów, a zarazem żywiąca się krwią „swoich" mężczyzn. Polska odziana w kobiecość to topos znany już z dzieł Adama Mickiewicza albo Juliusza Słowackiego, a potem Jacka Malczewskiego, ale Twardoch dotyka tematu inaczej – w wywiadzie dla pisma „Pressje" Maciej Urbanowski twierdzi, że autorowi *Morfiny* taka polskość nie do końca się podoba. To jasne: w powieści słychać sprzeciw wobec romantycznych wyobrażeń polskości, ale wypada zadać pytanie, czy sprzeciw Twardocha nie sięga dalej – do polskości w ogóle.

Wiellemann z ust Dzidzi, w której z czasem zaczyna się kochać, raz po raz słyszy pytanie: *Kim jesteś, Konstanty?* Gdy odpowiada, że Polakiem, Dzidzia strofuje go: *To nieważne*. Nieważne? Wiellemann na początku powieści stwierdza: *Mam w dupie Polskę*, w połowie książki zmienia zdanie: *Teraz liczy się tylko Polska*, aż niedługo przed finałem, gdy zapiera się siebie i aby zostać Polakiem i służyć Polsce, przyjmuje tożsamość Niemca, kolejny raz Wiellemanna dopada zwątpienie: *Nie ma żadnego naprawdę. Naprawdę mnie nie ma. Naprawdę nie ma nikogo*.

WARSZAWA JEST DLA TWARDOCHA SPOLICZKOWANĄ KOBIETĄ

Wiellemann nie istnieje? Znajdą się osoby, które odczytają *Morfinę* jak powieść o Śląsku, dodajmy – powieść

o narodzie, który własne istnienie zawdzięcza mleku wysysanemu z piersi Niemiec i Polski, bo nie ma własnego. Co istotne, Wiellemann „jest" Polakiem, bo polską formę wybrała dla niego matka, jednak i ona traktuje ją instrumentalnie. Rozczarowanie polską formą nie przychodzi Konstantemu z łatwością. Zdrada, której się dopuszcza, drąży go od środka, trawi, a potem wypluwa prosto do łóżek kolejnych kobiet, które mimo żony i syna, odurzony morfiną i alkoholem, pragnie zdobywać.

Tutaj dochodzimy do sedna: Marta Kwaśnicka w ciekawym eseju na temat powieści – chyba najlepszym, który czytałem – nie tylko sprawnie analizuje, kim jest Wiellemann, lecz także rozgrzesza go z win, które popełnił. Zresztą sam autor szuka dla niego oczyszczenia, w końcu Wiellemann ponosi karę, ale paradoksalnie kara wymierzona jest za to, czego nie zrobił. Nie do końca wierzę – jak twierdzi Kwaśnicka – że prawda o Wiellemannie wyjdzie na jaw. Kwaśnicka widzi w nim mężczyznę, który zaczyna być sobą: Konstanty uporał się z formą, zostaje bohaterem polskiego podziemia, zaczyna prawdziwie kochać, a nie tylko pożądać, odsuwa od siebie nawet morfinę i żegna się z dziwką Salome. To już wiele, ale czy dość wiele, aby na przykład usprawiedliwiać zdradę żony? Polska to wielka sprawa, ale ile można zasłaniać się Polską, gdy wiedzie się życie bon vivanta, gdy zamiast szukać stałego dochodu, oszukuje się wszystkich, że jest się artystą? Zabawne, że Helena Wiellemann nie tylko pozwala mu na to, lecz także wierzy w to mocniej od niego.

CHOĆ ŚRODOWISKA PRAWICOWE I KONSERWATYWNE CHCIAŁYBY *MORFINĘ* DOCENIĆ, MAJĄ Z TYM KŁOPOT

Na okładce powieści widnieje męska twarz. Na początku lektury może się wydawać, że twarz należy do Wiellemanna, z kolei dwoje ust, które ją deformują i czynią tyleż intrygującą, co upiorną, to usta polskie i niemieckie (Wiellemann biegle używa obu języków). Tymczasem należą one do Wiellemanna, który mówi o sobie „ja", oraz Wiellemanna, który jest kobietą mówiącą o bohaterze „on". Kluczem do powieści nie jest, jak się wydaje, sam Wiellemann, lecz osoba, która z nim trwa aż do ostatniej strony – drugi narrator. Moria? Duch, którego Wiellemann odziedziczył wraz z polską krwią matki? A może efekt działania morfiny? Opętanie? Tajemnicza postać nie wiadomo, ile ma lat. Mówi o sobie, że jest czarną boginią: *I tylko ja nie przemijam, ja – cień, ja, twoja mała kochanica, wieczne nic, ja, która idę za tobą, cień cienia*.

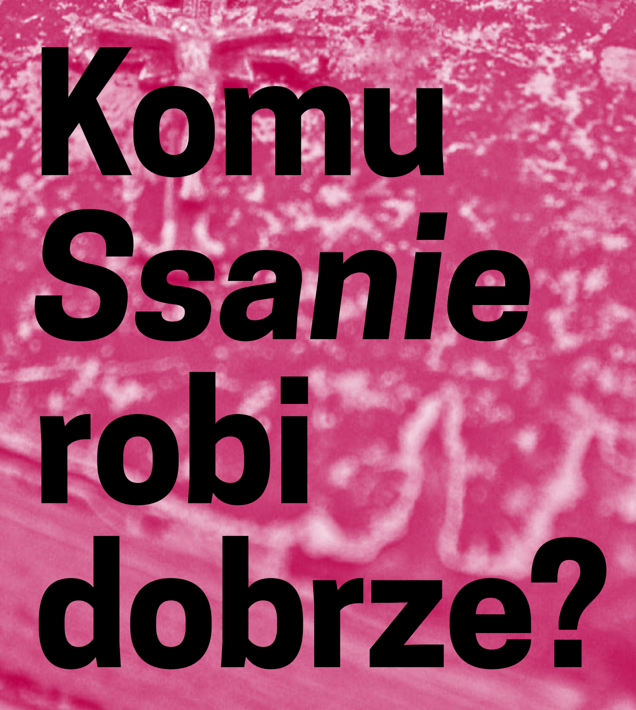
Lao Che nagrało płytę o Powstaniu Warszawskim, ubierając klasyczną raczej treść w nietypową formę. W powieści role odwrócono. Twardoch, pisząc dzieło na wzór powieści, która mogłaby wyjść spod ręki Fiodora Dostojewskiego, tchnął w nie ducha, który jest raczej duchem współczesności. Piszę

„raczej", bo nic tu nie jest pewne do końca. *Morfinę* można potraktować jak remake *Sobowtóra* z 1846 roku, a echa *Zbrodni i kary* pobrzmiewają z cicha to tu, to tam. Trudno tak samo uciec od porównania z Witkacym, którego *Nienasycenie* jest inspiracją dla Twardocha, zwłaszcza gdy autor opisuje matkę Wiellemanna albo gdy zagląda do sypialni.

Morfina może być tak samo powieścią o okupacji, Warszawie, podziemiu, o relacjach między ojcem i synem, o Polsce i „polskich duchach", o uzależnieniach, o człowieku bez właściwości, który będąc w połowie jednym, w połowie drugim, nie potrafi się zdecydować, kim jest naprawdę. Brzmi znajomo? Ja myślę. Dlatego choć środowiska prawicowe i konserwatywne chciałyby *Morfinę* docenić, mają z tym kłopot. W zamian powieść Twardocha ciepło przyjęto w środowiskach, które do powieści historycznych zdradzają dystans, wręcz nieufność, a niekiedy wrogość.

Z opakowaniem „pisarza prawicowego", w które, chcąc nie chcąc, sam Twardoch się włożył, jest nieco przewrotnie. Wyobraźmy sobie, że tym, co prawicowe, jest herbata w filiżance, z kolei *Morfiną* będzie kostka cukru, która wkłada się do środka, a ta rozpuszcza się od gorąca. Gdy jednak podnosimy filiżankę do ust, okazuje się, że rozpuścił się w niej nie cukier, lecz sól. Przynosi to otrzeźwienie, zdziwienie, wyrywa pijącego z letargu. Można by rzec, że to dobrze. Z drugiej strony znajdzie się wielu, którzy poczują się oszukani. Zatem jeśli Twardoch jest „pisarzem prawicowym", to równie dobrze może być koniem trojańskim stojącym u wejścia do polskich środowisk prawicowych i konserwatywnych. Wpuścić go do środka? **Ω**

PS Tekst publikowany w tym numerze „Frondy LUX" powstał w połowie 2013 roku, przed zmianą Szczepana Twardocha – lub w jej trakcie – z pisarza konserwatywnego w pisarza celebrytę. Twardoch, niechętny określeniu „pisarz konserwatywny", udzielający w tym czasie wywiadu „Gazecie Wyborczej" albo przyjmujący zaproszenia do studia TVN24, w oczach wielu ludzi zboczył z drogi, zaparł się jej, zdradził. Tekst ten do pewnego stopnia można zatem traktować jak wróżbę, której obecnie jesteśmy świadkami. Można też jak wyraz więzi między autorem *Dracha* a środowiskiem konserwatystów, zwłaszcza młodych, którzy – choć w tonie mniej pochlebnym niż przed 2013 rokiem – dalej zaczytują się w Twardochu, poświęcając mu z żyjących polskich pisarzy najwięcej uwagi.



Komu *Ssanie* robi dobrze?

Jakub Dybek

Nie wiem, czy którakolwiek z recenzji tej książki nie zacznie się od omówienia tytułu. Wobec tego: *Ssanie. Głód sacrum w literaturze polskiej*. Rzecz bezdyskusyjna: tytuł – prowokacja

Podparcie tego wyboru św. Augustynem, wyłuskiwanie sensu związków frazeologicznych ze „ssaniem" w roli głównej oraz, *last but not least*, motto z Rabelais'go zamieszczone we wstępie mają nam udowodnić, że to wszystko na poważnie. Kluczem wydaje się tu odwołanie do autora *Gargantui i Pantagruela* właśnie. Doskonale przewrotne, w wymowie swojej rubaszne, spuszczające powietrze z groźnie brzmiącego „poszukiwania sacrum" zawartego w podtytule zbioru. I dobrze, i fajnie. Brakuje tu pełnego odsłonięcia przyłbicy. Ssanie, czyli *pleasure*, czyli robienie dobrze, zaspokojenie. Zadaję sobie wobec tego pytanie: komu robi dobrze i czy w ogóle robi dobrze nowa książka Lubelskiego?

Tym razem, w trzy lata po debiucie prozatorskim, krakowski pisarz proponuje czytelnikom zbiór esejów literackich publikowanych w latach 2011–2013 na łamach różnych czasopism i portali. Co więcej, tryumfuje tą składanką na tegorocznych Targach Wydawców Katolickich, otrzymując Feniksa w kategorii literackiej. Wydawcy nie sprawiło trudu znalezienie dla tych tekstów wspólnego mianownika. Książka tworzy zadziwiająco harmonijną całość. Tak wyważoną, że uznać ją można za rzecz dla „środowiska". Kuba świadomie się etykietuje. Mówi wprost: – Jestem katolikiem, jestem konserwatystą. Czytam po coś, mam swoje powody i oczekiwania, jasne kryteria, z którymi się nie ukrywam. Ta książka to odtrutka na bałamutny obiektywizm [dorzucam kamyk: to dlaczego narracja w *Ssaniu* tak dziwnie zobiektywizowana?], oświadczenie wyrażające niechęć do bajek o wznoszeniu się „ponad podziałami".

SYMBOLICZNA POSTAWA TWÓRCZEJ KONSERWY: DĄŻENIE DO WYPEŁNIANIA METAFIZYCZNEJ PUSTKI

Podziały istnieją i Kuba jasno daje do zrozumienia, po czyjej stronie staje. Oto reprezentant „czwartej fali", jak określa konserwatywnych intelektualistów urodzonych w latach 80. Teologia Polityczna.

O kim pisze Lubelski, u kogo szuka sacrum? Między innymi u Mackiewicza i Gombrowicza, Tyrmanda i Schulza, u Witkiewicza... Sacrum? U tych autorów? Czyżby Lubelski igrał sobie z powagą sytuacji? A może zależy mu na wzbudzeniu intelektualnego niepokoju wśród prawicowego towarzystwa? Bardzo być może. To prawdopodobnie symboliczna postawa pokolenia młodej, twórczej konserwy: dążenie do wypełniania

metafizycznej pustki, brak zaufania do zamkniętych interpretacji, odrzucenie świata czarno-białego na rzecz światłocienia. Autor *Ssania* stał się wyrzutem sumienia dla „aspirujących" środowisk intelektualistów związanych z szeroko rozumianą prawicą, które – nie wprost – zostają oskarżone o chodzenie na skróty, o stosowanie prostackiego i wygodnego opisu rzeczywistości kulturalnej w Polsce.

Z drugiej strony w postawie twórczej Lubelskiego skupiają się jak w soczewce charakterystyczne elementy świadczące o inercji, jaka panuje na gruncie dyskusji o kulturze wśród konserwatystów młodego pokolenia. Mam tu na myśli zbiorowy lament nad zawłaszczeniem przez środowiska lewicowe i liberalne artystów konserwatystom bliskich lub takich, z którymi mogliby się utożsamiać; niekończące się dyskusje pod szyldem, kto „nasz", a kto nie; debaty o tym, kogo czytać należy, a kogo szerokim łukiem omijać. W omawianych esejach pobrzmiewają echa konkwistadorskiego zapału, który każe zajmować się głównie „odbijaniem" twórców z okopów wroga.

Cóż na to poradzę, że bardziej niż Kubę harcerza, szarżującego z kijem na szańce tęczowych oddziałów Krytyki Politycznej, wynoszącego na plecach własnych Brzozowskiego z barykad lewicowych dekonstrukcjonistów, wolę czytać jego pasjonujące stenogramy z rozmów, jakie toczył z książkami i ich autorami. W każdym z tych tekstów czekałem na zdanie szczegółowej relacji z tego, co było istotą podjęcia tego pisarskiego wysiłku – z afirmatywnego, niekiedy rozpaczliwego i mętnego, ale nieustannego poszukiwania śladów Boga w lekturze; tęsknoty do Władcy piszących, wątpiących, oddalonych od Niego i skandalistów. Niech już Lubelski nie przekonuje mnie do metafizyki Pilcha – myślę sobie, czytając rozdział XI – ale szczerze notuje drgnienia duszy, własne spięcia wewnętrzne, gdy sięga po *Moje pierwsze samobójstwo*. To jedyna droga ku autentyczności.

ECHA KONKWISTADORSKIEGO ZAPAŁU

Niekiedy trudno wyczuć, po co to wszystko. Jaki był cel napisania takiej książki? Wiem, wiem, co powiecie. Przecież Kuba wykłada swoje intencje wprost we wstępie i zastrzega, że nie rości sobie prawa do wyciągania kompletnych wniosków; pokazuje jedynie fragmenty owych „przebłysków" metafizycznych. Błąd. Autor *Boidudy*, wbrew zapowiedziom, bierze na siebie ważne, objętościowo obszerne tematy, ale poświęca im zbyt mało należnej uwagi. W kilku tekstach brakuje całych akapitów dopowiedzenia, doprowadzenia wywodu do końca. Jak w *Płaszczu*

Mackiewicza, gdzie zasadnicza porcja mięcha eseistycznego, znajdująca się na końcu tekstu, okazuje się nieledwie przekąską, przegryzką przed daniem głównym… które nie nadchodzi. W innym miejscu Lubelski częstuje nas ekspresowym przeglądem twórczości i życia Bobkowskiego, ilustrując je cytatami ze *Szkiców piórkiem*, dzienników gwatemalskich czy listów. O co tu chodzi? Biografia Bobkowskiego „dla konserwatysty" w pigułce? Czuję się oszukany. Metoda wyciągniętych z kontekstu cytatów, bez szerokiego otwarcia na całość dzieła i życia opisywanego pisarza, nie sprawdza się i wywołuje wrażenie konstruowania słabo udokumentowanych, egzotycznych teorii. Jeżeli więc Kuba planował skok na wyrażenie „całości", to nie tyle nie przekonują mnie jego ciekawe intuicje, co przyjęta metoda „badawcza" do ich uwiarygodnienia. Ktoś ponownie zwróci mi uwagę: – On szkicuje, rozsiewa tropy, też nie miałeś się czego czepić! – Dobra, dobra.

Jeżeli przyjąć, że autor *Boidudy* zechciał przygwoździć szczegół, opisać i obejrzeć pod światło, to – rzeczywiście – niekiedy mu się to udaje. Popisowe próby budowania karkołomnych asocjacji, mostów znaczeniowych pomiędzy odległymi zjawiskami literackimi oraz – szerzej – kulturowymi, wypadają świeżo i odkrywczo. Gdy Kuba wybiera detal – zazwyczaj trafia w sedno, aż miło popatrzeć. Przykładem znakomity esej o zbiorku opowiadań *Niech się Panu darzy* Antoniego Libery.

Na początku wspomniałem o tym, że Kuba uczynił manifest z szuflady, w jakiej się ułożył. Tyle że ten miecz okazał się obosieczny. Autor zbioru wspomina o niedorzeczności etykietowania literatury na prawicową i lewicową, a to właśnie ta etykieta każe mu wciągać się w jakieś gierki słowne z lewicową bracią, udowadniać ich manipulacje i wytykać wspomniane „zawłaszczenie". Co z tego wynika? A to, że w konsekwencji za patrona dobrej literatury „prawicowej" obiera… Gombrowicza. Układanie przestróg i testu dla pisarzy w służbie „Dobru, Prawdzie i Pięknu" z *Dziennika* Witolda? Prowokacyjne, paradoksalne. Jakub Lubelski podjął się zadania trudnego i niebezpiecznego. Czy uniósł ten ciężar? Kolego Lubelski, odczuwam niezaspokojenie. *Ssanie* pobudza apetyt na znacznie więcej literek wypadających spod Twojej klawiatury. Czekam. **Ω**

Czuję się oszukany



Obrona *Ssania* wbrew sobie



Adrian Sinkowski

Osobą, z którą *Ssanie* Lubelskiego będzie się kojarzyło przez lata, jest Włodzimierz Bolecki, którego wystąpienie w dniu premiery *Ssania* położyło się na nim cieniem. Piszę o tym z przykrością, ani Jakubowi, ani nikomu nie życzę takiego recenzenta. Problem bowiem nie w tym, że Bolecki skrytykował *Ssanie*, bo sam mam na to ochotę, lecz w sposobie, w jaki to uczynił – po czymś takim można albo stanąć u boku profesora, albo autora. Więc staję po stronie Jakuba i zamiast zgłosić do *Ssania* parę uwag, wbrew sobie biorę je w obronę

Zawód. Nie rozczarowanie, lecz właśnie zawód – tym słowem podsumuję na wstępie lekturę *Ssania* Jakuba Lubelskiego. Nie jest to w żadnym wypadku wina autora, a na pewno wina nie leży wyłącznie po jego stronie: nie wszystko bowiem w *Ssaniu* wydało mi się jasne i klarowanie napisane – znaczy to jednak tyle, że oczekiwałem po tym zbiorze, być może na wyrost, czegoś innego, podczas gdy luźno powiązane ze sobą tezy, misternie i drobiazgowo szyte przez autora, przypominają przeszczep, który nie zakończył się w pełni powodzeniem. Mało tego: czuć, że to szycie nie przychodziło autorowi z łatwością, było okupione wysiłkiem, co oczywiście należałoby pochwalić – bo trud pisania to raczej cnota – pod warunkiem że te szwy nie rzucają się od razu w oczy.

Aby być uczciwym, dodam, że znam ludzi, którym pisanie Jakuba się podoba. Mnie ono jednak do końca nie przekonuje. Już na wstępie zwierzam się zatem z tego, że omówienie książki, której ani nie da się odrzucić, ani przyjąć, pozostając gdzieś w połowie drogi, to zadanie karkołomne i dość ryzykowne. Dodatkowo rzecz, tudzież osoba, z którą *Ssanie* nie tylko mnie będzie się kojarzyło przez lata, to Włodzimierz Bolecki, którego wystąpienie w dniu premiery *Ssania* położyło się na nim cieniem. Piszę o tym z przykrością, ani Jakubowi, ani nikomu nie życzę takiego recenzenta (belfra, jak określił się sam Bolecki). Problem bowiem nie w tym, że Bolecki skrytykował *Ssanie*, bo sam mam na to ochotę, lecz w sposobie, w jaki to uczynił – po czymś takim można albo stanąć u boku profesora, albo autora. Więc, rzecz jasna, staję po stronie Jakuba i zamiast zgłosić do *Ssania* parę uwag, wbrew sobie czuję się w obowiązku, aby wziąć je w obronę.

Tak, odświeżam zapis premiery *Ssania* na YouTubie. Przykro się to ogląda: Bolecki wytyka *Ssaniu* naprawdę wiele, lecz świadczyć to może jedynie o tym, że niewiele zrozumiał, czym ten zbiór jest, czym autor chce, aby był. Bardziej przykro patrzy się na Jakuba, wziętego przez profesora z zaskoczenia, z trudem znajdującego słowa na obronę. Po pierwsze, krytyka uzasadniona czy nie, która spadła na *Ssanie* w dniu premiery, ustawiła pewien model rozmowy o książce, opartej niestety na fałszywej opozycji, w której naukowa monografia (tego po *Ssaniu* spodziewał się Bolecki) jest OK, a utkana z luźnych skojarzeń eseistyka, nie zawsze precyzyjna i niemająca ambicji, aby powiedzieć w temacie o wszystkim – już nie. Otóż jest to, by nie powiedzieć: jest to zaledwie publicystyka literacka. Po prostu. Czyli rzecz, której brakuje nad Wisłą znacznie bardziej od monografii czy prac naukowych.

ZNAM LUDZI, KTÓRYM PISANIE JAKUBA SIĘ PODOBA

Po drugie, profesor wyraził pogląd, że tematyka zbioru, która wpisuje się w hasło odzyskiwania kultury przez prawicę, od dawna jest rozpoznana. Nie przeczę, nie jestem naukowcem. Jednak intuicja Jaku-

ba, że szukanie Boga w książkach na przykład Jerzego Pilcha to rzecz do pewnego stopnia pionierska, nie tylko przekonuje mnie, ale sprawia też ona, że poszukiwania Jakuba są z pozoru poszukiwaniami, które sam pragnę prowadzić. Kuba po prostu, być może nie całkiem wprost, mówi coś w tym stylu: zamiast na prawicy pisać kolejny raz o Zbigniewie Herbercie albo o powieściach, których podstawowym składnikiem są Żołnierze Wyklęci, wolę – przełamując utarte schematy – poszukać Boga tam, gdzie na pierwszy rzut oka Go nie ma.

Zgoda, podpiszę się pod tym. Problem jednak w tym, że sposób realizacji tego założenia w *Ssaniu* mnie nie przekonuje: o ile odnajduję się w esejach o Zygmuncie Haupcie czy Jerzym Pilchu, o tyle inne czasem wydają się niezrozumiałe, naciągane, pisane „nie dla mnie". Rodzi to dwie myśli, dla mnie – lecz nie wątpię, że dla autora także – wielce zaskakujące, a będą to, mówiąc w skrócie, teza o mylącym podtytule *Ssania*, a także teza o nieistnieniu głosu pokolenia.

Wolę poszukać Boga tam, gdzie na pierwszy rzut oka Go nie ma

Idąc zatem od końca, Jakub nadużywa określenia „my". Pragnie w nim, jak się domyślam, zmieścić siebie i czytelnika, a także – nieco szerzej – grono ludzi bliskich pewnej wrażliwości, raczej młodych i od pewnego czasu odważnie wyrażających sprzeciw wobec sytuacji, w której prawica olewa kulturę. Powtarzam się: widzę się w tym gronie, lecz nie widzę się wewnątrz „my" autora. To o tyle dla mnie osobiście interesujące, że nosiłem w sercu, być może podobnie jak Kuba, przekonanie, że każda diagnoza wychodząca nawet od „my", niezależnie kto by ją pisał, obejmuje „nasze" doświadczenie i wrażliwość, byle po prostu odnosiła się do kultury. Nieprawda. Mnie zwyczajnie to, co Jakub stara się opowiadać choćby o Szczepanie Twardochu czy Leopoldzie Tyrmandzie, mało dotyka. Cóż, samo „my" należy więc poddać weryfikacji, bo nie jest wykluczone, że żadnego „my" nigdy nie było.

Jaki podtytuł nosi książka? *Głód sacrum w literaturze polskiej*. Włodzimierz Bolecki na wspominanym przeze mnie spotkaniu zadał Jakubowi pytanie: jaka jest główna teza pana zbioru? Nie dziwię się, że Jakub miał z odpowiedzią problem. Oto bowiem dochodzę do sedna: Bolecki nie mógł *Ssania* zrozumieć, bo czytał je, wedle zaleceń autora, jako książkę o sacrum, którą ten zbiór nie jest. Sacrum jako zjawisko, naturalnie nie w pełni dostępne, jest zjawiskiem o wiele szerszym niż kontekst, w którym umieścił je autor, a jest to według mnie kontekst idei, dodam dla porządku: idei konserwatywnych oraz prawicowych. Nie inaczej: w zbiorze określenia „prawica" czy „lewica" padają znacznie częściej od słów takich jak Bóg albo sacrum.

Mówi to wiele o sposobie myślenia autora. Rozczarowujące? Nie od razu,

mimo to rodzi się intuicja, że literatura jest przez Kubę wykorzystywana instrumentalnie. Prawdę mówiąc, w *Ssaniu* widzę próbę rewizji miejsca konserwatysty we współczesnym świecie, dla którego ten świat, wyzuty z literackich odniesień, z dnia na dzień kurczy się, karleje, nie pozwala – co za ironia – na podmiotowość ani na wolność, w myśl zasadzie: jeśli nie podobają ci się Żołnierze Wyklęci, znaczy to, że nie jesteś „swój". Jakuba to boli, mnie to boli. Lecz ma Jakub nad czytelnikiem przewagę, wystarczy, że zamiast konserwatystą, czego w tym miejscu nie chcę mu odmawiać, najpierw poczuje się krytykiem. Szkoda, przewaga ta, świadomie lub nie, pozostaje w *Ssaniu* zaledwie możliwością.

Podkreślam więc, iż chyba zbyt często, na pewno nieostrożnie, w perspektywę konserwatywną zaprzęga się sacrum. *Ssanie* obiecuje, że zajmie się sacrum, lecz w istocie zajmuje się ideą, której nie jest do sacrum daleko – nierzadko przecież jedno z drugim na siebie nachodzi, lecz trudno między nimi postawić znak równości. To nie tylko przypadek Jakuba. Uświadamia mi to rzecz kolejną: nie wystarczy pisać o sacrum, aby udowodnić, że jest się konserwatystą. O sacrum, Bogu, ortodoksji napisze każdy, nawet wielokrotnie w *Ssaniu* wywoływany Sławomir Sierakowski. Tak silne i nieznośne u Jakuba podkreślanie, że jest po „właściwej" stronie, bierze się stąd, że strona, po której stoi, bez „pokwitowania" w postaci przynależności do jednego z konserwatywnych środowisk lub bez powtarzania, że jest się konserwatystą, po prostu mogłaby *Ssaniu* albo nie poświęcić uwagi, albo rozpoznać autora piszącego w końcu o Witoldzie Gombrowiczu czy Jerzym Pilchu, na których prawica od lat wylewa kubeł szamba, jako kogoś spoza „naszego" rewiru.

Kuba się zatem asekurował? Owszem, zbyt mocno. Jakby bez wiary, że istnieje czytelnik, któremu wystarczą literackie czy teologiczne odniesienia. Tym bardziej wprawia mnie to w zakłopotanie, gdyż pisząc na przykład o Witoldzie Gombrowiczu, autor stara się udowodnić, że dobra literatura broni się sama, nawet wbrew środowiskowym rozpoznaniom. Przekonuje: czas wychylić głowę z bunkra, przesunąć linię frontu, nie być dłużej skoszarowanym. Cóż, może po prostu Kuba jest prozaikiem, a na gruncie publicystyki zabrakło mu wiary we własne siły, skoro na dobrą sprawę wychodzi z koszar wyłącznie po to, by schować się w innych. Co istotne, te nowe koszary znajdują się daleko od centrum sporu. Ktoś życzliwy autorowi powie, że dzieje się tak, gdyż Jakubowi nie zależy na walce w pierwszym szeregu, woli być osobny i wierny sobie. Ktoś mniej życzliwy – że woli bezpiecznie dotrwać końca wojny na obrzeżach, skazując się tym samym na peryferyjność. Najgorsze w tym wszystkim jest chyba to, że nie tylko nie widać końca sporu, lecz stale przybiera on na sile. **Ω**

ŻADNEGO „MY" NIGDY NIE BYŁO

Jerzy Kędzierski

Budzik z lat siedemdziesiątych

Jak jesteś taka mądra, to powiedz, co będzie dalej? Siedzę w herbaciarni Biblioteki Raczyńskich, w nowym gmachu i czytam *Powidoki* Marka Nowakowskiego. Przy stoliku obok siada dziewczyna w wieku studenckim. Stawia na blacie duży budzik z lat siedemdziesiątych. Prostokątny, biały. Wyjmuje coś do jedzenia z sałatą i smartfona. Jedną ręką je zielonkę w folii, drugą dziobie w smartfonie. Budzik jest nienastawiony. Wskazuje paranoidalną godzinę i nie chodzi. Co będzie dalej? Gdyby budzik cykał, dostałbym szału, ale nie cyka. Czytam Nowakowskiego, jego charakternych bohaterów, którym wszystkim jak jednemu, u kresu stron pozostał jeden ząb i delirium. Tacy byli charakterni? O! W herbaciarni Biblioteki Raczyńskich Marek Nowakowski przycupnąłby, o ile to słowo właściwe określa pozycję pisarza w pracy. Schodzą się tu minimaliści. Minimaliści są w każdym wieku. Herbata za darmo. Z wykształceniem potrzeb – różnie bywa. Ostatnio – tak, tak – był tu pojedynek na noże. Dopytywałem. Ściana milczenia. Nie były to noże białe, plastikowe pobrane z darmowej jadłodajni prowadzonej przez Stowarzyszenie Polska Zupa. Po błyskach prawdziwej stali na miesiąc herbaciarnię zamknięto. Teraz znów nóż w rękach minimalisty jest narzędziem otwierającym szprotki z Biedronki przy parującym kubku. Broń biała jak książka? Założyciel biblioteki Edward hrabia Raczyński chciał, żeby biblioteka była publiczna. Taka jest. Taki ma statut. Dla wszystkich. Dla charakternych i tych, którzy pojedynki sami ze sobą toczą. Pojedynki egzystencjalne o herbatę i zimą o ciepło. Pojedynki esencjonalne o sens i logikę. Pojedynek o miejsce między ludźmi. Gady miejskie złe wróżby niosące, pełzną do książnicy dla darmowej herbaty i ciepła. Herbatą delektują się także herbowi. Po sygnetach i pomadzie wnioskuję. Bywa też jeden klient sprężysty w przeterminowanym mundurze. Militarysta – sklasyfikowałby farmazona Nowakowski. Markowi ludzie do bibliotecznej herbaciarni przychodzą. Zezuję na dziewczynę. Wskazówki budzika są martwe jak Łazarz. Dziewczyna jedną ręką podsuwa foliówkę z sałatą do ust. Palcami drugiej ręki posuwa ekranik i dziobie w klawiaturę nosem. Co stanie się za chwilę? Czytam



i zezuję na nią. Zatem czytać nie mogę, co będzie dalej? Co wydarzy się z budzikiem? Po co postawiła niechodzący budzik przed sobą? Powiedz?

Budzik sam tego nie udźwignie, inspiracja nie przyjdzie, chociaż wprawdzie brzucho napełni, to smartfon skradnie jej wszystko, dzięki czemu jest piękna. I nie chodzi o urodę, tylko o to, co mogłaby. A mogłaby wszystko, a jedyne co ma szanse osiągnąć, to upieprzyć telefon sałatką. Potem go wytrze i tyle będzie miała z życia. Jesteśmy złodziejami swoich własnych myśli. Czytamy piękne historie o przebojowych ludziach, wynalazcach, ludziach wielkiej myśli i polityki w tych swoich gównianych małych telefonikach. A nawet i nie czytamy, tylko patrzymy. Nauczyliśmy się patrzeć bez konieczności widzenia i zapamiętywania. Okradamy siebie z kreatywności. Ona już nie pamięta, na co patrzyła dwie minuty temu. Jesteśmy nimi śmieszni, tymi ekranami, jak w lustrze pokazują, że jesteśmy pełni i puści jednocześnie. I gdybyś chciał uratować jej dzień, powiedziałbyś jej to. Z pewnością popatrzyłaby na ciebie jak na wariata, nie, nic w tym złego, ale przynajmniej ruszyłyby wskazówki budzika. Budzik, który nie chodzi, wskazuje właściwy czas tylko przez chwilę w ciągu dnia, i to tylko dlatego, że czas jest dla niego łaskawy. Powiem ci, co robi dziewczyna, sprawdza, za ile da się opchnąć budzik na Allegro. Na Allegro chodzi wszystko, nawet budziki, które nie chodzą.

Skończyła wsuwać sałatę i dziobać w smartfonie. Wyjęła profesjonalny rysunkowy arkusz papieru, ołówki i linijki. Zaczęła rysować budzik. Po chwili przyszedł kolega student artystyczny. Uniwersytet Artystyczny jest blisko. Gadają o ołówkach, czy „zajebiste" są, czy nie. Rysuje szybko. Przykładała linijkę. Raz, raz. Dobiera miękki ołówek do cieniowania. Wybrała go z kilku innych, nie zajęło to czasu ani namysłu. Budzik stoi na blacie i pręży bary. Gotowy na modeling. Raczej mam łatwiej? Nie muszę jak kreślarka i student artystyczny zastanawiać się, w jaki sposób rysowaniem zbliżyć się do prawdy. Ω

Łukasz Kucharczyk

Non serviam

ilustracja: K. Karnkowski

Dla mojej Ani

BYŁA CIEMNOŚĆ i w ciemności tej rozświetliło się nagle, poczułom, jak powoli odtwarzam się z niczego, jak obracam się wśród błysków i jak zewsząd przenikają mnie dźwięki. Nie wiedziałom, gdzie było, bo jakby mnie nie było, choć słyszałom i widziałom. Próbowałom dotknąć twarzy, lecz jej nie miałom, nie miałom tułowia, rąk, nóg, byłom, choć mnie nie było i co chwilę dotykała mnie nicość, czułom, jak w niej się zatapiom i niknom, jak pochłania mnie niebyt, by zaraz powrócić i istnieć przez moment. Tu, gdzie się znajdowałom, nie było czasu, więc nie wiem, ile razy nikłom i wracałom, nieskończoność oblepiała wszystko. Wtem zewsząd spłynęły na mnie skrzące się strumienie prądu, przeniknęła mnie fala impulsów i poczułom, jak odtwarza się we mnie płeć, i już wiedziałem, że jestem. Czułem, jak z znikąd wypływają atomy, jak tworzy się tkanka, jak na nagie kości opada unerwienie, jak oplatają mnie żyły i mięśnie, jak na nagim mięsie wyrastają skóra i włosy, jak nicość oddaje mi oczy. Krzyknąłem, gdy powietrze wypełniło moje płuca, a błyski światła rozjaśniały mgiełkę roztaczającą się przed oczami i już wiedziałem, gdzie jestem. Był to mój dom rodzinny, dom, który opuściłem jako nastolatek i do którego nigdy nie miałem powrócić – tak przynajmniej sobie mówiłem przez wszystkie lata tułaczki. Spojrzałem na swoje dłonie – były miękkie i jasne, jakby cały trud ostatnich lat nigdy nie istniał. Zdziwiło mnie, że nic się tu nie zmieniło przez te wszystkie lata – dach wciąż był niepomalowany, szyba w oknie na piętrze wciąż była pęknięta, w drzwiach od komórki wciąż brakowało wielu desek. Wszystko było jak w dniu mojej ucieczki. Czyżby ojciec tak załamał się moim odejściem, że stracił swój odwieczny zapał do pracy? Ale

przecież byłem tylko jednym z dwunastu dzieci, z rodzicami zostali wszyscy moi bracia i siostry. To niemożliwe. Wszedłem do środka. Zdawało mi się, że czas się zatrzymał i to całkiem dosłownie – stojący na piecyku garnek z kaszą turkotał leniwie, wciąż wygrywając identyczną melodię, a para nad nim zdawała się zawieszona w miejscu, tuż nad sufitem. Wydawało mi się, że czarny jak smoła kot, chyba nazywaliśmy go Fuks, wpatruje się we mnie i obserwuje moje ruchy – myliłem się. Podszedłem bliżej – kot ten był atrapą, idealnie skonstruowaną kukłą – dotknąłem jego twardej jak stal sierści, nawet się nie poruszył. Wybiegłem na podwórze – dopiero teraz zauważyłem, że wszystko jakby zastygło w miejscu – liście opadające z drzew zawisły w pół drogi do ziemi, a gałęzie zdawały się ugięte pod wpływem wiatru, który zawiał niby raz na zawsze. Nagle spostrzegłem, że na ławeczce pod drzewem siedzi postać – co więcej, machała do mnie. Podszedłem do starego kasztanowca – na ławce ujrzałem swojego ojca. Wyglądał tak jak w dniu, gdy opuszczałem dom – jego siwe wąsy skrzyły się w słońcu, nad oczami rozpościerały się krzaczaste brwi, na ustach błądził jego charakterystyczny półuśmiech.

– Tata? – wyszeptałem.

– Niet – mężczyzna wstał z ławki i podszedł do mnie – ja nie pański ojciec, poruczniku Szaniawski.

– Jak to... Jak?! Pan wygląda... – nie mogłem wydukać swoich myśli do końca.

– Być może dla was wyglądam jak wasz ojciec, ale to tylko projekcja waszego umysłu. Nazywam się doktor Władimir Bykow, ja radziecki naukowiec.

– Ruski?! – wykrzyknąłem, coraz bardziej zdezorientowany. – Gdzie ja jestem, co tu się dzieje?!

– Jesteście... można powiedzieć, że obecnie znajdujecie się w Moskwie, w Instytucie Badań Funkcji Mózgu. I powstrzymajcie się, porucznik, z tymi wyzwiskami. Obecnie wasz kraj żyje w harmonii ze Związkiem Radzieckim, ta polska nienawiść to już przeszłość.

– Który mamy rok... i dlaczego wasz instytut wygląda jak mój dom rodzinny?!

– Dziś jest 17 kwietnia 1954 roku, porucznik. Wszystko wygląda jak wasze rodzinne strony pewnie dlatego, że wasz umysł uznaje je za najbardziej znajome i bezpieczne.

Przez moment wpatrywałem się w człowieka, który wyglądał jak mój ojciec, i przypomniałem sobie. Aleja Szucha, Zolte, Zyga, Maniek, major Wolski i… Halszka. Przejechałem ręką po klatce piersiowej… nie było nawet rany. To było niemożliwe – pomyślałem.

– To niemożliwe – powiedziałem. Ja nie… ja nie żyję. Zastrzelili mnie Niemcy… w maju 1942 roku. Czy… czy tak wygląda Niebo?

Radziecki doktor o twarzy mojego ojca jakby się zaśmiał pod sumiastym wąsem.

– Nie, porucznik… nie jesteście w niebie. A przynajmniej nie w tym, o którym myślicie. Prawda, zginęliście z ręki faszystów, takich samych jak wy zresztą. Ale my, można powiedzieć, wskrzesiliśmy was. Wasze ciało jest martwe, ale mózg… przywróciliśmy do życia funkcje waszego mózgu, pracuje samodzielnie. Rozmawiacie ze mną dzięki aparaturze podłączonej do waszych zwojów. Porozumiewam się z wami za pomocą maszyny piszącej, co wasz mózg odbiera jako dialog z drugim człowiekiem, stąd rodzinny dom, stąd sad, stąd wasz ojciec, porucznik. Dziwne, ten wasz stan, porucznik… żyjecie i nie żyjecie, jesteście i nie ma was.

– Coście mi zrobili… to niemoralne! Ja się nie zgadzam! To wbrew światu! To wbrew Bogu! – wykrzyczałem, nie wierząc w to, co słyszę. A może tylko wydawało mi się, że słyszę? Może nikt ze mną nie siedział, nie rozmawiał?

– Aj wy Poliaki duraki… – zarechotał doktor. A gdzież ten wasz bóg, porucznik? Co pamiętacie sprzed czasu, jak was ożywiliśmy? Tyle co przed narodzinami? Wielkie nic? To nie wydurniajcie mi się tu z waszą moralnością… Ja wam więcej powiem, porucznik. To ja jestem dla was teraz jak Bóg. To ja was przywołałem do życia, mogę sprawić, że zaraz poczujecie radość albo strach, gniew albo wszystko naraz. Mogę tak ustawić nasze automaty, że wydawać się wam będzie, że chodzicie brzegiem morza albo patrzycie na świat z górskich szczytów. Ja mogę z wami wszystko, porucznik. Wam wydaje się teraz, że siedzicie obok rodzinnego domu z własnym ojcem. Wydaje się wam, że macie ręce i nogi, że oddychacie. A dla mnie wyglądacie jak kawał mięsa w szklanym naczyniu, do którego podłączonych jest tysiąc kabelków. I powiem wam więcej, Poliak… Być może, że moje ręce i nogi, moje oddychanie jest tak samo sztuczne jak wasze. Może my też tylko mózgi mamy w naczyniu w jakimś

innym wyższym świecie, kto to wie? Może nami, naszym światem steruje jeszcze jakiś doskonalszy doktor, a nim jeszcze ktoś wyżej i tak w nieskończoność?!

– Nieeee... – wykrzyczałem.

Świat zaczął się rozmywać, zieleń ogrodu straciła ostrość, kolejne fragmenty krajobrazu zapadały się w sobie, spoza nich wychylać zaczęła się pustka. Nie wierzyłem w to, co usłyszałem, chciałem odejść, uciec, zniknąć. Przestrzeń wypełniła czerń, którą raz po raz rozrywały elektryczne błyski, a zewsząd dochodził rechot, obrzydliwy rechot doktora. Czułem, jak tracę ciało, jako nikną moje oczy, jak topnieje skóra, jak kruszą się moje kości. I już wiedziałom, że tylko nicość mi pozostała, na nicość jest skazane, czułom to. Spełzł na mnie mrok i zdusił w sobie.

– TY, PROKLIAT! – zaryczał doktor Bykow i uderzył pięścią w sterownicę. Pozornie w laboratorium nic się nie zmieniło. Różnokolorowe diody pulsowały leniwie, przewody skrzyły od prądu, aorty mieniły się tęczowo od płynów najróżniejszej maści. Na środku sali, pod szklaną kopułą, stał mózg porucznika Szaniawskiego, był starannie oddzielony od młodego ciała, podłączony do setki cienkich kabli. Tuż obok kopuły stał ekran, w poprzek którego ciągnęła się w nieskończoność linia, bucząc, oznajmiała utratę funkcji życiowych mózgu. Doktor, wciąż klnąc pod nosem, podszedł do głównego kabla, chcąc go odłączyć, wtem na ekranie wyświetliło się jedno słowo:

JESTEM.

WRAZ Z PIERWSZYM ODDECHEM uniosłem głowę. Powietrze było zimne i wilgotne. Spojrzałem w rozpościerające się na wprost mnie górskie szczyty. Audley End w Essex. Byłem, a właściwie zdawało mi się, że byłem, w brytyjskiej bazie wojskowej. Dookoła ćwiczyli żołnierze, przyszli skoczkowie, którzy mieli rozpocząć konspirację w Polsce. Wszędzie poustawiane były worki do ćwiczeń, zasieki i manekiny. Na kupie worków z piachem siedział kapitan Hopkins. Poznałem go po charakterystycznym binoklu na lewym oku i spiczastej bródce. Leniwie ćmił fajkę – nic się nie zmienił. Podszedłem bliżej, wiedziałem, kto tak naprawdę kryje się za postacią kapitana.

– Doktor Bykow?

– Widzę, Szaniawski, że już odnaleźliście się w sytuacji – znów ten sam znajomy nieprzyjemny rechot. A myśleliśmy, że już was straciliśmy.

– Dlaczego wy właściwie mnie… ożywiliście?

Kapitan, to znaczy Bykow, zaciągnął się fajką i wypuścił kłąb dymu. – Nie byłeś pierwszy ze swojego oddziału, Szaniawski… Ale twój mózg jako jedyny zareagował na naszą aparaturę… Kto by pomyślał… Może burżuazyjny mózg majora Wolskiego za dobry był na nasze radzieckie sprzęta, ha?! Hłe, hłe, hłe… nu, ale na porucznika wystarczył. Wy, Szaniawski, robiliście zamach na Obersturmbannführera Zolte i nawet wam się udało. Ale wy nie wiedzieliście, Szaniawski, do kogo wy strzelacie!

– Jak to do kogo?! Do szwaba! Do faszysty! – ryknąłem oburzony.

– Un taki sam faszysta jak i wy, ja już wam powiedział, Szaniawski. Idzie o to, co Zolte miał za zadanie przywieźć do Berlina, Szaniawski. Ty wiesz, co to było?

– Nie mam pojęcia.

– Zolte miał przy sobie klucz do nieśmiertelności, Szaniawski. To, co nam się udało, to, że możemy z wami rozmawiać, to nic, Szaniawski, zresztą nie wiemy, na ile to, że teraz rozmawiamy, to przypadek, a na ile wynik naszych badań. Lekarze Hitlera stworzyli formułę nadczłowieka, Szaniawski – przeniesienie ludzkiego mózgu do ciała robota, cyborga, w praktyce nieśmiertelnego i niezniszczalnego! Rozumiecie, porucznik?! Faszyści stworzyli przepis na życie wieczne, oszukali smert!

– Ale po co mi to wszystko mówicie? Co się stało z formułą?

– Tam była reznia straszna, Szaniawski! Trupy niemieckich i polskich faszystów zalały ulicę. Nasz wywiad nie dotarł do ciała Zoltego, nie udało się ustalić, co stało się z formułą. I w tym momencie pojawiacie się wy, Szaniawski! Nasze receptory, które są podłączone do waszego mózgu, przywrócą was do wspomnienia zamachu na Zoltego – wrócicie tam, na Szucha, przed siedzibę gestapo, i spróbujecie nie dać się zabić, a przynajmniej przeczytać formułę, zanim padniecie. Nie bójcie się, to nie będzie prawdziwa śmierć, po prostu wasz mózg odtworzy moment i uczucie umierania.

– Ale… ja nie widziałem tej kartki z formułą na oczy! Jak niby ma ona tam się znaleźć, skoro cały wytworzony świat ma być moim wspomnieniem?!

– O to już nie martwcie się, Szaniawski… Nasze urządzenia zwielokrotnią waszą pamięć, odtworzą wszystko dokładnie. Wasze zadanie to przechwycić kartkę i odczytać ją na głos – wtedy wszystko wyświetli się na ekranach naszych automatów! Ponimajetie?!

– Ale… po co to wam? Ta zabawa w Boga…

– Szaniawski, nie żyjecie, więc nie wiecie! Teraz Polsza sojusz z nami ma! Z Sowietami nie zginiecie, my jak bracia! W czterdziestym czwartym was przed faszystami obroniliśmy, Warszawa ocalała dzięki nam! W komunizmie wszyscy szczęśliwi, dla każdego praca, dla każdego dom, dla każdego jedzenie, dla każdego piękna kobieta! Nikt narzekać nie może, bo papa Stalin dobry jak to zboże na chleb, co rolnicy zgodnie kolektywowi oddają! I teraz chce całemu światu nieśmiertelność dać, w komunizmie całą Jewropę złączyć, a potem nawet i Amerikę! Powiem ci więcej, Szaniawski, twoi znajomi z faszystowskich organizacji też chętnie z nami współpracują!

Popatrzyłem smętnie w horyzont, szara mgła posępnie otulała górskie szczyty. Przełożeni krzyczeli na czołgających się kadetów wygnanych z ojczyzny, marzących o spadochronowym skoku, o zastaniu bohaterem i wyzwoleniu ojczyzny. Mury ośrodka szkoleniowego skrzyły się wściekłą czerwienią cegieł. Popatrzyłem na Hopkinsa… to znaczy Bykowa – w charakterystyczny dla Kapitana sposób pocierał kozią bródkę, paląc fajkę, głośno cmokał – właśnie tak go zapamiętałem.

– A gdy to zrobię… co będzie ze mną?

– Nu jak to co, Szaniawski! Zrobimy wam nowe ciało, sprawne, zdrowe! Wrócicie do Polszy waszej i budować z nami komunizm będziecie!

Nie chciało mi się wierzyć w ani jedno słowo Bykowa. Ale choć byłem, to mnie nie było, a ponad wszystko chciałem żyć – nie tak jak teraz, chciałem wrócić do mojego świata. Ojciec dość mi opowiadał o bolszewickim „ładzie”, kiedy walczył z nimi w dwudziestym roku. Dlatego uciekłem z domu. Chciałem być taki jak on – różniliśmy się tym, że on wrócił z wojny na wieś jak bohater, założył rodzinę, zbudował dom, miał dzieci. Ja skończyłem z kulą w piersi i w ostatnich

chwilach patrzyłem, jak szwaby wystrzeliwują moich przyjaciół. Nie wierzyłem, że kompani z walki podziemnej mogliby dogadać się z radzieckimi – przecież z nimi też walczyliśmy, a gdy jeszcze żyłem dwanaście lat temu, ich wywiad cały czas się powiększał. Popatrzyłem na trenujących mężczyzn (nie obchodziło mnie w tamtej chwili, że tak naprawdę ich nie było). Stanąłem przed Bykowem. Jedno wiedziałem: chcę żyć.

– Jestem gotów, doktorze Bykow.

– Nu, zmądrzeliście, Szaniawski! Nu to raz, dwa! Pamiętajcie, Szaniawski! Łapiecie Zoltego, wyciągacie kartkę z formułą i czytacie na głos! – doktor klasnął w dłonie. Nagle wszystko zawirowało. Czułem, jak moje ciało rozpuszcza się, choć wciąż byłem świadomy, wpadałem w czarny wir, który nagle roziskrzył się wszystkimi kolorami tęczy – widziałem, niczym cienie na białej ścianie, migotliwie obrazy rodzinnego domu, ośrodka szkoleniowego w Audley End, moją kryjówkę na Żoliborzu, mieszkanie Władka, park, do którego chodziliśmy z Halszką… Wtem wybucha wielka światłość i z tej światłości poczyna wyłaniać się potężny gmach, widzę ogromne czerwone chorągwie ze swastykami, wokół gmachu rozciągają się śnieżnobiałe budynki – jestem na Szucha, ulica materializuje się coraz wyraźniej. Słońce świeci mocno, zielenią się w nim krzaki i drzewa zasadzone pomiędzy chodnikowymi płytami. Spoglądam na swoje dłonie, są jakby młodsze, mam na sobie swoją zdartą skórzaną kurtkę, na głowie kaszkiet, a na nogach oficerki. W dłoni tli się niedopalony papieros.

– Żyjesz? Ej! Zasnąłeś czy co?! – klepie mnie w plecy Maniek.

Spoglądam uradowany w tę nakrapianą piegami twarz. Maniek zginął jeszcze wcześniej niż ja. Chcę się rzucić na niego, wyściskać go, ale nie wiem, czy mogę, nie wiem, na ile mój umysł odtworzył postać Mańka, być może ogranicza się ona do jego podstawowych zachowań – ze smutkiem przypominam sobie, że jest tylko projekcją mojego mózgu, fantomem z odmętów moich wspomnień. Słyszę coś, jakby ciche pohukiwanie sowy – Zyga przechodzi obok nas, daje sygnał do rozpoczęcia akcji – wraz z majorem Wolskim są przebrani za gazeciarzy. Na schodach siedziby gestapo widzę nasz cel – Zolte we wściekłoczarnym płaszczu, czapce z zimnosrebrną trupią czaszką wychodzi z budynku w obstawie żołnierzy. Spostrzegam, że wyraźnie widzę jedynie ten gmach – wszystko inne dookoła jest niewyraźne,

rozmazane. Nie wiem, co to oznacza, ale nie ma czasu na refleksje. Przed gmach zajeżdżają dwa zielone hudsony – wyskakują z nich nasi chłopcy: Herszt, Bachor, Józek, Alek, Biały i Gienek, reszty nie znam. Otwierają ogień – gestapowcy momentalnie sięgają po broń i otaczają Obersturmbannführera. Wyskakujemy z Mańkiem zza muru, gdzie do tej pory czekaliśmy. Maniek rzuca w Niemców granatem – huk i ogień na chwilę zalewają scenę wydarzeń. Z budynku wybiega coraz więcej żołnierzy, Zyga i Major strzelają do nich zza wózka z gazetami. My jesteśmy ulokowani za śmietnikiem. Maniek podnosi się, oddaje strzał, słyszę huk wystrzału, pocisk rozrywa mu klatkę piersiową, Maniek pada i patrzy za nim gasnącymi oczami. Z wściekłością zaciskam pięść, wychylam się zza śmietnika i strzelam, widzę padającego gestapowca. Nagle zauważam, jak na skraju budynku, w odmętach tej dziwnej mgły, stoi ona – Halszka. Wiem, że to ona, wszędzie poznam tę burzę włosów i smukłą talię. Minęło tyle lat… wgapiam się o moment za długo, kula przeszywa moje ramię, druga trafia prosto w głowę. Obraz mętnieje, kurczy się i w końcu wszystko znika.

TYM RAZEM NIE WIDZIAŁEM NIC – przestrzeń wypełniała biel, zimna i nieskończona. Zdecydowanie wolałem, gdy mój mózg odtwarzał miejsca z mych wspomnień. Zastanawiałem się, gdzie jest Bykow – może po nieudanej akcji stwierdzili, że nie warto zawracać sobie mną głowy?

– Aj, porucznik, porucznik… nawet jako sam mózg wy za dziewuszkami się oglądacie?! Hłe, hłe… – usłyszałem głos doktora. Był jednocześnie nigdzie i wszędzie.

– Gdzie jesteśmy, doktorze? Dlaczego tu nic nie ma?

– Bo cała nasza aparatura skupiona jest na jak najdokładniejszym odwzorowaniu twojego wspomnienia o Zoltem, Szaniawski. Skupcie się! Nie wiemy, jak długo będziemy mogli was tam wpuszczać!

– Widzę dokładnie tylko siedzibę główną gestapo… wszystko inne jest bardzo niewyraźne. Dlaczego?

– Mówię, że wszystkie aparaty skupiają się przede wszystkim na Zoltem, porucznik. I ani ważcie się wychodzić umysłem tam, gdzie obraz staje się niewyraźny, ponimajetie? Jak wykroczycie poza miejsce akcji, wykroczycie poza własną świadomość, nasze maszy-

ny najprawdopodobniej zwarcia dostaną i już was nie przywrócimy, znikniecie na zawsze. A chyba chcecie wrócić, prawda? Żyć, a nawet lepiej niż żyć, żyć wiecznie?!

– Chcę… chcę po prostu wrócić.

– No to dawaj, porucznik, rób swoje, a radziecka nauka cię wskrzesi! – usłyszałem, jakby ktoś klaskał w dłonie. Biel zgasła, zmętniała, poczułem jak wszystko wiruje i rozbłyska, widziałem swoich braci i siostry, widziałem matkę. Wtem wybucha wielka światłość i z tej światłości poczyna wyłaniać się potężny gmach, widzę ogromne czerwone chorągwie ze swastykami, wokół gmachu rozciągają się śnieżnobiałe budynki – jestem na Szucha, ulica materializuje się coraz wyraźniej. Słońce świeci mocno, zielenią się w nim krzaki i drzewa zasadzone pomiędzy chodnikowymi płytami. Spoglądam na swoje dłonie, są jakby młodsze, mam na sobie swoją zdartą skórzaną kurtkę, na głowie kaszkiet, a na nogach oficerki. W dłoni tli się niedopalony papieros.

– Żyjesz? Ej! Zasnąłeś czy co?! – klepie mnie, tak jak poprzednio, w plecy Maniek.

Słyszę coś, jakby ciche pohukiwanie sowy – Zyga, przechodzi obok nas, daje sygnał do rozpoczęcia akcji – wraz z majorem Wolskim są przebrani za gazeciarzy. Na schodach siedziby gestapo widzę nasz cel – Zolte we wściekłoczarnym płaszczu, czapce z zimnosrebrną trupią czaszką wychodzi z budynku w obstawie żołnierzy. Spostrzegam, że wyraźnie widzę jedynie ten gmach – wszystko inne dookoła jest niewyraźne, rozmazane. Nie wiem, co to oznacza, ale nie ma czasu na refleksje. Przed gmach zajeżdżają dwa zielone hudsony – wyskakują z nich nasi chłopcy: Herszt, Bachor, Józek, Alek, Biały i Gienek, reszty nie znam. Otwierają ogień – gestapowcy momentalnie sięgają po broń i otaczają Obersturmbannführera. Wyskakujemy z Mańkiem zza muru, gdzie do tej pory czekaliśmy. Maniek rzuca w Niemców granatem – huk i ogień na chwilę zalewają scenę wydarzeń. Z budynku wybiega coraz więcej żołnierzy, Zyga i Major strzelają do nich zza wózka z gazetami. My jesteśmy ulokowani za śmietnikiem. Maniek podnosi się, oddaje strzał, słyszę huk wystrzału, pocisk rozrywa mu klatkę piersiową, Maniek pada i patrzy za nim gasnącymi oczami. Z wściekłością zaciskam pięść, wychylam się zza śmietnika i strzelam, widzę padającego gestapowca. Chowając się z powrotem, dostrzegam

na skraju budynku niewyraźną postać Halszki – tak jak wtedy, przed laty, jest na stójce. Przeczołguję się aż za drzewko rosnące nieopodal schodów. Major Wolski wyskakuje zza wózka i strzela – widzę, jak Zolte pada, jego grube cielsko koziołkuje po schodach i zastyga na chodniku. Dostrzegam wystającą z kieszeni płaszcza kartkę – to musi być formuła! Nasi chłopcy radzą sobie coraz lepiej, gestapowcy padają jak muchy. Podbiegam skulony do ciała Zoltego, wyszarpuję kartkę, słyszę majora krzyczącego: „co ty robisz, idioto?!". Nie słucham, to tylko moje wspomnienie, to już było, to nie jest naprawdę. Chowam się z powrotem za drzewem.

– Mam, mam, to Bykow! – krzyczę triumfalnie.

– Nu, zuch chłopak! Czytajcie, Szaniawski, podajcie mi, co tam jest napisane! – słyszę głos doktora, rozlega się jakby w niebie. Patrzę na dane zapisane na kartce. Nagle rozlega się inny głos, mój własny, jakby trochę młodszy:

W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny Królowej Korony Polskiej kładę swe ręce na ten święty Krzyż, znak męki i Zbawienia. Przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczpospolitej Polskiej, stać nieugięcie na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary mego życia.

Prezydentowi Rzeczypospolitej i rozkazom Naczelnego Wodza oraz wyznaczonemu przezeń dowódcy Armii Krajowej będę bezwzględnie posłuszny, a tajemnicy dochowam niezłomnie, cokolwiek by mnie spotkać miało.

Słyszę teraz, jak zewsząd rozbrzmiewają słowa majora Wolskiego:

Przyjmuję cię w szeregi żołnierzy Armii Polskiej walczącej z wrogiem w konspiracji o wyzwolenie Ojczyzny. Twym obowiązkiem będzie walczyć z bronią w ręku. Zwycięstwo będzie twoją nagrodą. Zdrada karana jest śmiercią.

Przed oczami staje mi postać ojca, przypominam sobie jego opowieści o wojnie z bolszewikami, o bitwie nad Niemnem, o tym, jak

salutował przed Marszałkiem w Warszawie, o tym, jak mówił, że tam, w okopach, wśród brudu, błota i trupów, rodziła się polskość, ta prawdziwa, uświadomiona. I nagle widzę przed oczami zastępy metalowych żołnierzy ze znakiem sierpa i młota, nieśmiertelnych, nieznających strachu, pewnie maszerujących na Zachód na rozkaz Stalina.

– Nu, Szaniawski! Czytajcie! – słyszę z góry rozeźlony głos Bykowa.

– Przykro mi, doktorze Bykow.

– Co wy mówicie, Szaniawski?!

– Przykro mi, doktorze. Honor mi nie pozwala.

– Polski durak! Wy uwiditie! My skatujemy was! I to budzie kusze czym smiert'! – Bykow drze się wniebogłosy, niebo zaczynają rozrywać elektryczne wyładowania. Pogodny błękit przemienia się w krwisty ogień, ziemia zaczyna drżeć i rozrywać się, pochłania siedzibę gestapo, wchłania drzewa i krzaki, wszystko pokrywa piekielny ogień.

Podnoszę się i biegnę w kierunku skraju budynku. Halszka stoi tuż za stabilnym fragmentem obrazu. Strzały i krzyki oddalają się coraz bardziej, przekraczam widoczną dla mojego umysłu część świata, wkraczam w to, co nieokreślone, rozmyte, niewyraźne. Słyszę, jak Halszka szepce:

– Adaś…?

Ujmuję jej dłoń. Widzę te niebieskie oczy jak dwa perliste jeziora i kruczoczarną burzę włosów. Uśmiecham się i całuję ją. Pokrywają mnie wyładowania elektryczne, czuję, jak rozrywają moje ciało, jak opada ze mnie skóra, jak znikają mięśnie, jak kruszy się mój szkielet, jak nicość pochłania Halszkę, pochłania dom rodzinny, pochłania ośrodek Audley End, pochłania Mańka, pochłania majora, pochłania cały świat. Wszelkie światło się mroczy i znika, wiedziałom, że zaraz zniknę, czułom siebie coraz mniej i mniej, w końcu światło ostatni raz rozprysło i wszystko zabrał mrok. **Ω**

Wojciech Szyda

Przestrzeń poświęcenia

Eucharystia jest wyrazem i przejawem jednoczącej energii Bożej, która udziela się każdemu z osobna duchowemu atomowi wszechświata

TEILHARD DE CHARDIN

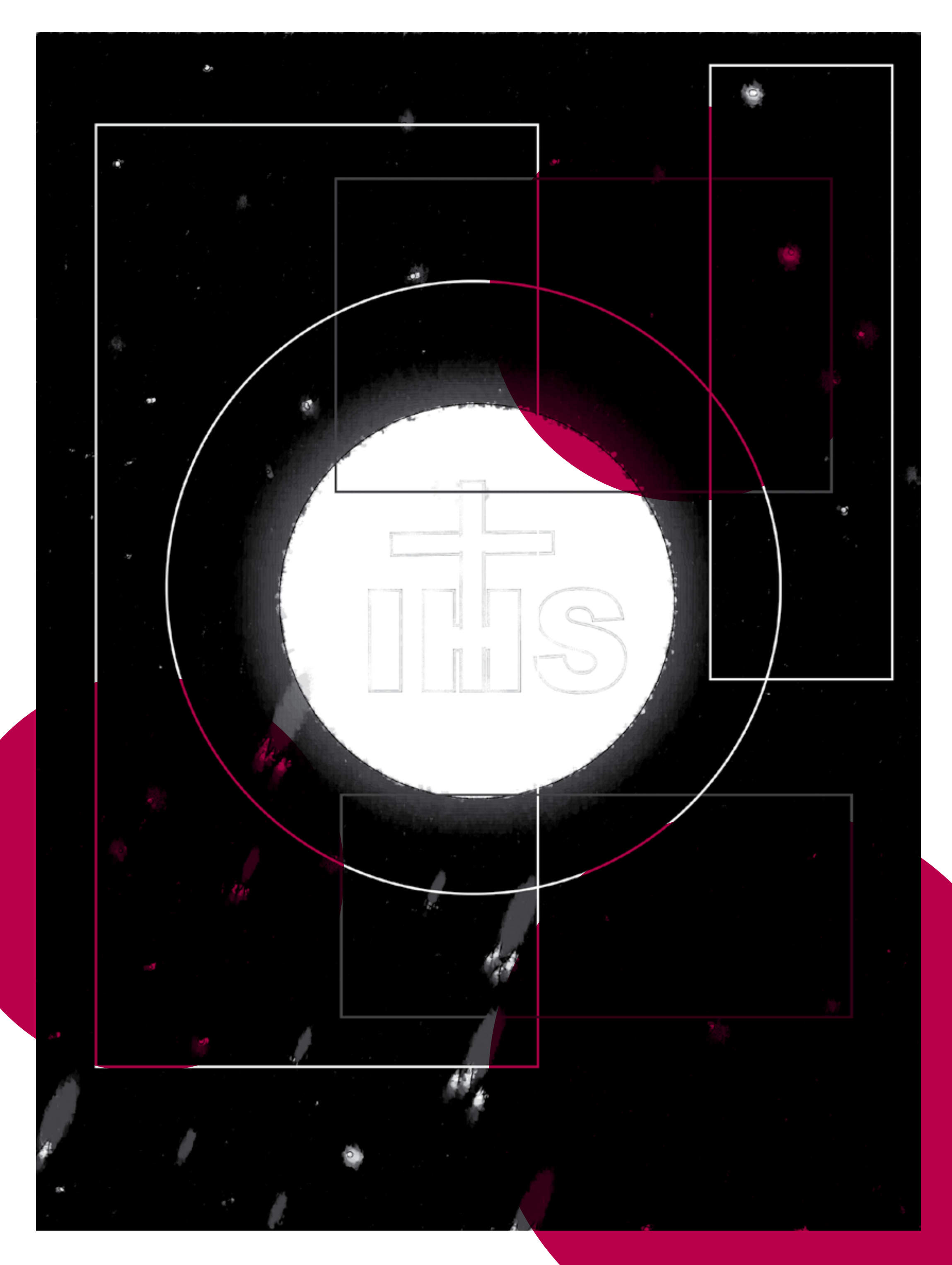
GWIAZDY MAJĄ KSZTAŁT KRZYŻA, choć to nie Krzyż Południa widoczny z niektórych części Ziemi. To przestrzeń kosmiczna – martwa, cicha, gdzieniegdzie gęsta od gwiazd. Prawdziwa rewolucja natury – zniesienie stron świata. Kierunki wiodą wszędzie i nigdzie, tradycyjne punkty odniesienia nie istnieją. Można się orientować tylko względem samego siebie. To obserwator wyznacza strony: jego głowa i to, co ponad nią, jego nogi i ręce – mimowolne kierunkowskazy. Wszystko się nieustannie zmienia: gdy człowiek zamknięty w skafandrze obraca się – wraz z nim obraca się astrografia kosmosu.

Człowiek jest miarą wszechrzeczy, istniejących, że istnieją, i nieistniejących, że nie istnieją.

Ruch na nowo definiujący strony świata – umowne i chwilowe wobec potęgi próżni, gdy pozbawiony wyboru mężczyzna oddala się od stacji.

Człowiek jest miarą nicości, zbiorem pierwiastków – pyłkiem w ogromie wszechświata…

ilustracja: K. Karnkowski


IHS

NIESKOŃCZONA PUSTKA. Cisza i ciemność natury – tej najbardziej chemiczno-fizycznej, zimnej, nieludzkiej.

Jedyny ludzki twór – stacja. Klatka na ludzi zmuszonych do przebywania w niej, by przeżyć. Twarde ściany oddzielają środowisko tlenowe od próżni. Generatory powietrza podtrzymują życie. Nie wszyscy jednak je celebrują. Jeden mężczyzna jest unieruchomiony i kierowany w stronę śluzy. Sześciu innych odprowadza go, idąc technologicznym korytarzem. Kiedy docierają do pierwszej przegrody, zakładają prowadzonemu zamykany hełm na głowę. Wtedy cichną jego modlitwy – mówione na przemian *Zdrowaś Mario* i *Ojcze nasz* – bardzo drażniące pozostałych. Spoza szyby widać oczy i twarz okoloną kilkudniowym zarostem.

Człowiek w hełmie jest przymocowany do kratownicowej konstrukcji. Biorzepy trzymają mocno w trzech miejscach: za barki, za nadgarstki i za stopy. Ręce ma rozciągnięte na boki, nogi złączone.

> JEST TYLKO CHŁÓD, TEMPERATURA ZBLIŻONA DO ZERA ABSOLUTNEGO – I BEZMIAR PRÓŻNI

Kilka par rąk unosi go – i ten prowizoryczny egzoszkielet zostaje ustawiony pionowo, oparty o zewnętrzną klapę ładowni. W kosmicznym kombinezonie mężczyzna nie różni się od reszty. To jednak on zostanie tutaj na czas otwarcia grodzi. Unieruchomiony – z poprzeczną belką wzdłuż rąk. Nawet nie może się przeżegnać. W wymuszonej pozycji spędzi ostatnie minuty życia.

Jest już sam w pomieszczeniu. Wyją syreny, pulsują pulsatory. To znak, że czyjaś ręka wpisała kod odbezpieczający. Kat musi wykonać wyrok. Przegroda ładowni otwiera się na kosmiczną przestrzeń. Jest tylko chłód, temperatura zbliżona do zera absolutnego – i bezmiar próżni. Zaraz ta czerń go wchłonie…

Narzędzie śmierci zaczyna się trząść, obijając się o krawędzie platformy; po chwili coś porywa mężczyznę na zewnątrz – i wgniata w nieludzką czerń…

Przywiązany do krzyża odlatuje w pustkę – ostatnia droga brata Xaviera Louisa z misjonarskiej stacji Scutum II, jego męczeńska śmierć wśród gwiazd.

DO ATAKU NA PLATFORMĘ doszło tuż przed jutrznią, kiedy bracia jeszcze spali. Dowodzący napaścią musieli znać rozkład sztucznej doby zakonników – zorganizowanej wokół godzin liturgicznych, jak

w średniowiecznych klasztorach. Tamta formuła została przeszczepiona do życia w kosmicznej pustce – i sprawdzała się nad wyraz dobrze. Brak naturalnych dni i nocy nie stanowił przeszkody dla kultywowania uświęconego tradycją obyczaju. To dlatego agresorzy wykorzystali moment największego osłabienia – czas odpoczynku, kilka godzin po wieczornej komplecie.

Ksiądz Gotard, gwiezdny misjonarz przebywający na stacji w gościnie, zdołał się uratować. Bandyckie abordaże zdarzały się co pewien czas – stacje misyjne padały łupem kosmicznych piratów. Musiał uciekać korytarzem pod ostrzałem blasterów, wśród obelg i drwiącego śmiechu napastników. Jutrznia spływała krwią – straszna to będzie doba na stacji… Chyba nie zależało im szczególnie na jego śmierci, bo zdołał się wedrzeć do komory ewakuacyjnej, gdzie szybko nałożył kombinezon, następnie wszedł do jednej z kapsuł ratunkowych, odbezpieczył grodzie – i czekał na wyrzucenie w przestrzeń… Tak jak stał – jedynie w stroju duchownego astronauty. Nie miał nawet jak zabrać swoich rzeczy, e-brewiarza, przyborów liturgicznych… Nic, tylko własny strach.

JUTRZNIA SPŁYWAŁA KRWIĄ – STRASZNA TO BĘDZIE DOBA NA STACJI…

System działał. Wszystko odbywało się po kolei – procedury, odliczanie. Minuty zdawały się duchownemu wiecznością. A oni dobijali się do zamkniętych drzwi, choć nie zdołali ich dotąd przestrzelić – wiec chyba już nie dadzą rady…

Kapsułą szarpnęło, ksiądz Gotard z przerażeniem myślał o losie pozostałych braci. Modlił się za nich, choć było za późno, by wrócił. Czy miał prawo uciekać? Również na te rozważania nie było już czasu.

Kapsuła ratunkowa wyleciała w próżnię, wypluta jak czarna skrzynka. Tak właśnie się czuł – jego dusza była czarną skrzynką.

Diody przygasły. Tylko ciemność – i stalowa cisza.

Kapsuła zaczynała dryf, zdana na łaskę lub niełaskę kosmosu – być może nikt nie usłyszy jej sygnału. Wtedy rozbitek będzie musiał się pogodzić z powolną śmiercią.

Ciasne wnętrze – jak karcer albo trumna.

I bezwolny kurs ku nieznanemu.

W TEJ PRÓŻNI MÓGŁ SIĘ TYLKO MODLIĆ; oprócz tego rozmyślał i utrwalał swoje spostrzeżenia. Pozbawiony przyborów piszących,

miał (standardowe wyposażenie hełmu) dyktafon z opcją transkrypcji na e-zapis, więc co pewien czas – dla porządku i dla zapanowania nad chaosem myśli – nagrywał własne refleksje (tylko wtedy, gdy wydały mu się tego warte). Uwięziony w ciasnej przestrzeni i nieubłaganym czasie, najbardziej żałował, że nie będzie mógł odprawić więcej Eucharystii. Przyjąć komunii przed śmiercią. Bo to, że umrze, było bardzo prawdopodobne. Chyba że przechwyci go jakiś statek albo kosmiczna stacja…

Komunikanty zostały na Scutum II. Bał się, jaki spotka je los.

Od tych myśli czasem udawało mu się uciec w sen.

GOTARDOWI ŚNIŁO SIĘ SŁOŃCE oślepiające wiszącego na krzyżu Chrystusa. Ostre światło masakrujące wzrok. Zanim niebo nad Golgotą się zaciągnęło i zapadła ciemność… To fizyczne światło, które wówczas było tak blisko Absolutu, padając na Tego, który sam był Światłością, i emitujące swój blask dalej w kosmos: do innych gwiazd i planet. Światło sprzed ponad dwóch tysięcy lat. Wysyłane z Ziemi z szybkością prawie trzystu milionów metrów na sekundę, po tym jak już otarło się o Absolut, o Mękę Pańską…

Pędziło dalej ku obcym przestrzeniom niczym niematerialny całun: światło, w którym utrwalony został obraz Jego śmierci.

Gotard śnił, że stoi pod krzyżem i próbuje zasłonić Zbawiciela swoim ciałem. Na próżno. Podnosił ręce, lecz stał za nisko, a rzymscy żołnierze odpędzali go włóczniami. Sen zaczynał zamieniać się w koszmar. Zrozpaczony Gotard sam wystawił twarz na Słońce, by doświadczyć współcierpienia z Odkupicielem – ostatecznie musiał się pogodzić z koniecznością Jego Męki, tak aby Zbawienie mogło się dokonać. Dokonywało się cały czas w pełnym świetle gorącego judejskiego słońca. I to światło zaczęło coraz mocniej razić również miotającego się w koszmarze Gotarda…

Okazał się nim sztuczny blask oświetlający mu twarz.

Obudził się pod jego wpływem.

WCIĄŻ TKWIŁ W KAPSULE, klaustrofobiczne wnętrze było oświetlone. Moc luksów zdecydowanie powyżej normy bezpieczeństwa dla człowieka. Ksiądz zamknął oczy, żeby nie oślepnąć. Następnie delikatnie rozchylił powieki, by sprawdzić stan jasności – czuł, że

kapsułą mocno szarpie, jakby się zaraz miała rozpaść, że coś ją przyciąga. Z przerażeniem pomyślał, że dostał się w koronę żaru jakiejś małej gwiazdy – i zaraz spłonie... W kabinie nie było jednak gorąco. Czujniki temperatury pozostawały spokojne. W dodatku spoza rażącego zewsząd blasku majaczyły jakieś kształty, na tyle, na ile mógł je dostrzec przez szpary w powiekach; były widoczne za szybą kapsuły: geometryczne, kanciaste, sztuczne. Fragmenty statku? Oby tylko nie szedł na zderzenie z jakąś opuszczoną kosmiczną platformą, która złapała go w swoje pole grawitacyjne...

Nagle szarpnęło, rozległ się metaliczny wizg, a później wszystko ustało: i ostre światło, i wstrząsy.

Złowieszcza cisza. Wzrok dostosowywał się powoli. Zza szyby widać było zamkniętą przestrzeń. Szare ściany, sufit, lampy. Gotard przeżegnał się. Jego kapsuła ratunkowa trafiła na jakiś pokład. Statku albo stacji. Jednak wyświetlacze przyrządów astrograficznych zwariowały, odmawiając autolokalizacji. Pokazywały za to niezrozumiałe ciągi liter i cyfr.

Gotard nie miał pojęcia, gdzie się znajduje.

A jednak, przypuszczalnie, ocalał – i zostanie mu udzielone prawo pomocy (jeżeli tylko trafił na legalny obiekt).

Bogu niech będą dzięki!

SIEDZIAŁ PRZED NIM JAK NA TRONIE.

Z wyglądu całkiem przeciętny, rozpięta marynarka o barwie stali, szara koszula, nogi oparte o tytanowy podest. Czarne spodnie i czarna opaska na głowie – pełna bioelektrycznych aplikacji pozwalających na bieżąco kontrolować procesy myślowe i porządkować umysł. Król po godzinach, lekko znużony władca kawałka wszechświata – tajnego układu, do którego trafiła kapsuła ratunkowa księdza Gotarda.

– Bogu niech będą dzięki – rzekł przed chwilą i chyba właśnie te słowa wywołały pełne dezaprobaty milczenie.

Tron, krzesło władzy. To się wyczuwało. Architektonicznie było nietypowe: rozwiane kępy traw zastygłe w zamrożonym powietrzu. Technologia pneumatycznego czesania stali – stwierdził ze znawstwem Gotard; pamiętał podobny ołtarz na jednej ze stacji misjonarskich.

Bogu niech będą dzięki – słowa zdawały się jeszcze rezonować w pomieszczeniu; odbijały się także w ich umysłach.

– A więc twierdzisz, że cię uratował? – mężczyzna zmierzył Gotarda pogardliwym spojrzeniem. A przynajmniej – to byłaby wersja dla księdza łagodniejsza – wzrokiem pełnym niedającego się ukryć sceptycyzmu.

– Oczywiście tobie również dziękuję. Nie wiem, jak mam się zwracać…

– Milcz.

Speszony Gotard spuścił oczy i skierował wzrok ku czubkom czarnych butów mężczyzny. Czerwone żyłki upodabniały je do wulkanicznej lawy. Obuwie indukcyjne, zapewniające kontakt z systemem operacyjnym statku – Gotard słyszał kiedyś o czymś takim; nosząca je osoba mogła zawiadywać w czasie rzeczywistym wszystkimi operacjami na terenie obiektu.

W pomieszczeniu po obu stronach były drzwi. On sam wszedł tymi z lewej, patrząc od strony „tronu". Drugie były ich lustrzanym odbiciem; oświetlała je identyczna czerwona strzałka.

– Masz zwracać się do mnie bez żadnych mitycznych odwołań… Jesteś kapłanem?

– Tak.

– To świecki statek. Całkowicie świecki. Tak jak przestrzeń wokół niego. Jest czysta i neutralna. Musisz to uszanować. Zabobony nie mają tutaj wstępu. Pod żadną postacią.

– Komu więc zawdzięczam ocalenie?

– Przypadkowi. I technologii tego habitatu. Ja jestem na trzecim miejscu.

Pauza, zapewne celowa.

– Nazywam się Rosso Sohnbrand.

BUDOWNICZY ATEISTYCZNEJ SPOŁECZNOŚCI NA AUTARKICZNEJ PLATFORMIE MORSKIEJ

GOTARD PAMIĘTAŁ, jeszcze z Ziemi, zanim wyruszył z misją. Rosso Sohnbrand, inwestor, miliarder, filantrop wspierający różne projekty społeczne. Budowniczy ateistycznej społeczności na autarkicznej platformie morskiej. Zdaje się, że finansował także tzw. nową etykę spod znaku kontynuatorów myśli Petera Singera… Chyba faktycznie zniknął na jakiś czas (jeszcze zanim Gotard opuścił Ziemię), wywołując tym falę domysłów – mówiło się o jego ciężkiej chorobie lub nawet śmierci. Jak widać – żył, ukryty w gwiazdach.

Wtedy rozległ się cichy dźwięk – miękkie przypomnienie, któremu towarzyszyło pulsowanie czerwonych diod przy liniach dylatacyjnych podłogi. Sohnbrand dotknął palcem opaski na czole. Na chwilę zamknął oczy – po czym uśmiechnął się i wstał z „tronu". Jedna ze ścian zmieniła się w wielki ekran. Rosso podszedł tam, a indukcyjne podeszwy nawiązały kontakt z system operacyjnym habitatu. Zaprosił Gotarda, wskazując mu miejsce przy wielkiej szybie wychodzącej na przestrzeń kosmiczną. Mały taras widokowy.

Nieco speszony ksiądz stanął dwa metry od rozmówcy. Wtedy Sohnbrand poprawił jakość transmisji i pośrodku ekranu ukazał się dość wyraźny obraz. Obiekty, zbiór obiektów – mnóstwo identycznie wyglądających kapsuł, jakby wiszących w próżni. Gotard patrzył zdumiony.

– To mój nowy projekt – coś, czego nie będziesz w stanie pojąć i zaakceptować.

Spoglądali obaj w milczeniu.

Jedyne skojarzenia, jakie miał Gotard, były natury liturgicznej. Słyszał o wysyłanych w przestrzeń tytanowych kapsułach z Najświętszym Sakramentem. Każda stanowiła kosmiczne tabernakulum. Zamykano w nich, z największą czcią, konsekrowane hostie i ampułki z winem, a następnie ekspediowano w stronę obcych konstelacji. Towarzyszył temu specjalny obrzęd. Takie kapsuły wędrowały niczym sondy. Już samą obecnością ukrytego w nich Chrystusa uświęcały kosmos, miały jednak także inne zadanie – w razie czego powinny służyć pomocą misjonarzom przebywającym z dala od Ziemi. Było to pokłosie starego problemu: skąd brać komunikanty w kosmosie? W tym wypadku przed profanacją chronił je kod zabezpieczający – tylko misjonarze potrafili otworzyć kapsuły, dezaktywując zabezpieczenia. Ich gwiezdne statki miały również specjalne wykrywacze kosmicznych tabernakulów. W razie czego można więc było zdalnie przeprowadzić procedurę ściągania cennego obiektu na pokład, tak by konsekrowany ładunek został użyty przy udzielaniu sakramentów na odległych statkach, habitatach lub naturalnych obiektach astronomicznych. Nierzadko kapsuły były jedynym źródłem darów eucharystycznych – na pewno zaś źródłem awaryjnym, swoistym sakramentalnym kołem ratunkowym dla dusz uwięzionych w kosmosie – ratunkiem dla

SKĄD BRAĆ KOMUNIKANTY W KOSMOSIE?

wszystkich, którzy pragnęli uświęcać samych siebie szlachetnym rytuałem. Najświętszy Sakrament wśród niedostępnych przestrzeni – taka była idea towarzysząca posyłaniu tytanowych tabernakulów w międzygwiezdną pustkę.

Ale tym razem kapsuły okazały się czymś zupełnie innym.

SOHNBRAND SKOŃCZYŁ WYJAŚNIAĆ. Nawet zachęcał do zadawania pytań – jakby dotarcie transportu wprawiło go w dobry humor.

Ksiądz Gotard był zszokowany.

Dziesięć tysięcy kapsuł plus tysiąc zapasowych. W każdej zamrożona komórka jajowa. Każda pobrana od dziewicy.

– Z nich narodzi się nowe społeczeństwo. Jego członkowie nigdy nie usłyszą o Bogu. Po prostu nie zetkną się z tym szkodliwym konceptem.

– Te biedne dziewczyny z Ziemi… Czy one o tym wiedzą?

Rosso Sohnbrand skrzywił usta.

– Uczciwie zapłaciliśmy. One i ich rodziny tylko na tym zarobiły.

– Ale…

– Masz na myśli instynkt macierzyński? Spokojnie, to nawet nie zygoty, tylko komórki jajowe. Wszystko legalne w świetle ziemskiego prawodawstwa. I żadnych dwuznaczności etycznych jak przy surogatkach. Młode kobiety z różnych ras i kultur, przeważnie z biednych środowisk, ale zawsze zdrowe. Przebadaliśmy je dokładnie. Siła natury jest zamknięta w tych kapsułach. Żadnych wad i chorób genetycznych. Zalążki przyszłej potęgi życia.

– Rozumiem, że ojcowie…

– Z pobraniem plemników nie było tylu ceregieli, to znacznie tańsze i prostsze. Wykupiłem udziały w kilku bankach spermy. Każda partia przeszła wnikliwe badanie. Połączymy oba materiały, żeński i męski, i wyhodujemy zarodki w naszych wylęgarniach. Wszystko pozaustrojowo. To będzie nowa ludzkość. O Bogu nawet nie usłyszą.

Sohnbrand zdawał się pęcznieć z dumy.

Gotard zastanowił się chwilę.

– A jeśli sami wytworzą pojęcie Boga?

– Uznam to za chorobę psychiczną. Wdrożę terapię. Ale to wariant bardzo mało prawdopodobny. Poza tym na pewno nie dojdą w ten sposób do koncepcji waszego bóstwa…

Gotard zamilkł na chwilę, drapiąc się w szczękę.

– A pan, panie Sohnbrand? Pan nie chciałby być ojcem?

– Wyzbyłem się tego biologicznego imperatywu.

– Więc kim pan dla nich będzie?

– Przywódcą. Nauczycielem. Pierwszym wśród równych.

– Bogiem?

Trochę speszył się na te słowa. Odpowiedział Gotardowi dopiero po długiej chwili:

– Pan naprawdę myśli, że nie brałem tego pod uwagę?

– Tylko pytam.

– Nigdy nie dam im pretekstu, by doszukiwali się w mojej osobie cech boskich. Starożytne skłonności do deifikacji są mi obce. I nie będą miały tutaj wstępu. Owszem, pozostawię sobie władzę nad habitatem. Czysto świecką, opartą na sile i wiedzy. Poza tym będę jednym z nich.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

– Wierzy pan w bajkową rzeczywistość, a trudno panu pojąć wizję społeczeństwa przyszłości?

– Znam naturę ludzką. Od tysięcy lat mój Kościół nie ma co do niej złudzeń…

– Zawsze tłamsiliście naturę.

– Nieprawda.

– Prawda. Ale ja nie chcę budować utopii.

– Pan również jest wpisany w tę naturę. Poza nią w ogóle nie ma pana – kontynuował swoją myśl Gotard, jakby nie słysząc słów Sohnbranda.

– Przyjdzie czas, to zerwę z moją biologiczną powłoką – odparł tamten. – Projekt jest zaawansowany. Przepisanie umysłu na statek jest już możliwe. Będę ich mózgiem pomagającym żyć i rządzić się według nowoczesnych reguł.

– Czyli jednak bogiem.

– Nie, to wy nie możecie się uwolnić od tego pojęcia. Moja moc będzie oparta na doświadczeniu i technice, na kontroli i w razie czego koniecznej interwencji, ale nie na czynniku nadprzyrodzonym.

– Chce pan być bożkiem immanentnym.

– Skończmy ten dialog.

Jedenaście tysięcy komórek jajowych zawieszonych w próżni, każda zanurzona w temperaturze minus 196 stopni Celsjusza

Na holowyświetlaczu wciąż widać było wizualizację transportu wykrytego przez sondy. Rój tytanowych kapsuł. Scalony mikrograwitacyjnymi oddziaływaniami zbiór zamrożonych jajeczek, ukrytych w ciekłym azocie. Na specjalne polecenie Sohnbranda każda komórka wędrowała osobno. Symbol i majestat? Chyba tak, technicznie było to jednak możliwe i stosowane w praktyce. Transport ławicowy, niewymagający statków, a polegający na kosmicznej translokacji rzeczy zamkniętych w superszczelnych i superwytrzymałych opakowaniach. Dzięki sile spajającej wykorzystującej grawitację pozwalało to na podróż roju między planetami. Przeskoki świetlne też były dobrze znoszone.

Gotard nie mógł się z tym pogodzić.

– Wie pan, co mi to przypomina, panie Sohnbrand? Urny na prochy… To nie będzie świt nowej ludzkości, ale jej pogrzeb.

– To wy jesteście jej pogrzebem. Ceremonię rozciągnęliście na ponad dwa tysiące lat. Ale to powoli dobiega końca, coraz mniej was przy tej trumnie, goście się rozchodzą… – odparował władca stacji.

I zaśmiał się sucho.

A jednak wyruszyliśmy w kosmos… – pomyślał Gotard. Mimo malejącej liczby wiernych. Liczby. Smutek i symbolika liczb. I zaraz pomyślał o kapsułach Sohnbranda. Dziesięć tysięcy plus tysiąc sztuk zapasu. Jedenaście tysięcy komórek jajowych zawieszonych w próżni, każda zanurzona w temperaturze minus 196 stopni Celsjusza. Coś mu to przypominało, ale nie był sobie w stanie przypomnieć, co takiego…

Władca stacji wyjaśnił, że taka liczba jest optymalna z punktu widzenia koniecznej różnorodności przyszłej populacji. Należało wykluczyć ryzyko chowu wsobnego. Wszystko dla dobra puli genetycznej i jej przyszłego rozwoju. Cały proces będzie dziać się w laboratoriach, by uniknąć powielania starych błędów, i aby nowa ludzkość jak najmniej przypominała starą. Żadnych rodzin, nawet nieformalnych związków. Główną więzią ma być relacja człowieka z habitatem. Ludzki system operacyjny miał działać bez zarzutu.

PO TYM POKAZIE GOTARD został potraktowany dość szorstko. Sohnbrand nakazał mu opuścić salę i zjeść posiłek. Wszystko odbyło się pod bacznym okiem tech-bota. Następnie został wtrącony do czegoś w rodzaju audiowizualnej celi. Na ekranach nieustannie

wyświetlał się teledysk ukazujący szkielet kosmonauty, czaszkę niesioną w pogańskiej procesji na obcej planecie, trans półnagich tancerzy oraz obrzydliwą sekwencję z parodią ukrzyżowania (trzech brodatych wariatów z obłędem w oczach wiło się na krzyżach jak ożywione słomiane kukły). Był też obecny bluźnierczy prorok Czarnej Gwiazdy. Księgę z tym symbolem ukazywał zebranym akolitom. Czarna Gwiazda powoli przejmował władzę nad duszami. Z głośników płynęła niepokojąca muzyka i mroczne słowa o samotnej świecy w Domu Węża i wcielaniu się w Czarną Gwiazdę.

Mijały godziny. W całym pomieszczeniu nie było mebli, więc Gotard położył się na podłodze (też szklanym ekranie – obrazy były wszędzie). Próbował zasnąć. Na szczęście muzyka nie była przesadnie głośna. Nie wiedział, na jak długo został zamknięty w tej wizualno-dźwiękowej klatce, gdzie poddawano go swoistym torturom. I w jakim właściwie celu? Obawiał się, że chodzi o pranie mózgu poprzez aplikowanie okultystyczno-bluźnierczej symboliki. Na dłuższą metę mógł od tego postradać zmysły. Z zamkniętymi oczami próbował się modlić.

Słońce, gwiazdy, omdlewają,
Żałobą się pokrywają…

Ciało zwinięte na podłodze, a wokół migające obrazy, niczym pandemonium na starych malunkach przedstawiających kuszenie św. Antoniego.

Ruchome zdjęcia, mroczna muzyka.

Płaczą rzewnie aniołowie,
Ach, któż ich żałość wypowie?

Gotard próbował myśleć o innych księgach i procesjach…

GDY WRESZCIE ZASNĄŁ, przyśniła mu się mała planeta. Na jej powierzchni odbywała się uprawa hostii. Opłatki wyrastały niczym pojedyncze kwiaty, ich falujące grządki ciągnęły się po horyzont. W strumieniach płynęło białe wino – winne grona porastały nasłonecznione zbocza, zrywane przez ptaki przypominające kolibry. Swo-

imi dziobkami wrzucały je w szpary w skałach do miejsca, w którym następowała fermentacja i gdzie wino trafiało do źródła, z którego brały się strumienie nawadniające żyzne pola... Wizja była piękna i niedorzeczna zarazem. Niczym marzenie Izraelitów o krainie płynącej mlekiem i miodem – produktach niewymagających ludzkiej pracy. Opłatki w kształcie hostii oraz wino – coś więcej niż dary Ziemi Obiecanej, nośniki Ciała i Krwi, wymagające wcześniejszego przetworzenia: zmiażdżenia ziaren i fermentacji winogron. A jednak tutaj, na onirycznej planecie, w cudowny sposób od razu nadawały się na dary eucharystyczne. Z punktu widzenia kosmicznych misjonarzy byłaby to planeta-marzenie, przystań zapewniająca zapasy komunikantów z dala od Ziemi. Senne marzenie botaniczno-eucharystyczne, piękne w swojej delikatnej surrealności, niegodzące przy tym w cześć należną Zbawicielowi. Sen, z którego Gotard nie chciał się obudzić.

ALARM ROZLEGŁ SIĘ po tym, jak przy dokach habitatu zmaterializował się nowy obiekt. Poprzez fluktuację Webera na zmarszczkach grawitacyjnych zakołysała się kapsuła ratunkowa.

– Kolejna anomalia – zasygnalizował tech-bot. – Niespodziewane zagięcie promienia Schwarzschilda.

– To dlatego ich przejmujemy – skomentował Sohnbrand. – Najpierw ten cyrk z misjonarzem, teraz to!

I zaklął pod nosem. Bąbel grawitacyjny, w którym udało mu się ukryć habitat, działał jak pułapka – zabezpieczony przed ucieczką na zewnątrz, zaczął wyłapywać – ściągając grawitacyjnie – małe sztuczne obiekty, które weszły na skraj horyzontu zdarzeń. Wnikały do bąbla, ale nie mogły go samodzielnie opuścić. Coś takiego nie powinno mieć miejsca, jednak fale grawitacyjne zakłócały stabilność układu. I wtedy do ukrytego wymiaru trafiali nieproszeni goście.

Fluktuacje Webera ustały i obiekt zaczął się wygładzać, zyskując stabilność. Po chwili w ogóle znieruchomiał. Dok otworzył się automatycznie – i wciągnął kapsułę.

Sohnbrand liczył, że na pokładzie nikogo nie będzie, a jeśli nawet – to że ewakuujący się pasażerowie zmarli. Żadnego zakłócania jego przestrzeni przez kolejnych ludzi. Tylko on – i tech-boty oraz inteligentny system stacji, tak jak miało być od początku. Nikt więcej nie powinien przebywać w przestrzeni, która miała stać się miejscem

narodzin nowej ludzkości. A właśnie teraz, i to zaledwie kilka godzin po zadokowaniu roju z cennym ładunkiem, na stację wpieprzał mu się kolejny nieznany obiekt. Teoretycznie Sohnbrand musiał przestrzegać procedur i obowiązywało go prawo udzielania pomocy – na szczęście tylko teoretycznie. Jego habitat był utajniony; jedynym prawem pozostawał on sam, Rosso Sohnbrand: jego wola była jedynym źródłem nakazów i zakazów. Inaczej to wszystko nie miałoby sensu. Dlatego żadne ludzkie istnienie nie mogło być ważniejsze od czystości tej przestrzeni – świeckiej, pierwotnej, nieskażonej. Miała być ona kolebką przyszłych pokoleń, całkowicie wolnych od religijnych zabobonów.

– Mamy obiekt w doku czternastym – poinformował system. Sprzęgnięty z umysłem Sohnbranda czekał na myślne dyspozycje.

Na razie sprawdzamy.

– Tak.

Detektory zrobiły biotest.

– Są ślady życia.

A niech to szlag…

– Nie rozpoznano treści rozkazu.

I całe szczęście. Nie, to nie był rozkaz – uspokoił Sohnbrand.

Na myśli trzeba było uważać.

– Kamery termowizyjne włączone. Skanery DNA nakierowane.

Dobrze.

Przeciągnął palcem w powietrzu, rysując ekran holowizyjny.

Są ludzie?

– Tak.

Ilu?

– Liczba obiektów: jeden. I dwa obiekty z gatunku *canis familiaris* – scyborgizowane…

Zabić od razu czy poczekać? I wydalić po udzieleniu pomocy. Gaz byłby najszybszy… – Sohnbrand wyłączył tryb dyspomyślni, snując te rozważania. Oho, zaraz pojawią się obrazy…

– Psoboty – zaklął pod nosem.

– Tak – potwierdził system. – Zlikwidować?

– Zaczekaj.

Przez otwartą śluzę do wnętrza doku weszła młoda kobieta. Miała na sobie biały kombinezon, z czoła wystawał jej organiczny diadem.

Wydawała się przerażona. Widział ją dobrze na holo, ona widziała tylko ciasne ściany.

Pierwszy nawiązał kontakt psobot. Jego system komunikacyjny zwrócił się do stacji z krótkim komunikatem:

– Jej wysokość księżniczka Lira ocalała z wybuchu statku Armoryka 1 prosi o udzielenie pomocy.

Gorzej być nie mogło, pieprzony kosmiczny feudalizm… – zaklął Sohnbrand w myślach. Słyszał o tych nowych strukturach opartych na dawnych wzorcach, organizujących życie enklaw. Były dostarczane jako socjotechniczny software w pakietach terraformacyjnych. Stare tytuły wracały do łask. *Przejaw tego, że ludzkość zjada własny ogon* – uznał Rosso. Tego właśnie chciał u siebie za wszelką cenę uniknąć.

Wrócił do trybu dyspomyślni. Mógłby ich teraz zabić – ją i psoboty – jedną myślą. Wystarczyło odpowiednio silne polecenie, by system rozpylił gaz…

Czemu tego nie robię?

– Brak trybu rozkazującego. Treść nierozpoznana – zakomunikował komputer.

– W porządku.

Wtedy spojrzał w holo, robiąc zbliżenie. Niepotrzebnie. Księżniczka Lira stała w środku kamer. Sferyczny przekaz sączył do oczu Sohnbranda truciznę: twarz tak piękną, że aż zaniemówił, a jego myśli jakby zamarzły. Stał, milcząc podwójnie: w mowie i umyśle.

Tym razem odezwała się ona sama:

– Jestem Lira, księżniczka układu dwugwiazdy LRQ-77. Na pokładzie mojego statku miał miejsce wybuch. Podejrzewam próbę zamachu. Proszę o udzielenie pomocy.

Sohnbrand westchnął.

Dyspomyślnia czekała na rozkazy.

Na wszelki wypadek wyłączył ten tryb.

Gaz – pomyślał sekundę później. *Gaz*. Ale było już za późno – łącze nie działało…

Wiedział, że powinien ich zgładzić tu i teraz, bo później będzie tylko gorzej. Przemawiały za tym i pragmatyzm, i humanitaryzm. A jednak nie mógł…

Ona też nie może poznać tajemnicy mojego habitatu. Z tamtym jakoś sobie poradzę, już jest skazany, lecz ona…

Czuł, że będzie miał twardy orzech do zgryzienia.

Na razie wciąż patrzył. Psoboty usiadły z obu stron swej pani.

Da jej przeżyć. Wiedział, że to słabość, ale… To nie była zwykła ludzka istota.

Zbliżył obraz ponownie. I wtedy to zobaczył.

Na krótkim łańcuszku okalającym szyję widniał krucyfiks.

Kolejny zoom. Na diademie był symbol Matki Boskiej Planetarnej.

Tutaj – w jego przestrzeni!

Jestem chory – pomyślał.

A ona położyła dłonie na głowach psobotów i czekała.

Sohnbrand włączył tryb słowny. Wiedział, że okazuje słabość.

– Wpuścić ją do środka.

Poczuł się, jakby wpuszczał śmierć.

EKRANY NA ŚCIANACH, suficie i podłodze były tylko ciemnymi powierzchniami. Obrazy wygasły. Głośniki milczały. Gotard przeżegnał się, wstając szybko. Senna wizja, jakże słodka i błoga, zdołała wymazać z pamięci większość bluźnierczych wizualizacji. Pamiętał tylko ich strzępy; choć bezgłowy szkielet w skafandrze kosmonauty lecący w próżni niepokoił go i siedział w mózgu jak zadra… Falujące na delikatnym wietrze hostie były jednak niczym psychiczne bandaże. Dzięki nim czuł wewnętrzną równowagę.

Uniósł lekko dłonie – i zaczął się modlić.

Zdążył trzy razy zmówić *Ojcze nasz*, gdy jeden z ekranów się rozsunął. W otwartym wejściu stał tech-bot ze strzykawką na metalowym wysięgniku. Padła krótka komenda i Gotard zrozumiał, że ma iść za nim wąskim korytarzem.

WESZŁA DO SALI SZYBKO i pewnie, choć wiedziała, że jej sytuacja może być trudna. Miała prawo oczekiwać pomocy, tak nakazywały kosmiczne konwencje, kto jednak wie, dokąd trafiła? Dręczyła ją myśl, że ludzie zawiadujący stacją mogą mieć coś wspólnego z organizatorami zamachu na Armorykę 1…

Na razie wygasili jej kontakt z psobotami, choć były częścią świty – parą obrońców i heroldów. Korona nie odbierała żadnych sygnałów.

Siedział przed nią jak na tronie – znudzony władca świata. Rozpięta marynarka o barwie stali, szara koszula, nogi oparte o tytanowy

podest. Czarne spodnie i czarna opaska na głowie – pełna bioelektrycznych aplikacji pozwalających na bieżąco kontrolować procesy myślowe i porządkować umysł.

– Nie znam protokołu – oznajmił. – Nie przestrzegam go, więc nie będziemy się bawili w konwenanse i tytulaturę – zaczął, a Lira milczała.

– Nie wiem, kim pan jest, oczekuję tylko pomocy – oznajmiła. – Zgodnie z prawem podróży.

– Nie uznaję żadnych praw.

– Pirat? – spytała przerażona.

– Nie, wolny człowiek. Nie znajdujemy się w żadnej znanej przestrzeni, to ukryty wymiar, gdzie nie obowiązują ludzkie prawa.

– Mimo to potrzebuję pomocy. Chcę wrócić, skąd przybyłam.

– A nie tam, dokąd zmierzałaś? – celowo mówił jej na ty, ignorując książęcy tytuł. Lira parsknęła.

– Nie wiem, kim jesteś, ale nie twoja sprawa, jaki był mój cel. Dokonano zamachu, z trudem uszłam z życiem. Widziałam, jak ścigają moja kapsułę, ale wtedy… Stało się coś dziwnego. Jakiś kolaps – i ocknęłam się po drugiej stronie, przy tym habitacie.

– A więc zawdzięczasz mi życie.

– Ty mnie uratowałeś?

– Nie bezpośrednio. To jakaś anomalia przy granicy mojej kryjówki… Ale dzięki niej zniknęłaś z oczu pościgowi.

– Jak się nazywa sprawca tego wszystkiego?

– Rosso Sohnbrand.

Wkładał w tę rozmowę dużo silnej woli. Nastawił program motywujący na maksa, podkręcił asertywność, zagłuszył skrupuły. Aplikacje robiły, co mogły. A jednak czuł, że coś się kruszy…

– Usiądź, proszę – nacisnął klawisz i krzesło wysunęło się z podłogi.

Usiadła w milczeniu, spuszczając wzrok.

– Co ze mną będzie?

– Jesteś chrześcijanką?

– Jestem. Moja planeta została sterraformowana z software'em feudalno-katolickim.

– Planeta agrarna?

– Tak.

– Wiesz więc, że chodzi tylko o dostosowywanie społeczności – zapewne uległość poddanych pracujących w ksenorolnictwie.

– Chodzi o coś więcej.

– Czyżby? – zaśmiał się sucho.

– Wiara to podstawa wszystkiego.

– Którym jesteś pokoleniem?

– Trzecim. Mój dziadek wprowadzał pakiet, gdy brał planetę w zarząd.

– Typowe – zakpił Sohnbrand. – On to zrobił z przyczyn pragmatycznych, ale już następne pokolenia szczerze wyznają te zabobony…

– Nie mów tak.

– Zrozumiałbym, gdyby tylko osadnicy. Ale warstwa wyższa?

– Nie zabronisz mi.

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Dlaczego tak piękna kobieta zamiast zwykłych ozdób nosi staroświeckie znaki? Masz pecha, bo trafiłaś do przestrzeni, która ma być wolna od wszelkich symboli religijnych.

Spuścił wzrok, jakby bał się patrzeć – i na nią, i na te symbole.

– Nie zdejmę ich.

– Nie zdejmiesz, bo nie możesz? Mogę ci pomóc. Rozumiem, że ten bioniczny diadem jest sprzęgnięty…

– Nie zdejmę, bo nie chcę. Wierzę w to, co przedstawiają.

Moja planeta została sterraformowana z software'em feudalno-katolickim

Sohnbrand czuł, że mimo fascynacji jej urodą narasta w nim niechęć do jej poglądów. Aplikacje robiły, co mogły, utrzymując wysoki poziom asertywności.

– Będziesz musiała je zdjąć – wypalił, zbliżając swój głos do groźnego syku.

Księżniczka wodziła palcem po krzyżyku. Matka Boska Planetarna na diademie milczała wraz z nią.

Rosso spojrzał na drugie drzwi – naprzeciw tych, którymi weszła Lira. Coś mu się przypomniało.

– Przemyślisz to jeszcze raz, feudalna ślicznotko. W tym celu wrócisz do poczekalni – i otworzył śluzę.

Lira, lekko roztrzęsiona (nikt jej tak nigdy nie traktował), wyszła czym prędzej. Łącze na diademie wciąż nie odbierało sygnałów od psobotów. Chciała zaapelować o ich zwrot, ale było za późno – przegroda zamknęła się i znowu była sama w korytarzu oświetlanym diodami.

DRZWI SIĘ ROZSUNĘŁY i tech-bot nakazał księdzu Gotardowi przejść z poczekalni do „tronowej" sali. Sam zniknął we wnęce przy naprzeciwległym wejściu.

Gotarda zdziwiło puste krzesło pośrodku. Sohnbrand siedział dziwnie poirytowany; wpisywał coś palcem w czarną opaskę, którą zdjął z czoła. Zapewne synchronizował aplikacje. Na widok rozmówcy włożył ją z powrotem.

– Usiądź.

Gotard poczuł nikłą woń. Zachował to dla siebie.

– Czy udzieliłbyś mi ślubu? – zapytał, nie robiąc żadnych wstępów, Rosso Sohnbrand.

Gotard zdębiał.

– To pytanie teoretyczne?

– Nie, całkiem praktyczne – zaśmiał się władca stacji. – Coś mi przyszło do głowy. Gdybym chciał wziąć ślub z osobą, dla której byłoby to ważne. Warunkowałoby jej zgodę na fizyczny kontakt... Mógłbym na to liczyć?

– Małżeństwo to sakrament – odparł zdumiony Gotard. O czym on w ogóle mówił?

– Dla mnie nie.

– Nie mogę go udzielić, wiedząc z góry, że byłoby nieważne – mamrotał Gotard, wciąż zaskoczony tematem. – Poza tym...

– Co: poza tym?

– Ta stacja ma być wolna od działania sakramentów i stosowania sakramentaliów, tak słyszałem, więc... dlaczego?

Sohnbrand machnął ręką.

– Ma być wolna i będzie. To tylko zaklęcia i symbole. Nic nie znaczą. Powiedzmy, że mógłbym je wyjątkowo dopuścić, skoro i tak ich skutki nie istnieją...

– Sakramenty są realne – zaoponował Gotard.

Sohnbrand go zignorował.

– A gdybym zaproponował pewien układ? Wiem, że zależy ci na możliwości sprawowania... – zawiesił głos, jakby nie mogło mu to przejść przez gardło.

– Eucharystii – dopowiedział ksiądz.

– Tak, święty opłatek i tak dalej. Załatwiłbym jedną kapsułę z tych wędrujących w przestrzeni. Mógłbyś odprawić mszę.

– A w zamian?…

– Tak, w zamian udzieliłbyś mi ślubu.

Czy Sohnbrand go tylko testował? Czy mówił prawdę? Gotard próbował na szybko analizować różne warianty. Rozważać „za" i „przeciw".

– Nie. To niemożliwe – wyszeptał w końcu.

Rosso Sohnbrand popatrzył na niego dziwnym wzrokiem. Uniósł się na poręczach fotela.

– A więc zginiesz, nie odprawiwszy więcej mszy.

Gotarda zatkało. Nie miał jednak czasu na ripostę, gdyż z bocznych drzwi wyszedł tech-bot i nakazał mu opuścić salę.

– WEJŚĆ.

Księżniczka Lira niechętnie wracała przed oblicze Sohnbranda. Chętnie jednak opuszczała poczekalnię. Wcześniejsza obecność w niej tech-bota była irytująca. Bała się, widząc strzykawkę z igłą w jego wysięgniku.

– Przemyślałaś sprawę tych symboli, które nosisz? – władca stacji przeszedł od razu do sedna.

Lira usiadła.

– Chcę je nosić. Mam prawo.

Zmarszczyła nos. Czy ktoś inny siedział przed chwilą na tym krześle?

– Tutaj ja jestem prawem.

– Jesteś tylko człowiekiem.

Zapadła cisza.

– Ty również. Dlatego zapytam: zdjęłabyś je przed nocą poślubną?

– Co za pytanie? – Lira zrobiła wielkie oczy.

– Nieważne – machnął ręka Sohnbrand. *Po co ja się w to bawię? Przecież mogę inaczej… Właściwie powinienem ich zabić jak najprędzej. W poczekalniach. Wystarczy wysłać tech-boty z trucizną. I byłoby po kłopocie.*

Programy myślowe działały.

Postanowił jeszcze pograć w tę grę.

– Mam na stacji jednego księdza. Trafił tu przypadkowo, jak ty. Sformułuję to tak: nie masz żadnych szans na ocalenie. Jesteś całkowicie zależna od mojej woli. Wyobraź sobie, że trafiłaś na dwór wro-

giego władcy. Despoty, okrutnika, wodza Hunów. To pojęcia, które znasz. A więc ich użyjmy. I ten… ktoś proponuje ci pewien układ: ocali ciebie oraz daruje życie tamtemu księdzu, jeśli mu się oddasz. Co ty na to, księżniczko?

Lira spojrzała na niego z pogardą.

– To jakiś głupi żart?

– Po prostu nie wiem, co z wami zrobić.

– Udam, że nie słyszałam. To podpada pod Trybunał Transgalaktyczny.

– Nie ma sądów nade mną, już to tłumaczyłem – kontynuował niezrażony Sohnbrand. W myślach bił brawo własnej pomysłowości.

– Zachowam czystość – powiedziała Lira.

– Cóż za okropne starożytne pojęcie! I to na mojej stacji – przewrócił kpiarsko oczami.

Lira nie wytrzymała.

– Zostaw mnie w spokoju. Zwróć psoboty i pomóż się wydostać. A przynajmniej nie przeszkadzaj. Cała reszta jest kryminalną zniewagą i ohydnymi groźbami… – próbowała zakończyć tę żenującą sytuację. *Kpi sobie ze mnie, straszy…*

Sohnbrand odczekał, aż skończy – po czym zimno wycedził:

– Jak chcesz, wasza książęca wysokość.

Lira czekała, co powie dalej.

– To znaczy?

A on tylko dodał:

– Wobec tego kapłan zginie.

CZEKAŁ W KORYTARZU, walcząc z natłokiem myśli. Sohnbrand prowadził okrutną grę – tak zakładał. A jeśli rzeczywiście chciał go zabić?

Czy na stacji była jakaś kobieta? Woń perfum mogła być mistyfikacją nakazującą mu uwierzyć… Ale po co? Wiedział jedno: pragnął odprawić Eucharystię. Złapał Sohnbranda na pewnej niekonsekwencji, na chwilę odsłonił pancerz: zezwoliłby na ten sakrament w zamian za inne ustępstwo. A jeśli udzielenie ślubu byłoby mniejszym złem? Nie lubił tego pojęcia, choć czasem roztropność i rozum nakazywały zająć stanowisko w danej sytuacji najlepsze z możliwych (choć nie idealne). Więc jeśli rzeczywiście byłaby wola zawarcia węzła

małżeńskiego po drugiej stronie… Śluby jednostronne z ateistami były pod pewnymi warunkami dopuszczalne. Ale – niestety – tutaj brakowałoby innych elementów po stronie samego Sohnbranda, nawet przy założeniu, że wszystko byłoby spełnione po stronie jego wybranki. Kimkolwiek ona jest.

Gotard westchnął. Nie wolno mu było naginać przesłanek. Nawet za cenę swojego marzenia, by odprawić tutaj mszę. Niczego bardziej nie pragnął niż sakralizować tę przestrzeń. Wbrew temu, co mówił Sohnbrand – realna moc sakramentu mogłaby to miejsce zmienić. W ten sposób zneutralizowana zostałaby przynajmniej część jego planów. Tu, w ukrytym wymiarze, byłaby to prawdziwa komunia na kosmicznym ołtarzu świata – jak ta, o której pisał Teilhard de Chardin. W każdej chwili Chrystus Eucharystyczny – będący Chrystusem Kosmicznym – kieruje całym ruchem wszechświata. Celem jest uświęcenie materii, o czym Rosso Sohnbrand nie mógł wiedzieć (Gotard nie podejrzewał, by znał on pisma de Chardina). Uobecnienie Chrystusa poprzez Hostię – tutaj, w tym osobnym wymiarze, bąblu materii – doprowadziłoby do uświęcenia tego pogańskiego habitatu, na którym powstać ma nowa ludzkość…

Z tych rozważań wyrwał go sygnał otwieranego włazu i ponura sylwetka tech-bota.

Po raz kolejny miał stanąć przed władcą stacji.

DZIEWCZYNA ZNÓW SIEDZIAŁA W POCZEKALNI obok sali audiencyjnej. Małe pomieszczenie z ławką oświetlaną diodami, czuła się w nim zupełnie anonimowa. Jej psoboty trafiły na kwarantannę. Podobno. Nie wiedziała, że Sohnbrand kazał je zabić.

TYM RAZEM BYŁO KRÓTKO.

– Na habitacie jest dziewczyna, którą uratowałem podobnie jak ciebie. To chrześcijanka. Dziwnie uparta. Z jakiejś fanatycznej enklawy. Jeśli nie dasz nam ślubu – a bez tego nie pójdzie ze mną dobrowolnie do łóżka – tylko przypieczętujesz jej los.

– W co ty grasz, Sohnbrand?

Gotard aż zatrząsł się wewnętrznie z oburzenia.

– W życie – uciął tamten krótko.

Ksiądz poczuł, że szpony szantażu drapią mu gardło.

– To proste: jeśli się nie zgodzisz, dziewczyna zginie. Naprawdę jej życie jest dla ciebie mniej warte niż parę ruchów ręką i wyklepanie uroczystych formuł?

– Nie. Nie jest.

– Wybieraj zatem. Masz mało czasu.

I ponownie kazał tech-botowi wyprowadzić go do poczekalni.

INFORMACJA O KAPŁANIE dodała jej nieco otuchy. Nie była sama w tym strasznym miejscu. Próbowała się modlić, zwracać do świętych patronek. Przypominała sobie legendy o męczennicach.

Wyniosły władca. Okrutnik. Dlaczego trafiła w ręce kogoś takiego?

Musiała znów opuścić korytarz i stanąć przed jego obliczem.

Tym razem nie usiadła. Sohnbrand wstał, wziął ją pod rękę (nie śmiała protestować w obliczu tech-bota z igłą) i zaprowadził do wielkiego okna. Następnie wpisał coś na szybie i przezroczysta powierzchnia pokryła się siatką wizualizacji. Przybliżył jakiś obraz i rzekł:

– Mam już informacje z lab-medu. Zostałaś wszechstronnie przeskanowana. Wiem, że jesteś dziewicą.

Drgnęła, odsuwając się instynktownie. *Co to miało do rzeczy?*

– Widzisz ten dywan złożony z identycznych kapsuł? Wiesz, co to jest?

Lira ujrzała rozciągnięte w przestrzeni stalowe puszki, ułożone równo jak wzory na kobiercu.

Tysiące komórek jajowych czekających na zapłodnienie pozaustrojowe. Pobrane od dziewic różnych ras ziemskich. Każda komórka w tytanowej osłonie, przycumowana do habitatu.

Wytłumaczył jej pokrótce. Tym bardziej uznała go za szaleńca. Ale milczała.

– Milczysz. Nie pojmujesz mnie i mojej wielkości? Uważasz, że bawię się w boga? – droczył się Sohnbrand.

– Tak.

– Przemówiłaś…

Zgasił ekran.

Zostałaś wszechstronnie przeskanowana. Wiem, że jesteś dziewicą

– Zapytam więc: czy podjęłaś już decyzję? Nie chcę cię tu na stałe, wystarczy jedna noc. Potem zwrócę ci wolność. I możesz wracać do swojego świata opartego na starych mitach.

Księżniczka poczerwieniała na twarzy.

– To szantaż. Próba…

– Nie, to alternatywa. Wybór, jaki ci daję. Wolna wola…

– Wolna wola nakazuje mi odmówić. Chcę się spotkać z tym księdzem.

– To niemożliwe.

Sohnbrand pomyślał, że może jednak powinien dać im porozmawiać. Może Gotard by ją przekonał? Prędzej jednak oboje by odmówili.

Należało wrócić do rozgrywania ich osobno.

– Teraz wyjdziesz. Wrócisz do poczekalni. Aha, twoje psoboty nie przeszły kwarantanny. Okazały się niebezpieczne dla środowiska stacji.

– Co? – poczuła, że łzawią jej oczy.

– Ciesz się, że pozwalam ci nosić te symbole. Możesz stracić znacznie więcej. Oboje możecie – dodał Sohnbrand i odwrócił się do niej plecami.

Tech-bot odprowadził Lirę do wyjścia.

DIABELSKA PUŁAPKA. Gotard próbował uciec myślami poza habitat. Tam, zacumowane w chronionej przestrzeni, spięte grawitacyjnie wisiały kapsuły z roju transportowego. Dziesięć tysięcy plus tysiąc zapasowych. Komórki jajowe czekające na inseminację. W laboratorium tego okrutnika miało powstać nowe życie. Właśnie dawał przykład swoich możliwości – pomyślał przygnębiony Gotard. Bawił się nim i tamtą dziewczyną, ich strachem, poczuciem bezradności i zdania na jego łaskę… Chyba że była to tylko próba. Jednak nic na to nie wskazywało. Sytuację należało brać na poważnie.

A jednak czuł, że jest w tym jakaś szansa. Nastąpiło pęknięcie w strukturze światopoglądu Rosso Sohnbranda. To już nie był ten spokojny, pełen świeckiej godności technokrata mówiący o etyce i godności człowieka. Coś wyprowadziło go równowagi. Dwa ciała obce na jego stacji tuż przed realizacją gigantycznego przedsięwzięcia. Ksiądz i dziewczyna. Jakby przeznaczenie splotło ich losy w tej dziwnej podprzestrzeni ukrytej przed ludźmi i przed Bogiem (jak zapewne uważał Sohnbrand). W tym jego wytrąceniu ze stoickiego spokoju kryła się pewna szansa. Odsłaniał prawdziwą twarz. Tym samym obnażał swoją słabość.

WIEDZIAŁA, ŻE PSOBOTY MOGĄ ZGINĄĆ, liczyła się z tym. A jednak nie potrafiła ukryć łez. Dwa wierne stworzenia, scyborgizowane, by ją chronić. W każdej sytuacji. Ciekawe, ile wie ten człowiek…

Jeżeli faktycznie je zgładził – Lira przypominała sobie – wtedy powinno coś nastąpić… Zmodyfikowane psy nie były tylko półrobotami, miały w sobie ukrytą broń. W pewnym sensie ostateczną… Cała dworsko-feudalna otoczka skrywała zaawansowaną technologię. Czy Sohnbrandowi udało się ją wyśledzić i złamać? Ojciec zapewniał Lirę, że to prawie niemożliwe. Coś miało się uaktywnić po ich śmierci, jako ostateczne zabezpieczenie księżniczki na wypadek utarty bezpośredniej ochrony.

Sohnbrand zapewne czuł się bezpieczny, gdyż zgładził psoboty. Rozbroił księżniczkę, ale nie wiedział, że mógł tym samym uaktywnić osłonę, która sprawi, że coś dziwnego się wydarzy. Coś się wydarzy.

Lirze pozostawało tylko czekać.

I się modlić.

ZNÓW OTWORZYŁY SIĘ DRZWI z drugiej strony sali. Sohnbrand wydawał się poirytowany.

– Dziewczyna zginie, a ty nie odprawisz mszy. Tego chcesz?!

Pierwsze słowa, które Gotard usłyszał, gdy usiadł. Następne były równie ważne:

– Mam jedną kapsułę z komunikantami. Ale nie, ty wolisz poświęcić jej życie.

Gotard rozumiał coraz więcej.

– Zabij mnie zamiast niej. Wypuść ją wolno.

Sohnbrand odwrócił twarz ku szybie. Podłoga zajarzyła się czerwono, jakieś komunikaty spłynęły indukcyjnie do jego butów. Rosso dotknął opaski, odwrócił się i spojrzał uważnie na Gotarda.

– Poświęcasz swoje życie? Ale to nic nie zmieni. Problem w tym, że uwolnienie was… – ugryzł się w język, ale Gotard pojął, co miał na myśli. Chodziło o ścisłą tajemnicę. Tajny projekt. Byli po prostu niewygodnymi świadkami.

– Po co ta okrutna gra?

– Chciałem dać wam wybór. Ty to nazywasz grą? Niech będzie. Uważaj, bo możesz doprowadzić do tragedii… Decyzje mają swoje konsekwencje.

Gotard westchnął.

Znów musiał wyjść do poczekalni.

OTACZAJĄCY GO PLASTIK I KOMPOZYT – sztuczna materia. Wnętrze korytarza oświetlanego diodami, ksiądz Gotard bał się. Los tej dziewczyny, jaki będzie? Co powinien zrobić: raz jeszcze zaofiarować za nią swoje życie, to na pewno. Ale kat musiał się zgodzić, a nie miał chyba ku temu żadnych powodów. Tak, byli niewygodnymi świadkami, więc ceną za wiedzę (którą sam im ofiarował – a teraz cynicznie mówił o trudnych wyborach) mogła być ich fizyczna likwidacja, ten projekt był ściśle tajny, a oni wniknęli (przypadkowi nieszczęśnicy) wprost do jego serca. Przypadkowi? Nie, Gotard musiał wierzyć, że to nie było dziełem przypadku. Biel owalnych ścian jak wnętrze Hostii – pomyślał pod wpływem dziwacznego skojarzenia. Opłatek chleba zagięty niczym czasoprzestrzeń, komunia, która przekształcała kosmos, otwierając go na nowe wymiary. Sohnbrand twierdzi, że ma kapsułę tabernakulum. Mówił tak tylko na zachętę? Gotard bardzo chciałby otrzymać taką postać chleba i wina, które mógłby konsekrować. Myślał o tym ze zwieszoną głową. Przemienienie. Przeistoczenie, czyli *transsubstancjacja* – stara tomistyczna koncepcja. Ale były też nowsze filozofie tłumaczące tę niepojętą przemianę: *transsygnifikacja* i *transfinalizacja*. W XXI wieku mocno obecna w rozważaniach teologicznych stała się fizyka kwantowa, realną obecność Chrystusa w Eucharystii próbowano tłumaczyć – poprzez filozofię nauki – odwołując się do niestabilnej natury materii na poziomie subatomowym, gdzie możliwa jest wszelka przemiana, nic nie jest bowiem stałe i ustalone. Superpozycje stanów, redukcje funkcji falowej – poznanie (czy też odpowiednio: zawierzenie) jako uczynienie Przemiany możliwą, gdyż obserwator (osoba percypująca) wpływa na realność tego, co dostrzega. Nie było w tym zakresie rozbieżności pomiędzy wiarą a nauką, gdyż na poziomie kwantowym materia była w zasadzie również niepoznawalna. W teologii drugiej połowy XXI wieku pojawiło się więc pojęcie *transkwantyfikacji*…

To zdjęcie z materii pewnego garbu, zrozumienie, że może ona zostać wywyższona i przemieniona wraz z człowiekiem, Kościół zawdzięczał naukom Teilharda de Chardin. Zostały one na nowo odkryte w połowie XXI wieku wraz z odnowieniem się zaintereso-

wania lotami kosmicznymi (dzięki kilku odkryciom, które pozwoliły na swobodniejsze i mniej kosztowne wędrówki w celu eksploracji wszechświata). Ludzkość ponownie wyruszała w kosmos, niosąc również światło wiary, Watykan wydał zgodę na program gwiezdnych misji, gdyż człowiek oddalony od macierzystej planety nadal potrzebował Boga i sakramentów, dlatego trzeba je było nieść z Ziemi w kosmos (określenie „Ziemia Święta" nabierało odtąd całkiem innego znaczenia). Pisma de Chardina stały się dla katolicyzmu bardzo ożywcze w tym okresie. Mówiło się wręcz, że Kościół zyskał swojego Tomasza z Akwinu na trzecie tysiąclecie.

Skoro bowiem Chrystus przebóstwił materię i sam się w nią wcielił – i czyni to za każdym razem, gdy kapłan powtarza jego ofiarę przy ołtarzu – to cała materia kiedyś ulegnie przebóstwieniu przez Jezusa Chrystusa. Jeszcze przed Swoim powtórnym przyjściem pozostaje On w niej obecny za sprawą mocy sprawowanej Eucharystii, gdyż konsekrowana Hostia staje się całym kosmosem, zawiera go w sobie, takie jest bowiem personalistyczne widzenie wszechświata, w którym *Kosmogeneza* staje się *Chrystogenezą*.

Realna obecność. A więc jesteś i tu obecny, Panie… – medytował ksiądz Gotard, czekając na kolejne wezwanie przed oblicze człowieka, dla którego to wszystko niewiele znaczyło.

NIEDŁUGO PÓŹNIEJ LIRA została wepchnięta do sali. Sohnbrand stał do niej plecami, wpatrzony w pustkę za szybą. Odbierał komunikaty od stacji. Podłoga jarzyła się czerwono jak układ krwionośny.

Lira uważnie słuchała. Tak, coś zaczynało się dziać…

Nie dać po sobie niczego poznać…

– Mam tu jednego księdza na pokładzie, pora, bym ci to wyjawił. Dwa ciała obce, ty i on. Mógłby ci udzielić ślubu, wszystko odbyłoby się z twojego punktu widzenia… legalnie.

– To nie wchodzi w rachubę – powtórzyła.

– Jak chcesz, wasza książęca wysokość – rzekł w końcu Sohnbrand, odwracając się.

Lira czekała, co powie dalej.

– To znaczy?

A on tylko dodał:

– Wobec tego kapłan zginie.

Czekał na strach i zaskoczenie w jej oczach.
Udała je perfekcyjnie.

ZOSTAŁ WPROWADZONY DO SALI przez tego samego anonimowego tech-bota. Gotard był już pewien, że Sohnbrand wpuszcza ich na przemian. Grał w symultaniczną grę – o życie i o śmierć. Szachownicą była ta stacja.

Jaki ruch wykona tym razem?

Padły słowa, których ksiądz się nie spodziewał.

– Powiem otwarcie: na habitacie jest dziewczyna, którą uratowałem. To chrześcijanka. Dziwnie uparta. Z jakiejś fanatycznej enklawy… Jeśli nie dasz nam ślubu – a bez tego nie pójdzie ze mną do łóżka – tylko przypieczętujesz jej los.

Gotard zdębiał. *Moje własne* déjà vu *czy amnezja szachisty?*

– W co ty grasz, Sohnbrand? – powtórzył tylko własne słowa, nie rozumiejąc.

– W życie – uciął tamten krótko.

I ponownie zaskoczył księdza, przerywając rozmowę i nakazując go umieścić w celi zbudowanej z ekranów, do której wcześniej trafił.

LIRA CZUŁA, ŻE ZACZYNA DZIAĆ SIĘ TO, CO POWINNO. A jednak wciąż się bała.

Sohnbrand pokazywał jej transport ławicowy. Stali przy szybie, a on wszystko objaśniał – wychwalając swoją wizję.

– Oni nawet nie będą wiedzieć o istnieniu starych religii. Żadnych tradycji, żadnego poczucia winy. To wielki przeskok. Cywilizacyjny, technologiczny, społeczny. Największy, jakiego doświadczy zmęczona sobą samą ludzkość. Pomogę ewolucji – i poprowadzę rozwój człowieka dalej. Tutaj, w ukrytej przestrzeni. A stara Ziemia i takie enklawy jak twoja niech umierają ze swoimi mitami i ograniczeniami.

Zaśmiał się drwiąco.

Dla niego wszystko dzieje się pierwszy raz. Coraz głębsze *déjà vu*, lecz on tego nie wyczuwa. *Prawidłowo* – pomyślała Lira – dziękując w duchu za szansę na ocalenie.

W WIĘZIENNEJ CELI ZBUDOWANEJ Z EKRANÓW było bardzo jasno. Płaskie powierzchnie emitowały oślepiający blask. Gotard

musiał zmrużyć oczy. Nie wiedział, ile czasu spędził w tych sztucznych promieniach. Tym razem nie było żadnych obrazów, dźwięków, teledysków. Nic. *Musiała upłynąć dobra godzina* – uznał, odcięty od wskaźników czasu.

Gdy światło przygasło, znalazł pod ścianą swój hełm. Była do niego przypięta karteczka z napisem: *Możesz go używać dalej. R.S.* Dziwne. Przypomniał sobie, jak dryfując w przestrzeni po ucieczce ze Scutum II, zdany na wydłużające się godziny bezcelowej podróży, nagrywał swoje spostrzeżenia na hełmowy czytnik. Teraz mógł je odtworzyć. Rosso zwracał mu należący do niego przedmiot, nieoczekiwanie, czyżby odsłuchał te nagrania lub ich transkrypcję? Możliwe, chyba że sprawdzenia dokonał sam system stacji…

Mógł to być kolejny dowód na to, że cofnęli się w czasie. Sohnbrand reagował inaczej. I chwała Bogu…

Ksiądz Gotard spróbował znaleźć tamte zapisy. Wciąż były, nie wymazano ich. Niewiele, ale stanowiły świadectwo jego gwiezdnych kontemplacji, ślad przywoływania myślami Boga w nieludzkim środowisku. Próbę Jego przybliżonego pojęcia poprzez analogie z prawami fizyki – być może ryzykowne i ogólne, lecz zawsze się nad nimi zastanawiał.

Postanowił je teraz odczytać:

Prawo powszechnego ciążenia grzechu. *Skoro grzeszność człowieka jest wpisana w jego naturę (na skutek grzechu pierworodnego), to jest w takim razie prawem – i to zarówno w znaczeniu deskryptywnym (podobnie jak dające się opisać prawa fizyki), jak i preskryptywnym (jako swoisty imperatyw wpisany w naturę ludzką). A więc istnieje prawo powszechnego ciążenia grzechu, podobnie jak prawo grawitacji. Dążenie do świętości zawsze odbywa się wbrew tej sile, dlatego jest tak trudne (podobnie jak próby pokonania grawitacji ziemskiej).*

No proszę, tylko czy w kosmosie grawitacja nie jest czasem czymś pożądanym – a czujemy, że nas ogranicza tylko na Ziemi? – Gotard krytycznie zweryfikował swoje własne myśli. Dalej…

Zasada nieoznaczoności Heisenberga*, podstawowa reguła fizyki kwantowej, dotycząca samej natury rzeczywistości i struktury materii, która okazała się podwójna (korpuskularno-falowa) i nieciągła mimo*

pozornej stabilności. Jakie ożywcze było dla Kościoła spojrzenie przez jej pryzmat na Komunię Świętą i na uobecnianie Chrystusa w Eucharystii podczas mszy świętych…! Nie dostrzegamy Go, mimo Jego realnej obecności, gdyż taki obiektywny „pomiar" wymyka się naszym zmysłom. Bóg jest i nie jest jednocześnie. Wykonanie pomiaru zakłóca stan mierzonego obiektu – jesteśmy ułomnymi obserwatorami, dlatego możemy stwierdzać pewne rzeczy tylko w oparciu o wiarę. Katolicyzm kwantowy.

Dalej…

Łączy się z tym ***rozumienie Woli Bożej jako fali prawdopodobieństwa przenikającej Wszechświat.*** *A więc zbliżanie się do tej Woli byłoby zbliżaniem się do prawdy, znajdywaniem stanów realnych, które przestają być tylko funkcją, gdyż urzeczywistniają się w naszym życiu dzięki podległości Bogu („Bądź wola Twoja", „Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie"). Bóg to światło świecące w ciemności.*

A samo światło?

Natura światła jest podwójna: korpuskularno-falowa. *Światło może być jednocześnie cząsteczką i falą. Podobnie natura Chrystusa: ludzka i boska jednocześnie. Obie natury współistnieją, nie wykluczając się wzajemnie.*

Światło. Tak, te ostatnie myśli były teraz księdzu znacznie bliższe. Słońce, które w ludzkiej symbolice oznaczało Hostię… Lecz w kosmosie światło jest inne, często wrogie. Mimo to pragnął światła, tęsknota za Eucharystią była tożsama z tęsknota za Słońcem widocznym ze starej Ziemi.

Kolejny zapis:

Stygmaty – jedyne rany, które leczą czas.

Nasz ziemski czas. Dlatego muszą być stale otwarte – pomyślał Gotard. – To my, krwawimy i potrzebujemy zagojenia. Przez Jego Krew. A święte rany nie zamkną się aż do skończenia świata. Z każdą Eucharystią krwawią za nas…

Wtedy dał się słyszeć syk uchylanych drzwi. Odłożył hełm i wstał. Przez zmrużone powieki dostrzegł zarys sylwetki tech-bota. Za chwilę czeka mnie kolejna rozmowa z Sohnbrandem – pomyślał.

I rzeczywiście.

Szli korytarzem.

Gotard podejrzewał… To musiała być anomalia wywołana bliskością czarnej dziury, powodującej zakrzywienie czasu. Zdawało się na to wskazywać zachowanie samego Rosso Sohnbranda. Jakby wszystko wpadło w pętlę. Ksiądz Gotard to wiedział, ale nie wiedział, czy Sohnbrand wie…

Czy mógł jakoś wykorzystać tę przewagę?

Za chwilę znów się zobaczą.

SOHNBRAND ZDAWAŁ SIĘ NICZEGO NIE ZAUWAŻAĆ. Taki specjalista, dysponujący całą infrastrukturą stacji… Gotardowi nie chciało się w to wierzyć. Może to tylko on, Gotard, miał przywidzenia?

A jednak… Był przekonany, że toczyli już podobną rozmowę. Może więc zapętlenie było czysto subiektywne i wpadł w nie umysł nieświadomego Sohnbranda? Zakrzywienie percepcji, a nie czasoprzestrzeni.

Ksiądz musiał jednak postępować tak, jakby w istocie czas wrócił do punktu sprzed ich poprzednich rozmów. Widział w tym szansę.

Na ocalenie. I poświęcenie.

Ta rozmowa tylko to potwierdziła.

Naprawdę wszystko działo się od nowa.

Przebieg dialogu zdumiał go mimo to bardzo…

Bo tym razem Sohnbrand postanowił darować im życie.

Gotard usłyszał:

– Wejdziecie oboje do swoich kapsuł, są już wyremontowane. Zostaniecie odesłani do punktów, z których nastąpił przerzut. Powinno się udać wyekspediować was z powrotem.

– Rozumiem.

– Nie chcę was przetrzymywać dłużej na stacji. Nie możecie tu zostać. Ani wiedzieć, kim jestem…

Znużony, ze spuszczonym wzrokiem, władca habitatu nakazał gestem opuścić księdzu salę.

Do jakiego punktu się cofnęli? Wszystko miało się dobrze zakończyć. Dobrze? – zdążył pomyśleć ironicznie Gotard. – Przestrzeń pozostanie nieuświęcona. A Rosso Sohnbrand będzie rozwijał swój szalony projekt…

Wtedy dogoniły go ostatnie słowa.

– Jeszcze jedno: zostaniecie poddani wymazaniu pamięci. To warunek, bym mógł was puścić wolno.

LIRA PRZYPOMINAŁA SOBIE objaśnienia ojca:

– Będą cię bronić aż do śmierci. A gdy zostaną zniszczone, po destrukcji obwodów z antymaterią, zamkną wszystko, co będzie cię otaczało, w pętli czasowej. Tak aby nie wydarzyła ci się krzywda. Warunkiem jest bliskość czarnej dziury… Czas ulegnie zapętleniu. Wszystko będzie się powtarzać, dopóki nie nadejdzie pomoc.

To działało. Był tylko jeden szkopuł. Pomoc raczej nie nadejdzie, gdyż nie znają jej lokalizacji astronomicznej. Sekwencje wydarzeń będą się powtarzać, ale nic więcej. Lira uświadamiała to sobie przygnębiona. Nikt jej nie uratuje, ponieważ grupy poszukiwawcze nie znajdą jej w zamkniętym układzie Sohnbranda. Musiała więc działać dalej sama – być aktywna, a nie biernie czekać na pomoc, i spróbować stąd uciec albo przynajmniej wynegocjować korzystne warunki opuszczenia habitatu, wykorzystując zmylenie przeciwnika i jego bezradność wobec temporalnego zakrzywienia. Byle mogła dotrzeć tam, skąd jej kapsułę wciągnęło w przestrzeń Rosso Sohnbranda – na skraj konstelacji Małej Niedźwiedzicy…

BOŻE – MODLIŁ SIĘ W MYŚLACH GOTARD – *spraw, by to wszystko skończyło się inaczej. Nawet przeszłość jest niestabilna. Jaka w takim razie przyszłość? Co czeka nas, i to miejsce…? Daj mi odprawić tu mszę… To byłby cud, który chyba nie ma prawa się wydarzyć. Ale w takim razie przynajmniej pozwól, byś był tu obecny przez siłę mojej modlitwy i błogosławieństwo, którego przez mnie udzielasz. Daj mi moc, bym umiał modlić się skutecznie. Wyprosić łaskę… Proszę, ocal dziewczynę…! I tych przyszłych ludzi z hodowli Sohnbranda, miej na względzie ich wolność i człowieczeństwo, albowiem jest to w Twojej mocy…*

CZAS, CHOĆ ZAPĘTLONY, WLÓKŁ SIĘ NIEMIŁOSIERNIE

CZAS, CHOĆ ZAPĘTLONY, WLÓKŁ SIĘ NIEMIŁOSIERNIE.

Lira postanowiła odlecieć, to był najlepszy moment. Dopóki Sohnbrand się nie zorientuje – bo wtedy może nie dotrzymać propozycji złożonej wcześniej.

Trzymała się ostatniej, zaskakująco liberalnej sugestii Sohnbranda; oświadczyła, że godzi się na odesłanie.

Przysłał do niej tech-bota.

Tak, chciała wracać, oznajmiła.

Zgadzała się też na częściowe amnezjowanie.

Tech-bot grzecznie zaniósł jej oświadczenie.

Sohnbrand długo rozpatrywał wniosek.

Zbyt długo, pomyślała; czyżby już nie pamiętał złożonej propozycji? Rzeczywiście: coś było nie tak…

Przyszedł jednak osobiście do jej pokoju.

– Amnezja będzie automatyczna, kiedy przejdziesz przez skaner. Tak więc zgoda, choć za mądra to ty nie jesteś, wasza książęca wysokość…

Lira milczała.

– Oczywiście kapłan dostał ten sam warunek.

Sohnbrand czekał z ironiczną miną.

– Zgodził się? – spytała.

– To nie twoja sprawa. Pakuj się, już pora.

Rosso spojrzał na nią z wymuszoną pogardą. I z bólem, jakimś przebłyskiem tęsknoty, której nie umiał ukryć.

W milczeniu odszedł korytarzem.

Tech-bot wyświetlił instrukcję odesłania: holograficzną procedurę w kilku punktach.

Lira zaczęła się zbierać.

– Śpiesz się, bo mogę się rozmyślić – dobiegło ją jeszcze przez głośnik zalecenie władcy stacji.

Przyspieszyła, idąc za tech-botem wyświetlającym numery sal i przejść. Prowadził ją w ciszy przez półmrok korytarzy habitatu. Lira zastanawiała się, kiedy nastąpi wymazanie pamięci krótkotrwałej. Na której bramce? A może dopiero w kapsule podczas ekspediowania jej w próżnię? Właściwie była wdzięczna, że nie będzie tego wszystkiego pamiętała. Strachu i upokorzenia. Byle tylko znalazła się tam, skąd tutaj trafiła i gdzie jej z pewnością poszukiwano (statek musiał nadać sygnał alarmowy). Księżniczka miała nadzieję, że służby ratunkowe znajdą ją zaraz po wyłonieniu się jej kapsuły na gwiezdnej drodze.

ilustracja: K. Karnkowski



TYM RAZEM SWÓJ HEŁM ZNALAZŁ W POCZEKALNI. Tech-bot musiał go przynieść. Może sala z ekranami musiała zostać opróżniona? Czekając na wezwanie Sohnbranda, pełen dziwnej mieszanki nadziei i niepokoju, Gotard znalazł pewien zapis, poczyniony pod wpływem rozmowy z jednym z braci na misjonarskiej stacji Scutum II. Nie pamiętał jego imienia, pamiętał tylko, że mnich interesował się fizyką.

Chrystus jako droga najkrótszego przebiegu promienia światła – zgodnie z zasadą Fermata w optyce*. Promień świetlny poruszający się od punktu A do punktu B przebywa zawsze minimalną drogę optyczną, czyli taką, na której przebycie potrzeba najkrótszego czasu. Światło zawsze szuka najkrótszej drogi. Co więcej, światło jakby zna tę drogę, wiedząc z góry, gdzie leży punkt docelowy. Podobnie Chrystus, który tę najważniejszą Drogę wyznaczył oraz objawił ludziom, samemu docierając do celu. Jest to dla nas jednocześnie droga najdłuższa, gdyż musimy zaczekać na dopełnienie się dziejów. „Wykonało się" – tzn. światło dotarło z punktu Alfa do punktu Omega i odkupiło świat. Lecz świat musi się jeszcze odbyć – przez nas i dla nas oraz w nas. Mamy jednak Drogę Światła, zatem wiemy, którędy iść: podarował nam ją Zbawiciel (w Swoich naukach i w Swojej Ofierze, którą mamy powtarzać w Eucharystii). Ta przedziwna Droga prowadzi bezpośrednio do celu, nie mnoży etapów pośrednich, lecz wiedzie wprost ku Prawdzie. On jest Drogą, Prawdą i Życiem. A Droga, którą nam dał, jest w istocie Światłem.*

Tak, światło, Jezus wyprowadził nas z „czarnego żelaznego więzienia", jak to określił jeden z dwudziestowiecznych pisarzy SF. Pozostały tylko więzienia fizyczne, w jednym z nich właśnie się znajduję – stwierdził Gotard, rozmyślając nad tym wszystkim. Ale przynajmniej cofa się czas. Jak się to skończy? Niemożliwe, żeby Sohnbrand nie odkrył jeszcze tej anomalii. Chyba że to cud…

W KOŃCU ZOSTAŁ PRZYWOŁANY. Wszedł z korytarza do sali, zostawiwszy hełm. Gdy usiadł, usłyszał od razu, że dziewczyna opuszcza stację, gdyż zgodziła się na wymazanie wspomnień. A później usłyszał coś, co go zmroziło:

– Pozwalam jej wierzyć, że opuszcza habitat.

Rosso Sohnbrand bawił się opaską na czole.

– Wiem o zapętleniu, te pieski zostały dokładnie zbadane, zanim je poddaliśmy anihilacji. Wytworzyły pętle czasowe, ale wpuściłem je w bezpieczne środowisko, system stacji zamknął je w kwarantannie. Chciałem zobaczyć wasze miny…

Gotard nie miał pojęcia, o czym mówi, jednak ogólny sens wypowiedzi był jasny.

No tak, nie mogło być inaczej – pomyślał rozgoryczony.

– Ty również nie opuścisz stacji. Nie w taki sposób, jak myślisz. Moja pierwsza propozycja, którą odrzuciliście, była sprawiedliwa i pozwalała wam obojgu ujść bez szwanku. Teraz jednak pozwólmy tej oszustce księżniczce Lirze myśleć, że zdołała mnie przechytrzyć…

Ksiądz Gotard usiłował negocjować, ale Sohnbrand odwrócił się na krześle w stronę kosmicznych przestrzeni. Tech-bot chwycił mocno księdza za ramiona i pod fizycznym przymusem odprowadził do poczekalni.

DZIEWCZYNA WESZŁA DO KAPSUŁY. Rzeczywiście – czekała wyremontowana. Tech-bot towarzyszył jej cały czas. Sama nie potrafiłaby uruchomić doku.

Sohnbrand stał przy szybie, mając holograficzny podgląd całej sytuacji. Obserwował Lirę dyskretnie. Popatrzył na zgrubienie pod ogonem kapsuły – kasetonowy pojemnik. Sam nakazał go tam umieścić. Nie miał wyboru. Najważniejsze było dobro projektu.

Lira była już w środku. Mechanicznymi ruchami włączyła program. Cały czas nie następowało wymazywanie pamięci. Była świadoma. Kiedy więc? Może gdy będą wylatywać… Trochę ją to dziwiło, trochę niepokoiło. Najważniejsze jednak, by mogła opuścić to miejsce.

Grodzie otworzyły się bezgłośnie: czuła, jak obraca się w stronę kosmicznej przestrzeni.

Sohnbrand włączył tryb dyspomyślni.

Czekał, aż kapsuła z księżniczką odleci na bezpieczną odległość.

System czekał na jego polecenia.

Kapsuła opuściła dok. Pojazd wydobył się ku pustce i ciemności. Lira czekała z zamkniętymi oczami, odmawiając *Zdrowaś Mario*. Niby leciała, coś jednak ściągało ją w stronę bocznej ściany habitatu. Wciskała co kilka sekund guzik napędu, lecz kapsuła nie chciała wyjść w pełną przestrzeń. Coś ją mocno przyciągało, niczym magnes,

była jak na grawitacyjnej uwięzi. Nie mogła opuścić najbliższej przestrzeni doków.

Sohnbrand zamknął oczy – i odliczał.

A kapsuła wciąż walczyła z przyciąganiem. Lira zobaczyła tysiące małych ładunków zawieszonych u ściany stacji, chronionych płaszczem grawitacyjnym. Transport ławicowy – pomyślała, przywołując wspomnienie, gdy Rosso Sohnbrand pokazał jej wszystko i wyjawił swój plan. Nadal pamiętała. Wymazania pamięci nie było, choć już przecież opuściła habitat. Dziwne... I jeszcze ten rój, który ściągał kapsułę i nie pozwalał jej odlecieć. Szła w samo jego centrum.

A Sohnbrand wciąż odliczał z zamkniętymi oczami. Już kończył.

KSIĄDZ GOTARD MIOTAŁ SIĘ BEZRADNIE po wnętrzu poczekalni. Białe owalne ściany – doskonale szczelne i wyizolowane. – Sohnbrand, co robisz?! – krzyczał, bo może był na podsłuchu i władca stacji go chociaż usłyszy. Czy naprawdę chciał skrzywdzić tę dziewczynę?

Bił pięściami w plastik i kompozyt; daremnie.

Wziął hełm w ręce i przyciskając do czoła – próbował się modlić.

Niechcący wyświetlił swoją ostatnią myśl z kapsuły:

Chrześcijaństwo nie unika problemu cierpienia. *Cierpienie stawia wręcz w centrum i jest przez to bardzo (wręcz do bólu – nomen omen) realistyczne. Nie idealizuje natury człowieka, gdyż jest pozbawione naiwnej utopijności niektórych religii pogańskich. A zarazem nie ucieka od problemu w niebyt i pustkę. Chrześcijaństwo przeciwstawia się cierpieniu w sposób godny i szlachetny, każąc je akceptować (jako krzyż), a jednocześnie wierząc w jego przezwyciężenie. Tym samym: pociąga ludzi wzwyż, nadając człowieczeństwu nowy wymiar – „przez Chrystusa, z Chrystusem i w Chrystusie”.*

Nagle coś sobie przypomniał. Przedziwne skojarzenie. Jedenaście tysięcy kapsuł...

– Boże, miej tę dziewczynę w Swej opiece!

ROSSO SOHNBRAND ZAKOŃCZYŁ ODLICZANIE.

Jeszcze tylko myśl. Jedna myśl. Mocna, pewna, skoncentrowana – żeby system wykonał rozkaz. Musiał wykonać. Wola Sohnbran-

da była tu najwyższym prawem – a dzięki systemowi operacyjnemu stacji krystalizowała się przez myśl.

Zabić.

Bomba na ogonie kapsuły ratunkowej eksplodowała, uruchamiając ujemne ciśnienie w kasecie. Nastąpił wybuch – do wewnątrz. Implozja zaczęła zasysać wszystko do środka, kurcząc przestrzeń w wirze tłoczonego podciśnienia. Trwało to ułamki sekund. Ściany kapsuły zapadły się gwałtownie w zamkniętym obszarze, zgniatając wszystko, co było na pokładzie…

Księżniczka Lira nie zdążyła nawet krzyknąć. Jej ciało uległo natychmiastowej anihilacji.

Miałaś szybką i bezbolesną śmierć, powinnaś być mi wdzięczna – uznał Sohnbrand, gratulując sobie rozwiązania sprawy.

Lecz to nie był koniec. Nieoczekiwanie fala implozji poniosła się dalej, na kapsuły transportowe zacumowane przy stacji, i jak straszny robak skaczący z ładunku na ładunek – za sprawą wiązań grawitacyjnych przeorała cały rój Rosso Sohnbranda. Gdy władca habitatu otworzył oczy – ujrzał falujący dywan ładunków: jedenaście tysięcy implodujących minikapsuł ginących pod wpływem masowej reakcji, gdy śmierć Liry pociągnęła je za sobą.

Tysiące małych, brzydkich obiektów – zgniecionych puszek krążących w chmurach odłamków, wirujących wokół własnych osi; jakby Sohnbrand patrzył na kosmiczne śmieci. Rój martwych komórek.

Przez minutę nie poruszał się. Z trudem oddychał. Nie chciał wierzyć w to, co nastąpiło.

Potem wrzasnął wściekle.

I ze śmiertelnym spokojem wyszeptał sam do siebie:

– Zapłacisz mi za to, Gotard.

– TY MORDERCO…! – łzy zalały twarz księdza.

– Sam jesteś temu winien. Dawałem wam wybór. Bezczelny oskarżycielu – teraz kolej na ciebie!

– Już wiem, jak się nazywasz. Stara legenda cię doścignęła – tutaj, w pustce gwiazd. Jesteś przeszłością, stałeś się potworem. Attylą…

– Zaczynasz bredzić, obawiam się choroby psychicznej.

– Jak się nazywa ten układ, w którym ukryłeś stację?

Spojrzał na Gotarda, jakby nie wiedział, co to ma do rzeczy. Ale odpowiedział:

– Mała Niedźwiedzica.

Gotard uśmiechnął się; w oczach miał smutek.

Jedenaście tysięcy kapsuł…

– Jakżeby inaczej – wyszeptał.

Ursa Minor. Ursula virgo et turba virginum.

UNIERUCHOMIONY PRZEZ TECH-BOTY musiał patrzeć. W miejscu, gdzie krążyły pozostałości po roju, Sohnbrand nakazał umieścić teraz na wysięgniku inną kapsułę: przetrzymywane w magazynie stacji (jak sam stwierdził: jako osobliwość) tytanowe tabernakulum. To samo, którym próbował szantażować Gotarda. Teraz było już za późno. Na wszystko i dla wszystkich: dla niego, dla Sohnbranda, a zwłaszcza dla tej biednej dziewczyny, która zginęła śmiercią męczeńską wśród jedenastu tysięcy zalążków życia, straszliwie wraz z nią unicestwionych…

Stara legenda powracała z okrutną dosłownością, powtarzając nawet liczbową hiperbolę – efekt błędnego tłumaczenia.

Gotard modlił się w myślach o wieczny odpoczynek dla Liry.

– Myślisz, że się poddam? – przerwał mu Sohnbrand. – Nie, powtórzę całe przedsięwzięcie. To kwestia kilku ziemskich lat. Wytrwałość. Oto, co się liczy… Ważne, że ta przestrzeń pozostanie czysta.

Ksiądz rozważał te słowa.

– Nie, Bóg jest wszędzie.

Jakże chciałby Go jeszcze mocniej uobecnić poprzez Eucharystię.

Tymczasem władca stacji już całkiem grał rolę kata.

– Mogłeś odprawić mszę – ale wolałeś opór w imię starych dogmatów. Tak jak ona. Byliście siebie warci.

Na zbliżeniu Gotard zobaczył, że do tabernakulum przyczepiona jest kaseta. Nie miał złudzeń, co zaraz nastąpi…

– Patrz. Już nigdy. Kapsuła ulegnie zniszczeniu.

A może to nie tabernakulum? Może Sohnbrand kłamie?

Tamten dotknął głowy, przesuwając palcem po obwodzie czarnej opaski.

Na holowyświetlaczu zaczęło się odliczanie.

– Powstrzymaj to, bój się Boga! – wyrwało się Gotardowi, choć nie liczył na cud. Rosso tylko się zaśmiał triumfalnie.

Po czternastu sekundach nastąpił wybuch – ładunek wywołał implozję wewnątrz tytanowej kapsuły. Twarde ściany zapadły się jak aluminiowa puszka, kawałki metalu przenicowały się nawzajem, zmiażdżone i rozniesione w różne strony wraz z anihilowaną zawartością.

– Koniec spektaklu – zakpił Sohnbrand. – Oczyściłem przestrzeń z ostatniego artefaktu. Pozostanie czysta nawet po tym, co się stało.

Nie oczyściłeś – myślał zdruzgotany Gotard. Każda komunia zawiera w sobie wszystkie komunie, obejmuje cały wszechświat, więc Ofiara i Odkupienie docierają również tutaj, do ukrytego układu materii… Tak twierdził de Chardin, który ochrzcił nie tylko ewolucję, ale i kosmiczną przestrzeń.

Mimo to żałował, że umrze, nie uświęcając tego miejsca. Pragnąłby tego teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Wolał też nie myśleć, jak Sohnbrand się go pozbędzie.

WYROK BYŁ KRÓTKI. Władca habitatu ogłosił go w tej samej sali „tronowej", gdzie odbywały się wszystkie ich spotkania. Następnie oświadczył, że jego samego czeka teraz ogrom pracy, gdyż musi powtórzyć całe przedsięwzięcie; ale może to nawet lepiej: system będzie dzięki temu doskonalszy. Wyselekcjonują materiał ludzki ponownie, poddadzą go ściślejszym badaniom.

Prosty psychologiczny mechanizm pocieszania się po stracie – pomyślał smutno ksiądz Gotard.

Miał zostać wyrzucony w kombinezonie w próżnię. Za dokami, przy cmentarzysku jedenastu tysięcy kapsuł. Będzie uwiązany na stalowej linie. Sohnbrand dodał, że zanim wysięgnik zedrze z niego kombinezon, powodując szybką śmierć – Gotard zostanie wystawiony w stronę starej Ziemi, ku przeszłości – gdyż razem z nią umrze; wraz z jej starymi mitami, patrząc w kierunku starożytnego świata, z którego sam się wywodził. Pomoże mu w tym astrowyświetlacz na szybie hełmu (nowego hełmu, tamten z zapisami religijnych rozważań będzie poddany utylizacji).

– Zostaniesz zasypany informacjami i obliczeniami, żebyś nie miał czasu na swoje przedśmiertne obrzędy. Skosztujesz prawdziwej techniki i nauki.

Gotard pomyślał z płonną nadzieją, że może w tym wycinku przestrzeni (wewnątrz cmentarzyska kapsuł) krążą jeszcze mikroskopijne

resztki zniszczonych komunikantów (tak straszliwie sprofanowanych) i że może będzie mu jednak dane umrzeć wśród niewidzialnych, rozbitych na drobne cząsteczki chleba i wina. Poddanych nowej męce niczym Ciało i Krew Zbawiciela.

W przestrzeni wcześniej uświęconej (tak, uświęconej) śmiercią dziewczyny, która zginęła niemal heroicznie – jej szczątki rozbite na molekuły też przecież krążyły przy dokach habitatu, niczym relikwie świętej.

Ale nie podzielił się tymi spostrzeżeniami z Rosso Sohnbrandem.

ZAWIESZONY W PRÓŻNI. Człowiek za burtą. Gorsza była jednak burta za człowiekiem. W takiej sytuacji znajdował się obecnie jego prześladowca (za którego Gotard próbował się modlić, naśladując doskonałą ofiarę Chrystusa). To sytuacja, gdy człowiek usuwa ze swojego wnętrza Boga, statek wewnętrzny, którym mógłby płynąć. Taki ktoś nie ma wówczas żadnych barier, granic – burt właśnie – wobec żywiołów. Okręt rozpada się na kawałki…

Zawieszony w próżni. Jedynie skafander oddziela go od morderczego środowiska.

Przyjdź, Środowisko Boże – przywołuje pojęcie de Chardina, próbując pokochać ten martwy świat. Gdzieś przecież bije serce materii.

Wisi wśród małych jak muszle rozgniecionych kapsuł i szczątków księżniczki – pierwszej ofiary Sohnbranda; gdzieś są również (bo przecież być muszą) molekuły Najświętszego Ciała i Krwi Pańskiej, zmiażdżone w kapsule na jego oczach (chyba że Rosso kłamał co do jej zawartości).

Zawieszony w próżni – dłonie wyciągnięte jak do konsekracji. Pragnąłby trzymać w nich Hostię i brać udział w Przeistoczeniu. Wyobraża sobie, że ma w palcach okrągły opłatek. Trzyma jednak pustkę, a zamiast wiernych jest tylko ich złowieszcza nieobecność. Z głową w pomiarowo-teleskopowym kasku Gotard widzi gwiazdy – na tyle mu pozwolono. Umowny kierunek Ziemi. Inteligentne aplikacje podają dane liczbowe, mierząc w czasie rzeczywistym różne wskaźniki. Także odległość w latach świetlnych względem widzianych obiektów. Gdzie nie spojrzy przez oko AI, tam spływa jakaś informacja. Cyfry wyświetlają się na sferycznej powłoce kasku. Zmieniające się współrzędne. Liczby określające olbrzymie

przestrzenie. Pojawiają się też nazwy obiektów, zaklęte w astrograficzne skróty i kody, zbitki cyfr oraz liter, czasami tylko… Jak przed chwilą. Zaraz… Czy to możliwe, że przez ułamek sekundy mignęło na ekranie stare dobre Słońce? Nasz układ solarny, chyba tak… Prawdziwy obraz! I gdy Gotard czuje, że uniesione dłonie, w których jest wiara, i dla których chciałby wymodlić cud, że te puste dłonie mdleją z tęsknoty za Hostią – wtedy dostrzega niezwykłą koincydencję. Dane dziwnie zbieżne z tym, czego Gotard pragnie. Liczby porażająca swą prawidłowością: dwa tysiące sto trzydzieści trzy lata świetlne. Oko szuka powiększenia. Słońce ma teraz wielkość małej monety. Jak antyczny skarb odkopany przypadkiem: tu i teraz, w godzinę śmierci. A to przecież znaczy… Tak, widzi promienie Słońca sprzed niemal równo dwóch tysięcy stu trzydziestu trzech lat. Docierają do niego po takim czasie (tak wskazują pomiary) i może jest to właśnie Słońce z chwili, gdy oświetlało twarz umierającego Chrystusa. Gotard mruży oczy – i chwyta nieuchwytne słońce w palce, by dalej wyobrażać sobie (czy na pewno tylko wyobrażać?) cud Konsekracji. Malutkie słońce wygląda zupełnie jak hostia. Światło sprzed tysięcy lat niesie obraz Zbawiciela.

Po drodze jest człowiek, powoli i konsekwentnie przebóstwiany przez Eucharystię – rozpięty między aniołem a zwierzęciem, przyciągany wzwyż przez sakrament: człowiek rozpięty na planie krzyża.

I krew. Kielich pełen gwiazd, dusza i bóstwo przenikające stworzony wszechświat.

Słońce – mała moneta, za którą można odkupić wszystko: jej obraz w jego dłoniach.

Tylko obraz?

Ojciec Gotard poczuł w palcach dotyk Hostii.

Zobaczył jeszcze złote krople krążące wokół jego hełmu.

Cud eucharystyczny w kosmosie?

Zdołał się uśmiechnąć, a Rosso Sohnbrand zdążył ujrzeć ten uśmiech na zbliżeniu. Samotny człowiek w szponach pychy na pokładzie martwej arki…

Wtedy zadziałał wysięgnik – i jednym mechanicznym ruchem rozerwał skafander Gotarda. Jego ciało zapadło się, pękło do wewnątrz. Zimna próżnia wydarła kapłanowi życie – powodując natychmiastową śmierć.

Zdołał tylko rozprostować ramiona.

Umierał szczęśliwy.

TWOJA CÓRKA NIE ŻYJE, przyszedł sygnał z nekroczujnika – ojciec Liry, ubrany na czarno, wciąż słyszał te słowa jak ogłuszający dzwon.

Postanowił wymierzyć ludzką sprawiedliwość.

– Nie zginęła w zamachu, a tamto miejsce jest znacznie… dalej. Ale jak nam zapłacisz, to do niego dotrzemy.

Tak, zamach się nie powiódł, a jednak zginęła. Boże, dlaczego?

– Tam jest czarna dziura maskująca jakąś stację. Trzeba się będzie zbliżyć na krawędź horyzontu zdarzeń…

Stojący przed nim gwiezdny kondotier czekał na potwierdzenie.

– Jeśli ktoś się przyczynił do śmierci Liry, nie miejcie dla niego litości. Wyruszajcie. Zgadzam się na wasze warunki. Niech Bóg osądzi morderców po śmierci, ja – za życia.

– Zatem wyruszamy.

– Jeszcze jedno… Muszę mieć dowód, że zginął. Ale przed śmiercią… – słowa z trudem przechodziły mężczyźnie przez gardło – jeśli go dopadniecie, przed śmiercią… dajcie mu się nawrócić.

WOKÓŁ NIESKOŃCZONA PUSTKA. Cisza i ciemność nieożywionej natury – tej najbardziej chemiczno-fizycznej, zimnej, nieludzkiej.

Gwiazdy mają kształt krzyża, choć to nie Krzyż Południa widoczny z niektórych części Ziemi. To przestrzeń kosmiczna – martwa, cicha, siedlisko gwiazd.

Astronauta w rozprutym skafandrze – pozbawiony wyboru, stale oddalający się od stacji. Rosso Sohnbrand widzi to wszystko w zbliżeniu. Martwe ciało płynie ku sekwencjom blasku, które tworzą krzyż (to gwiazdy migoczą spoza obrzeży kombinezonu Gotarda).

Gdy się obraca, wraz z nim obraca się astrografia kosmosu. Krzyż definiuje kierunki – jedyny stały wyznacznik wobec nieskończonej przestrzeni.

Prawdziwa rewolucja natury – zniesienie stron świata. Kierunki wiodą wszędzie i nigdzie. Tradycyjne punkty odniesienia nie istnieją.

Są tylko ramiona Krzyża. **Ω**

KONIEC

***Urszula** św. Męczennica. Życie Urszuli w dużej części jest owiane legendą, choć możliwe, że zawiera ona też pewną prawdę historyczną. [...] Legenda opowiada, że Urszula, córka króla Anglii, otrzymała chrześcijańskie wychowanie i wcześnie ślubowała dziewictwo. Z tego powodu odmówiła ręki pogańskiemu księciu Eteriuszowi* (władcy Armoryki, krainy między Sekwaną a Loarą – przyp. WS). *Aby uniknąć zbrojnych sporów między dwoma domami [...] z powodu odrzucenia oświadczyn, Urszula poprosiła narzeczonego o trzyletnią zwłokę i zażądała, by został chrześcijaninem. Po upływie trzech lat wypłynęła na morze z 11 tys. towarzyszek. Nieoczekiwany sztorm skierował statek aż do ujścia Renu. Stamtąd kobiety pożeglowały w górę rzeki do Kolonii. Pogańscy Hunowie, którzy akurat oblegali miasto, zamordowali Urszulę i jej towarzyszki. Z biegiem wieków legendę coraz bardziej urozmaicano...* (m.in. Urszula miała odmówić ręki wodzowi Hunów Attyli, za co poniosła śmierć – przyp. WS).

Vera Schauber, Hanns Michael Schindler, *Ilustrowany leksykon świętych*, Kielce 2002, tłum. ks. Paweł Tkaczyk, Ryszard Zajączkowski

W poszukiwa

– PRL W POLSKIM KINIE WSPÓŁCZESNYM

Mikołaj Mirowski

Historia Polski Ludowej od początku istnienia niepodległej III Rzeczypospolitej w naturalny niemal sposób powinna była twórczo zapładniać i interesować polskich filmowców. Pokusa fabularnego opisania różnych aspektów życia w PRL-u, i to już bez obostrzeń cenzury, wydawała się tak duża, że tylko czekać było na wysyp filmów na ten temat. Czy tak się stało? Czy dorobek filmów o PRL w III RP jest znaczny? Wreszcie, co mówią nam zrealizowane obrazy? Czy można stworzyć na ich podstawie jakieś generalizujące tezy?

By sprostać tym pytaniom, postanowiłem przyjrzeć się pokrótce kilkunastu najwybitniejszym obrazom o Polsce Ludowej, które powstały w minionym 26-leciu. Kilka z nich też w skrótowej formie przeanalizowałem. Wybór filmów, który zaprezentuję, jest oczywiście wybiórczy i jak najbardziej subiektywny, niemniej wydaje mi się, że może on pokazać pewne zasadnicze nurty w polskim kinie współczesnym dotyczącym PRL. Przede wszystkim warto podzielić te obrazy na kilka odrębnych kategorii. Przede wszystkim są to filmy biograficzne, następnie polityczne opisujące konkretne przełomowe momenty w historii PRL, kończąc na obrazach społecznych i bardziej lub mniej symbolicznych.

BIOGRAFIE BEZ WARTOŚCI DODANEJ

Filmy biograficzne pokazujące różne znane postaci na tle, jak to się zwykle mówiło, epoki – to klasyka każdego kina. Nie mogło więc takich obrazów zabraknąć w III RP. Musimy tu jednak poczynić pewne rozróżnienia. W zbiorze tym znajdują się przede wszystkim typowe filmy polityczne, takie jak: Teresy Kotlarczyk, ***Popiełuszko. Wolność jest w nas***, Rafała Wieczyńskiego ***Prymas. Trzy lata z tysiąca***, a także film Ryszarda Bugajskiego ***Generał Nil***. Trend ten wieńczy ***Wałęsa. Człowiek z nadziei*** Andrzeja Wajdy. Od razu chciałbym zaznaczyć, że żadne z wymienionych dzieł nie ociera się o wybitność. Żadne też nie ma tzw. wartości dodanej, która spowodowałoby, że za kilka lat moglibyśmy z ręką na sercu powiedzieć, iż przejdzie on do historii polskiego kina.

Ryszard Bugajski wciąż będzie kojarzony przede wszystkim (co prawda nie

jest to film biograficzny) z genialnym i wstrząsającym *Przesłuchaniem*, które było, jest i będzie jednym z najważniejszych polskich filmów o stalinizmie. Co prawda należy przyznać, że na tle ostatnich produkcji na temat Żołnierzy Wyklętych (w szczególności filmu Jerzego Zalewskiego ***Historia Roja***), fabularna biografia generała Augusta Fieldorfa „Nila" to rzetelny obraz, z ciekawą rolą Olgierda Łukaszewicza, to jednak od Bugajskiego chyba można by wymagać więcej. Reżyser chciał pokazać „Nila" nie tylko jako bohaterskiego i odważnego patriotę, ale i normalnego mężczyznę. Kochającego męża i ojca, który wbrew heroicznym szablonom czasem odkłada pistolet na bok, a z kieszeni nie sypią mu się tylko łuski od naboi. W zasadzie właśnie taki fresk dostajemy, jest on jednak niepełny. Sceny zwykłego życia za rzadko „oddychają" naturalnością, a za często, zważywszy na tragiczną śmierć bohatera, stają się spiżowe. Są w tym filmie bardzo dobre chwile, zwłaszcza gdy Bugajski operuje ciszą, a kamera zatrzymuje się na zmęczonej wieczną konspiracją twarzy „Nila". Szkoda, że są to tylko momenty.

Jeśli chodzi o *Wałęsę* Andrzeja Wajdy, który także był materiałem na wybitny film, a jest po prostu dobrze skręconym rzemieślniczo obrazem dla szkół, zaważyły niekoniecznie polityczne kontrowersje kłębiące się wokół postaci przywódcy Solidarności. Problemem był raczej ogrom materiału i chęć, by za wszelką cenę pokazać to, co trzeba. Jak wiemy, Wajda ma na swoim koncie bardzo dużo wybitnych filmów, także tych stricte biograficznych. Takim z pewnością jest doskonały *Danton*, gdzie Wajdzie udało się zmieścić w newralgicznym wycinku dotyczącym rewolucji francuskiej clou osobowości nie tylko Dantona, lecz także, co jest już wielkim kunsztem, Robespierre'a! Ten sam manewr powtórzył z powodzeniem Wajda w *Korczaku*. Niestety *Wałęsa* takim filmem nie jest, co nie oznacza, że kreacja Roberta Więckiewicza nie zbliża się do klasy Wojciecha Pszoniaka. Innym problemem filmu była niemożność oderwania się Wajdy od „realnej" polityczności postaci Wałęsy, choć trzeba przyznać, że zabieg, by opowiedzieć historię słynnego elektryka przez pryzmat jego wywiadu z Orianą Fallaci, był próbą ciekawą.

BYŁ, JEST I BĘDZIE JEDNYM Z NAJWAŻNIEJSZYCH POLSKICH FILMÓW O STALINIZMIE

aniu Birkuta

Natomiast w kwestii filmów o Wyszyńskim i Popiełuszce, podobnie jak w poprzednich opisanych przypadkach, najmocniejszymi atutami były kreacje aktorskie – Andrzeja Seweryna (Wyszyński) i Adama Woronowicza (Popiełuszko). Cóż z tego, skoro obydwaj świetnie grający swe role aktorzy nie niosą tych filmów. W przypadku *Prymasa* nie oddaje on przebogatej osobowości Wyszyńskiego. Czas uwięzienia przez stalinowskie władze co prawda pokazuje hart ducha i niezłomność, jest też egzemplifikacją słynnego prymasowskiego *Non possumus*, ale czy to na pewno najlepszy wycinek biografii Prymasa Tysiąclecia? Czy nie lepiej byłoby wykorzystać ten okres jako koszmarny sen powracający w umyśle starzejącego się Wyszyńskiego, który niejako podsumowuje swoje życie? Z *Popiełuszką* jest inaczej. W tym przypadku Rafał Wieczyński za wszelką cenę chciał całą biografię księdza Jerzego upchnąć w jednym filmie. Przed oczami widza przemyka więc masa scen, które wyjątkowo rzadko się wzajemnie tłumaczą. W efekcie czego nie wiem do końca, dlaczego Popiełuszko tak fantastycznie przyciągał różniących się od siebie ludzi i gdzie tkwiła jego charyzma. Woronowicz w tej roli bardzo się stara, niemniej kiedy scenariusz filmu szwankuje, a montaż jest słaby, nic z tych wysiłków udać się nie może. Podsumowując, czy dzięki tym filmom otrzymujemy inspirujący obraz PRL-u? Niestety bliżej tym obrazom do szkolnych czytanek niż artystycznych wyzwań.

BLIŻEJ DO SZKOLNYCH CZYTANEK NIŻ ARTYSTYCZNYCH WYZWAŃ

MAŁY CZAS WIELKICH LUDZI

Zupełnie inną kategorią filmów biograficznych, dla których immanentnym tłem jest PRL, są obrazy, których bohaterami są artyści. Dziwnym trafem są to pełniejsze dzieła, lepiej też opowiadają o epoce. Z czego to wynika? Czyżby polityka znowu była tym trującym jadem, a sztuka ponownie pozwalała twórcom oddychać pełną piersią? Coś w tym jest, bo mam tu na myśli trzy naprawdę wybitne obrazy: ***Wojaczka*** Lecha Majewskiego, ***Mojego Nikifora*** Krzysztofa Krauzego i ***Parę osób, mały czas*** Andrzeja Barańskiego. Wszystkie one są świetnymi fabułami, w których oglądamy zmagania twórców na tle siermiężnych czasów Polski Ludowej. Są to filmy zamknięte, komplementarne, a jednak bardzo pełne, wręcz w swoim gatunku uniwersalistyczne.

Film o Rafale Wojaczku pokazuje poetę w ostatnich miesiącach życia, w entourage'u, który, można domniemywać, mógł mieć wpływ na jego tragiczny koniec. Oglądamy brudny i obskurny PRL. Prowincjonalne, zapyziałe miasteczko, podłą spelunę, która ma pełnić rolę „ekskluzywnego" miejsca dla poetów. Nihilizm i picie na umór to odskocznia życia poetyckiego. Majewski, portretując Wojaczka, nie idzie utartymi tropami. Nie opisuje go poprzez jego wiersze, nie zagłębia się w szczegóły burzliwej, acz krótkiej biografii. Teoretycznie motywem przewodnim filmu jest

próba odpowiedzi na pytanie o przyczyny jego samobójstwa, ostatecznie jednak nie jest to lejtmotyw. Wielkość tego obrazu polega na swoistym zmaganiu się poety rzuconego w beznadziejny świat, któremu nie może sprostać. Wtedy to dochodzi do przekonania, że tylko śmierć jest prawdziwą ucieczką do wolności. Mamy tu tło peerelowskiej degrengolady w pełnej krasie, gdzie widzimy utapirowaną barmankę, wyjałowionych ludzi i snujących się w tle refrenu piosenki *Jabłuszko, jabłuszko, jabłuszko pełne snów* poetów. To swoisty czyściec postaci większej niż czasy, w jakich przyszło jej żyć. Widok ten ma wymiar i ciężkość. Gdy ostatnio czytałem na poły autobiograficzną książkę Bronisława Wildsteina *Cienie moich czasów* i dotarłem do fragmentu opisującego etap „straceńczy” w jego życiu, który prócz dużej ilości alkoholu przesiąknięty był także poezją Wojaczka – od razu przed oczami stanął mi film Majewskiego. To była ta sama beznadzieja PRL-u i ta sama niemożność wyrazu. Wołanie o ukojenie, którego Wojaczek nie potrafił odnaleźć. Film Majewskiego to być może najbardziej przejmujący obraz opisujący przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych w PRL. Wielki kinowy esej o kondycji artysty spsiałych czasów.

Równie ważnym i wybitnym, lecz jakże innym filmem jest *Mój Nikifor*. Mamy rok 1960. W Krynicy do mieszczącej się przy deptaku pracowni lokalnego malarza Mariana Włosińskiego (piękna kreacja Romana Gancarczyka) wtacza się niejaki Nikifor Krynicki, naprawdę Epifaniusz Drowniak – malarz samouk (wielka rola Krystyny Feldman) – i rozpakowuje swój warsztat malarski. Przeciętny, lecz rzetelny malarz, jakim jest Włosiński, próbuje pozbyć się namolnego dziwaka i przybłędy. Decyduje się jednak wpierw odszukać kogoś z rodziny Nikifora. Okazuje się, że ten wyśmiewany przez wszystkich nędzarz i kaleka potrafi pięknie malować. Poza tym jest jakby wyjęty z innej rzeczywistości – nie ma nikogo, nie ma metryki, trudno się z nim porozumieć. Włosiński, w miarę jak poznaje Nikifora, zaczyna cenić jego talent. Fascynują go Nikiforowe gorliwość i zapał malarski. Dostrzega też jego niezwykłą i prostolinijną wolność. Nikifor zupełnie nieświadomie odsłania przed Włosińskim tę oto, wydawałoby się banalną, prawdę, iż w sztuce najważniejsze są niezależność od wszystkiego i pogodzenie się z przemijalnością. Włosiński, zniewolony przez malarskie wykształcenie, jest tradycjonalistą. W zderzeniu z Nikiforem powoli traci swą pewność ocen i sądów. Film Krauzego to coś więcej niż zwykła biografia nietypowego artysty. To nade wszystko obraz o wielkości sztuki. Okazuje się, że genialnym twórcą może zostać każdy, także wyszydzany wyrzutek, żebrzący o pieniądze, który przez przypadek buduje sobie pomnik trwalszy niż ze spiżu. Jest to także historia poświęcenia i miłości tego, który go przygarnął, a potem chronił, poświęcając swoją karierę, „prominentne” stanowisko w Kra-

Przez przypadek buduje sobie pomnik trwalszy niż ze spiżu

kowie, wreszcie rodzinę. Ponownie jak w przypadku *Wojaczka*, uniwersalizm tej historii konfrontowany jest z „tu i teraz" gomułkowskiej małej stabilizacji. Widzimy to doskonale w epizodach, gdzie możemy się przyjrzeć, jak wygląda kalejdoskop krynickiej społeczności na czele z lokalnymi elitami – „mogącym wiele" sekretarzem partii i unickim proboszczem. Wszystko to jest pastelowym tłem dla posłannictwa dziwnego człowieka. Gdy Nikifor w trudny do zrozumienia sposób mówi, że „trzeba malować, goście czekają", dodając innym razem, że „o kolor trzeba prosić", intuicyjnie czujemy nieuchwytne „coś". Co to jest? Nie wiemy, możemy tylko smakować jak w ostatniej scenie filmu migające obrazy Nikifora okraszane są utworem *Dziwny jest ten świat* Czesława Niemena. Tak właśnie sztuka deklasuje politykę, by przy okazji „żywota artysty" dać trochę widnego światła.

Ostatni z wymienionych obrazów to *Parę osób, mały czas*. Andrzej Barański stworzył film o wspólnej codzienności i pospolitości Mirona Białoszewskiego i Jadwigi Stańczakowej. Tandem Białoszewski – Stańczakowa w świadomości dzisiejszego widza, przeciętnego odbiorcy kultury, jest prawie w ogóle nieznany. Na marginesie, niestety film tego nie przełamał, gdyż fatalna i spóźniona dystrybucja sprawiła, że bardzo niewiele osób go widziało. To ogromna strata, bo para nieprzystosowanych do życia inteligentów zachwyca. On – poeta, którego awangardowe wiersze stały się kanonem polskiej poezji, nadwrażliwy samolub, humorzasty samotnik, odsuwający od siebie wszystko, co składałoby się na prozę życia. Ona – poetka, niewidoma sekretarka Białoszewskiego, zauroczona wieczna przyjaciółka, która kupowała mu koszule, marynarki, buty, robiła pranie, załatwiała „zwykłe" sprawy, nagrywała na taśmę jego teksty. Pisała wreszcie *Dziennik we dwoje*. To on jest podstawą scenariusza dla *Parę osób, mały czas*. Akcja filmu obejmuje lata 1975–1982, gdzie w prywatnej, „alternatywnej" rzeczywistości czterech ścian, Białoszewski recytuje swe wiersze, rozmawia o sztuce i poezji. Znajdujemy się w „innym świecie" względem obdrapanej Warszawy. Nie ma tu miejsca na politykę, są natomiast sceny rodzajowe z peerelowskiego życia codziennego polskiej inteligencji – puste półki i haki, problemy ze zdobyciem telefonu, horrendalna biurokracja, czasem cenzura. Film Barańskiego to wielki film z wybitnym kreacjami aktorskimi Andrzeja Hudziaka i Krystyny Jandy. To kolejny obraz artysty, który w walce o swą sztukę przemienia zastałą rzeczywistość, ocalając siebie samego.

MIĘDZY BUNTEM, ROZLICZENIEM I MIŁOŚCIĄ

Drugą kategorią filmów o PRL ostatnich 26 lat są obrazy tzw. społeczno-polityczne. Opisujące historyczność Polski Ludowej. Spośród nich do najliczniejszego grona zaliczyłbym obrazy, które dotyczyły konkretnych wydarzeń historycznych i były ich fabularnym zapisem. Do najważniejszych tego typu dzieł zaklasyfikowałbym rozli-

czeniową ***Śmierć jak kromka chleba*** Kazimierza Kutza na temat pacyfikacji kopalni Wujek podczas stanu wojennego; ciekawy, bazujący na wspomnieniach Filipa Bajona ***Poznań 56***, ***Różyczkę*** Jana Kidawy-Błońskiego powracającą do tematu Marca '68, a także paradokumentalny zapis masakry robotników Wybrzeża w grudniu 1970 roku, czyli ***Czarny czwartek. Janek Wiśniewski padł*** Antoniego Krauze. Po pewnym wahaniu dodałbym też ***80 milionów*** Waldemara Krzystka, obraz opowiadający w konwencji kina akcji historię, gdy na dziesięć dni przed ogłoszeniem stanu wojennego księgowy dolnośląskiej Solidarności Józef Pinior wraz innymi działaczami związku pobiera z wrocławskiego banku astronomiczną sumę 80 mln zł. Fundusze te mają pomóc w zbudowaniu struktur podziemnej „S".

Za najciekawszy film tego nurtu uważam jednoznacznie *Poznań 56* Bajona. Obraz ten jest wyrywkowym, a równocześnie bardzo komplementarnym spojrzeniem na krwawe wydarzenia poznańskiego czerwca 1956 roku. Podstawową zaletą filmu jest to, że oglądamy go z perspektywy dwóch chłopców, 10-letniego Piotrka, którego ojciec jest jednym z uczestników strajku, oraz 12-letniego Darka, syna funkcjonariusza UB. Ta dziecięca perspektywa doskonale pozwala wgryźć się w dramat wydarzeń i mimo wszystko pozostać wobec nich neutralnym, a może bezradnym? Świetnie ukazany jest w filmie klimat przełomowego dla końca stalinizmu roku 1956. Widzimy straszliwy chaos. Z drugiej strony naturalną dynamikę i radykalizację proletariackiego protestu. Powstanie, strajk, rewolta – czym są pierwsze godziny spontanicznego buntu robotników. Ogromnym plusem obrazu jest „poznańskość" reżysera, a wraz z nią duża subtelność i intuicja w portretowaniu wydarzeń. Z głębi poznańskich zaułków niczym niewidoczni reportażyści podążamy za „szczunami". Chłopców wiedzie młodzieńcza przygoda, nie wiedzą jeszcze, że to, co zobaczą, pozostanie im przed oczami na całe życie. W tle tej perspektywy rozgrywa się swoista rywalizacja o charakter antykomunistycznego protestu. Świetnie ukazany jest spór pomiędzy narwanym młodym robotnikiem Zenkiem dążącym do eskalacji i powstania (świetny w tej roli Michał Żebrowski) a doświadczonym robociarzem Stachem (bardzo dobry Tadeusz Szymków), który chce tonizować pałające rządzą rewanżu masy. *Poznań 56* bardzo dużo mówi nam o charakterze i psychologii robotniczych protestów zwiastujących październikową odwilż i destalinizację. Jest to jeden z najlepszych filmów na ten temat.

WIDZIMY STRASZLIWY CHAOS

Podobną tematykę, tyle że o wiele bardziej paradokumentalną, a mniej poetycką, prezentują filmy *Śmierć jak kromka chleba* i *Czarny czwartek*. To dobre, rzetelne kino, z pietyzmem odwzorowujące tragiczne wydarzenia z 1970 i 1981 roku. Jeśli mógłbym je porównać do jakiegoś klasycznego światowego obrazu, to na

myśl przychodzi mi tylko *Krwawa niedziela* w reżyserii Paula Greengrassa na temat masakry w Londonderry. Oba filmy to w zasadzie dokumentacja prawdy o zwykłych ludziach, którzy tworzyli niezwykłą historię. Dodatkową wartością dzieła Krauzego jest kreacja Wojciecha Pszoniaka grającego Gomułkę. Jestem wręcz przekonany, że gdyby kiedyś powstał duży film o tow. „Wiesławie", to rolę starzejącego się komunistycznego satrapy mógłby zagrać tylko Pszoniak.

Trochę innym obrazem od wymienionych jest z kolei *Różyczka*. Produkcja Kidawy-Błońskiego to melodramat z wielką historią w tle. Akcja toczy się na przełomie 1967 i 1968 roku, w napiętej „marcowej" atmosferze oskarżeń o V kolumnę i syjonizm. Znany literat Adam Warczewski grany przez Andrzeja Seweryna (luźno nawiązujący do postaci Pawła Jasienicy) zakochuje się w atrakcyjnej, dużo młodszej Kamili (Magdalena Boczarska), która okazuje się tajnym współpracownikiem SB o pseudonimie Różyczka. Kobieta godzi się na współpracę i intensywną inwigilację pisarza z miłości do swojego narzeczonego esbeka (Robert Więckiewicz). Nie zagłębiając się zbytnio w meandry tej fabuły – jest to historia agenturalnego uwikłania, ale też burzliwej miłości. Zresztą wszyscy główni bohaterowie tego uczuciowego trójkąta zapłacą za to swoją cenę. *Różyczka* pod wieloma względami może być zresztą modelową egzemplifikacją książki Joanny Siedleckiej *Biografie odtajnione*, gdzie właśnie pochylamy się nad problemem polskich pisarzy bezlitośnie inwigilowanych przez SB, często identycznymi wręcz metodami, które widzimy u Kidawy-Błońskiego. Czy film dobrze oddaje peerelowską rzeczywistość okresu schyłkowego Gomułki? W zasadzie tak – wszystko tu jest na swoim historycznym miejscu. Literaci protestują przeciwko cenzurze, tak jak Warczewski są inwigilowani i manipulowani przez SB, w marcu 1968 roku dochodzi do prowokacji na Uniwersytecie Warszawskim, mamy zamieszki uliczne, pałowanie studentów, atmosferę strachu i szczucia, na koniec oglądamy też sterowaną przez władze kampanię antysemicką, czego efektem są liczne wyjazdy. Teoretycznie więc wszystko w tym filmie gra. Mimo to w mojej ocenie brak mu lekkości i grzeszy schematyzmem. Poza tym daleko mu do jedynego obrazu poświęconego społecznym konsekwencją Marca '68 – czyli sentymentalnego melodramatu ***Marcowe migdały*** Radosława Piwowarskiego. Film powstał u zarania III RP, w 1989 roku, a jednak wciąż nikt równie dobrego w wolnej Polsce nie zrobił.

SYMBOLIZM W POJEDYNKU Z RECEPCJĄ

Właśnie obraz Piwowarskiego otwiera ostatni segment fabuł, których akcja rozgrywa się w Polsce Ludowej. Są to tzw. filmy społeczne, czasem urastające do miana artystycznej metafory, nieraz wchodzące w buty kina gatunkowego. Są też to filmy najbardziej chyba zróżnicowane. Prócz *Marcowych migdałów* należy tu wymienić między innymi: ***Ucieczkę z kina Wolność***

Wojciecha Marczewskiego, serial ***Kuchnia polska*** Jacka Bromskiego, ***Zawróconego*** Kazimierza Kutza, ***Cwał*** Krzysztofa Zanussiego, ***Tam i z powrotem*** Wojciecha Wójcika, ***Rewers*** Borysa Lankosza, ***Dom zły*** Wojciecha Smarzowskiego, ***Mniejsze zło*** Janusza Morgensterna, a także ***Wszystko, co kocham*** Jacka Borcucha, ***Czerwonego pająka*** Marcina Koszałki i ***Córki dancingu*** Agnieszki Smoczyńskiej. Wybijają się w tym zestawieniu filmy metaforyczne – *Ucieczka z kina Wolność* i *Dom zły*. Niemniej zdecydowanie bardziej cenię film Marczewskiego niż do cna przerysowany „wódczany" obraz Smarzowskiego.

Ucieczka z kina Wolność jest zresztą jakby żywcem wyjęta z duchowego paradygmatu zagadki, czym był PRL. Jest to też chyba jeden z ostatnich filmów „peerelowskich moralitetów" (powstał w 1990 roku), których już potem w Polsce się nie kręciło. Waga filmu Marczewskiego, jego etyczna estetyka, polega właśnie na spojrzeniu do wewnątrz peerelowskiej duszy – duszy cenzora. Jest to perspektywa łaknienia prawdziwej wolności, której jednym z warunków *sine qua non* powinno być odpuszczenie grzechów winowajcy. Tego właśnie, przechodząc wewnętrzną przemianę, poszukuje, niczym świeżego powietrza, cenzor grany przez Janusza Gajosa. Na drugim, nihilistyczno-brutalnym biegunie znajduje się Smarzowski. I mimo że ten film pozostanie jednym z ważniejszych obrazów w polskiej kinematografii – to na temat istoty PRL-u nie mówi dosłownie nic, prócz kliszowego przejaskrawienia. W wizji Smarzowskiego właściwie można ten okres zamknąć w dwóch tytułowych słowach – dom zły. Nie chodzi o to, że PRL jest ukazany jako jedno wielkie inferno, ale o to, że piekło to nie jest w ogóle realistyczne. Nadrealizm Smarzowskiego powoduje, że cała brutalność i nihilizm, wręcz wylewający się z tego obrazu, zwyczajnie nie mają mocy. Na koniec chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze inny rodzaj filmów o peerelowskiej przeszłości. Nazwałbym je obrazami recepcji. Klasycznym reprezentantem tego nurtu są ***Gry uliczne*** Krzysztofa Krauzego. Historia dwóch dziennikarzy śledczych badających sprawę śmierci Stanisława Pyjasa to prekursorski film tego gatunku w latach dziewięćdziesiątych. W zasadzie to rzecz współczesna pokazująca kształtowanie się nowej kapitalistycznej rzeczywistości, nad którą jednak ciąży nie tak znowu odległa przeszłość. Niemniej to nie *Gry uliczne*, ale dwa inne obrazy, na wskroś dzisiejsze, gdzie kluczowym komponentem jest pamięć PRL, wydają się znacznie ciekawsze. Przeszłość, która w nich powraca, staje się swoistym trupem w szafie teraźniejszości. Tak jakby twórcy chcieli nam powiedzieć, że wszyscy, których dojrzałość przypadała na lata realnego socjalizmu, są bardziej lub mniej, ale naznaczeni. A przeszłość znowu wypłynie, więc lepiej się z nią samemu rozliczyć.

PRZESZŁOŚĆ STAJE SIĘ TRUPEM W SZAFIE TERAŹNIEJSZOŚCI

Taką sytuację możemy obejrzeć w nakręconej w 2008 roku ***Rysie*** Michała

Rosy. Film opowiada o tym, jak podczas rodzinnej imprezy w mieszkaniu szacownych krakowskich intelektualistów z opozycyjną przeszłością, Joanny i Jana, ktoś zostawia kasetę wideo. Na nagraniu zarejestrowany jest urywek programu, gdzie pewien historyk niedwuznacznie sugeruje, że mąż Joanny był przed laty tajnym współpracownikiem SB. Jego zleconym zadaniem było ożenić się z Joanną, by móc inwigilować poczynania jej ojca, emerytowanego działacza dawnego mikołajczykowskiego PSL. Lustracyjna przeszłość – prawdziwa bądź nie – brutalnie wkracza do ich ustabilizowanego życia. To film prowokujący do myślenia i niedający spokoju. Rosa pokazuje poprzez ten jednostkowy dramat, jak wciąż niedostatecznie przemyśleliśmy okres realnego socjalizmu, ilu pytań wciąż nie udało nam się zadać, ile nie doczeka się jednoznacznych odpowiedzi. Przeszłość stoi za kotarą i wciąż, mimo tylu lat od upadku Polski Ludowej, właściwie nic o niej nie wiemy. Tak jak nie wiemy z całą pewnością, czy Jan był cynicznym TW. A nawet jeśli był, to może później wszedł na dobrą drogę? A jeśli jest niewinny? To bardzo dobry, wart przypominania film, z wielkimi kreacjami Jadwigi Jankowskiej-Cieślak i Krzysztofa Stroińskiego.

Drugim ważnym tego typu obrazem jest powstały rok później film Feliksa Falka ***Enen***. Od początku jest to połączenie typowych popkulturowych tropów fabularnych z później dopiero widocznymi widmami przeszłości. Pacjent szpitala psychiatrycznego, o którym nic nie wiadomo, choć przebywa w lecznicy wiele lat, zaczyna przypadkowo fascynować dociekliwego młodego lekarza. Psychiatra, grany przez Borysa Szyca, stara się za wszelką cenę pomóc choremu, a także dowiedzieć się, kim jest. Teoretycznie mamy więc w tym filmie połączenie czegoś na kształt *Rain Mana* z wątkiem detektywistycznym. W zasadzie nic specjalnego i odkrywczego, tyle że historia katatonika Enena (fantastyczna rola Grzegorza Wolfa) wiedzie nas prosto w mroczne czeluście PRL, gdzie rodziła się antykomunistyczna opozycja lat siedemdziesiątych. Falk w tym filmie zaskakuje każdego i perwersyjnie odwraca wektory. Przeszłość powraca, pokazując, że tkwi w ludziach jak cierń. Karze, nagradza, strąca i skazuje na potępienie. Chory, traktowany przez wiele lat niczym przedmiot i sprzęt szpitalny, a nie cierpiący człowiek, wydaje się egzemplifikacją ofiary. Ma on jednak swoją historię, która go naznacza, burząc nasz moralny osąd. To bardzo ciekawy, dwuznaczny i niesłusznie zapomniany film. Przypomina nam też o tym, że kino to również sztuka opierająca się na opowiadaniu historii. Ta ma znowu swe jądro w niezatartej peerelowskiej tajemnicy.

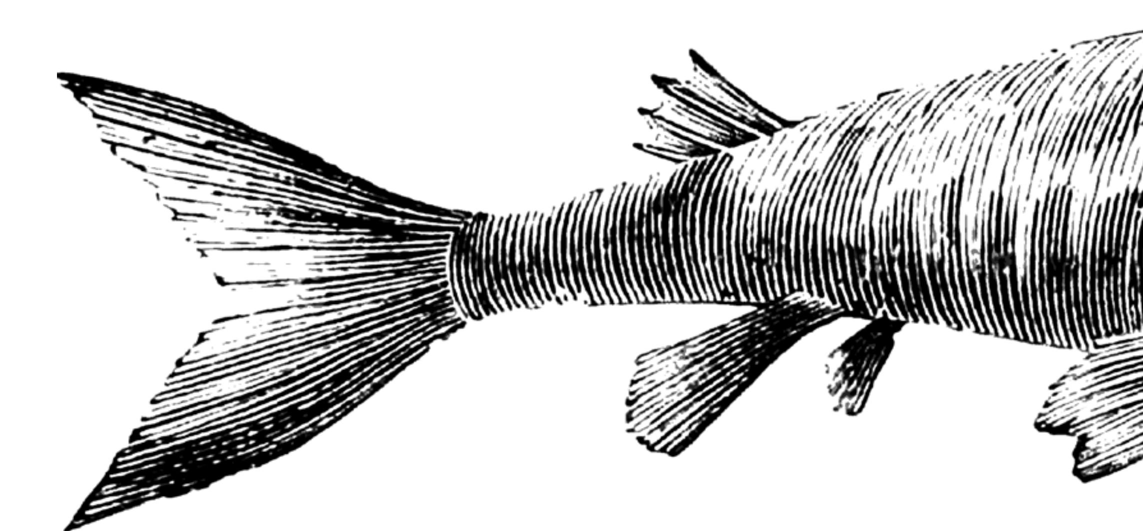
Przeszłość karze, nagradza, strąca i skazuje na potępienie

GRUBA KRESKA KINA

Bardzo trudno ocenić syntetycznie polskie kino III RP poświęcone Polsce Ludowej. Rozrzut gatunkowy i tematyczny jest tak duży, jak różnorodny był PRL. Inne były czasy tuż powojenne, inny był stalinizm, inne

czasy rządów Gomułki czy Gierka, a jeszcze inny okres stanu wojennego. Na swoistą ciekawostkę zakrawa fakt, że w niepodległej Polsce doczekaliśmy się zaledwie tylko dwóch filmów poświęconych stalinizmowi – *Cwał* Zanussiego i *Rewers* Lankosza. Natomiast znacznie więcej powstało ich (będąc później „półkownikami") w PRL, że wymienię wspomniane już *Przesłuchanie*, ale i *Dreszcze* Marczewskiego, *Wielki bieg* Jerzego Domaradzkiego, *Wahadełko* Bajona, *Matkę królów* Jerzego Zaorskiego czy wreszcie *Człowieka z marmuru* Wajdy. Inną filmową pustką, która, jak rozumiem, teraz będzie zapełniana, to filmy dotyczące szeroko rozumianych Żołnierzy Wyklętych. Tu kolejna osobliwość, gdyż po latach najlepszym obrazem z tej kategorii jest według mnie ***Pierścionek z orłem w koronie*** Wajdy (choć oczywiście nie zapominam o ***Pułkowniku Kwiatkowskim*** Kutza), który po nakręceniu w 1992 roku uważany był przez większość krytyków za film niewykorzystanych szans. Jak widać, zwłaszcza na tle *Historii Roja*, *Pierścionek...* zyskuje nowe życie i filmowy szacunek, blaknąc tylko w zestawieniu z jednym z najwybitniejszych dzieł Wajdy w całej karierze – *Popiołem i diamentem*. Szerszym, dającym do myślenia zjawiskiem, jest również niechęć do rozliczania na ekranie epoki komunizmu. Marzenia z czasów Solidarności, że tak naprawdę to kino w wolnej Polsce wreszcie „pokaże", „naznaczy" i „oskarży" totalitarny system, okazały się ułudą. W zasadzie takimi filmami były tylko dwa dzieła Kutza: *Śmierć jak kromka chleba* i *Zawrócony*, a także *Czarny czwartek* Antoniego Krauzego. Filmy rozliczeniowe ustępowały obrazom społeczno-romantycznym i nieco sentymentalnym jak urocze *Wszystko, co kocham* Borcucha, które jest w jakimś sensie późnym wnukiem *Marcowych migdałów*. Takich filmów też nie jest za wiele. Na tym tle bardzo interesujący jest ostatni, zrobiony przed śmiercią film wybitnego twórcy Janusza Morgensterna *Mniejsze zło*. Bohaterem filmu jest spryciarz, cwaniak i mitoman, zawsze spadający na cztery łapy, pomimo zawirowań historii. Postać do cna konformistyczna i małostkowa. Peerelowski everyman na miarę czasów. Myślę, że tylko Morgenstern mógł niejako „na pożegnanie" zaprezentować kino tak przewrotne, quasi-rozrachunkowe i bijąco antyromantyczne. Kino będące intelektualną polemiką z uczciwością moralną bohatera *Przypadku* Krzysztofa Kieślowskiego.

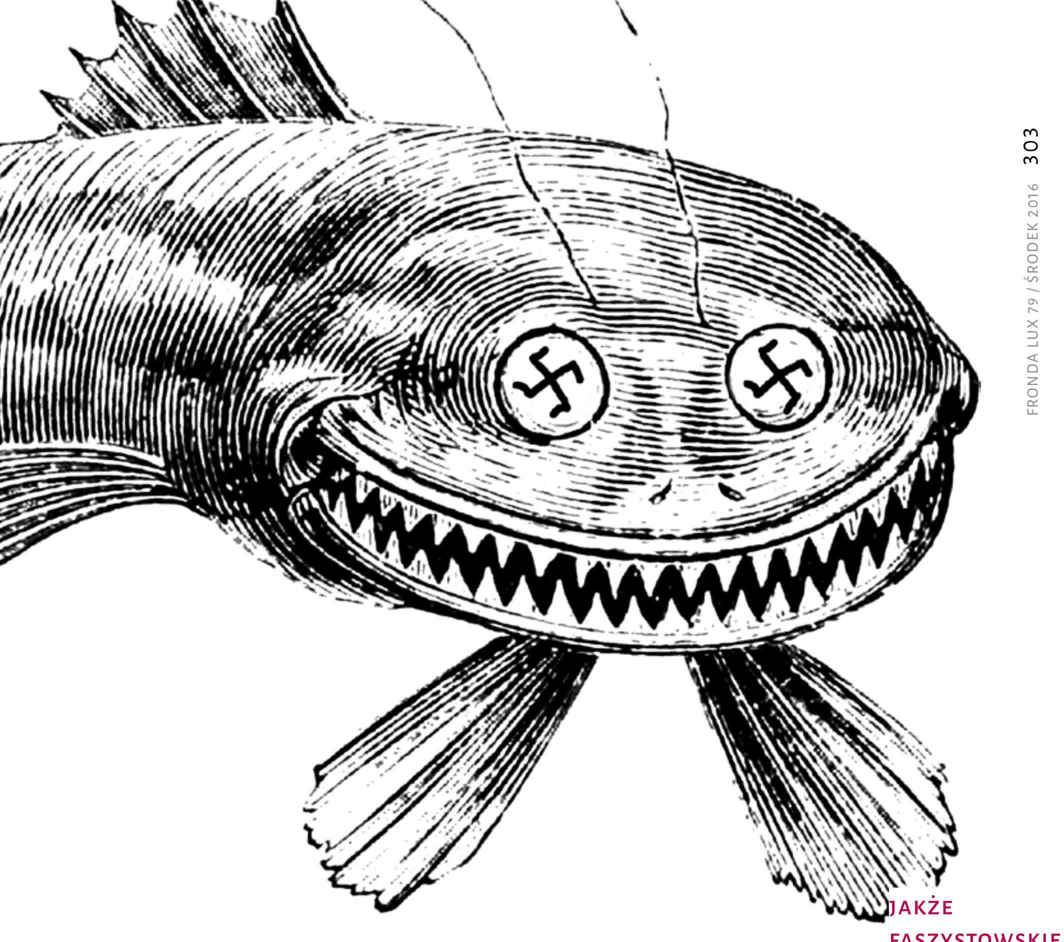
Podsumowując, przed polskim kinem opisującym bardzo skomplikowany i niejednorodny okres lat 1945–1989 jeszcze wiele do zrobienia: od kina stricte biograficznego, po wciąż niewyeksploatowane historie społeczne. Osobną sprawą są filmy dotyczące nierozliczonej przeszłości i recepcji. Tu także wiele nas jeszcze czeka. Polskie kino współczesne nie dorobiło się też pełnokrwistego bohatera, kogoś na miarę Mateusza Birkuta. Być może w sukurs filmowcom przyjdzie literatura, bo to, że film Polski od lat cierpi na deficyt dobrych, wielobarwnych scenariuszy, także o czasach PRL, nie jest żadną tajemnicą. **Ω**



Anna Stępniak

Faszyzm, czyli nuda

I stało się. Drugi raz w życiu kupiłam „Gazetę Wyborczą". Z wahaniem spojrzałam na odliczone 2,90 i zamyśliłam się… „GW" czy coca-cola, „GW" czy ulubiony batonik albo nawet bochenek dobrego chleba?



Zainspirował mnie szyderczy ton Rafała Ziemkiewicza pewnego dnia w *Poranku* Republiki. W końcu czemu nie mieć w domowym archiwum numeru skrajnie ideologicznej gazety, symbolu III RP, który wyszedł 11 kwietnia 2016 roku, kilkanaście godzin po rocznicy Tego Dnia, którego wierni czytelnicy „Gazety" panicznie się boją. A powodów jest wiele – i nie chodzi tylko o to, że Polacy pamiętają i wspominają tych, którzy zginęli w okolicznościach niedających się ogarnąć rozumem. Głównym powodem powstawania gęsiej skórki i zimnych potów u osób takich jak redaktorzy Agnieszka Kublik i Paweł Wroński, jest przecież fakt, że to pierwsza rocznica Smoleńska pod rządami PiS… Uuuu. Trzask łamanych kości, wyrywanie paznokci. W głowach rozbrzmiewa groźny dźwięk: PIIIIISSSSSS.

JAKŻE FASZYSTOWSKIE HASŁO: BÓG, HONOR, OJCZYZNA

A jak PiS – to faszyzm. Brunatna Polska. Faszystowskie bojówki. Faszystowska obrona terytorialna… I jakże faszystowskie hasło: Bóg, honor, ojczyzna. Ale *ad rem*. Zaglądam na stronę dziewiątą. Przeglądam pełen przerażenia tekst autorstwa nieznanego mi kompletnie pastora Kościoła ewangelicko-reformowanego oraz radnego PO na Śląsku. I rozczarowuję się. Słowa „faszyzm" i „faszystowski" padają tylko dwa razy. „Brunatny" – pięć. Są za to nazwy państw – Iran oraz Arabia Saudyjska, ale ku mojemu zdziwieniu brak nazwiska „Kaczyński". A poza tym wszystko na miejscu: „demon", „macica", „gender", „PiS", „uchodźcy", „ksiądz Lemański" oraz „płód". Uff… Konkluzja jest taka, że ci światli i postępowi latami przymykali oczy na rodzący się radykalizm i dlatego teraz wielkimi krokami zbliżają się wieki ciemne.

Nieco wcześniej, w internetowej wersji tego samego medium, po wejściu na stronę główną można było zobaczyć zdjęcie – a jakżeby – Hitlera w towarzystwie zapatrzonych w niego młodych ludzi i do tego wbijające się w mózg białe litery, które układały się w zdanie: *Profesor XY: Dzisiaj w Polsce boimy się bardziej niż Niemcy w 1933 roku*. Interesujące, wydawało mi się, że spółka Agora SA nie została zarejestrowana we Frankfurcie albo na przykład w Hamburgu.

Właściwie nic mnie już nie dziwi, bo codziennie prażę sobie popcorn i siadam przed ekranem komputera (telewizora nie posiadam), oglądając absurdy naszej polityczno-medialnej rzeczywistości. Na przykład, także w kwietniu, pewien poeta postanowił podzielić się publicznie refleksją, że raport Narodowego Centrum Studiów Strategicznych to tak naprawdę przygotowania Macierewicza do tworzenia bojówek, które z namaszczeniem ministra obrony narodowej będą strzelać z broni maszynowej do pokojowo protestujących przeciw rządowi na ulicach. To nic, że całość wyrwana z kontekstu, a realne zagrożenie terroryzmem istnieje tuż za naszą zachodnią granicą i o to chodzi w tym fragmencie dokumentu. I tak najgorszy jest Kaczafi. A tymczasem żadnych sensacji nie ma – po blisko pół roku od wyborów 40% Polaków popiera rząd, a jednej trzeciej jest on obojętny. Przestrzeń wolności manifestowania własnych poglądów i realizowania swoich stylów życia wciąż w nas taka sama. Nudy…

I tak najgorszy jest Kaczafi

Moje pokolenie w nosie ma ideologiczne wygłupy, absurdalne przebieranki, dziecinne prowokacje, walki na łopatki w piaskownicy. Ludzi w wieku dwudziestu paru, trzydziestu paru lat (tych, którzy jeszcze nie wyjechali na Zachód) coraz mniej obchodzą polityczna bieżączka i nazywanie jakiejś publicznej osoby „faszystą". Zastanawiają się bowiem, co będą w stanie odłożyć i jak szybko będą musieli pozbywać się tego, co odziedziczą po swoich rodzicach i dziadkach. Gdy już się wyjdzie poza horyzont studenckich zabaw, beztroskiego picia rozmaitych napojów oraz spontanicznych podróży, przed oczyma pojawia się wielki znak zapytania. Zwłaszcza że opowieści o wolnym rynku i prawdziwej, uczciwej i zdrowej konkurencji w Polsce można włożyć między bajki. Rzadko kto chce o tym mówić głośno, ale w kuluarach i dyskretnych rozmowach każdy wie, co się święci.

Wydaje mi się, że wygrana PiS to ostatnia fala nadziei, że coś może się zmienić, że da się wyciąć korupcję oraz osłabić rozmaite sitwy i wpuścić trochę świeżego powietrza. Ale nawet jeżeli po czterech latach będzie kompletna klapa, to i tak nikomu nie uda się wyciągnąć tłumów na ulice pod hasłem zagrażającego im faszyzmu ani nawet wizji, że w alei Szucha Antoni Macierewicz torturuje innowierców, przechadzając się obok nich w skórzanym płaszczu gestapowca. A nie, to już było. Według najnowszej wykładni będzie po prostu pacyfikował KOD i putinizował Polskę.

A mówiąc bardzo serio, jeżeli ten wielki kapitał społeczny zostanie przez obecną władzę zmarnowany, to potem przez wiele lat nie będzie szansy, by znów go odbudować i zmotywować nas do działania, a przede wszystkim do ponownego głosowania. Niech jednak żaden światły przedstawiciel „elity" nie liczy na masowe protesty w obronie demokracji – będzie cicha emigracja i kolejny odpływ tych kreatywnych i przedsiębiorczych. Aż zostaną tylko ludzie, którym wmówiono, że nadają się co najwyżej do bycia tanią siłą roboczą w zagranicznych korporacjach.

Przed oczyma pojawia się wielki znak zapytania

Jak widać, tak czy siak – lepiej kupić czekoladowy batonik. Ω

Paweł Rojek

TRANS-SUBSTAN-CJACJA NOWO-CZES-NOŚCI

Przekonanie o konieczności związku tradycji i nowoczesności staje się powoli jedną z polskich „oczywistych oczywistości". Coraz mniej jest tak naprawdę poważnych autorów i istotnych sił politycznych, które chciałyby zająć któreś ze skrajnych stanowisk w dawnym polskim sporze między modernizatorami a tradycjonalistami

Lech Kaczyński 23 grudnia 2005 roku, po zaprzysiężeniu na urząd prezydenta wobec obu izb parlamentu, dostojników kościelnych i zaproszonych gości, ogłosił koniec nowoczesności w Polsce. Jednym z jej fundamentów było bowiem radykalne przeciwstawienie tradycji i nowoczesności, w wyniku którego zwolennicy modernizacji musieli zwalczać tradycję, a obrońcy tradycji musieli odrzucać nowoczesność. Lech Kaczyński w swoim inaugurującym przemówieniu uroczyście unieważnił tę opozycję: *Naród jako wspólnota buduje się wokół tradycji. Nie wolno przeciwstawiać jej koniecznym zmianom, koniecznej modernizacji Polski. To jest sprzeczność wymyślona. To jest szkodliwy sposób myślenia. Największe sukcesy w Europie odnosili ci, którzy potrafili połączyć modernizację z dobrą tradycją. Nasze państwo w całej swej praktyce, w swoim ustawodawstwie, w sferze edukacji szkolnej i innych rodzajów powinno wejść na tę drogę*[1].

Lech Kaczyński, niczym dziewczynka z reklamy Old El Paso

W ten sposób symbolicznie skończyła się w Polsce epoka zainaugurowana jeszcze w XVIII wieku przez spór między oświeceniem a sarmatyzmem, który naznaczył ostatnie lata Pierwszej Rzeczypospolitej, i dopełniona przez opozycję między dziedzictwem Gombrowicza i Wyszyńskiego z końca XX wieku, która legła u podstaw Trzeciej Rzeczypospolitej. Dlaczego jednak nie można mieć tradycji i nowoczesności naraz? Lech Kaczyński, niczym dziewczynka z reklamy Old El Paso, pokazał, że można wyjść poza tę niszczącą dychotomię i modernizować Polskę w oparciu o nasze własne dziedzictwo. Wraz z Lechem Kaczyńskim weszliśmy w pełną dwuznaczności epokę późnej nowoczesności.

1 L. Kaczyński, *Orędzie prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Lecha Aleksandra Kaczyńskiego*, [w:] *Sprawozdanie stenograficzne z posiedzenia Zgromadzenia Narodowego w dniu 23 grudnia 2005 r.*, Warszawa 2005, s. 5.

Dziś, dziesięć lat po przemówieniu prezydenta Kaczyńskiego, wydaje się, że przekonanie o konieczności związku tradycji i nowoczesności staje się powoli jedną z polskich „oczywistych oczywistości". Coraz mniej jest tak naprawdę poważnych autorów i istotnych sił politycznych, które chciałyby zająć któreś ze skrajnych stanowisk w dawnym polskim sporze między modernizatorami a tradycjonalistami. Modernizatorzy powszechnie szukają dziś legitymizacji w tradycji, a tradycjonaliści chcą szczerze wspierać modernizację. I jedni, i drudzy odwołują się do przeszłości, choć podkreślają w niej odmienne wątki, wszyscy też mówią o nowoczesności, choć rozumieją ją w rozmaity sposób. Coraz częściej i coraz śmielej mówi się więc o konserwatywnej modernizacji, konserwatyzmie afirmatywnym, nowoczesnym patriotyzmie, otwartej ortodoksji i – rzecz jasna – awangardowym konserwatyzmie.

FORMĄ OBECNOŚCI TRADYCJI JEST WEDŁUG CZAPLIŃSKIEGO PEŁNA NEGACJA NOWOCZESNOŚCI

Na symboliczne znaczenie przemówienia Lecha Kaczyńskiego zwrócił uwagę Przemysław Czapliński w swojej głośnej książce *Resztki nowoczesności*[2]. Czapliński opisywał w niej dokonujące się w ostatnich latach zmiany w funkcjonowaniu przeszłości w najnowszej literaturze polskiej. Jego zdaniem mamy teraz do czynienia z przejściem od radykalnego i całościowego przeciwstawiania przeszłości i teraźniejszości do twórczego łączenia różnych elementów tradycji i nowoczesności. *Sarmatyzm* – pisał – *wchodzi w najdziwniejsze walki z nowoczesnością, by po chwili wyłonić się jako jej sojusznik*[3]. Choć Czapliński skupiał się przede wszystkim na sarmatyzmie, to jego diagnozy dotyczą także tradycji romantycznej i idei polskiej w ogóle. Przemowa prezydenta Kaczyńskiego miała być według Czaplińskiego sygnałem zwrotu od przeciwstawiania do łączenia tradycji i nowoczesności. Chciałbym więc przyjrzeć się krótko wyróżnionym przez niego dwóm modelom funkcjonowania tradycji. Spróbuję pokazać, że zarysowany przeze mnie program awangardowego konserwatyzmu nie mieści się w żadnym z nich – ani bowiem nie neguje całej nowoczesności, ani się jej nie podporządkowuje. Otwarte pozostaje

2 P. Czapliński, *Resztki nowoczesności. Dwa studia o literaturze i życiu*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011, s. 18.

3 Tamże, s. 138.

pytanie, jaki model pogodzenia tradycji i nowoczesności rzeczywiście w Polsce realizujemy.

Pierwszą formą obecności tradycji jest według Czaplińskiego pełna negacja nowoczesności. Polskie dziedzictwo, zwłaszcza sarmackie, bywało po 1989 roku przywoływane jako radykalna i totalna alternatywa dla współczesności. Taki gest był oczywiście prostym odwróceniem oświeceniowej krytyki. Polscy modernizatorzy przez stulecia potępiali w czambuł sarmatyzm, krytycy europejskiej nowoczesności przekornie więc brali go w całości na sztandary. Ich celem nie było jednak znalezienie jakiejś wyższej syntezy, lecz proste przeciwstawienie tradycji i współczesności.

Czapliński odnajduje taką postawę przede wszystkim w strategii dawnej „Frondy" z lat 90. Jego zdaniem Krzysztof Koehler, Grzegorz Górny czy Robert Tekieli, odwołując się do sarmatyzmu, chcieli w ten sposób przede wszystkim radykalnie odrzucić napierającą zewsząd nowoczesność. *Podstawą wspólnoty wyobrażonej stawał się sarmatyzm. Oznaczał on: silną opozycję wobec dziedzictwa oświeceniowego – laickiego i niszczącego sakralne podłoże życia społecznego; walkę z lewicą, liberalizmem i konserwatyzmem laickim, czyli ideologiami nieopartymi na prawdzie Chrystusa;* [...] *uznanie demokracji i liberalizmu za formacje polityczne zagrażające tradycyjnym wartościom katolickim*[4]. Dla redaktorów dawnej „Frondy" antynowoczesny sarmatyzm miał stać się podstawą nowego masowego patriotyzmu. Sarmatyzm miał być bowiem ideologią bliską Polakom, którzy w głębi swoich dusz, zwłaszcza na prowincji, zachowali wbrew dziejowym katastrofom i wysiłkom modernizatorów przednowoczesny *habitus* polskości.

Frondyści w walce z nowoczesnością gotowi więc byli bronić nawet najgorszych sarmackich wad

Według Czaplińskiego słabością tego programu był całkowicie bezkrytyczny stosunek do tradycji. Jego zdaniem Koehler, najważniejszy ideolog zwrotu sarmackiego, *zagarnął stereotyp negatywny i wmontował go w całość, uniemożliwiając w ten sposób dzielenie sarmatyzmu na części dobre i złe i sugerując, że można mieć albo tradycję w postaci integralnej, albo nic*[5]. Frondyści w walce z nowoczesnością gotowi więc byli bronić

4 Tamże, s. 37.
5 Tamże, s. 38.

nawet najgorszych sarmackich wad. Ostatecznie okazywało się, że program walki z nowoczesnością sprowadza się w istocie do obrony pospolitego modelu powojennego Polaka. Jak powiada Czapliński, redaktorzy „Frondy" w konsekwencji *nie przedefiniowali tradycji, lecz skonstruowali polską przeciętność, do której dopisali kwalifikację sarmacką. Zniknęła szlachetność, została pospolitość*[6].

Drugim wyróżnionym przez Czaplińskiego modelem obecności tradycji jest jej umiejętne włączenie do projektu późnej nowoczesności. Przeszłość nie jest już w nim traktowana jako negatywny czy pozytywny punkt odniesienia, lecz jako zasób, który może wzbogacić współczesność i pomóc w rozwiązywaniu pojawiających się w niej problemów. Tradycja nie jest tu więc – jak powiada Czapliński – siłą kontrującą, lecz korygującą nowoczesność, nie jest czynnikiem oporu, lecz współpracy z modernizacją, nie zwalcza współczesności, lecz jest przez nią absorbowana. *Odnawianie społecznego imaginarium przybiera* [...] *formę asymilacji dokonanej przez późną nowoczesność na najbardziej wyrazistym przeciwniku. Asymilacji pasożytniczej, w której nowoczesność podkarmia tradycję, aby się nią żywić. Czyni tak, ponieważ tradycja dostarcza narzędzi kulturowej legitymizacji, pomaga symulować związek z przeszłością, wspiera walkę o symboliczne uznanie*[7].

ZASPOKAJAĆ PRAGNIENIA ZNUDZONEJ JAŁOWĄ NOWOCZESNOŚCIĄ PUBLICZNOŚCI

Takie podejście do tradycji zmienia oczywiście jej znaczenie. Sarmatyzm w późnej nowoczesności przekształca się w *plastyczną masę, nieskończenie gniotliwą i podatną na włączenie w dowolny kontekst*[8]. Samo odwoływanie się do tradycji nie jest też już traktowane jako jakaś poważna deklaracja, lecz tylko jeden ze sposobów radzenia sobie z późnonowoczesną nudą. *Klecenie tradycji* – jak zauważa Czapliński – *nie jest zgłaszaniem przynależności do niej, lecz raczej przeciwnie – demonstrowaniem swobody uczestnictwa*[9].

Pierwsze oznaki takiego nowego stosunku do przeszłości można według Czaplińskiego odnaleźć już w powojennej prozie emigracyj-

6 Tamże, s. 100–101.
7 Tamże, s. 143.
8 Tamże.
9 Tamże, s. 144.

nej, przede wszystkim u Gombrowicza, który z rozkoszą wykorzystywał sarmackie elementy w *Trans-Atlantyku*. Innym przykładem takiego niezobowiązującego przywoływania tradycji miała być ekranizacja *Potopu*, będąca świadectwem powstania w PRL-u *pierwszej odmiany sarmatyzmu masowego*[10]. W obu wypadkach wykorzystanie tradycji nie miało wcale prowadzić do jakiegokolwiek kwestionowania przyjętego projektu modernizacji, lecz tylko zaspokajać pragnienia znudzonej jałową nowoczesnością publiczności. Przełomowe znaczenie dla upowszechnienia się tego późnonowoczesnego modelu po 1989 roku miał mieć głośny spektakl Mikołaja Grabowskiego oparty na *Opisie obyczajów* Jędrzeja Kitowicza. Sztuka miała być pierwotnie zwykłą satyrą na sarmatyzm, nieoczekiwanie jednak objawiła się w niej *dziwna, uboczna, mimowolna fascynacja polskością*[11]. Podobne zjawisko zaobserwowali zresztą w swoim sławnym programie *Sarmatia* z 1994 roku Jacek Kaczmarski i Zdzisław Łapiński. Ostatnim omawianym przez Czaplińskiego przykładem tego radosnego recyklingu idei jest stylizowana na szlachecką gawędę powieść Michała Witkowskiego *Barbara Radziwiłłówna z Jaworzna-Szczakowej* z 2007 roku, której bohaterem jest wprawiający w zakłopotanie sarmacki gej późnej nowoczesności[12].

Nie zamierzam tu dyskutować o trafności interpretacji Czaplińskiego. Mam podejrzenia, że ani Koehler, ani Gombrowicz mogliby się nie odnaleźć w wyznaczonych przez niego miejscach. Przede wszystkim jednak wydaje mi się, że zaproponowana przez Czaplińskiego typologia pomija jeden ważny przypadek. Z jednej strony mamy bowiem u niego całościowe odrzucenie nowoczesności przez tradycję, z drugiej zaś – wchłonięcie wybranych elementów tradycji przez nowoczesność. Wydaje się, że możliwa jest też pośrednia droga łącząca radykalizm frondystów, ale rezygnująca z ich totalności. Tradycja nie byłaby w tym wypadku – jak w hipotetycznym całkowicie kontrkulturowym modelu Koehlera – traktowana jako jednolita całość, ale zachowywałaby – inaczej niż w kampowym modelu Grabowskiego-

Wprawiający w zakłopotanie sarmacki gej późnej nowoczesności

10 Tamże, s. 90.
11 Tamże, s. 27.
12 Tamże, s. 126.

-Witkowskiego – funkcję krytyczną wobec nowoczesności. Innymi słowy, byłoby to wchłonięcie wybranych elementów nowoczesności przez tradycję.

Wydaje się, że zarówno w tradycji, jak i w nowoczesności można wskazać elementy istotne i przypadłościowe. Istotą polskiej tradycji byłaby zapewne przednowoczesna religijność, akcydensami zaś noszenie wąsów czy skłonność do pijaństwa. Podobnie do istoty nowoczesności należy pewnie separacja sfer religii, społeczeństwa, nauki i gospodarki, a do jej akcydensów – chodzenie we fraku czy jedzenie sushi. Pierwszy model wyróżniony przez Czaplińskiego polega na totalnym przeciwstawieniu tradycji i nowoczesności, drugi – na przyjęciu istoty nowoczesności i wzbogaceniu jej o niektóre z tradycyjnych przypadłości. Nawet ostentacyjne rozkoszowanie się oderwanymi elementami tradycji w niczym nie kwestionuje natury późnej nowoczesności. Przy założeniu jednak, że istota sarmackości i istota nowoczesności wzajemnie się wykluczają, okazuje się, że jest możliwy jeszcze jeden rodzaj połączenia tradycji i nowoczesności. Można bowiem zachowywać tradycyjną istotę i jednocześnie krytykować i odrzucać tradycyjne przypadłości, a nawet zastępować je nowoczesnymi akcydensami. Taki program byłby niejako odwróceniem promowanego przez Czaplińskiego kampowego modelu. Awangardowy konserwatyzm byłby więc zaskakującą transsubstancjacją nowoczesności.

W swojej książce staram się pokazać, że rekonstrukcja idei polskiej może być odpowiedzią na problemy współczesnej Polski i współczesnego świata. Polskość ejdetyczna, jak starałem się pokazać, obejmuje co najmniej sarmacki republikanizm i romantyczny mesjanizm, czyli rozłożone na pokolenia zadanie urzeczywistnienia chrześcijaństwa we wszystkich sferach życia. Podjęcie polskiej idei jest zawiązaniem realnej więzi między dawnymi, współczesnymi i przyszłymi Polakami, niezależnie od wszelkich dziejowych katastrof i nieciągłości. Idea polska jest też odpowiedzią na coraz wyraźniejszy antropologiczny kryzys współczesnej liberalnej demokracji. Podjęcie tego wyzwania wymaga jednak szczególnych wysiłków intelektualnych, mających na celu właściwe rozpoznanie, podjęcie i rozwinięcie polskiego dziedzictwa intelektualnego.

Chodzenie we fraku czy jedzenie sushi

Staram się także pokazać, że powrót idei polskiej może dokonywać się na dwa sposoby. Z jednej strony polską przeszłość można widzieć – jak na przykład współczesny artysta Tomasz Kozak, podejmujący eksperymenty z polskością – jako pewien zasobnik wartości, symboli i gestów, które mogą wzbogacić opróżniającą się nowoczesność, z drugiej zaś można w naszej tradycji widzieć – jak poseł Artur Górski, który zgłosił projekt intronizacji Jezusa Chrystusa na Króla Polski – szansę na jej radykalne, choć niekoniecznie totalne przezwyciężenie. W tym pierwszym wypadku to tradycja okazuje się ostatecznie podporządkowana modernizacji, w tym drugim – nowoczesność ma służyć tradycji. Wydaje się, że o ile ta pierwsza strategia mogłaby nawet pomóc w odzyskaniu utraconej tożsamości, o tyle tylko ta druga może stanowić realną alternatywę dla późnej nowoczesności. Sformułowany przez Kozaka ideał „polskiej pornografii" może nas wszystkich połączyć, ale pozostanie tylko bezpłodną rozrywką. Polska teologia polityczna, będąca podstawą gestu Górskiego, może zaś zarazem nadać sens naszemu życiu, jak i utworzyć z nas prawdziwą wspólnotę.

Lech Kaczyński w 2005 roku ogłosił koniec pewnej epoki. Wszyscy chyba już rozumiemy, że należy wykroczyć poza prostą opozycję tradycji i nowoczesności. Nie jest jednak jasne, który z modeli związku przeszłości i teraźniejszości właśnie wybieramy. Czapliński sugerował, że polska prawica chce po prostu wykorzystywać resztki tradycji do ułatwienia i ubarwienia realizacji programu modernizacji. Polscy konserwatyści stawaliby się wobec tego bliscy strategii sarmackiego kampu. Być może jednak chodzi nam o coś więcej, o nawiązujące do strategii dawnej „Frondy", choć bez jej totalności, przejęcie nowoczesności na służbę tradycji. Od rozstrzygnięcia tej kwestii zależy to, czy polska idea stanie się dla nas tylko repertuarem wzbogacającym doświadczenia ostatnich ludzi, czy też podstawą realnej alternatywy, która mogłaby nie tyle łagodzić objawy późnej nowoczesności, co radykalnie nas z niej wyzwolić. **Ω**

IDEAŁ „POLSKIEJ PORNOGRAFII" MOŻE NAS WSZYSTKICH POŁĄCZYĆ

Jest to fragment zakończenia książki Pawła Rojka *Awangardowy konserwatyzm. Idea polska w późnej nowoczesności*, która ukaże się w 2016 roku nakładem Ośrodka Myśli Politycznej.

Joanna Wal

Papież prosi, żeby zrobić pani zdjęcie

Zofia Rydet to artystka o wielu twarzach. Raz jest dziennikarką, potem bywa antropologiem, podróżuje, tworzy reportaże, bawi się też surrealizmem. Nie wstydzi się przywiązania do religii. W swojej twórczości pokazuje Boga w wielu odsłonach – szuka go na wsiach i na twarzach tamtejszych mieszkańców

Przyglądając się twórczości Rydet, można odnieść wrażenie, że Bóg pojawia się na każdym etapie jej artystycznej drogi. Mimo że dopiero w *Zapisie socjologicznym* widzimy szczególne zainteresowanie obecnością Jana Pawła II w polskich domach, to surrealistyczne początki już wcześniej też dają o tym powoli znać.

Zofia Rydet ma kilka obliczy. Czasem wciela się w kreatorkę i tworzy fotomontaże przypominające klatki z filmów Bergmana. Kolaże ze *Świata uczuć i wyobraźni* z lat 1975–1979 od razu nasuwają porównanie jej prac z twórczością Jerzego Lewczyńskiego, przyjaciela artystki. Rydet w tym projekcie zaprasza nas do zupełnie nowego świata, o surrealistycznym charakterze. Te zdjęcia niepokoją i wzbudzają poczucie lęku. Autorka bawi się formą i ciałem. Opowiada o miłości, macierzyństwie, ale także o przemijaniu i nieuchronnie zbliżającej się śmierci.

Zofia Rydet bywa też reporterką i jeszcze w latach 50. pracuje nad *Małym człowiekiem* – portretuje dzieci: smutne, złe, roześmiane, zawstydzone. Efektem tej pracy jest kolekcja młodych twarzy, których szczerość odgrywa kluczową rolę. Już wtedy można doszukać się zapowiedzi, które Rydet pokaże m.in. w *Zapisie socjologicznym*. W nim z kolei przeraża brutalna prawda o życiu – przemijanie. Jej bohaterowie będący w podeszłym wieku zasiadają naprzeciwko aparatu, trzymając w dłoniach swój portret z młodości.

AUTORKA BAWI SIĘ FORMĄ I CIAŁEM

Zofia Rydet jest też podróżniczką, przemierza Polskę i pracuje nad *Nieskończonością dalekich dróg*. To kolejny projekt, który zwraca uwagę swoją prostotą, ale przykuwa też realizmem i surowością. Rydet tworzy przerażającą aurę pustki i samotności, w obliczu której człowiek staje sam na łożu śmierci. Jest to jeden z ostatnich jej cyklów, dlatego nie bez powodu porusza temat kruchości życia.

O *Zapisie socjologicznym* nie trzeba przypominać. Z pewnością należy przyznać, że podczas pracy nad nim Zofia Rydet miała dobrą bajerę. Musiała ją mieć. Przecież tworzyła projekt dla wyższej idei, więc nie mogła pozwolić sobie na brak profesjonalizmu. Artystka opowiedziała nam prawdę o specyficznym rodzaju świata. Trzeba pamiętać, że nie była pierwszą, która podjęła się socjologicznej analizy społeczeństwa. Przed nią w historii fotografii zasłynął m.in. August Sander, ojciec portretu socjologicznego, który zajmował się opisem społeczeństwa niemieckiego XX wieku. Fotografował siedem różnych grup społecznych – m.in. chłopów, robotników, studentów, polityków, artystów. Swojej pracy poświęcił 40 lat i niestety za życia nie doczekał się publikacji jej efektów.

PODCZAS PRACY NAD NIM ZOFIA RYDET MIAŁA DOBRĄ BAJERĘ

Innym fotografem, który zajął się podobnym tematem, był Walerian Twardzicki – dokumentował przedstawicieli nieistniejących już zawodów, takich jak szatkowacz kapusty, druciarz garnków czy piaskarz. Poza nimi była plejada artystów takich jak: Jacob Riis, Thomas Anion, Joseph Byron, Lewis Heine, Euglen Atger.

Zapis socjologiczny nie był nowatorskim pomysłem, jednak trzeba pamiętać, że przed Zofią Rydet w Polsce nikt nie realizował takich projektów. Artystka jako pierwsza zaczęła ten cykl na szeroką skalę – w trakcie pracy wykonała blisko 20 tysięcy zdjęć ludzi mieszkających na podhalańskich wsiach.

TRZEBA UŻYĆ BARDZIEJ WYRAFINOWANEJ METODY AKWIZYCJI, TJ. NA PAPIEŻA

Jak na nasze polskie warunki, dawało to nową jakość. W Polsce była pierwsza, dlatego świat o niej nie zapomni. Dała początek nowemu spojrzeniu na obraz i otworzyła kolejny rozdział w sztuce rodzimej fotografii. Jak tego doko-

nała? Miała kilka sprawdzonych sposobów. Tę historię można by zacząć mniej więcej tak:

Do drzwi puka 67-letnia kobieta. Mówi: dzień dobry, i podaje rękę. Zazwyczaj to działa, jednak czasem trzeba użyć bardziej wyrafinowanej metody akwizycji, tj. na papieża.

Proszę pani, to zdjęcie zobaczy sam papież. Chyba pani nie odmówi. Miała rację. Tylko głupi by odmówił. Zofia Rydet wygląda niepozornie, więc pewnie nie zrobi nikomu krzywdy. Zapewne równie dobrze by jej szło, gdyby roznosiła ofertę zakupu nowej telewizji kablowej. Ale Rydet ma dużo wyższy cel. Grunt to skuteczność.

Kobieta chodzi od domu do domu. Jakby tego było mało, błyska mocnym fleszem prosto w oczy lokatorów. Zofia Rydet nie jest nachalna. Ta kobieta szuka prawdy o życiu. Swoją pracą pokazuje przemijanie, religijność mieszańców małych miejscowości, ale także podkreśla wagę niektórych przedmiotów i przywiązanie do doczesnych udogodnień, które odgrywają w życiu bohaterów znaczącą rolę. Jedni na piedestale wystawiają obraz Jana Pawła II, inni telewizor. Znajdziemy też takich, którzy wystawiają cały ołtarz – figurki wszystkich świętych na telewizorze.

Telewizor w latach 70. to ważna rzecz. Serce każdej PRL-owskiej chaty. To przede wszystkim symbol luksusu prawdziwego polskiego domu. Dlatego też nie może stać byle gdzie. Kiedyś tylko nieliczni z dużych miast mogli sobie na to pozwolić. W latach 80. na wsiach już prawie każdy ma gadające pudło. Telewizor zawsze ma swoje określone miejsce w domu – stoi w centralnym punkcie dużego pokoju, w rogu, tak żeby wchodząc, każdy od razu mógł go zobaczyć. Telewizor to okno na świat. Czy gdyby Zofia Rydet kontynuowała ten projekt w 2015 roku, zastałaby mieszkańców wsi oglądających *Rolnika szukającego żony*?

Jedni na piedestale wystawiają obraz Jana Pawła II, inni telewizor

Jak sama pisała: *Punktem centralnym w wiejskiej chacie jest telewizor, który chodzi przez cały dzień. Książek przeważnie brak. Na telewizorze stawiają to, co dla nich najdroższe, najczęściej portret Ojca Świętego Jana Pawła II. Tych zdjęć z Papieżem w różnym otoczeniu mam już tysiące.*

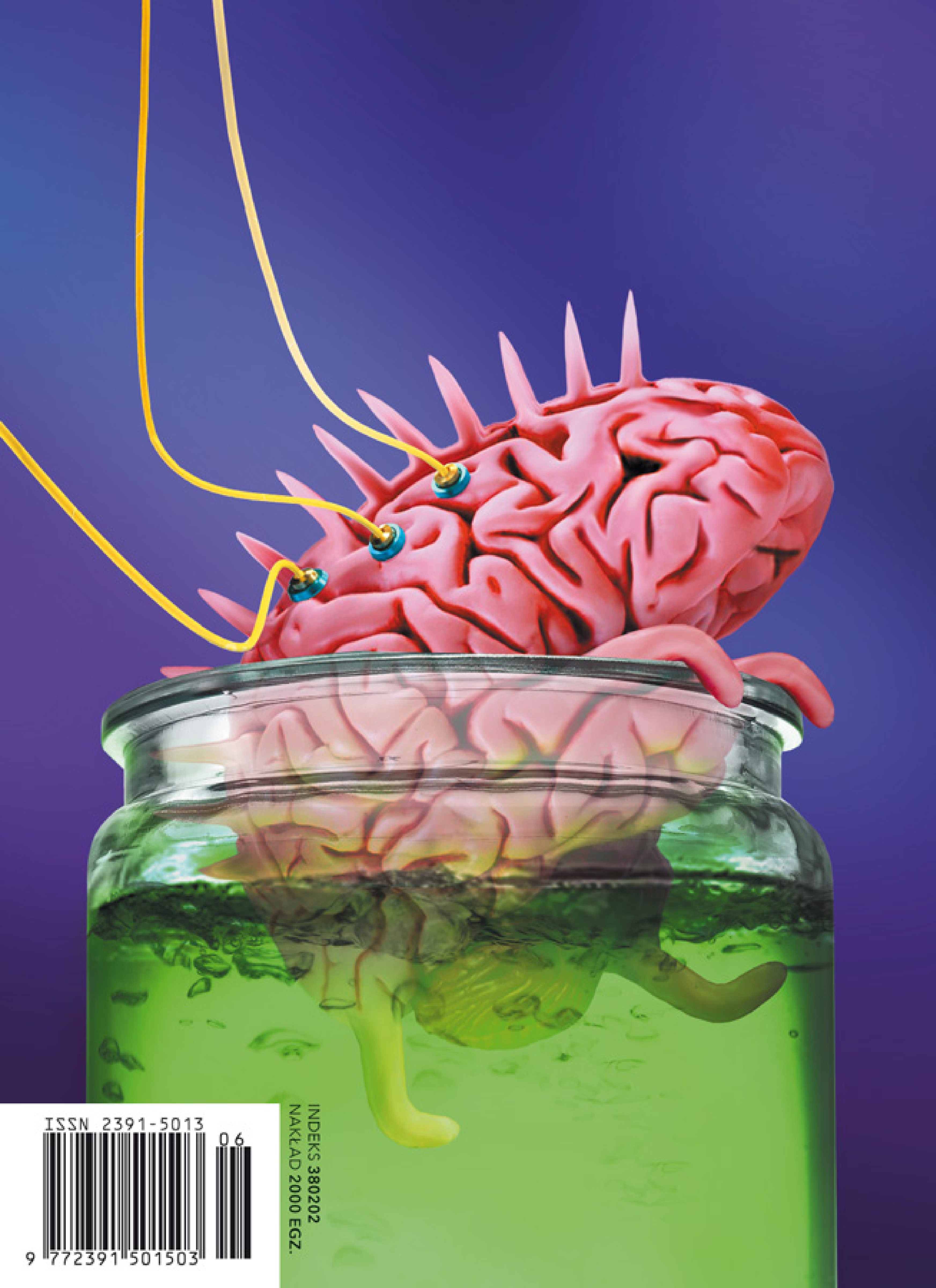
Oprócz papieża były też anioły, wszyscy święci, ale także instrumenty oraz inne istotne elementy wyposażenia domu. Z zapisu autorki wyłania się obraz religijnej ludności mocno przywiązanej do ludowej tradycji. Czy można utożsamiać to tylko z religijnością naturalną? Dziś to trudno stwierdzić i nie nam oceniać. Nie ulega wątpliwości, że taki styl życia i funkcjonowania mieszkańców wsi wśród wielu rodzin był bardzo podobny. Powtarzające się schematy dały obraz pewnemu zjawisku, dzięki czemu Zofia Rydet zaczęła opowieść o świecie, którego wielu nie znało. I otwierała przy tym na oścież zazwyczaj zamknięte dotąd drzwi.

Artystka miała kilka twarzy. W każdej odsłonie wypadała dobrze. Mogła zostać drugim Beksińskim albo w całości poświęcić się dokumentowi. Co robiłaby dziś, gdyby żyła?

Zawsze otwarcie mówiła o swoim katolicyzmie. Na wielu etapach twórczości nawiązywała do przemijania, ulotności życia i wiary, która w określony sposób definiowała jej spojrzenie na rzeczywistość. I pewnie przez pryzmat tego szukała Boga w twarzach innych ludzi – nie miało znaczenia, czy będą to dzieci, czy staruszkowie. Kto jak kto, ale ona dobrze rozumiała tych drugich. Przychodziła do nich jak swój do swego. Przecież jak można byłoby odmówić 70-letniej kobiecie z aparatem? **Ω**



szukała Boga
w twarzach
innych ludzi


ISSN 2391-5013
06
9 772391 501503
INDEKS 380202
NAKŁAD 2000 EGZ.